KONSTYTUCYA TURECKA
I JÉJ WPŁYW MOŻEBNY
NA LUDNOŚĆ WSCHODU.

Przewrót jaki się obecnie dokonał na całéj przestrzeni państwa Ottomańskiego, zastępując absolutne rządy następców Proroka, rządami zupełnie liberalnemi, jest zaiste faktem niepospolitego znaczenia; lecz żeby poznać rzeczywistą wartość i doniosłość téj reformy, potrzeba znać grunt, na którym ona dokonaną została, ustrój społeczny poprzedni, rozwój cywilizacyi, oraz usposobienie ludności.

Akt 23 grudnia 1876 r., spełniony w dawnéj stolicy bizantyjskiéj, będzie wielką, nową erą dla Wschodu, wielkim dniem dla państw sułtana, jeżeli okoliczności, pod jaką bądź manifestując się formą, nie zniewolą cofnąć się wstecz, lub nie oprą się usiłowaniom Mithada paszy, a przyznać należy, że dotąd Wschód nie zadał kłamu opinii przypisującéj mu różne nadzwyczajności i niespodzianki.

Konstytucya turecka jest następstwem logicznem, nieodzownym wynikiem reform przedsięwziętych przez sułtana Machmuda II-go, prowadzonych następnie przez Abdul-Medżida, Reszida paszę, Fuada i Alego paszów — reform cofniętych i niweczonych przez Abdul-Azisa, owego wzoru intrygi, zarozumiałości, podejrzliwości, ciasnych poglądów, rozpusty, fanatyzmu i złości.

Jeżeli mamy cofnąć się nieco daléj, do rozbicia słynnego janczarskiego kotła, do rzezi janczarów, do zamysłów Machmuda II-go, to spostrzeżemy tu, jak wszędzie w historyi, łańcuch nieprzerwany wyników, które aczkolwiek nieraz były zatrzymywane w swych przejawach, niemniéj jednak siłą okoliczności wydobywały się na

wierzch. Już w początkach 19 stulecia, upadek państwa Ottomańskiego stał się tak widoczny, że Padyszachowie sami, aczkolwiek okrążeni tłumem pochlebców, gnuśniejąc w bezmyślném życiu serajowém, pomimo najlepszych chęci, najsłodszych iluzyi, musieli zauważyć stopniowe rozprzężenie i upadek. Szukano więc przyczyn tego, a dzięki potężnéj legendzie napoleońskich wojen, dotąd tak silnie, tak uroczo przedstawiającéj się wyobraźni wschodnich ludów, mężowie stanu tureccy głównie na siły zbrojne zwrócili uwagę.

Z jednéj strony potęga derebejów i janczarów groziła samowładztwu sułtanów—z drugiéj urządzenie taktyczne janczarskiego wojska nie odpowiadało postępowi sztuki wojennéj, a przekształcenie ich na obraz wojsk europejskich było prawie nie do uskutecznienia. Ztąd główny zamach reformatorski w Turcyi, jak i w innych krajach, dokonał się za pomocą przeobrażenia siły wojennéj. Pierwsza ta zmiana nadała impuls reformom.

Tym sposobem w Turcyi wytworzyły się dwie główne partye: postępowa i ultraturecka, pierwsza zapatrująca się na Zachód, druga potępiająca absolutnie wszelkiego rodzaju naleciałości. Obie przechodziły rozmaite koleje i fazy.

O ile naród turecki usposobieniem swoim nadaje się i nagina do różnych przeobrażeń, widać już z tego, że dotąd nigdy i nigdzie porządek publiczny, oraz bezpieczeństwo państwa nie zostało seryo zakłucone pokątnemi spiskami, radykalnemi rewolucyami. Strącenie nawet z tronu waryata, marnotrawcy, jakim był Abdul-Azis, odbyło się w formie jak najlegalniejszéj. Turcy zacząwszy reformy od wojska, następnie zastosować chcieli cały szereg przepisów zaczerpniętych z Zachodu do reorganizowania państwa, nie bacząc na grunt i na fundament saméj rzeczy, ale tylko na formy. Nieuniknione zapędy reformatorskie Turcyi, oprócz wytworzenia sytuacyi sprowadzającéj akt 23 grudnia 1876 roku, przysporzyły jéj znaczną liczbę tłumaczeń z francuskiego, wielu członków towarzystwa stambulskiego z łatwością wysławiających się w języku Franków, strój europejski i bezwątpienia dobrą reorganizacyę armii, która w ostatniéj wojnie serbskiéj okazała się wyborną.

Lecz armia w państwie Ottomańskiém stanowi ciało tak dziwnie ukonstytuowane odnośnie do reszty ustroju społecznego, iż poniżéj, dla wyjaśnienia warunków jéj bytu i stosunku do towarzystwa, postaramy się te anomalie wyluszczyć.

Reformy tureckie głębiéj pojmowane, może przez jednego Reszida paszę jeszcze przed wojną krymską, promowane przez sceptycznego Fuada paszę i wahającego się Alego, tyczące się li

tylko chrześcian, uważane były przez tych dygnitarzy jako łatanina chwilowa, jako *un mal necessaire* i ustępstwo Europie. Inni mężowie Turcyi najzupełniéj nie pojmowali całéj ich doniosłości— z takiém zapatrywaniem się, reformy wszelkie źle i powierzchownie stosowane, powierzchownie tylko działać mogły.

Historya nas uczy, że w chwili, gdy potęga osmanisów stała u zenitu, w chwili, gdy na prośby księcia Guzeraty (1530 r.), Behadir Szacha, liczne wojska z rozkazu sultana Sulejmana pod wodzą Sulejmana paszy przekraczały indyjskie granice, by staczać walki z Portugalczykami oblegać m. Diu, nieść pomoc w imię wiary,— już w owym to czasie zamysłów i wypraw, upadek państwa zarysowywał się silnie; groźba niechybnéj ruiny spowodowała następnie dążenia reorganizacyjne, a jednocześnie partya przeciwna całą winę nieszczęśliwego położenia zwalała na nowożytnych reformatorów.

Rzeczywiście, podczas dotąd istniejącego, można powiedzieć, chronicznego kryzysu, reformy powierzchowne obalały to, co było dobrego w prastarym obyczaju, podminowywały religię, wywracały ustrój dawny, a przy niedostateczném pojęciu idei cywilizacyjnéj starych uczciwych muzułmanów zamieniały niejednokrotnie, na nie sumiennych urzędników, biurokratów.

Idee reformatorskie silne przed wojną, a nawet i po wojnie krymskiéj, w szóstym dziesiątku naszego stulecia zaczęły słabnąć, z jednéj strony wydrwiwane przez fanatyków wykazujących płonność podobnych usiłowań i skutki takowych, z drugiéj—sami postępowcy zrażać się zaczęli, nie mogąc dopatrzyć olbrzymich powodzeń, których rozbujała wschodnia wyobraźnia spodziewać się im kazała; trzecim, a najgłówniejszym powodem paraliżującym wszystko, do którego wrócimy raz jeszcze, było życie haremowe,— chcę mówić o wpływach kobiet, które aczkolwiek tureckie, zawsze jednak jako kobiety, wpływ wywierać musiały. Otóż te panie bez żadnego wykształcenia, bez żadnego praktycznego poglądu muszą z natury swéj być najzacofańsze, a pod wpływem *chodżi*, lub jakiegoś *derwisza*, formują silną falangę bojowników, która męża reformatora, ściganego przez niechętnych, a licznych dotąd ultraturków, nęka do reszty w domu, i częstokroć człowieka wychowanego za granicą i przybyłego do kraju z zupełnie inném pojęciem na najzagorzalszego fanatyka przerabia. Jest to jedna z boleśniejszych plag towarzystwa muzułmańskiego, która, przy ogłoszeniu reform i konstytucyi, nieraz pewno stanie jeszcze do walki i psuć będzie najlepsze dążenia.

Wzrost silny produkcyi przemysłowéj europejskiéj, przy dostatecznéj dozie lenistwa tuziemców, stopniowo, lecz nader prędko zabijał przemysł krajowy turecki, do tego zupełny prawie brak ludzi fachowych, tudzież racyonalnéj zachęty z góry (nie mówię o paru usiłowaniach rządu kosztownych, ale bezpodstawowych), brak komunikacyi i rozwoju rolnictwa, ostatecznie niszczył kraj i do zguby doprowadzał. Tym czasem reformatorowie nadawali nowe nazwy biurom, urzędom i urzędnikom, poniekąd zaprowadzali szkoły, utworzono uniwersytet i szkołę wojskową jedynie coś wartą, i temi zewnętrznemi przekształceniami, jedni chcieli zadość uczynić własnemu przekonaniu, drudzy naciskowi Europy.

Upadek więc prastaréj cywilizacyi, przemysłu i handlu, niemogące znieść konkurencyi z europejską zapobiegliwością, oraz niedostateczne reformy wprowadziły Turcyę na fatalnie śliską drogę i dały pochop przesądzania o zgniliznie państwa Osmanów, zgniliznie, która istnieje, wszelako nie przyszła jeszcze do rozkładowego stanu.

Nie przesądzam — być może, że za nim artykuł ten przejdzie do druku, wojenne wypadki i dziwne szansy wojny zniszczą całą potęgę muzułmanów, być może — prorokować trudno — niemniéj jednak stan kraju, stosunki jego społeczne i wpływ radykalnych reform dziś już mniéj więcéj da się zreasumować.

W tym to szóstym dziesiątku naszego stulecia, gdzie tyle potężnych przewrotów miało miejsce, gdzie się tyle przewrotów przygotowywało, i Turcya do wielkiego gotowała się przesilenia.

W Europie przygotowywanie się do zmian zaznaczało się zwiększeniem ilości bagnetów i armat, cóż więc dziwnego, że państwo Osmanlisów z tradycyi żyjące ostrzem pałasza, zacząwszy reformy od zamienienia lanc i janczarek na karabiny z bagnetami, do téj roboty chwyciło się chciwie, a postępy porobione okazały się świetne.

Jakeśmy to powiedzieli, że upadek ogólny niespowodowany wszakże przez reformatorów, wytwarzał jednak niechęć do nich, a ciągłe niepowodzenia wewnętrzne i zewnętrzne oraz rozstrój nietylko nie dodawały nowatorom otuchy i siły, ale zmniejszając ich zastęp, znakomicie przyczyniały się do zwiększenia przewagi ultraturków. Duma Osmanlisów, ta potężna narodowa duma cierpiała na ustępowaniu przed Frankami, na téj to grając strunie dowodząc równocześnie i szkody materyalnéj, staro-Turcy zaczęli być groźnie silnymi.

Po tych przeróżnych próbach, najrozmaitszém a zawsze powierzchownem nadawaniu reform, dzierżawa Kalifów stanęła w u-

biegłym dziesiątku lat nad przepaścią. Partya reformatorska słabła i wahała się, partya ultra-turecka gorączkowo pchała do środków gwałtownych.

Nadszedł ostateczny przewrot.

Śmierć Fuada i Alego paszów, usunięcie Mithada który aczkolwiek nie trzymał się ręka w rękę z tymi dygnitarzami, jednak już po opuszczeniu Generalnego gubernatorstwa Bulgaryi (Tuna vilajet) twardo i ostro wyrażał swe zdanie, oddała rządy w ręce Husseina-Awni paszy, a potém Machmuda.

Oprócz paru odcieni, dwie więc partye walczyły w Turcyi — postępowców która upadała — i staro-Turków.

Partya Pan-islamska bez żadnéj przyszłości w Turcyi europejskiéj niemniéj przeto oddała krajowi wielkie usługi. Rozbudziła ona przeważnie wiarę w samych siebie, oraz doprowadziła w osobie jéj przedstawiciela Husseina-Awni, do reorganizacyi radykalnéj armii, owoce czego zebrał Abdul-Kerim, w zwycięzkich bitwach Aleksinaczu, górnego Androwaczu i Dżunisu.

Starcia i przesilenia ostateczne wprowadzają na widownię ludzi radykalnych. Przesilenie na wschodzie wytworzyło zabitego Husseina-Awni'ego przedstawiciela oporu wszelkim reformom, zwolennika wojny à outrance i Mithada paszę walczącego za pomocą reform przeciw wpływom i sile Europy.

Nim przejdę do wykazania zastosowania konstytucyi i charakterystyki ludów, dla których została proklamowaną, uważam za niezbędne choć wkrótkości opowiedzieć zapędy anti reformatorskiéj partyi, oraz czynności przedwstępne Hussein-Awni paszy, owego jak się zdaje niewątpliwie, sprawcy zdetronizowania sułtana Abdul-Azisa.

Hussein-Awni, żołnierz z ducha i wychowania, wierzył tylko w siłę, drwił z reform, powierzchownie na nie zapatrując się jak większość Turków, widząc w nich klęskę wyznawców koranu—ustępstwo dla Europy,— opierał on wywody swoje na rezultatach z zastosowania reform, a przyznać należy, że wyniki te nie były pocieszające.

O konstytucyi dla całego państwa, o konstytucyi, owym oryginalnym płodzie umysłu Mithada, nie marzył — przedstawiałaby mu się ona jak bajka cudowna z 1001 nocy.— Wierzył w siłę wojska, w wybiegi i bagnet, — ale myśl jego nie mogła podążyć za myślą Mithada liczącego tylko na reformy (zupełnie nie z miłości dla chrześcian), ale dla sparaliżowania wszelkiéj europejskiéj akcyi, dla podniesienia bogactwa państwa, odrodzenia Turcyi

mahometańskiéj, wytworzenia zapasu pewnéj legalnéj siły z islamskiego elementu, ku utrwaleniu na wypadek potrzeby przewagi parlamentarnéj dla europejskich Osmanów.

Hussein-Awni trzymał się historycznych tradycyi: „ostrzem pałasza“— podbój lub upadek, — Mithad zamienił je na: „rozwój i spokój.“ Żelazny Hussein-Awni reformy jedynie stosował do wojska, dla spotęgowania jego wartości, przewidywał nieuniknioną wojnę, widział wyższość nowoczesnéj broni i taktyki, i te umyślił zużytkować w interesach kraju.

Energiczny, zdolny, znakomity organizator, człowiek fachowo-militarnie wykształcony, zostawszy ministrem wojny, użył wszelkich sposobów do przeprowadzenial landwery (redyflik), zmiany broni i całéj organizacyi, ażeby przygotować ją do kampanii. Armię w Turcyi porównać można do potężnéj narośli, rozwijającéj się normalnie, prosperującéj znakomicie, na schorzałem ciele, narośl to pożerająca wszystkie jego żywotne siły.

Armia Turecka tém się różni od ustroju państwa całego, iż przedstawia ciało jednolite, ukształtowane, acz z widoczną zgubą towarzystwa, zupełnie prawidłowo.

Szkoły wojskowe stoją lepiéj od wszystkich, niemi się rząd opiekuje i na nie łoży sumy, —opieka ta i wydatki ciągle się zwiększały za ministeryum Hussein-Awni'ego, tak, że wydano prawo ograniczające awans dla oficerów nieszkolników.

Możnaby powiedzić, że Hussein-Awni zapatrywal się na przyszłość kraju zupełnie z punktu widzenia Mechmed-Alego w Egipcie— to jest, iż nie miał na celu rozwoju, ale zwycięztwa na polu bitwy. Wojsko w Turcyi jest klasą najoświeceńszą — chcę mówić o oficerach, których ukształcenie fachowe, chociaż niedostateczne, bez porównania jest więcéj rozwinięte, aniżeli jakiekolwiek inne fachy. Tym więc sposobem armia stanowi anomalię, która obecnie dała dobre rezultaty, która w dalszym ciągu nie będąc w stosunku odpowiednim do reszty kraju wyrządza mu szkodę, zabierając ludzi przedniejszych, odrywając nieproporcyonalny nadmiar rąk (odnośnie do ogółu mieszkańców) od pracy, przyzwyczajając ich do życia z gotowego i niemyślenia o jutrze.

Zapobiegliwy minister wojny umyślił wyprawę jemeńską — po części dla rozbudzenia żyłki wojennéj i wyprobowania nowego systemu— po części, jak o tém złe języki mówiły, dla zakrycia nieporządku w kasach. Hussein-Awni był zdania, że państwo, jak człowiek gdy traci apetyt lub go nie ma, zbliża się ku śmierci. Jemen miał utrwalić wiarę w wojsko i obudzić apetyt.

Wyprawa acz trudna udała się, zawojowano kraj duży i pusty. Owocem téj wycieczki było faktycznie podniesienie ducha armii, mianowanie naczelnika ekspedycyi Redyfa paszę, dzisiejszego ministra wojny—marszałkiem państwa—i co najsmaczniejsze dowóz kawy, znamienitéj kawy, wprowadzającéj w zachwyt amatorów paszów.

Hussein-Awni żył w porę dla kraju, lecz śmierć jego bez wątpienia dla niniejszego obrotu spraw, wypadła jeszcze więcéj na czasie. Ambitny do nadmiaru ten mąż stanu i mąż zamachów politycznych dał wszystko co miał—energię, zdolność, wprawę do uorganizowania machiny wojennéj—zostawało już li tylko nasycenie olbrzymich rozmiarów dumy i dążeń egoistycznych, o których marzył, o których wiedziano że marzył. Kula Hassana beja przerwała pasmo życia, przedwcześnie dla sensacyjnych opisów dramatycznych, w szczęśliwą chwilę dla skrzętnego w pracy Mithada.

O ileż zawilszą, o ile trudniejszą stawałaby się sytuacya, gdyby traf wściekłéj, zwierzęcéj zemsty nie rozciął nici téj kabały politycznéj!

Hussein-Awni, ulubieniec wojska, człowiek ambicyi i czynu. stał oporem przeciw wszelkim reformom — trzeba go było albo przekonać, albo usunąć, — przekonać człowieka, który dochodzi do szczytu dumy i potęgi z powziętą ideą i przez tęż samą ideę, zaiste trudną jest rzeczą, — usunąć prawie niepodobna. Była to chwila wojny, więc chwila powodzeń ludzi wojny, okrytych urokiem zaufania żołnierzy, łączących w sobie uosobienie ducha partyi, która w najkrytyczniejszéj godzinie, bądź co bądź, dzielnie stawała do czynu.

Z drugiéj strony, stan moralny zabitego Seraskiera był nader niebezpieczny—znajdywał się on w téj chwili zbrodniczego zawrotu, w któréj spełnione zamysły, dobrze przeprowadzone zamiary i zamachy, olśniewają umysł, a ambicya sięgając kulminacyjnego punktu zaciéra poczucie obowiązków i miłości dla kraju.

Było to właśnie w okresie eksplozyi słowiańskiego ruchu, gdy po licznych zmianach ministeryalnych znaleźli się u władzy Hussein-Awni i Mithad. W tym to momencie partya reformatorska pobitą była zupełnie.

Hussein-Awni miał rodzaj dyktatury. Wierzył on w utrzymanie europejskich posiadłości tylko ostrzem bagnetów, wierzył w potęgę azyatycką i fanatyczną islamu, a on i jemu podobni przewidując nawet chwile wyrzucenia turków z Europy pocieszali się myślą krwawéj obrony bytu, oraz wytworzeniem w Azyi panslawistycznego kolosu,—i strasznym odwetem. O zwolnieniu pęt chrze-

ściańskim plemionom, o podniesieniu bogactwa kraju dumny żołnierz mało się troszczył.

Pod nazwą reform rozumiano system Fuada paszy.

System ten zasadzał się, na nadaniu lokalnych przywilejów rajom nie rozciągając ich do muzułmanów, gdyż ci posiadali takowe. Ztąd wypływało zupełne porównanie ludności w Turcyi europejskiéj, następstwem którego, musiał być silny postęp słowian tureckich. Zawładnięcie ostateczne urzędami, odczuwanie obcych wpływów i wywieranie wpływu na rząd stambulski nierównoważone przewagą muzułmanów.

System ten, acz niezbyt sprzyjający interesom islamu, więcéj atoli jak obecna konstytucya dawał swobody i przewagi chrześcianom, ztąd téż był znienawidzony i jemu przypisywano upadek kraju. Sceptyczny Fuad pasza nie ufał w końcu w możność pozostania w Europie, ustępstwa czynione chrześcianom uważał jako środek do przedłużenia pobytu, po części nawet jako środek lepszego podreperowania machiny rządowéj, lecz nigdy radykalnéj kuracyi, nie wierzył w możność oparcia się rozrastającym południowosłowiańskim siłom, których tryumf uważał za niechybny. Fuadpasza nie mógł przeto wynaleść środka, któryby, będąc ustępstwem Europie i cywilizacyi, ciężył zarazem potęgą azyatycką islamu na elementa europejskie. Waśniąc i dzieląc między sobą słowian, odtrącając ich od Greków, postępowy pasza chciał przywiązać sercem i nieco interesem słowian tureckich do tronu Sułtanów.

Publiczność muzułmańska, idee reformatorskie Mithada podciągała pod te kategorye, i urażona duma Osmanów srożyła się przeciw W. Wezyrowi

Lecz zamysły i przekonania Mithada paszy najradykalniéj różniły się od przekonań Fuada. Konstytucya bowiem nietylko równoważyła wpływ chrześcian i muzułmanów, ale proklamowana dla całego imperyum oddawała w ręce Turków przewagę absolutną, chociaż stosowana li tylko do Turcyi europejskiéj zawsze także na korzyść Osmanów wypada, cyfry które poniżéj przytaczam, będą jasnym tego dowodem. Zwrócić tu należy uwagę czytelników, iż wykaz ludności i podział geograficzny Bałkańskiego półwyspu czerpałem z najnowszych źródeł greckich, że znając kraj, zdaje mi się niewątpliwém, że liczba mieszkańców słowian zamieszczona w tabeli, jest mniejszą od rzeczywistéj, a Heleno-Pelazgów większa, zapewne pochodzi to z gorliwości greckiéj, która, wiele wsi bulgarskich, greckiemi mianuje. Jednak suma ogólna powinna być dosyć dokładna, — atoli, z powodu niedokładności danych statystycznych w wyliczeniach podobnych, trzymać się można tylko cyfr

przybliżonych. Pod nazwą Heleno-Pelazgów zamieszczeni są i Albańczycy w liczbie 650 tysięcy.

Ludność Wschodu.

1) Turcya Europejska z krajami lennemi.

PROWINCYE	Muzułmanów	Heleno-Pelazgów	Słowian	Rumunów	Innych narodowości	Razem
Rumunia	—	100,000	200,000	3,700,000	500,000	4,500,000
Serbia	—	—	1,200,000	150,000	60,000	1,410,000
Bośnia i Hercegowina	600,000	—	620,000	—	—	1,220,000
Bulgarya	850,000	150,000	1,200,000	50,000	50,000	2,300,000
Tracya	1,000,000	650,000	350,000	—	300,000	2,300,000
Macedonia	700,000	580,000	500,000	120,000	100,000	2,000,000
Epir i Tesalia . . .	500,000	920,000	—	80,000	—	1,500,000
Albania	400,000	600,000	—	—	—	1,000,000
Wyspy	150,000	650,000	—	—	—	800,000
Razem . .	4,200,000	3,650,000	4,070,000	4,100,000	1,010,000	17,030,000

2) Podług położenia geograficznego.

PROWINCYE	Muzułmanów	Heleno-Pelazgów	Słowian	Rumunów	Innych narodowosci	Razem
a) Część na północ od Dunaju, v. Rumunia	—	100,000	200,000	3,700,000	500,000	4,500,000
b) Część środkowa między Dunajem i Bałkanami, v. Bulgarya, Serbia, Bośnia i Hercegowina	1,450,000	150,000	3,020,000	200,000	110,000	4,930,000
c) Część na południe od gór Bałkańskich. v. Tracya, Macedonia. Epir, Tesalia, Albania Wyspy	2,750,000	3,100,000	850,000	200,000	400,000	7,600,000
Razem . .	4,200,000	3,650,000	4,070,000	4,100,000	1,010,000	17,030,000

Nie licząc ludności krajów lennych, t, j. Serbii i Rumunii, które deputowanych do parlamentu wysyłać nie będą, ludność reszty Turcyi europejskiéj zawiéra:

Muzułmanów	4,200,000
Słowian	2,670,000
Heleno-Pelazgów . . .	3,550,000
Rumunów	250,000
Różnych narodowości .	450,000
Razem . . .	11,120,000

Czémże więc jest konstytucya turecka, i w czém ona uwłacza interesom islamu? —zaiste siły jego potęgują się.

Żaden rząd, nawet turecki, nie może być kontent ze zdzierstw i nadużyć urzędników—otóż nowo nadane prawa ochraniając chrześcian od łupiestwa, zabezpieczając im własność, podnosząc rozwój kraju materyalny, nie są w stanie zabójczo wpłynąć na los państwa Ottomańskiego—służba wojenna rozdzieli się za równo na wszystkich ze stosownem uwzględnieniem większości, która będzie islamską,—podatki i wydatki znajdą ekwilibrium, a jednocześnie z saméj natury prawa i w imię porządku konstytucyjnego, przewaga muzułmanizmu ciężyć musi nad całym państwem. Ztąd, skomplikowana w rzeczywistości ustawa, nie będzie w niczém obrażać dumy Osmanów, owszem, polepszając los chrześcian i finansowe stosunki, nada Turkom większą siłę. Zrozumienie tego ustaliło powodzenie Mithada dające się widzić jasno, w przemowach Softów i w manifestacyach stambulskich.

W gruncie jest to zmiana tradycyjnéj polityki, w któréj zawsze poświęcano przyszłość dla teraźniejszości i mocą któréj do fatalnych musiano dojść rezultatów, oraz zmiana dawnego hasła „podboje lub straty" na „spokój i rozwój." Do położenia węgielnego kamienia w podobném przeobrażeniu potrzeba żelaznéj energii i sprężystości.

Obecnie zatém, zrobiwszy przegląd liczebny populacyi składowych imperyum Ottomańskiego, z charakterystyki takowych potrzeba poczynić wnioski o możliwém ich zachowaniu się i wpływie w nowym zgromadzeniu, równie o wpływie nadanych praw na rozwój tychże narodowości.

Populacye azyatyckie pod innemi przedstawiają się warunkami. Są to, albo na pół dzikie plemiona, które nie mogą używać nowonadanych praw i nikt do nich stosować takowych nie jest w sta-

nie; albo ludność osiadła wsi, a szczególniéj miast, stanowiąca główną rezerwę islamizmu, trzymająca z rządem, różniąca się absolutnie od ludności chrześciańskiéj półwyspu.

Z tabeli okazuje się: że w *Bośnii i Hercogowinie* populacya muzułmańska równa się prawie chrześciańskiéj, która to dzieli się na katolicką i grecką, żyjące z sobą nie zawsze w dobréj zgodzie. W *Bułgaryi* muzułmanie są w absolutnéj większości. W *Tracyi*, równie jak w Bośnii i Hercegowinie, nie stanowiąc połowy mieszkańców, stanowią jednak najsilniejszą całość, a tak dla własnych może niezbyt dobrze pojętych interesów, jak dla zabiegów rządu stambulskiego, łączności wszystkich chrześcian spodziewać się nie można. *Macedonia* na takichże samych jak Tracya pozostaje warunkach — jedynie *Epir*, *Tessalia* i *Albania* w cokolwiek innych okazują się warunkach. W tych ostatnich, tylko jednolite plemię Heleno-Pelazgów staje przeciw zastępowi Osmanlisów. Jednak co się tyczy tych trzech prowincyi, to trzeba uczynić uwagę, iż mieszkańcy Albanii nie są zupełnie przyjaciółmi greków, że są Albańczycy rozmaitéj religii, — że są w Epirze i Tessalii Heleno-Pelasgowie nie greckiego obrządku, i że między temi plem ionam zgoda stanowcza nie kwitnie.

Zatém na półwyspie Bałkańskim, cztery miliony 200 tysięcy muzułmanów staje do walki wyborczéj przeciwko 2 milionom 670 tysiącom słowian — 3,550,000 Heleno-Pelazgów i Albańczyków,—260 tysiącom Rumunów i 450.000 różnym narodowościom (1).

Jedynie więc zlanie się Słowian i Heleno Pelazgów (a pod tém nazwiskiem obejmujemy 600—650 tysięcy Albańczyków) mogłoby być zastraszające dla żywiołu muzułmańskiego.

Lecz kto zna kraj, kto zna stosunki i nienawiść Słowian do Greków i nawzajem, Kto sobie uprzytomni zatargi kościoła greckiego z Bulgarami, ten w możność podobnego faktu, przed wielkim rozwojem cywilizacyi, uwierzyć nie może.

Wpływ kościoła greckiego na Bulgarów jest chyba tylko ujemny. Egzarchat oddziela tych ostatnich od Greków, lecz oddzielając dotąd nie zatarł nadużyć fanaru i niechęci ku niemu.

Co do liczby najpotężniéj przedstawia się narodowość grecka, jednak, gdy odtrącimy 650 tysięcy Albańczyków, których tylko bez ich zezwolenia dobra wola Helenów do siebie przyciąga, pozostaje 2 miliony 900 tysięcy rozpadające się częścią na wyspy, częścią na

(1) Wyłączam z tych cyfr ludność Rumunii i Serbii które zatrzymują dawne prawa.

odcienia religijne, pomiędzy mieszkańcami Wschodu tak gwałtowne, że z łatwością zręczny rząd Stambulski jednych drugimi zwalczy przy wyborach.

Zestawiwszy cyfry, przejdźmy następnie do rozpatrzenia charakterystyki każdego z tych plemion.

Słowianie, zajmujący pas kraju od brzegów Dunaju do gór Rodosze, stanowią bezwątpienia najważniejszą i najcelniejszą część ludności Europejskiéj Turcyi.

Słowianie ci tworzą dwie grupy: Bulgarów i Serbów, Bośnii i Hercogowiny.

Pierwsi osiedleni w bogatéj miejscowości, z natury nader pracowici, zapobiegliwi i poczciwi—dla każdego co ich zna gruntownie, nie z przejazdów naocznych świadków, ale dla tego co żył między niemi stanowią sympatyczną ludność. Cierpliwość ich i biedy różne, praca ciągła nie może źle usposabiać, a przy bliższém stosunku musi zatrzéć piérwsze wrażenie piętna wyciśniętego na tych biedakach kilkusetletnią niewolą.

Komisye angielskie, jeżdżąc po dunajskim i adryanopolskim wilajecie w celu skonstatowania rzezi i nadużyć, wydziwić się nie mogły wielkiéj liczbie szkół ludowych, które z niesłychaném powodzeniem kwitły w zielonych Bałkanach.

Nie poraz pierwszy, i nietylko w tém artykule, kładłem nacisk na tę główną zaletę Bulgarów na pracowitość we wszystkich kierunkach, na olbrzymią chęć nauki. To też ludność bulgarska jest absolutnie konserwatywną, przynoszącą szczęście i bogactwo krajowi, gdyby kraj ten poprzednio był jako tako ukonstytuowany. Bulgarzy zupełnie nie byli niechętni ściślejszemu porozumieniu się z rządem sultana, a próby robione przez Fuada paszę wcale niezły wydały rezultat.

W ostatnich czasach myśl wielko-serbska, myśl południowéj słowiańszczyzny została silnie przez agentów serbskich poruszoną, i rozniecana w kraju przez daskałów (nauczycieli szkółek wiejskich).

Krwawe hekatomby Tatar-Bazardziku, i innych miejsc, wymownie zaświadczyły o istnieniu téj propagandy.

Ogół jednak mieszkańców, przy zarządzie konstytucyjnym państwa, przy nieszczęsnym rozbiciu Serbii, zabiegach osmanlisów i rządu Stambulskiego nie będzie nieprzejednanym, a strasznym być nie może. Egzarchat nadając im odrębny kościół wyłamuje ich z pod wpływu obcego kleru.

Druga grupa Bośniaków i Hercegowińczyków różni się najkompletniéj od swych współbraci. Butni i niespokojni, mniéj pracowici i mniéj skłonni do nauki, górale ci ufają w strome skały

krainy i w celność swych rusznic. Bogactwo ziemi nie znosi porównania z glebą i resursami Bulgaryi—jednością jednak nie odznaczają się, a w ostatnich ruchach dali tego dowody — katolicy i ortodoxi częstokroć przeciw siebie srożyli się. O ile przypuszczać należy, to kontygens deputowanych, celujących potęgą głosu i niefortunnemi interpelacyami, obie te prowincye dostarczać powinny.

Pozostaje teraz, oprócz napływowych mieszkańców i muzułmanów, 2 miliony 900 tysięcy Heleno-Pelazgów i 650 tysięcy Albańczyków.

Jeżeli w jakimbądź plemieniu Bałkańskiego półwyspu, chce się dopatrzyć zakwasu brudnych nieporządków, to chyba w tych potomkach, smutnych bizantyjskich rycerzy.

Nie pałam wielką czcią dla moralnéj historyi starożytnych greków, dla dzikiéj niewoli spartańskiéj, lub wyuzdanéj rozpusty cywilizowanych Aten, sądząc że dzisiejszy stek krzykaczy, rozbójników, intrygantów i szachrai, doskonaląc się z pokolenia w pokolenie, w brudzie starego Bizancyum, w niewolnictwie Stambułu, dodawszy ulepszenia w złém, przyniesione przez czas i okoliczności, wiernie odbija prototyp dawny.

Co się tyczy moralnéj wartości Heleno-Pelazgów, to biedny Diogenes dlugoby się błąkał z historyczną latarką nim by choć cień takowéj odszukać potrafił.

Osiedleni najczęściéj po miastach nadbrzeżnych, lecz także i w głębi kraju, zajmują się handlem opartym na oszustwie, dowodząc, że daleko są szlachetniejsi od żydów, gdyż się krwi nie boją, a w razach ostatecznych nóż wielką u nich odgrywa rolę.

Z natury i usposobienia niezgodni, wielomówni, retorycy posiadają pewien wpływ w Stambule, a nawet poniekąd trochę jedności w działaniu, stosownie do impulsu znikczemniałego i zdemoralizowanego ich kleru. Jednak rozstrzeleni po brzegach mórz, Czarnego, Marmara, Śródziemnego, po wsiach i miastach wewnątrz kraju, rozdzieleni odcieniami religijnemi, znienawidzeni od Słowian, pogardzani przez Turków i przez tych eksploatowani, przedstawiać mogą li tylko siłę wichrzącą, któréj wzburzone nerwy tkliwy brzęk złota zawsze ukoić zdoła.

Trzeba więc przyjść do tego przekonania, ze względu na powyższe okoliczności. iż jedni tylko Slowianie posiadający w usposobieniu zasób pracy, dążność do postępu, łącznik krwi ze współbraćmi w Austryi, Serbii i Rossyi, a przytém osiedleni na wdzięcznéj glebie, z grona chrześcian, Słowianie jedni mówię, po pewnym obyciu się, mogą przedstawiać w tureckich izbach najżywotniejszą siłę.

Zostają na pół dzicy Albańczycy, bez żadnéj kultury cywilizacyjnéj, mogący zajmować tylko stanowisko bierne, i 4 miliony 200 tysięcy muzułmanów, a oprócz niesfornéj bośniackiéj szlachty, stanowią nierozdzielną całość, całość przeważnie rządową absolutnie islamską. Nie trzeba ztąd wnosić, że przewaga podobna sprowadzić musi dziką nietolerancyę i ruinę. Turcy nigdy nie byli ludźmi nietolerancyjnymi, a Koran, zaliczając Chrystusa do rzędu proroków, zezwala czynić ustępstwa dla giaurów. Miłosierni jak mało narodów, bez najmniejszego fermentu rewolucyjnego, zimnéj niesłychanie krwi nakłonią się do rachowania się z chrześcianami, widząc nieuniknione potrzeby, a w gruncie własny interes i przewagę. Turcy europejscy mniéj są fanatyczni jak anatolscy, oddziaływanie Zachodu znacznem jest, a chociaż poprzedniemi reformami uczciwość wyznawców Koranu wielkiéj uległa zmianie, to zarazem powiew ten złagodził zapatrywania religijne. Na to ciągle nasuwające się pytanie czy wpływ tak silnie reprezentowanych w Izbach Turków azyatyckich nie zaciąży szkodliwie nad spokojem i dobrobytem chrześcian przy reasumowaniu przedstawianych faktów, znajdzie się odpowiedź.

Obecnie rzućmy okiem na stopień kultury cywilizacyjnéj, opisywanych narodowości.

Zaiste, stopa rozwoju umysłowego nie w nader zachwycającém przedstawi się świetle. Kultura umysłowa *Bośniacko-Hercegowińczyków*—żadna. *Albańczyków* i *Rumunów* (*Cyncarów, Kuco-Wołochów*), o których w wyliczeniu nie wzmiankowałem nie widząc wpływu jaki by wywrzeć mogli, w takimże stopniu. *Grecy* zamieszkujący po miastach portowych umieją pisać, czytać i rachować, bo bez tego okpić trudno—mają nawet wykształceńszych ludzi i szkoły miejskie.

Bulgarzy bez tradycyi literatury i nauki, z małym rozwojem naukowym wyższym, za to z ogólnym systemem szkółek wiejskich i elementarnéj nauki postępując ciągle, mają trochę jednostek przedniejszych, którzy uczęszczali do szkół zagranicą.

Zostają Turcy.

Cywilizacya mahometańska, a nawet turecka ma swoje tradycye. Fałszem jest mniemanie, któremu każdy znający Wschód, kategorycznie zaprzeczy, jakoby szkoły elementarne (niepraktyczne, chociaż elementarne) nie istniały.

W przejazdach moich przez kraje berłu sułtana podległe, czy to w stronie Damaszku, Alepu, w wioskach arabskich górzystego Libanu, czy téż w drodze ku Dunajowi w miastach jak Lute-Burgas, Balla Eski, Adryanopol, Sliwna, Jamboł, Szumla, Eski-Stambuł, Dżuma lub Osman-Bazar i po ludniejszych osadach muzułmańskich,

napotyka się szkółki — w miastach większe, i te przybierają nazwę *Mechteb*, i mniejsze nazwane Medresse do których uczęszczają dzieci obojéj płci. Oprócz tego są zakłady średnie rządowe (*Ruszdije*), przygotowujące do głównych zakładów stambulskich, do zakładu Galata-Seraj, Harbije-Mechtebi.

Jednak te przybytki oświaty stoją dosyć nisko.

Elementarne wychowanie jest tylko nauczaniem pewnéj liczby wersetów z Koranu, a nader mały procent uczniów bierze się do zawiłéj pisowni.

Jedyna szkoła wojskowa, mając instruktorów z Francyi i Prus, w przewidywaniu wojny popieraną była wszelkiemi siłami przez rząd i ministrów wojny.—Dzięki temu, specyalnie wykształcała niezłych oficerów, lecz wyrobienie oficerów bardzo maluczko wpłynąć mogło na podniesienie dobrobytu krajowego, stosunków przemysłu, handlu i rozwoju ogólnego.

Tym czasem odblaski cywilizacyi europejskiéj, przeszczepianéj nad brzegi Bosforu, nie zawsze manifestowały się zbawiennie i przyćmiewał je znacznie prąd nauk ścisłych. Zamiast porównań pełnych ognia, alegoryi płomienistych, hiperboli dziwacznych, zrodzonych pod wpływem gorących promieni słońca, wzięto się do tłómaczeń dzieł francuskich, a między niemi wielu niewyborowych i niepożytecznych.

Przed ogłoszeniem konstytucyi, reformy wszelkiego rodzaju będąc powierzchowne nie dotyczyły elementarnego i dalszego wychowania młodzieży. Kierunek szkół elementarnych nie istniał, a szkoły *Ruszdije* nie wzbudzały zaufania w ludności.

Co się zaś tyczy uniwersytetu i szkoły medycznéj, to te do niedawnego czasu stały niżéj krytyki.

Wychowanie szkolne zatém, aczkolwiek o wiele wyższe od rajów, polegając atoli początkowo na uczeniu się wersetów Koranu, przejściu wojskowych wykładów, a późniéj rozpamiętywaniu zasad filozoficznych nauki Mahometa sentencyi innych autorów lub czytaniu w przekładzie fars francuskich, nie było alfą i omegą wiedzy ludzkiéj.

To dla ogółu—nie mówię o wyjątkach, a wyjątki nie są rzadkie.

Oto mamy główne zarysy skali cywilizacyjnéj Wschodu,—że zaś wiemy, ile na system i postęp nauki oddziaływa wychowanie domowe, a na ludzi dorosłych życie domowe, zatém przy rozbiorze wpływu życia haremowego raz jeszcze do tego wrócimy.

Co się tyczy ustroju społecznego, tradycyi na jakich ma się przyjąć nowa konstytucyjna ustawa, zauważyć trzeba, że arystokracya w Turcyi nie istnieje—były tendencye dumy rodowéj u Ara-

bów, lecz równość wyznawców islamu została przez jego ustawodawcę określona jako jedna z główniejszych zasad;—powtóre rząd Padyszachów nie dozwalał nigdy wzrostu i rozkrzewianiu się kasty szlacheckiej. Bośniacka szlachta padła ofiarą, a emirowie dżebelscy (Libanu) w czwartym dziesiątku naszego wieku ujrzeli rozbity urok swéj potęgi ostatecznie zniszczonéj w ostatnich latach i obróconéj w tradycyę, którą jeszcze niektórzy uznają. Heleni szlachty nie liczą w swém łonie, a Bulgarzy z ustroju swego są narodem demokratycznym, rodzajem tabula rasa, na której zaczną kreślić przeróżne napisy.

Szlacheckie zabytki i poniekąd nadużycia feudalne zostały pomiędzy szlachtą bośniacką, szlachtą jednego pochodzenia z rajami, lecz innéj religii, religii muzułmańskiéj, przyjętéj w imię dumy rodowéj i interesów kastowych.

Kasta ta nigdy nie była dogodna rządowi, a przyprowadzenie jéj do porządku musi się bardzo uśmiéchać stambulskim paszom.

Zboczywszy do Turcyi Azyatyckiéj, ujrzymy tam ludność muzułmańską w całéj swéj sile, a tylko kawał Armenii i miasta portowe są zamieszkałe w części przez chrześcian.

Muzułmanie azyatyccy powołani do życia konstytucyjnego dzielą się na dwie kategorye:

1) Lud koczujący, i do tego reform zastosować nie można, 2) ludność osiadła wsi, a szczególniéj miast.

Otóż, opiérając się na znajomości miejscowych stosunków i usposobień, przypuszczać należy, że przy wyborach deputowanych, niezawodnie protegowani rządu utrzymają się w azyatyckich prowincyach i nigdy nie zaburzą porządku dziennego.

Jeżeli jest jaka wątpliwa możność samoistnego, a hardego wystąpienia, to chyba tylko ze strony miast arabskich w Syryi.

To pochodzi z różnicy usposobienia wewnętrznego.

Osman, czy to europejski, czy téż mieszkający w Azyi, posiada w swém charakterze wielki zasób spokoju, (a niech się czytelnicy nie dziwią), łagodności, zimnéj krwi i rozumu którym się rządzi—gdy przeciwnie, Arabowie są żywi, więcéj odczuwają wszelkie wrażenia, przejmują się niemi, mają nietylko umysł rozważny Turków, ale więcéj są skłonni do krytyki, do sceptycyzmu, do hazardowych kombinacyi.

Arabowie mieli także rodzaj przedwstępnego przygotowania do życia parlamentarnego.

Liban ze wszystkich prowincyi tureckich jest najoświeceńszy, a mieszkańcy Bejrutu, Damasku, Alepu najwięcéj oddają się literaturze i wielomównym dyskusyom.

Przechodząc po ulicach tych miast, niejednokrotnie widzi się w dużych kawiarniach, ciżbę ludzi siedzących na piętach, słuchających z zapałem improwizowanego mówcy, który opowiada dawne dzieje lub historyjki na tle życia osnute, ubarwiając opowiadania swe w niezliczone przenośnie, w szumno-brzmiące frazesy. Podczas świąt i uroczystości galowych, korporacye różne schodzą się do pałacu Jeneralnego-Gubernatora, i w jaskrawych przemowach po turecku, francusku lub arabsku, wyrażają życzenia i powinszowania. Nieraz stojąc po trzy lub cztery godziny przy boku Wielkorządzcy, palony tropikowém słońcem Syryi, mogłem przysłuchać się tym najdziwaczniejszym hiperbolom, temu zamiłowaniu krasomówstwa, i przyjść do powyżéj wyrażonego przekonania.

Najprawdopodobniéj, że element arabski lub mięszany arabsko-turecki, powinien nie krzykiem bośniackim lub chytrością fanaryocką,—ale żywością dyskusyi, kwiecistą wymową, nagromadzeniem dowodzeń, umysłem filozoficzno-spekulacyjnym zapanować w izbie i kazać rachować się z potęgą arabskiego słowa, tém bardziéj, iż teraz widzimy, jak wystąpienia publiczne i artykuły prasy stambulskiéj roznamiętniają ludność stolicy.

Powracając do zapytania, czy téż potęga azyatycko-muzułmańska nie będzie ciężyć na ustroju chrześcian europejskich, trzeba przyjść do przekonania, że konstytucya daje, w każdym razie, przewagę większości — muzułmanom; przewaga ta, jakeśmy się to z cyfr przekonać mogli, zapewniona przez samych europejskich wyznawców koranu, znajduje jedynie rodzaj rezerwy, rodzaj poparcia w mahometanach Turcyi azyatyckiéj; lecz ustrój europejskich prowincyj, z racyi bytu państwowego, przez to zwiększenie i tak dostatecznéj przewagi, w niczém się nie zmienia, gdyż wejrzéć i w to należy, że przy zrównaniu praw i podatków ludności islamskiéj i chrześciańskiéj, muzułmanie sami, nie stanowiąc wyjątku jak dotąd, będą się bronić od wszelkich ustaw, mogących ich o ruinę przyprawić.

Nim przejdziemy do ostatecznéj dedukcyi, wróćmy do zestawienia zdolności umysłowych wyżéj wymienionych plemion.

Dla przyszłości, bulgarska inteligencya najlepiéj zdaje się wróżyć. Przy hałaśliwym nieporządku i wybrykach umysłów bośniackich, przy rozgarnięciu niezawodnie istniejącym, ale spaczoném demoralizacyą tradycyjną Helenopelazgów, przy rozumie osnutym na wybiegach i dzikości Albańczyków—naród bulgarski, nie upośledzony z natury, lubiący naukę, mający skłonność do badań ścisłych, pracowity i rozważny, wchodzi na drogę przy-

szłości, chociaż bystrość jego umysłowa nie dorówna arabsko-tureckiéj imaginacyi.

Umysłem mniéj skłonnym do nauk ścisłych, nadającym się do rozmyślania, zdolnościami dużemi, spokojem wielkim, przebiegłością i rozumem rządzącym celują Turcy.

Jako żywotność rozumu, wymowa, poglądy filozoficzne, żywość myśli, szybkie objęcie—arabskie ucywilizowane plemię daleko za sobą innych pozostawia; — gdy z drugiéj strony, owa żywość właśnie, wrażliwość poetyczna, mimo wytrwałéj energii, zużywa się w obec energicznéj inercyi Turków.

Pominąwszy charakterystykę pomniejszych plemion, a nawet Ormian, mamy cztery główne cechy składowych części izb, w obec których i na których Midhad pasza zamyśla próbować potęgi wymowy i nowości.

Zapoznawszy się z niémi, rzućmy okiem na układ socyalny tych sprzecznych elementów pomiędzy sobą.

Otóż przyznać należy iż konstytucya turecka pada na grunt nie minowany ani socyalistycznemi tendencyami, ani niezdrowemi mrzonkami komunistów, na grunt zupełnie równy nieznający tak dobrze nienawiści kastowej, jak podziałów kastowych, gdzie słowo równość w znaczeniu kastowém, od dawien dawna nie było czczą formułą, zatem na grunt (nie co się tycze wykształcenia) najlepiéj usposobiony do instytucyi liberalnych. Akt 23 grudnia 1876 roku pada między naród nie noszący w sobie żadnych groźnych zakwasów i tendencyj rewolucyjnych, a który wcześnie obdarzony pewnemi prawami, ochronionym być może najzupełniej od konspiratorsko-rewolucyjnéj zarazy.

Tu może się sprawdzić zdanie „że liberalizm w porę i miarę zabija rewolucye".

Narody chrześcijańskie, acz dalekim jestem od zdania, iż obecne ich położenie sięga zenitu szczęścia, zostając pod przewagą muzułmanów, mają niemiéj pole otwarte, w nadziei lepszéj przyszłości oddawać się dwom głównym celom—rozwoju umysłowego i dobrobytu. Tego im najwięcej potrzeba, to są główne podstawy bez silnego zbudowania których, wszelkie zamiary spełznąć muszą na niczém lub obrócić się na ich niekorzyść, bez których nigdy nie dojdą do wytworzenia kadrów bytu socyalnego i politycznéj przyszłości.

Na konstytucyi idea turecka najwięcéj zyskała. Pod względem administracyi wewnętrznéj, która kraj cały doprowadziła do ruiny, musi się byt polepszyć, musi się podnieść opłakany stan, muszą się przykrócić nadużycia paszów nieprzynoszących najmniej-

szej korzyści rządowi centralnemu, jego sile i powadze. Trzysta żon marnotrawnego waryata jakim był Abdul-Azis nie pochłonie miljonów i ludu w nędzę nie strąci, uporządkują się opłaty, rozchody, budżet cały. System wynajmowania podatków bezsumiennym łupieżcom i dawania tém możności kilku rozbójnikom niszczyć kraj cały, sam przez się zniknąć musi.

Pod względem politycznéj przewagi islamu, to ta w obu izbach jest zapewnioną i nigdy tak prawidlowo ustaloną nie była jak zostanie obecnie. Lecz pomysł Mithada w niczém równie stanowczego a może i zbawiennego nie wywrze wpływu, jak w zradykalizowaniu reform, w zastosowaniu ich do wychowania domowego, w walce i wpływie jakie sprowadzić powinien na ustrój haremowy.

Być bardzo może że te lub owe ustawy są mocne zabezpieczyć krajowi porządek administracyjny, dobre wojsko, nawet bogactwo, lecz aby kraj miał przyszłość, aby prosperował i postępował, potrzeba, żeby społeczeństwo stało w normalnych warunkach, aby każda jednostka przynosiła należny kontyngiens pracy i wiedzy. Tam gdzie powyższe warunki nie są dopełnione, a ludzie do tego nie dążą, wszelkie ustawy i reformy będą chwilowym lekarstwem, potężnym wysiłkiem rozumu i woli jednostki, ale nigdy rzeczą długotrwałą.

Widzieliśmy w Turcyi ludzi, bez wątpienia i wielkiéj energii i wyższego polotu: stosujących połowiczne reformy w celu odrodzenia kraju. Rezultaty okazały się mylne, zmiany powierzchowne, upadek coraz gwałtowniejszy.

Główną siłą, głównym cementem życia i przyszłości towarzystwa, jest jak wiadomo, ognisko domowe—rodzina.

Otóż żeby zrozumiéć ciągłe niepowodzenia Turcyi zobaczmy czém jest kobiéta w tym kraju, jakie jéj wykształcenie, a przekonamy się że jeżeli dawnémi czasy instytucya równie niepraktycznie potworna istniéć mogła, a istniejąc nie zagrażała bytowi ogółu—to dziś przy prądzie umysłowym jaki panuje, przy warunkach egzystencyi wszelkiego towarzystwa, ustanowienie podobne zabić musi te społeczeństwo, lub samo upaść.

Zaiste smutna rola kobiéty u osmanów i smutna przyszłość towarzystwa.

Wychowane bezmyślnie, albo raczéj niewychowane, bez wykształcenia, bez myśli rozwiniętéj, a dotąd jeszcze bez dążeń do jéj rozwinięcia, stanowią rodzaj kuli u nogi. Gdy jedna część społeczeństwa pracuje i walczy, kobiéty w datku nic oprócz siebie nie przynoszą, a mówię to nie w duchowym znaczeniu wyrazu.

Wychowanie pierwotne młodych muzułmanów jest potwornem, przepędzają oni dzieciństwo w haremie, jak u bogatszych to między stekiem żon i odalisek, przysłuchując się najrozpasańszym piosneczkom, będąc postrachem dla stosunków miłosnych tych pań, bo i turczynki zajmują się usilnie przystrajaniem głów mężkich w rozłożyste rogi.

Harem nienawidzi wszelkich inowacyi naukowych i nieraz nauczyciel cięższe musi staczać walki z wpływem bogiń wschodu, niżeli z wszelkiemi innemi wpływami. Życie towarzyskie rozwinąć się nie może, niema równowagi, niema bodźca, wspólnej myśli i zachęty. Najwykształceńszy mężczyzna, wracając do swych zajęć, zastaje w domu liczne i ładne o zwierzęcym wyrazie towarzyszki. Myśl jego zamiast rozwijać się i wznosić, musi się zniżyć do poziomu otaczających go bawidełek i gdy nadejdzie drugi dzień pracy, to zastanie go o jakiś procent najniezawodniéj głupszym, najniewątpliwiéj zbydlęconym. Podziwiać należy wrodzone zdolności ludzi wschodu i wrodzoną uczciwość turków, by z taką instytucyą towarzystwo do tej pory istnieć mogło.

Turcya obecnie wbrew wszelkim przesądzaniom okazała nieco siły i energii. Siła ta i energia leży w fanatyzmie mieszkańców, jest to siła ślepéj wiary u narodu żołnierzy. Partya ultra turecka myśląc o kolosie pan—islamskim wcale nie przesądzała o wzroście swéj potęgi—rzeczywiście wiadomém jest, iż machometanizm dotąd się krzewi w Azyi i Afryce. Nie byłoby więc nic dziwnego by islam ujęty potężną dłonią w karby żelazne, stał się strasznym w Azyi a przez Azyę zagroził europejskim interesom. Azjatyckie pole islamu ma jeszcze grunt niewyexploatowany ostatecznie. Lecz życie podobne nie byłoby rozwojem, ale—rozbojem. Przedstawialo by się ono, jak się i przedstawiać musiało Hussein—Awni paszy, wśród łun pożarów, wśród jęku rannych, wśród stosów usypanych z ludzkich czaszek.

Zycie takie potrwać by jakiś czas mogło jak trwał wiek Dżingischana, Tamerlana lub Sulejmana.

Lecz rzućmy okiem co po nich zostało,—wspomnienia krwawéj przeszłości, ruiny cudowne i pustki w kraju; przeszłość z któréj dla teraźniejszości nic trwałego zbudować nie można,

Potęga czasowa Turków znaleść się może w Azyi, straszna potęga pan-islamska, a jéj przyszłość to nowe ruiny.

Odrodzenie Turcyi, raczéj wschodu całego, nie tam leży.

Weźmy dawne kraje Azyi groźne mieczem i siłą, choćby kraje dalekiego wschodu, a zobaczymy w nich upadek ciągły, wzrastający rozwój lenistwa.

Konstytucya turecka o tyle jest ważniejszym faktem, ile tnie do głębi wrzód toczący ten wschód uroczy, o ile dotyka wychowania domowego, o ile staje do walki przeciw dawnym a zakorzenionym tradycyom, o ile choćby powoli, ale ustawicznie, krok za krokiem, wytwarzać zacznie inny porządek domowy, oraz sytuacyę która zmusi kobiéty do myślenia i kształcenia się.

Jeżeli utwor Mithada, poparty będzie silną dłonią, jeżeli reformy wcisną się do życia familijnego i zaczną stopniowo działać na rozwój kobiéty, w takim razie po długich latach walk, widzieć będziemy powolne ożywianie się towarzystwa skazanego niesłusznie na zagładę, gdy jednocześnie urządzenia administracyjne podniosą dobrobyt mieszkańców.

Chociaż wschód w całości swojéj nie stoi na zenicie bogactwa, nie jest przecież bez zasobów, nie jest krajem gdzieby przemysł poparty uczciwą i racyonalną pracą nie mógł się rozwinąć.

Chodzi o rękę silną i myśl przewodnią.

Jeżeli konstytucya Mithada nie była natchnioną tym duchem i daléj w tém duchu rozwijać się nie będzie, to akt 23 grudnia 1876 roku, wyrodzi się w zręczne wykręty dyplomatyczne; a towarzystwo osmanów, albo, w braku steru i dla nieprzewidzianych okoliczności padnie, lub silnie ująwszy pan-islamski sztandar gwałtownie wstrząśnie azyatyckim światem, tak, iż lew Wielkiéj Brytanii zadrżéć może na fortach Delhi i bramach Bombaju.

Kazimierz Burzyński.

SPRAWA KALKSTEINA.

1670–1672.

(Ciąg dalszy).

II (*).

Dzień 18 października 1663, dzień przymusowego hołdu pruskiéj ludności na rzecz elektora, stanowi epokę w dziejach owego wielkiego pełnego tragicznych momentów zatargu, między władzą elektorską a swobodą pruską. Polska opuściła po niepotrzebnych obietnicach i niedotrzymanych nadziejach opozycyę pruską. Kraj uznał zwierzchnictwo elektora, ale z drugiéj strony opiérając się na asekuracyi jego z miesiąca marca r. 1663, targował się na swych sejmach, jak dotąd, o akcyę, protestował przeciw wyprowadzeniu pruskiego rekruta na wojnę po zagranicę pruskiego księztwa, przeciw zakładaniu fortec, w dodatku zaś patrzał ciągle ku Polsce, znosił się z Warszawą przez Kalksteinów, Schliebenów, młodego Rotha, wyglądał ztamtąd pożądanéj przyszłości. Ustąpienie Jana Kaźmierza, wyniesienie na tron królewski Michała Wiśniowieckiego, staje się hasłem energiczniejszego znów odżycia pruskich

(*) Wszystkie szczegóły dotyczące poniższéj sprawy Krystyana Ludwika Kalksteina, opiérają się na aktach tajngo archiwum berlińskiego: *Acta des Königl. Geheimen Staatsarchivs betreffend Christian Ludwig von Kalksteins Bestrafung nach dem ersten Urtel so anno* 1668 *wieder ihn ist gesprochen worden.*"— Nadmienić należy, że możnośc cytowania akt i dokumentów archiwum tajnego berlińskiego *w oryginalnym języku i dosłownem brzmieniu* ulega obowiązującym ograniczeniom, do których nam się zastosować należało.

nadziei. Według traktatów Welawsko-Bydgoskich miał elektor obowiązek poszukiwać u każdego nowego króla polskiego zatwierdzenia swych praw niezależności w księstwie pruskiém, ponownéj inwestytury w Lauenburgu i Butowie. Opozycya pruska liczyła na to, iż z powodu zatargu o Elbląg, iż z przyczyny podobnychże sporów o Lauenburg, Drahim i Butów, że z przyczyny niedotrzymania stanom pruskim zaręczonych im praw i swobód, będzie można wytoczyć ze strony Polski proces co dosaméjże ważności traktatów Welawsko-Bydgoskich, a w dalszém następstwie ocalić może sprawę wolności pruskiéj.

Na tle podobnéj *przeszłości*, na tle takiéjże w latach między rokiem 1663 a 1670 *teraźniejszości*, wyrasta jako epilog piérwszéj, jako krwawy epizod drugiéj pamiętna owa *Sprawa Kalksteina*, będąca przedmiotem obecnego naszego opowiadania. Obznajmiwszy się z gruntem jéj dziejowym i politycznym, rozpocznijmy, przystępując do rzeczy, opowiadanie nasze od krótkiéj, o ile możności wzmianki o rodzinie Kalksteinów. Rodzina ta osiadła od niepamiętnych czasów w Prusach, wspomniana w ciągu XV-go wieku w pewnym akcie wielkiego mistrza krzyżackiego Ludwika von Erlichshausen między przedniejszemi rodami w kraju, piastowała w wiekach następnych, pod rządami księcia Albrechta i syna jego, pod panowaniem daléj lenniczém elektorów brandeburgskich, rozmaite godności i urzędy pruskie, widzimy ich pomiędzy landratami, starostami, widzimy ich generałami, pułkownikami. Jedna ich linia, *ta* właśnie, do któréj należy bohater naszego opowiadania, przyswoiła sobie od nabytéj włości Stolna, z polska nazwę Kalkstejnów—Stolińskich; druga od posiadłości Osłowa, nazwę Kalksteinów—Osłowskich. W wieku XVII jest główną siedzibą zamieszkałych w Księztwie Pruskiém Kalksteinów—Stolińskich obszerna, mająca rozległe i żyzne grunta, ogromne, pełne łosiów lasy, liczną poddaną ludność, wsród jezior i strumieni położona włość Knauten, prawie na połowie drogi między Królewcem a Pruską Iławą. W epoce naszego opowiadania widzimy tu w starym, obficie we wszystko zasobnym dworcu, gospodarującego twardo dla poddanych, według zwyczaju współczesnego, według obyczaju miejscowéj szlachty niemieckiéj pośród ludności wiejskiéj, znanego już nam potrosze sędziwego generała Albrechta von Kalkstein. Z różnych szczegółów mamy wszelki powód wnosić, że Kalksteinowie byli zaciętymi wyznawcami luteranizmu, a więc choćby już dla tego naturalnymi oponentami wyznającego i pragnącego szerzyć kalwinizm elektora. Co się tyczy narodowości, jest to rodzina najczyściéj niemiecka, skoligacona jedynie i wyłącz-

nie z różnemi niemieckiemi domami kraju. Mamy jednakże dowody, iż bohater właśnie opowiadania naszego, Krystyan Ludwik Kalkstein posiadał dokładnie język polski. Zewnętrzna fizyonomia tej rodziny, strona jéj moralna i towarzyska nie przedstawiają zbyt pociągającego obrazu. Nie widać tam gładkości i poloru odznaczających ówczesną wyższą szlachtę polską. Panuje na dworze Knauteńskim jakoby pewna leśna rubaszność. Stary generał i syn jego Krystyan Ludwik są widocznie ludźmi gwałtownymi i porywczymi. Przypatrzywszy im się jednakże bliżéj, nie można *charakterowi* ich nic zarzucić, jakby to historycy brandenburgscy w chęci oczyszczenia elektora a w interesie uniewinnienia jego polityki czynić radzi. Przeciwnie, winniśmy Krystyanowi Ludwikowi bez najmniejszéj pokusy idealizowania jego osoby, oddać z całą sumiennością świadectwo, że szlachetniał wśród niebezpieczeństwa, a że w najkrytyczniejszéj życia próbie złożył dowody zacnego serca, nieustraszonéj odwagi i prawdziwie wzniosłego sposobu myślenia. Młodszy brat jego Krystyan Albrecht, trzy siostry wydane za okolicznych szlachciców Köllera, Kleista i Löbella dają natomiast dowody, brat wielkiéj nikczemności, siostry, co najmniéj, niesłychanéj pospolitości i poziomości uczuć. Po téj ogólnéj charakterystyce mieszkańców Knauteńskiego dworca, wypada nam się zwrócić do ich politycznego stanowiska w organizmie owéj opozycyi, jaka cały kraj przeciw rządom elektorskim obejmowała. To, cośmy powiedzieli wyżéj, zastąpi poniekąd potrzebę szerszego opowiadania w niniejszém miejscu. Przypominamy sobie, jak stary generał Kalkstein świécił w pierwszych szeregach opozycyi sejmowéj po traktacie Oliwskim, jak oświadczał gotowość poświęcenia 10,000 talarów na pokrycie kosztów deputacyi mającéj pojechać do Warszawy, jak groził *pragskim procesem* członkom sejmu pruskiego, któryby okazywali jakąkolwiek uległość dla żądań elektorskich. W dzień uwięzienia Rotha znajdował się w Królewcu. Obawiając się tegoż samego losu jaki *jego* spotkał, opuścił czémprędzéj Królewiec i ujechał do Knauten, czując się bezpieczniejszym na swém leśném i jeziorzystém uboczu. Tu ztąd patrzał zdaleka na dalszy przebieg spraw pruskich, w bezsilnym gniewie na hołd kraju dla elektora, z wieczną tęsknotą do Polski. Co się tyczy syna jego Krystyana Ludwika, bohatera naszego opowiadania, wymaga jego przeszłość nieco obszerniejszéj wzmianki. W niéj bowiem odnajdujemy w znacznéj części klucz do zrozumienia dalszych kolei jego życia, do pojęcia mianowicie charakteru jego opozycyjnéj akcyi, która opierając się na gruncie swobód pruskich, przybrała przecież późniéj charakter polski. Krystyan

Ludwik najstarszy syn generała Albrechta Kalksteina, urodził się około roku 1630, jakkolwiek, rzecz dziwna, w aktach procesu nigdzie nie mogliśmy znaleść dokładnéj daty jego przyjścia na świat. Przeznaczony przez ojca do stanu wojskowego, rozpoczął swój zawód od służby w wojsku Rzeczypospolitéj. Wrażenia służby téj, otoczenie, stosunki i pożycie ze szlachtą polską, znajomość z Pawłem Sapiehą w. hetmanem litewskim, „którego *swym tatusiem*“ nazywa, pozostały, jak się przekonywamy, trwałemi i niezatartemi na całą przyszłość. Nie ma silniejszych węzłów, nad związki oparte na towarzystwie broni, na wspomnieniach wspólnie przebytych powodzeń i niebezpieczeństw. Prawda ta stwierdza się najdowodniéj w życiu naszego bohatera, Wierny wspomnieniom i wrażeniom owego braterstwa broni z Polakami,— odbiérał też od nich, jak zobaczymy niżéj, dowody szczeréj przyjaźni w chwilach potrzeby i niebezpieczeństwa. W wojnie, jak się zdaje, roku 1654, na Litwie dostał się do niewoli i był zaprowadzony jako jeniec do Moskwy wraz z kilku towarzyszami polskimi i wiernym sługą jeszcze z domu ojcowskiego, rodem Węgrem, niejakim Kasparem Pilzem. Około roku 1656 wrócił z niewoli moskiewskiéj na Nowogród, Połock i wstąpił do służby elektorskiéj, ale już wtedy jak się zdaje, kiedy elektor rzuciwszy przymierze szwedzkie, przyjął na siebie rolę sprzymierzeńca Rzeczypospolitéj. W nagrodę, zyskał stopień pułkownika, nadto starostwo Oleckie, którego posiadanie stało się dlań źródłem licznych kłopotów, a następnie i pierwszych zatargów z władzą elektorską. Być może, iż zarząd wychowanego w obozach Kalksteina w starostwie Oleckiém był twardym i bezwzględnym dla poddanych; być daléj może, iż skarb elektorski na podobnéj administracyi tracił; co także pewna, to że donośne Starostwo Oleckie wzbudzało apetyty innych i że rodzina Kalksteina, mianowicie zaś starosta Olecki, mieli zaciętych nieprzyjaciół w rodzinie Wallenrodtów, szczególnie zaś w osobie znanego nam już z powyższego opowiadania, prezesa regencyi pruskiéj, landhofmistrza Wallenrodta. W skutek jego zaskarżenia, wytoczono przeciw Kalksteinowi śledztwo o administracyę starostwa Oleckiego. Wpływ Wallenrodta przemógł do tyla, że w jesieni r. 1660 odebrano Kalksteinowi starostwo Oleckie. Rzecz bardzo naturalna, że ztąd niechęć *polityczna*, panująca w rodzine Kalksteinów jak w całéj szlachcie pruskiéj, do rządów elektorskich, nabrała nowego, *osobistego* żywiołu; że opozycya ich ojca w sejmie, syna po za sejmem, jakkolwiek z niewiadomych nam powodów pogniewanych z sobą, przybrała tém zaciętszy i jaskrawszy charakter. Co ojciec robił w sejmie, wiadomo nam już z powyższego opowia-

dania. Działalność syna rzuciła się na inne, praktyczniejsze według jego przekonania pole. Jakkolwiek już ożeniony naówczas z Maryą Elżbietą von Kittlitz, córką naczelnego marszałka pruskiego von Kittlitz, która mu wniosła w posagu dobra Remitten w pobliżu dziedzicznych Knauten, jakkolwiek już ojcem licznéj rodziny, sześciu synów, jednéj córki, opuszcza kraj, udaje się nasamprzód do Warszawy, by pracować na tamtejszym dworze w tym samym duchu co Roth. Następnie udaje się do Wilna, do „*swego tatusia*“ Pawła Sapiehy pomiędzy towarzyszów broni z czasu służby w wojsku Rzeczypospolitéj cudzoziemskiego autoramentu.

Stary generał, ojciec, jakkolwiek pogniewany z synem, przesyła mu przecież tam dotąd odpisy czynności sejmowych pruskich, utrzymuje go w ciągłéj wiadomości o wszelkich krokach i drgnieniach opozycyi pruskiéj przeciw władzy elektorskiéj. Kalkstein, w posiadaniu podobnie ciekawych dokumentów, nie omieszkuje z nich w obec Litwinów korzystać. Jak się przekonywamy, miał on otwarty wstęp do domów wszystkich dygnitarzy litewskich, jako dawny pułkownik wojska litewskiego. Bywa w domu Naruszewicza podkanclerzego litewskiego, ma każdego czasu wstęp do W. hetmana litewskiego Pawła Sapiehy, a odbywa z nim liczne i poufne konferencye; jest domownikiem i poufnym przyjacielem Buchowieckiego marszałka grodzieńskiego, widocznie zażyłym przyjacielem Czekanowskiego wojewody mścisławskiego i brata jego, starosty Ciechanowieckiego. W domach tych, wśród owych czy to pogadanek, czy to konferencyj otacza go, jak widzimy, zawsze liczne grono znajomych, przyjaciół, towarzyszów broni z czasów wspólnéj służby, może i towarzyszów z czasów niewoli. Spotykamy się tu, prócz bardzo wielu innych, z nazwiskami i osobami Krzysztofa Jesmanna, Mikołaja Schillinga, Karola Marszałka, Bokuma, oberstlejtnanta Wilhelma Klatta, oberstlejtnanta Marcina Stencla, kapitana Samuela Jankowskiego... Cel pobytu Kalksteina w Wilnie tłumaczą rozmowy, tłumaczą daléj listy do Pruss, które, jak się przekonamy z poniższego opowiadania, nie miały na nieszczęście pozostać tajemnicą. Jego *caeterum censeo* owych czy to poufnych i towarzyskich pogadanek, czy to poważnych konferencyj z dygnitarzami W. Księstwa Litewskiego, było oswobodzenie Pruss z pod władzy elektorskiéj, z więzów traktatów welawsko-bydgoskich. Mianowicie przypiął się do w. hetmana litewskiego Pawła Sypiehy i domagał się odeń choćby części tylko wojska litewskiego ku wykonaniu zamachu na Prusy. Paweł Sapieha nie był, zdaje się, przez lata 1662 i 1663 tak bardzo nieprzystępnym podobnemu pomysłowi, ponieważ Kalkstein zapowiada, choć w sposób

nieco enigmatyczny, zbrojny swój powrót do Pruss i przesyła do Knauten zagadkowe, ale znaczące przestrogi, aby dla burzy wojennéj, która niezadługo wybuchnie przechowano zawczasu dobrze wszystkie kosztowniejsze sprzęty i przedmioty. Chwalił téż Kalkstein, w obec przybywających raz po raz do Wilna obywateli pruskich, przywiązanie i dobroć dla siebie Sapiehy, nazywał go ciągle „*drogim tatusiem*, ponieważ mu zawdzięcza więcéj, niż rodzonemu ojcu.“ W ten sam sposób odzywał się Kalkstein w domu podkanclerzego litewskiego Naruszewicza, domagając się pomocy litewskiéj, zaręczając, że skoro jakakolwiekbądź siła zbrojna polska lub litewska na ziemi pruskiéj stanie, cały kraj jak jeden mąż przeciw elektorowi za broń pochwyci. Razu pewnego odezwał się w licznem gronie szlachty i wojskowych u wojewody mścisławskiego, do brata jego starosty ciechanowieckiego, pułkownika Paca i marszałka grodzieńskiego Buchowieckiego: „Wy Panowie Litwini oddajecie elektorowi kraj; elektor podwyższy cła, jak téż z tego radzi będziecie? Co Polacy drogo nabyli, wy pozbywacie tak tanim kosztem! Skoro wam wojnę prowadzić przyjdzie, zkąd weźmiecie ludzi? Werbunki w Prusach surowo zakazane.“ Otóż to szczegóły propagandy Kalksteina między szlachtą i dygnitarzami litewskimi. Mięszały się w to, jak zresztą rzeczą dość naturalną u żołnierza nieobliczającego się ze słowami, jak u szlachcica pełnego buty i fantazyi, przechwałki, obietnice tego, czego dotrzymać nie mógł—co zaś najgorsza dla późniejszego obrotu jego sprawy, dziwna nieostrożność. Nie kłopocząc się i nie pytając kto słucha, mawiał często, „że gdyby tylko Polacy do Prus wtargnęli, miałby ochotę prowadzić przednią straż, a kupić za cały swój żołd prochu; mocnego prochu moskiewskiego, którego do naboju wiele zużywać nie potrzeba.“ Do innych odzywał się, „że gdyby tylko do kraju wrócił a znalazł elektora i książąt, nie oszczędzalby nikogo, bo wszyscy wyjdą na takich samych tyranów, jak stary.“ Przybywających do Wilna z Prus zwykł pytać: „Cóż tam robi wasz krwawy Frycek?“ W taki to sposób, raz poważny i głębszy, inny raz zaczepny i rubaszny objawiało się usposobienie Kalksteina, odzywała nienawiść do elektora, żądza oswobodzenia Prus z pod jego władzy. Po powrocie z niewoli do rodzinnéj włości Knauten, namawiał go ojciec stary generał, siedząc przy stole, by opuścił służbę polską. „Choćby,“ odpowiedział, „elektor po wszystkich skrętach dróg pruskich szubienice powystawiał a do powrotu mnie wzywał, nie porzuciłbym służby polskiéj pod żadnym warunkiem!“ Trwał ten pobyt pułkownika Kalksteina na Litwie wśród gniewów z ojcem i z rodziną, wśród nieustającéj jednakże z nimi komunikacyi w przedmiotach

politycznego znaczenia, mniéj więcéj do roku 1665. Około tego czasu wraca Kalkstein do Prus i osiada jak się zdaje, w graniczącéj z Knautem własności żony Remitten. Nie ma wątpliwości, że bieganiny jego po Warszawie i Wilnie, że tamtejsza jego, wroga rządom elektorskim działalność, że stosunki jego ze szlachtą polską i dygnitarzami litewskimi nie uszły wiadomości reprezentantów władzy elektorskiéj w Prusach. Daje tego zresztą wyraźny dowód korespondencya Schwerina i Bogusława Radziwiłła. Od saméj téż prawie chwili powrotu zwraca się nań baczne a wrogie oko dawnego nieprzyjaciela rodziny Kalksteinów prezesa regencyi pruskiéj Walenrodta. Na tymczasem jednakże pozostawiony pułkownik w spokoju. Nieprzyjaciel czeka widocznie sposobności i dotykalnego powodu, któregoby się uczepić można. Nieszczęściem pracowały na to jakoby umyślnie fatalne okoliczności w sposób równie bolesny, jak upokarzający dla rodziny Kalksteinów. W lecie r. 1666 umarł stary generał Albrecht von Kałkstein, zostawiając w dziedzictwie rozległą włość Knauten. Faworyzowany testamentem ojca mimo gniewów i swarów za życia bohater naszego opowiadania, dostał ją w zapisie, co wywołało niesnaski rodzinne. Miał, jak nam już wiadomo, pułkownik Kalkstein jednego brata Krystyana Albrechta podpułkownika w służbie elektorskiéj, i trzy siostry zamężne Kleist, Köller i Löbell, wszystko razem osobistostości najpospolitsze i najpoziomsze pod względem serca, umysłu i sposobu myślenia. O ile Wallenrodt w sprawę tę sporów familijnych o sukcesyę po starym generale Kalksteinie osobiście się wmięszał, nie jesteśmy w stanie powiedzieć na podstawie dostępnych nam dokumentów. Co natomiast pewna niestety, to, że jako ostateczny rezultat owego skandalicznego rodzinnego zatargu, nadeszła pod dniem 5 sierpnia 1667 r. do Wallenrodta jako prezesa regencyi pruskiéj od podpułkownika Krystyana Albrechta Kalksteina, obszerna denuncyacya na brata, pułkownika Krystyana Ludwika Kalksteina. Występny oskarżyciel nie wstydził się w ten sposób z powodu zatargów majątkowych gotować bratu długich udręczeń, nakoniec rusztowania, na którem głowa jego spaść miała! W podaném przez się do regencyi pruskiéj piśmie, oskarżał Krystyan Albrecht Kalkstein brata pułkownika Krystyana Ludwika nasamprzód: o szkodliwe knowania z Litwinami przeciw władzy elektorskiéj, i następnie o groźby i obelgi przeciw osobie elektora i jego rodzinie. Między innemi zawierała denuncyacya w szczególności twierdzenie, iż pułkownik Kalkstein nosił przy sobie pistolety i że kilkakrotnie w obecności świadków zarzekał się zastrzelić przy pierwszéj lepszéj sposobności elektora jako tyrana kraju, że groził

z Litwy wpaść do księstwa Pruskiego, palić i niszczyć co się w niem tylko przychylnego elektorowi znajdzie, że sama wreszcie siostra jego Köllerowa, opowiadała pewnym osobom, mianowicie pułkownikowi Dobeneck, Schliebenowi i innym, że gdyby chciała, mogłaby głowę swego brata pułkownika na palu zawiesić. Pomieniona denuncyacya dostała się do rąk regencyi pruskiéj (Oberräthe), którą natenczas skladali von Wallenrodt, Albrecht von Kalnein, Jan Dytrych von Lottum i von Kreitzen. Wallenrodt był, jak wiadomo, dawnym nieprzyjacielem starego generała Kalksteina i syna jego pułkownika, podobno także głównym sprawcą pozbawienia go starostwa Oleckiego. Pochwycił więc skwapliwie denuncyacyę Krystyana Albrechta Kalksteina i zakomunikował ją pod dniem 12 sierpnia 1667 r. wraz z Kreytzenem tak namiestnikowi elektorskiemu, księciu Bogusławowi Radziwiłłowi, jak elektorowi samemu. Z chwilą podania téj denuncyacyi przez wyrodnych członków familii Kalksteinów regencyi pruskiéj, z chwilą daléj zakomunikowania jéj do Berlina, wchodzi w sprawę tę nowy, ważny czynnik, którego roli pominąć naturalnie nie możemy. Jest nim osoba elektora brandenburgskiego, Fryderyka Wilhelma. Znana to dobrze i szczegółowo dziejowa postać, nie potrzeba więc rozpisywać się nad nią zbyt szeroko w *tém tu* miejscu, a przecież odsłania właśnie owa sprawa Kalksteina nowe, nieznane a nie szczególnie dodatnie strony charakteru elektora, jako czlowieka i jako monarchy.

Po osobistości takiéj, jak elektora Fryderyka Wilhelma, osobistości, w któréj się łączyły dziwnie zgodnie energia i gwałtowność z dysymulacyą i podstępem, duma z uległością, górująca ciągle troskliwość o interes własnego domu z pewnym pietyzmem kalwińskim, waleczność na polu bitwy z machiawelizmem komnaty dyplomatycznéj,— osobistości jednakże, jakkolwiekbądź, mądréj, niepospolitéj, jakby stworzonéj na wodza i statystę, należałoby się było spodziéwać, że brzydki ten wypływ, niemniéj brzydkich familijnych zatargów oceni według zasługi. Sam elektor wiedział oddawna, że pułkownik Kalkstein ma żal do niego z powodu utraty starostwa Oleckiego; nazywa sam w reskryptach swych do regencyi pruskiéj sprawę denuncyacyi Albrechta Kalksteina „*die Kelksteinschen Handel*“ pogardliwie „*Kalksteinowemi kłótniami*.“ Czytamy po chrestomatiach niemieckich o Kalifach i Sułtanach wschodu, jak umieli wynagradzać podłość choćby nawet odzywającą się w ich interesie, jak szlachetną zemstą umieli sobie podbijać nieprzyjaciół. Czytamy w podobnéj, przeznaczonéj dla szkół niemieckich książce, anegdotę o plackomendancie francuskim miasta Berlina

generale Hullin, który, odebrawszy doniesienie wyrodnego Niemca, iż na jakimś składzie znajduje się jeszcze przechowane drzewo fiskalne, któreby zabrać należało, odpowiedział: „Nie zabiorę go, bo winienem waszemu królowi, gdy wróci pozostawić materyał do stawiania szubienic dla tak wiernych poddanych, jakim ty się okazujesz!“ W obec denuncyacyi rodzeństwa Kalksteina zaniesionéj przeciw bratu, przypominają się nam mimowolnie podobne rzeczy, a niechaj rozstrzyga, komu wola, czyby odpowiedź taka na monumentalną niegodziwość rodzinną, była zaszkodziła sławie osoby lub interesowi polityki elektora w Prusach. Podobna pretensya do szlachetności elektora, wysnuwająca się logicznie i naturalnie z ogólnéj, dziejowéj znajomości jego osoby, zawodzi najzupełniéj w obecnym przypadku. Wielki wódz i polityk odsłania nam się w sprawie Kalksteina najniespodzianiéj jako człowiek drobiazgowy, mściwy, prześladowczy a nawet okrutny. Mieliśmy sposobność, karta po karcie, przejrzéć w archiwum berlińskiém akta dwóch z kolei procesów wytoczonych pułkownikowi Kalksteinowi. Wielki elektor ma czas i humor pisać własną ręką długie reskrypta najszczegółowszéj, najdrobiazgowszéj natury, w przedmiocie obchodzenia się z osobą Kalksteina, słuchania świadków, przeszukiwania papiérów, zastosowania tortury, ściągania zeń kar pieniężnych i kosztów. Mimowolnie przypomina się tu z pamiętników czy to Silvia Pellica, czy Aleksandra Andryane'a cesarz Franciszek bawiący się kwaterunkiem więźniów na Spielbergu i Kufszteinie, jak dzieci pudełkami ołowianych żołnierzy, mający w swym gabinecie troskliwie sporządzone plany więzień Spielbergskich i Kufszteinskich z oznaczeniem cel i numerów, które każdy pokutnik zajmuje. Różnica w tém tylko, że kiedy na rachunek cesarza Franciszka kursuje mnóstwo anegdot dowodzących nieszczególnie szerokiego horyzontu inteligencyi, opinia dziejowa stawia elektora Fryderyka Wilhelma na świeczniku pośród piérwszorzędne swe postaci.

Po téj nieuniknionéj dla obznajmienia się z dalszym przebiegiem sprawy Kalksteina uwadze, zwróćmy się znów do opowiadania dalszych jéj szczegółów. Elektor przyjął zakomunikowaną sobie przez regencyę pruską denuncyacyę podpułkownika Kalksteina z mściwém jakoby i niecierpliwém oczekiwaniem. Już pod dniem 10 sierpnia (v. s.) 1667 r., wyprawił do regencyi pruskiéj reskrypt, w którym nakazując wytoczenie jak najspieszniejszego i najsurowszego zarazem przeciw pułkownikowi Kalksteinowi śledztwa, zamianował równocześnie osoby mające wchodzić w skład komisyi śledczéj. Byli to: Albrecht von Kalnein, Krzysztof von Rödern,

Abraham von Kreytzen, Melchior von Kreytzen, Andrzej von Lobwang, Daniel von Wegnern i radca kryminalny Fichlau. Dzieło téj komisyi rozpoczęło się w sierpniu 1667 r., od przesłuchiwania najrozmaitszych świadków. Wzięto mianowicie do protokułu samegoż podpułkownika Kalksteina, trzy wyżéj wspomniane siostry, szwagrów Kitlitza, Löbla, Kleista i Köllera, służbę wreszcie miejscową we wsi Knauten, między innymi mianowicie, znanego nam już z powyższego opowiadania Pilza, który towarzyszył Kalksteinowi jeszcze w wyprawie na Moskwę, niejakiego von Ostau, pastorów okolicznych Straussa i Caspaniusa. Elektor kierował sam poniekąd śledztwem z oddalenia, przepisywał szczegółowo pytania mające się świadkom zadawać, kazał sobie przesyłać do Berlina kopie protokułów. Obwiniony pozostawał tymczasowo jeszcze na wolności w Knauten; świadków zobowiązywano regularnie po zamknięciu protokułu do zachowania ścisłego milczenia. Śledztwo ciągnęło się w ten sposób przez miesiąc sierpień, wrzesień i październik. Najgorsze, najbardziéj dla obwinionego kompromitujące były zeznania rodziny, brata, sióstr, szwagrów i wspomnianego wyżéj von Ostau. Służba miejscowa i pastorowie oszczędzali widocznie, o ile się dało, obwinionego. Wszystko co tylko Kalkstein robił i mówił w Wilnie, wszelkie jego groźby i obelgi przeciw osobie elektora, wszystkie owe nieostrożne słowa i niebaczne przechwałki pojawiają się szeroko a różnémi poparte szczegółami w protokułach obejmujących zeznania świadków. Niewyczerpanym mianowicie znajdujemy, w owych zeznaniach, brata obwinionego, Krystyana Albrechta von Kalkstein. Takim sposobem, zebrał się aż do końca miesiąca września 1667 r. w ręku komisyi śledczéj i nieprzychylnych Kalksteinowi członków regencyi pruskiéj, materyał dostateczny do aktu oskarżenia o zdradę stanu i obrazę majestatu. W tym téż sensie odszedł do Berlina raport tak zwanego adwokata fiskalnego i członka komisyi śledczéj, radcy Fichlau. Tuż prawie za odebraniem owego sprawozdania, przesłał elektor w początku listopada r. 1667 namiestnikowi swemu księciu Bogusławowi Radziwiłłowi, rozkaz wytoczenia Kalksteinowi formalnego procesu i osadzenia go w więzieniu. W skutek tego został Kalkstein około 15 listopada przytrzymany przez radców Eichlera i Döppnera we wsi dziedzicznéj Knauten, a papiéry jego, w których się przecież nic podejrzanego nie znalazło, zabrane. Sam Kalkstein został zawieziony do Królewca i osadzony w cytadeli, tak zwanéj *Fridrichsschanze*, téj saméj fortyfikacyi, o którą przed pięciu laty między mieszczaństwem Królewieckiém a żołnierzem elektorskim, do otwartéj już niemal przycho-

dziło walki. Więzienie jego, jak zobaczymy niżéj, było twarde; obchodzenie się z więźniem do najwyższego stopnia surowe. On sam znosił swój los wytrwale, zaręczał niewinność, zaprzeczał prawdzie wszelkich czynionych sobie zarzutów, i wyprawił dwa listy, jeden do samegoż elektora, drugi do namiestnika Radziwiłła o przyśpieszenie procesu. W piérwszym spisanym protokule z d. 22 grudnia 1667 r. znajdujemy następne oświadczenie: „Pułkownik Kalkstein odpowiada, że jego profesya jest każdemu znana, że jest żołnierzem znającym się lepiéj na koniu i pałaszu, aniżeli na prawie. Dziwi się zarazem i uskarża, że będąc osiadłym w kraju szlachcicem, jest przecież bez wysłuchania i bez wyroku niewinnie tak twardym karany więzieniem, a trzymany w miejscu, gdzieby i najmędrszy człowiek z zaduchu i zimna rozum wraz ze zdrowiem mógł stracić.“ Prócz tego, jak już powiedziano, trwał ciągle przy zaręczaniu niewinności, mianowicie zaś zaprzeczał, mimo konfrontacyi z bratem-denuncyantem, prawdzie wszelkich jego zeznań. Wtedy téż to odebrał dowód serdecznéj pamięci i przyjaźni, ze strony dawnych towarzyszów z czasu służby w wojsku litewskim cudzoziemskiego autoramentu. Uwiadomieni prawdopodobnie przez zacną małżonkę Kalksteina, Maryę Elżbietę z domu Kittlitz, o uwięzieniu i niebezpieczeństwie dawnego towarzysza broni, wystawiają mu w liczbie przynajmniéj czterdziestu, pod d. 28 listopada 1667, pod słowem honoru, w języku polskim świadectwo, jako nic nigdy z ust jego nie słyszeli takiego, coby potwierdzało zarzuty denuncyacyi jego brata. Proces przeciągnął się wśród podobnych okoliczności, wśród podobnego obchodzenia się z więźniem do roku 1668. Małżonka jego dokładała wszelkich starań, aby męża wydobyć z trudnego położenia, aby dowodami dostarczonemi ze *swéj* strony ku jego obronie, szkodliwość denuncyacyi brata i popiérających je zeznań osłabić. W tym celu wystąpiła z kilku odwodowymi świadkami, którzy istotnie w śledztwie korzystne dla obwinionego zeznania poczynili; zeznania te jednakże późniéj, jako nibyto nie prawdziwe i krzywoprzysiężcze, ciężkiemi odpokutowali karami. Po ukończoném śledztwie, zasiadła komisya do wydania wyroku składająca się z radców Albrechta von Kalnein, Krzysztofa von Rödern, Abrahama von Kreytzen, Melchiora von Kreytzen, Andrzeja von Lobwang, Daniela von Wegnern i tak zwanego adwokata fiskalnego d-ra Fichlau. Było to w m. czerwcu 1668 r.. Jedyny Fichlau głosował za karą śmierci przez ścięcie głowy i konfiskatę majątku. Inni członkowie komisyi byli łagodniejszego usposobienia i wskazali „obwinionego, pułkownika Ludwika Krystyana

Kalksteina jako przekonanego, iż częścią pogardliwemi, częścią nieprzyzwoitemi, częścią groźnemi mowami i pogróżkami, Jego Wysokość Elektorską na Brandenburgu, Naszego Najłaskawszego Pana, tudzież następców Jego elektorskiego domu, książąt elektorskich obraził; nadto niebezpieczne zamiary przeciw dobru i bezpieczeństwu osoby Najjaśniejszego elektora, własnéj ojczyźnie i jéj mieszkańcom knował, mianowicie zaś, przygotowywał najazd nieprzyjacielski kraju pruskiego za pomocą wojska litewskiego", —„na rok i dzień więzienia o chlebie i wodzie, następnie na pozostawienie w inném więzieniu przez cały ciąg życia." Adwokat fiskalny Fichlau nie omieszkał w m. lipcu 1668 roku przesłać elektorowi własnego raportu z przedstawieniami przeciw zapadłemu wyrokowi. Mimo to, potwierdził go w apelacyi najwyższy sąd apelacyjny Królewiecki, jako i następnie jeszcze prawniczy fakultet uniwersytetu Lipskiego, któremu elektor akta sprawy Kalksteina przedłożyć kazał. Wyrok ten ogłoszono Kalksteinowi na dniu 29 października 1668, właśnie w chwili rekonwalescencyi po długiéj chorobie, w jaką w więzieniu popadł. We dwa dni późniéj, wystosował więzień prośbę o ułaskawienie do elektora; podobna wyszła równocześnie od żony i dzieci Kalksteina. Obie poparł w osobnym, własnoręcznym liście do elektora, namiestnik książę Bogusław Radziwiłł. Rezultat tych starań był częściowo przynajmniéj dla więźnia korzystnym. W grudniu 1668 r., zmienił elektor „tak z przyrodzonéj łaskawości, jako i na prośby małżonki swéj i wstawienie się pruskich regentów, tudzież innych elektorskich ministrów", wyrok komisyi drogą łaski w sposób następny: Pułkownik Kalkstein miał do dnia 27 kwietnia 1669 r. zapłacić 5000 talarów kary pieniężnéj, utracić prawo polowania na łosie w swych dobrach Knauteńskich, nadto pozostawać w tychże dobrach więźniem na słowo, dopóki by owa suma 5000 talarów spłaconą nie była. W rewersie podpisanym przezeń d. 24 grudnia 1668 r. zobowiązał się Kalkstein dotrzymać wszelkich dopiéro co wspomnianych warunków elektorskiego dekretu ułaskawienia i oddawał w zastaw swe dobra. Po podpisaniu tego rewersu, został po jednoroczném przeszło, twardém więzieniu, puszczony na wolność i powrócił na łono rodziny do Knauten.

Na tym procesie, zapadłym w nim wyroku, ogłoszonym po nim elektorskim dekrecie łaski, kończy się piewszy, jakoby wstępny akt tragedyi Kalkstejnowéj, prolog, który kończąc się, daje zarazem początek nierównie ciekawszym i dramatyczniejszym następnym aktom. Kalkstein wraca, jak dopiero co powiedzieliśmy, jako

więzień na słowo do rodzinnej posiadłości Knauten, na łono rodziny, ale pod Argusowém okiem stróżów elektorskich, owych Walenrodtów, Fichlauów, Zanów, pod istnie Demoklesowém zagrożeniem, że owo szersze i przestworniejsze więzienie pośród własnéj rodziny i czterech ścian ojcowskiego domu, zamieni się niezwłocznie na ciaśniejsze, może znów w Fridrichschantze Królewieckiéj, skoro do dnia 27 kwietnia 1669 owa ogromna, jak na owe czasy suma 5000 talarów do skarbu elektorskiego wniesioną nie będzie. Tym czasem przekonywają nas akta téj tragicznej sprawy, że mimo najlepszéj woli Kalksteina, spłata owéj kary wcale tak łatwą rzeczą nie była. Gotowych piéniędzy nie miał, trudność w zebraniu ich powiększał przymusowy pobyt na wsi Knauten, więzienie we własnym domu, którego drzwi elektor, mimo ciągle ponawiających się próźb Kalksteina, otworzyć czy rozszerzyć w żaden sposób nie pozwalał. Rozpaczliwe téż istnie w podobném położeniu są usiłowania skazańca, aby do udzielonego sobie terminu zadowolnić pretensyę elektorską. Akta jego sprawy w obfitéj mierze dostarczają tego dowodów. Kalkstein dokładał nie zaprzeczenie wszelkich starań, aby cenę nałożonego sobie okopu złożyć elektorowi. Mimo to jednakże, nie był w stanie z kąd kolwiek piéniędzy wydobyć. Miał dobra w Luzacyi; postanowił je sprzedać a ze sprzedaży elektora zaspokoić. W tym celu trzeba było jednakże pojechać na miejsce, postarać się o nabywców, potargować się z nimi wrazie konieczności. Nadaremne przecież były starania Kalksteina u elektora o pozwolenie na podobną podróż. Elektor chciał widocznie mieć go więźniem w swoich posiadłościach. Napróżno ofiarował daléj Kalkstein w celu okazania dobréj woli opłatę wynoszącą 333 talarów. Elektor był nieubłaganym i żądał wszystkiego razem. Wśród tych targów między elektorem a Kalksteinem o owe 5000 talarów, zjawił się szwagier Kalksteina Kleist, i ofiarował się spłacić elektora, skoroby mu Kalkstein przekazał zupełną własność swych dóbr łużyckich. Godny szwagier postanowił korzystać z trudnego położenia nieszczęsnego pułkownika i przyjść w ten sposób tanim kosztem do posiadania obszernych włości. Elektor popiérał pośrednio przynajmniej plan Kleista i groził Kalksteinowi ponownem uwięzieniem, jeżeli mu się z nałożonéj kary nie uiści. Wśród podobnych zabiegów i nie ustających w tym przedmiocie między elektorem a Kalksteinem korespondencyi, minął termin d. 27 kwietnia 1669, minęło następnie kilka jeszcze miesięcy, nadszedł początek roku 1670. Pod dniem 7 stycznia, kazał elektor Kalksteinowi oświadczyć, że jeżeli ustąpienie dóbr łużyckich i spłata 5000 talarów *natychmiast* nie nastąpią, zapadnie

rezolucya, jako obwiniony nie dotrzymał zobowiązań swego rewersu, a że w skutek tego znowu pod areszt powróci. Zgodnie z tą pogróżką przesłano mu ze strony elektorskiej ponowny surowy przykaz nie wydalania się po za granicę swéj siedziby, a nadto rozstawiono po drogach dragonów elektorskich, aby mu w razie potrzeby w ucieczce przeszkodzić. Działo się to przez miesiąc styczeń i luty roku 1670. Nie trzeba było ze strony Kalksteina szczególnéj przenikliwości, aby widziéć, że, jeżeli nie spłaci zawyrokowanéj przeciw sobie sumy, co zaczynało być rzeczą nie wykonalną, lub nie ocali się ucieczką, co było łatwiejszém, w przeciągu kilku dni znajdzie się znów więźniem cytadeli Królewieckiej. Ta jedynie smutna perspektywa, jak akta procesu najdowodniéj przekonywają, a żadne inne *naówczas* przynajmniéj powody wyższego i podnioślejszego znaczenia, skłaniają Kalksteina w piérwszych dniach marca 1670 do pomyślenia na prawdę o szukaniu ocalenia w ucieczce. Jakby w przeczuciu następstw podobnego kroku, broni się przecież i opiéra do ostatka wykonaniu tego pomysłu, usiłuje go, mimo powziętego zamiaru odroczyć jeszcze o ile możności. Pod dniem 1 marca 1670 pisze list do elektora, tłumacząc się, iż w żaden sposób nie może się zdobyć na zapłatę żądanych 5000 talarów, „choćby nawet sobie i swym małym dzieciom chléb chciał z gęby wyciągnąć". Przedstawienie to nie skutkowało przecież u elektora, który pod dniem 7 marca 1670 wyprawia kategoryczny rozkaz do regentów (Oberräthe) pruskich, „aby Kalksteina wzięli za łeb i pod dobrą strażą do więzienia w Królewcu odstawili, ponieważ się nie zachowuje stosownie do wystawionego przez się rewersu". Regenci pruscy posłuszni odebranemu rozkazowi, wyprawili dragonów do Knauten z poleceniem przytrzymania i sprowadzenia pułkownika. Wiadomość o nadejściu do Królewca elektorskiego rozkazu, tudzież o zarządzonéj w skutek niego wyprawie, nie mogła naturalnie, przy stosunkach jakie Kalkstein mimo swego procesu utrzymywał z przychylnymi sobie członkami regencyi pruskiej, pozostać tajemnicą. Złowrogie te dla bohatera naszego wiadomości nadeszły prawdopodobnie około 9 marca do Knauten i wywołały z jego strony szybką decyzyę. Wybór nie był trudny. Z jednéj strony przedstawiała słę groźna perspektywa pędzenia długich może lat niewoli w zimnych i ciemnych kazamatach Królewieckiéj, „Friedrichschantze", z drugiéj strony stała otworem niezbyt daleka granica polska, otwiérała widoki bezpiecznego schronienia dawna, tradycyjna opiekunka swobód pruskich Rzeczpospolita Polska, przyzywali naturalnie dawni towarzysze broni i spoglądająca ciągle wrogo na elektora szlachta, wzbudzał nowe nadzieje wy-

braniec wolnéj woli szlacheckiéj na tronie polskim, Michał Wiśniowiecki, niezwiązany względem elektora stypulacyami swego poprzednika, odmawiający mu dotąd zatwierdzenia praw niezależności w Księstwie Pruskiém. Nie śmielibyśmy stanowczo twierdzić, o ile naprężony wówczas właśnie stan stosunków dyplomatycznych między elektorem a Rzecząpospolitą Polską wpłynął, jeżeli tak wolno powiedzieć, na *domową politykę* Knauteńskiego dworca, ale cokolwiek bądź, odgrywa on w dalszych jéj kolejach ważną rolę, i byłoby niedokładnością naszego opowiadania nie zwrócić nań uwagi.

Jak wiadomo z powyższéj naszéj relacyi, trzeba było elektorowi według brzmienia traktatów welawsko-bydgoskich u każdego nowego króla polskiego poszukiwać z jednej strony inwestytury na księztwo Lemburgsko-Butowskie, z drugiej zatwierdzenia praw niezależności brandenburgskiej w księztwie Pruskiém. Król Michał nie uczynił jeszcze mimo starań brandenburgskich ani jednego, ani drugiego; usposobienie zaś szlachty polskiej, dzięki może skargom pruskim, dzięki opozycyi stanów pruskich, dzięki robocie Rothów, Kalksteinów, Schliebenów, Redernów, Rackmohrów, było jak najprzeciwniejszém elektorowi i zatwierdzeniu na jego korzyść traktatów welawsko-bydgoskich. Miał w prawdzie elektor w Polsce poważnych i wiele znaczących przyjaciół, miał Jana Leszczyńskiego W. Kanclerza Koronnego, Jana Andrzeja Morsztyna Podskarbiego Koronnego, nikczemnego Krzysztofa Grzymułtowskiego Kasztelana Poznańskiego, osobistość słusznie znienawidzoną u szlachty wielkopolskiej z powodu znanej usłużności dla Brandenburgskiego sąsiada; miał daléj niegodnych jurgieltników niższego w rzeczypospolitéj stanowiska, choć nie małego wpływu a niezmordowanéj w interesie swym zabiegliwości, jak figurującego ciągle w depeszach posłów brandenburgskich „Kulawego Morsztyna“, zapewnie bliskiego krewnego podskarbiego i Kochanowskiego Starostę Radomskiego, domownika Króla Michała, jak „generała“ Niemirycza, jak Gurowskiego, sekretarza Leszczyńskiego; ale głos opinii szlacheckiéj ważył jednakże w brew nim i mimo nich do tyla, iż usiłowania brandenburgskie u rzeczypospolitéj nie mogły się doczekać rychłego uwzględnienia. Reprezentowało naówczas w Warszawie elektora brandenburgskiego dwóch dyplomatów, stary Jan baron von-Hoverbeck, szlachcic osiadły w księstwie Pruskiém, protoplasta na stanowisku poselskiém w Polsce trzech z rzędu członków swéj rodziny i imienia, człowiek, jak się zdaje, rozważny i poważny idący w swych stosunkach z dworem polskiem wprost, bez ogródki do celu. Obok niego znajdował się młody ka-

merjunkier Euzebiusz von Brandt w roli tak zwanego rezydenta. Brandt przedstawia nam ciekawy typ czarnego charakteru rzeczywistości, po jaki wyobraźnia dramaturgów i powieściopisarzy zwykle do Włoch sięgać lubi. Mięszanina Lessingowego Marinellego z Schillerowym Wurmem, machiawelskiego podstępu i fałszu z odwagą gotową w danéj chwili do każdego gwałtu, przerażającego cynizmu z pozorną dobrodusznością. Jedyną dodatnią stroną tego dziwnego typu pozostaną, rzeczywista wierność i poświęcenie dla interesu elektorskiego. Osobistość to, słowem, stworzona na *brawa* w wyższém tego pojęcia znaczeniu, ku wszelkiego rodzaju posługom despotycznéj woli. Nadto jest Brandt szczególnie usposobiony do zajmowania w *Warszawie* właśnie powierzonego sobie stanowiska. Posiada jak widzimy, dokładnie język polski, umie trafić udawaniem pewnéj dobrodusznéj rubaszności do szlachty polskiéj, dworowaniem i uległością do dygnitarzy polskich; pochlebia nieskąpo Leszczyńskim, Grzymułtowskim, Morsztynom, Kochanowskim, co nie przeszkadza, iż w depeszach do elektora z nieszczególnym się o nich wyraża szacunkiem. Obaj ci reprezentanci elektorskiego interesu pracują gorliwie dla swego pana, grają według możności na swych klawiszach w Polsce, ale mimo to, nie mogą w piérwszych miesiącach roku 1670 doprowadzić do pożądanego rezultatu, nie mogą na Królu Michale i dygnitarzach Rzeczypospolitej wytargować dla elektora inwenstytury na księztwo Lemburgsko-Butowskie i zatwierdzenia traktatów welawsko-bydgoskich. W zamian żądano co najmniej od elektora ze strony Rzeczypospolitéj zrzeczenia się wszelkich praw do Drahimia, wszelkich pretensyi do Elbląga. W obec podobnego położenia rzeczy, Hoverbeckowi, jako głównemu reprezentantowi wypadało tylko opuścić Warszawę z pozostawieniem drukowanego protestu przeciw postępowaniu dworu warszawskiego. Pozostał tylko na miejscu jako rezydent Brandt, odtąd jeden z głównych aktorów krwawego dramatu, którego przebieg jest przedmiotem naszego opowiadania. Nawiasowy ten ustęp był w niem potrzebnym, by zrozumieć dostatecznie rzeczy i powody, które zaważyły na szali postanowień Kalksteina, gdy około 9 marca 1670 doszła do Knauten wiadomość o wyprawieniu mających go przytrzymać dragonów. Pułkownik postanowił czém prędzej schronić się do Polski i uniknąć w ten sposób powtórnego uwięzienia. Wieczór 9 marca był pełen zamięszania, cichych rozmów i narad, bolesnych pożegnań i ostrożnych przygotowań do podróży we dworze Knauteńskim. Zima, jak sie zdaje, była twarda; śniegi głębokie. Skoro zmrok zapadł, zaprzężono ogromne kute sanie i zaprzę-

żono do nich dzielną czwórkę. Na sanie naładowano kufry z rzeczami, pakunki z wiktuałami, szkatułę z pieniędzmi, broń potrzebną do osobistéj obrony. Gdy już wszystko było gotowe, nastąpiło czułe serdeczne pożegnanie z zacną, poczciwą żoną i małą dziatwą, których już Kalkstein nie miał oglądać. Około północy wyruszył w imię Boże, niepewny co go po drodze spotka, w towarzystwie woźnicy tylko i jednego wiernego sługi. W cztery dni później znalazł się szczęśliwie w Warszawie. Wieść o jego ucieczce rozeszła się w téj chwili po kraju, i stała się hasłem prześladowania jego rodziny i majętności ze strony władzy elektorkiéj. Pod *tym* względem dostarczają przejrzane przez nas dokumenta archiwum berlińskiego bardzo ciekawego i obfitego materyału. Zaledwie regenci pruscy raportem z dnia 14 marca 1670 zawiadomili elektora o ucieczce Kalksteina, gdy ten kazał wziąść dobra jego niezwłocznie w sekwestr i oddał je pod administracyę starego, wypróbowanego w swych usługach generała Joachima von Görzke komendanta miasta Memla. Görzke wziął się co rychlej do spełnienia powierzonego sobie zadania i wyprawił do wsi Knauten komisyę, która przejrzawszy wszystkie kąty, zlustrowawszy cały stan gospodarstwa, dochodów i rozchodów, przepytawszy sługi domowników o szczegóły ucieczki Kalksteina, spisawszy inwentarz całego majątku i sporządziwszy listę wszystkich poddanych, — wzięła dobra Knauten w sekwestr i pod zarząd elektorski. Żonie i rodzinie Kalksteina wolno było tylko pozostać na miejscu, bez prawa mięszania się w szczegóły gospodarstwa. *On* sam tymczasem starał się napróżno odwrócić wszystkie te kroki surowości wymierzone przeciw swéj rodzinie i mieniu. W saméj chwili niemal ucieczki, pod dniem 10 marca, napisał w Knauten jeszcze do elektora list, starający się przedstawić fakt swéj ucieczki w niewinnych i łagodnych barwach. Piérwsze dni pobytu warszawskiego przedstawiają się jeszcze z téj saméj strony. O ile widzimy z listów jego do żony, o ile widzimy daléj ze stosunków z rezydentem brandenburgskim Brandtem, nie noszą jeszcze pierwsze chwile jego bytności w stolicy polskiéj, owéj cechy opozycyi i opozycyjności przeciw elektorowi i władzy jego w księstwie Pruskiém, jak się to dzieje późniéj. O ile rzecz dobrze rozumiemy, ma ucieczka jego do Warszawy jakoby cel łatwiejszego i wygodniejszego porozumiewania się z elektorem za pośrednictwem króla i panów polskich, co więcéj, z wiedzą i współdziałaniem Brandta. Jakby na nieszczęście własne, idzie Kalkstein na oślep w sidła przygotowane z wolna a podstępnie przez Brandta. Brandt zyskuje w dziwny sposób jego zaufanie, obiecuje mu

swą poręką, wchodzi w stosunki poufałości, staje się jego powiernikiem, niemal współspiskującym niby to w jego własnym interesie. Kalkstein znajduje sobie na bruku Warszawskim dwóch powierników: Brandta rezydenta brandenburgskiego i ojca Pawła Branickiego, jezuitę, na których ręce każe żonie do siebie pisywać w listach przemycanych nibyto do niéj do Prus przez Brandta. „Bóg“, pisze Kalkstein w liście do żony z Warszawy 22 marca 1670, „nie opuści mnie. Będę go szukał, pójdę według jego przykazów, wynagrodzi mnie też w całej pełni. Elektorski rezydent Pan Brandt pisze do Jego Elektorskiej Mości w moim interesie, wziął téż na siebie wyprawienie niniejszego listu. Nie piszcie jeszcze do mnie. *Adieu*, moje dziecię. Całuję moje dzieciątka; Bóg niechaj was strzeże i pociesza, bądźcie dobréj myśli, wszysko się skończy dobrze. Wasz wierny Krystyan Ludwik Kalkstein; Warszawa, dnia 22 marca 1670, *u elektorsko-brandenburgskiego rezydenta*“. Jnne listy, pełne najczulszéj serdeczności dla żony i dzieci szły tą samą drogą; czasem przesyłał je Kalkstein na ręce Jezuity Branickiego. Brandt, łudzący Kalksteina ciągle pozorami przyjaźni, komunikował tymczasem wszystkie te powierzane sobie listy regentom, *Oberräthom* pruskim, zdradzał zaufanie, którém go pułkownik zbyt pochopnie i lekkomyślnie obdarzył. Tymczasem rozpoczęły się przeciw niemu czynne kroki ze strony elektora. Nasamprzód i najrychlej widzimy tu rękę bawiącego chwilowo w Królewcu po wyjeździe swym z Warszawy posła brandenburgskiego barona Hoverbecka. Pod dniem 18 marca 1670 pisze do elektora o niebezpiecznych prawdopodobnie knowaniach Kalksteina w Warszawie i przedstawia mu jako konieczność wysłania do kamerjunkra Brandta instrukcyi, aby go wziął tamże pod ścisłą kontrolę. Elektor nie omieszkuje postąpić sobie według rady Hoverbecka, a nadto posyła Brandtowi pod dniem 8 kwietnia 1670 rozkaz, aby się domagał u rzeczypospolitéj uwięzienia i wydania Kalksteina. Brandt czyni też stosownie do odebranych instrukcyi przedstawienia tak królowi Michałowi, jak obu kanclerzom, lecz odbiéra odpowiedź, iż do podobnie surowych kroków nie ma powodu, ponieważ Kalkstein jedynie tylko w chęci uchronienia własnéj osoby i skuteczniejszego starania się z bezpiecznego miejsca o zgodę z elektorem, udał się pod opiekę rzeczypospolitéj i króla polskiego. Rzeczywiście, jak też już z resztą wyżéj zauważyliśmy, nie była owa odpowiedź, udzielona ze strony rzeczypospolitéj rezydentowi brandenburgskiemu, zwyczajnym tylko w takich razach wybiegiem, lecz zawierała, chwilowo przynajmniéj, istotną prawdę. Listy ówczesne Kalksteina do żony, przejmowane regularnie przez Brandta,

będące najwierniеszym obrazem i wyrazem jego czułéj na przemian i rubasznéj natury, zawierające obok łzawéj często serdeczności dla pozostałéj w domu rodziny, objawy dobrego humoru i wycieczki przeciw osobie elektora, dają naszemu przypuszczeniu zupełną słuszność.

Kalkstein nie kochał i nie miał powodu kochać brandenburgskiego pana, ale chroniąc się do Warszawy, nie miał z pewnością przez pierwszych kilka tygodni zamiaru, rozpoczynania wojny z jego władzą w Księztwie Pruskiém. Potwierdza to nawet stanowczo list samegoż Brandta z dnia 22 marca 1670 r., w którym donosząc o częstych odwiedzinach Kalksteina u siebie, powiada, że zamiarem jego ułagodzić zagniewanego elektora, wyprosić sobie nową zwłokę, w spłacie zawyrokowanéj kary pieniężnéj, a udać się nawet może w tym celu do Berlina. Jak bardzo często jednakże w rzeczach, w sprawach i kolejach ludzkich, tak i w obecnym przypadku, pokazuje się, zrobiły *okoliczności* dopiéro Kalksteina tém, czém w obliczu dziejów owéj chwili staje; wyrazem i reprezentantem opzycyi pruskiéj przeciw władzy elektorskiéj na dworze warszawskim, w obec senatorów, dygnitarzy i szlachty polskiéj. Wpłynęły na to, nie dziwmy się zbytnio, najniewątpliwiéj wiadomości nadchodzące z domu i od rodziny. Jakkolwiek każdy niemal świstek idący choćby pod ukradkiem z Warszawy do Knauten, z Knauten do Warszawy, znalazł się dzięki usłużności Brandta, dzięki daléj czujności władz elektorskich rozciągnionéj nad jego rodziną, prędzéj czy późniéj bądź to w ręku regencyi pruskiéj, bądź to nowego po Radziwille namiestnika elektorskiego w Królewcu, księcia de Croy,—doszła go przecież w Warszawie wiadomość o sekwestrze dóbr własnych, o surowości obchodzenia się z żoną i dziećmi. Doniesienia te nie omieszkały rozdrażnić do najwyższego stopnia czułéj zarazem, rubasznéj i dumno-szlacheckiéj natury „*exulanta*“ pruskiego. Depesze Brandta do elektora z dnia 12 i 29 kwietnia 1670 r. poświadczają to jak najwyraźniéj. W pierwszym liście donosi rezydent brandenburgski elektorowi, iż „jak mu *kilku panów* powiedziało, zamyśla Kalkstein upaść na kolana w obec zgromadzonego senatu polskiego i poskarżyć się na gwałt sobie wyrządzony.“ W drugim liście donosi Brandt o rozpaczy Kalksteina z powodu traktowania rodziny i mienia, o jego bieganinach pośród szlachty, o jego staraniach u króla Michała, senatorów, dygnitarzy Rzeczypospolitéj, by mu w jego kłopotach i nieszczęściu pomoc dać zechcieli. Powoli, niepostrzeżenie, nieświadomie może nawet, jak się bardzo często w podobnych przypadkach dziać zwykło, samą naturą rzeczy, wyrasta owa wojna osobistego i rodzinnego właściwie zakroju

do znaczenia wielkiego, zasadniczego, politycznego zatargu. Wielki, współczesny niemal pożar wojen kozackich nie wykazuje również w sporze między Czaplickim a Chmielnickim poważniejszego i lepszego początku. Iskra wzniecająca pożogę może być bardzo małą; chodzi tylko o to, by padała na niebezpieczne a gotowe pokłady palnego materyału. *Tutaj* stanowił go ferment ludności pruskiéj przeciw władzy elektorskiéj, mogący rzeczywiście *stać się* groźnym przy źdźble rozumu i energii ze strony Rzeczypospolitéj Polskiéj... Nie ma wątpliwości, że w *téj* chwili właśnie pobytu Kalksteina w Warszawie, odezwały się doń, prócz własnego interesu, wołania ziomków jego z Pruss. *Dowody* tego jednakże bardzo nie wystarczające, dzięki stałości Kalksteina, który, jak późniéj zobaczymy, nawet wśród mąk tortury, wspólników zdradzać i zemście elektorskiéj wskazywać nie chciał. Jest jednakże rzeczą pewną, że za pośrednictwem rektora kolegium jezuickiego w Królewcu, Radana i Pawła Branickiego rektora kolegium jezuickiego w Warszawie, odbywały się konferencye między szlachtą pruską a Kalksteinem, że hrabia Schlieben mianowicie udzielał mu potrzebnych instrukcyi i informacyi. Podrażniony i dotknięty osobiście, utrzymywany w podobném usposobieniu przez ziomków Kalkstein, przechodzi powoli w ciągu miesiąca kwietnia 1670 roku z malkontenta osobistego, na reprezentanta tego nieukontentowania kraju pruskiego w Warszawie. Przedstawia nam się widocznie jako człowiek śmiały, znajdujący sobie wszędzie stosunki, idący przebojem we własnym interesie, nie szczędzący słów, nie obliczający się z wyrażeniami. Znajduje wstęp na zamek i do przedpokoju królewskiego.

Jeżeli osobistości, jak W. Kanclerz Koronny Jan Leszczyński, jak podskarbi Morsztyn spoglądają nań z ukosa i stają się po cichu jego oskarżycielami w obec rezydenta brandenburgskiego; jeżeli przychylny mu, jak się zdaje, król Michał, zmuszony z powodu istniejących z Brandenburgią traktatów, zachowywać pewną ostrożność i powściągliwość; znajduje natomiast wyraźnych protektorów w zacnym Podkanclerzym Koronnym Michale Olszowskim, Biskupie Poznańskim Wierzbowskim, księciu Dymitrze Wiśniowieckim stryjecznym bracie królewskim, panu hetmanie litewskim. Cóż zaś dopiéro między zwyczajną bracią szlachtą, ową szlachtą zagniewaną dotąd na króla Jana Kazimierza i jego małżonkę, o darzące niepotrzebnie elektora niezależnością traktaty welawsko-bydgoskie! Tutaj to dopiéro znajduje się i czuje Kalkstein we właściwym sobie żywiole. Stosunki jego z Wielkopolanami Radzimińskim i Sokolnickim, z litwinem Horuszą i Gruszeckim, z niejakim księ-

dzem Tyszkiewiczem stały się wiadomemi, i zwracały na siebie baczną uwagę brandenburgskiego rezydenta. W tém to gronie nie szczędził Kalkstein słów i języka przeciw elektorowi. Tutaj to padały z ust jego równie rubaszne, jak podobające się szlachcie wyrażenia, „że gdyby był królem polskim, przykroiłby sąsiadowi brandenburgskiemu potężnie spodni, a nie radziłby mu iść bez nich do łóżka...“ „Wszędzie,“ pisze Brandt w depeszy swéj do elektora z dnia 29 kwietnia 1670, „używa podobnych słów jako fundamentu, aby się Polakom przypodobać; robi im nadzieję odzyskania kraju pruskiego, a to znajduje też poklask u niektórych, Waszéj Elektorskiéj Mości niechętnych osób.“ Nieszczęście Kalksteina, jego żołnierskiéj przeszłości, szlacheckiéj rubaszności, jego porywczości, i zbytniéj względem każdego otwartości chciało, że zamiast w robocie jaką podejmował, działać oględnie i ostrożnie, traktował wszystko wśród białego dnia, rozprawiał głośno, w obec wszystkich, obiecywał więcéj, niż mógł dotrzymać, klął bez osłony i bez ogródki elektora, ułatwiał niezmiernie swém postępowaniem rezydentowi brandenburgskiemu dzieło kontroli nad sobą. Pod tym względem dostarczają depesze Brandta i akta wytoczonego Kalksteinowi procesu niezmiernie obfitego materyału. W przedpokoju królewskim, na zamku, spotyka się np. Kalkstein z pod-Kanclerzym Koronnym Olszowskim i Kasztelanem Warszawskim Oborskim. Mowa między nimi o piśmie, które elektor wyprawił do króla Michała z oskarżeniem Kalksteina o niedotrzymanie słowa, o przeniewierzenie się obowiązkom poddanego, o niebezpieczne przeciw swéj władzy knowania. Na to wybucha Kalkstein, nie pytając w jakiém się otoczeniu znajduje i kto go słucha, w obelżywe wyrazy przeciw elektorowi, pośród których pada łaciński frazes, figurujący następnie w aktach procesu: „*Mentiris Cain!*“ Nie dość na tém, grozi i przechwala się przy téj saméj sposobności, że byle mu tylko dano 200 dzielnego polskiego żołnierza, podjąłby się, za współdziałaniem stanów pruskich, wyprzątnąć z Księztwa Pruskiego elektorskie rządy. Ociérając się w ten sposób o komnatę królewską, wchodząc w stosunki z dygnitarzami i senatorami Rzeczypospolitéj, burząc pomiędzy zwyczajną szlachtą, nie ustawał Kalkstein bynajmniéj, co rzecz dziwna, w stosunkach dotychczasowéj zażyłości i otwartości z rezydentem brandenburgskim, który odgrywał względem niego najniewątpliwiéj rolę agenta prowokacyi, wyciągał na słówka i zwierzenia, dodawał mu może sam do nich odwagi, a następnie ze swoich rozmów i donosicieli swych sprawozdań, układał depesze bądź to do elektora samego, bądź do namiestnika jego w Księztwie Pruskiém, księcia de Croy. Między

innemi, spotkawszy się na placu zamkowym w Warszawie z Brandtem, powiedział mu Kalkstein wręcz, że doprowadzi elektora do upokarzającéj konieczności składania na téj tu widowni przysięgi lenniczéj z Księztwa Pruskiego królowi polskiemu. Przy innéj sposobności mówił Brandtowi, że elektor czyni go w swém piśmie do króla i Rzeczypospolitéj, przeniewiercą i zdrajcą, kiedy tymczasem on sam jest wiarołomcą i krzywoprzysiężcą względem Polski i stanów pruskich. Podobne zwierzenia, podobne nieostrożności w obec reprezentanta brandenburgskiego byłyby istotnie argumentem potępiającym stanowczo rozum i przezorność Kalksteina, gdyby nie znajdowały do pewnego stopnia wytłómaczenia w stosunku przyjaźni i poufałości, jaki się niby to między nim a Brandtem wywiązał. Jak widzimy ze świadectw późniejszego procesu, odwiedzał Brandt Kalksteina w jego mieszkaniu, nasamprzód w bezpieczném klasztorném jego schronieniu u Bernardynów, gdzie sypiał i miał złożone wszystkie swe rzeczy, następnie w prywatném mieszkaniu u niejakiego Niedzielskiego. Niedzielski zeznaje, że widywał często rezydenta brandenburgskiego w stancyi Kalksteina. Zeznanie to, zdane pod przysięgą, jest tak charakterystyczném dla Brandta, że go dosłownie powtórzyć musimy. „Brandt," zeznaje Niedzielski, „bywał u niego dziennie czasem po trzy razy, a widywałem go sam własnemi oczami. Pytałem tedy Kalksteina, co on (Brandt) właściwie u niego robi? Na to dał mi odpowiedź: Prosił mnie, abym mu pieniędzy pożyczył; dałem mu też na jego potrzeby 200 twardych talarów..." Prócz tego ćwiczą się obaj przyjaciele przy owych spotkaniach w biciu na szpady, zamieniają z sobą pistolety, żyją słowem, w najlepszych i najserdeczniejszych stosunkach. Tymczasem nie przeszkadza podobny stosunek wcale, że, jak już powiedziano wyżéj, każdy świstek Kalksteina powierzony Brandtowi dostaje się w ręce elektora, że każde słowo wyrzeczone przez rubasznego i dobrodusznego szlachcica, znajduje miejsce w depeszach Brandta do elektora, gromadząc się na materyał dla tortury i katowskiego miecza, że wreszcie rezydent brandenburgski, nieograniczając się na własnéj kontroli, otacza nadto swego wierzyciela i przyjaciel a siecią innych jeszcze aniołów—stróżów. Trudno zaprzeczyć, iż większa jeszcze doza ostrożności i oględności była ze strony Kalksteina potrzebną; trudno zaprzeczyć, że w całém postępowaniu wychodźcy pruskiego jest wiele samochwalstwa, niepowściągliwości języka, rubaszności; ale z jednéj strony, niechaj wszystkim tym ujemnym objawom bohatera naszego opowiadania, służy za uniewinniający komentarz owa pozorna dobroduszność Brandta, z drugiéj, pamiętajmy, że *sztuki* zadaniem tylko tworzyć

ideały, kiedy *historya* ma obowiązek *prawdy* i kiedyby się mijała ze swém zadaniem, przedstawiając ideały kosztem faktycznéj prawdy. Kreślimy postać bohatera naszego opowiadania taką, jaką była w rzeczywistości, ze wszystkiemi dodatniemi i ujemnemi stronami. Jak dalece piérwsze zagórowały w stanowczéj chwili nad drugiemi, wykaże dalszy ciąg naszego opowiadania. Wróćmy tymczasem do rzeczy.

Mieliśmy sposobność przekonać się, że nie wiele zapewne kosztowało pracy rezydenta brandenburgskiego, by wiedziéć, co Kaklstein robi i do czego dąży, by się dostać w posiadanie tajemnic jego działania. Mimo to przecież, otacza go, jak już powiedziano, siecią szpiegów, co zaś rzeczą najsmutniejszą, znajduje „*panów polskich*“, jak pisze, „*kawalerów*“; którzy mu pod tym względem służą, którzy zaglądają czy to do celi Kalksteina u Bernardynów, czy do mieszkania jego u Niedzielskiego, którzy każde słówko podsłuchane w komnacie królewskiéj lub u podkanclerzego Olszowskiego, zanoszą wiernie do gospody brandenburgskiego rezydenta u szkockiego winiarza, p. Andrzeja Thamsona na Lesznie. Wielcy i mali służą mu tu wiernie. „*Kulawy*“ Morsztyn, Niemierzyc, Kochanowski starosta Radomski, Gurowski sekretarz niemniéj nikczemnego szachraja politycznego Jana Leszczyńskiego W. Kanclerza Koronnego,—nie wymieniając licznych innych,—znoszą wszystkie prawdy i plotki na Kalksteina Brandtowi, który, płacąc ich i wynagradzając pogardliwie, posługuje się téż przecież jeszcze przeciw pułkownikowi innémi narzędziami. Znajdują się naówczas w wojsku Rzeczypospolitéj cudzoziemskiego autoramentu najrozmaitsze figury wątpliwéj narodowości, gotowe za pieniądze służyć komukolwiekbądź więcéj dającemu. Depesze Brandta wskazują nam między niemi pułkownika Lehndorffa pełniącego zarazem obowiązki radzcy legacyjnego brandenburgskiego, kapitana Meglina, niejakiego Klingsporrego, pułkownika Łąckiego, wszystko osobistości, które czuwają nad osobą Kalksteina, które, nie poprzestając na szpiegowaniu go w Warszawie, rozciągają uwagę nad jego działalnością pomiędzy szlachtą i wojskiem na prowincyi, którzy składają brandenburgskiemu rezydentowi rezultat swych poszukiwań w ustnych i piśmiennych raportach. Zbiegające się zewsząd w ciągu miesiąca kwietnia i maja r. 1670 sprawozdania składają się na dowód, że, jakkolwiek w działaniu Kalksteina mogło być wiele czczéj gadaniny, przechwałek, dymu i próżnego hałasu, to przecież obecność jego i robota poczynały oddziaływać powoli na opinię szlachecką polską, w szkodliwy i niebezpieczny dla interesu elektorskiego sposób. Dla zrozumienia prawdy tego spostrzeżenia, nie można

dość często zwracać uwagi na ówczesne usposobienie szlachty względem Brandenburgii, i stan zatargu politycznego między Rzecząpospolitą Polską a Elektorem Brandenburgskim. Opinia szlachecka polska, nie mogła, przypominamy raz jeszcze, darować Janowi Kazimierzowi i Maryi Ludwice ustępstw na rzecz Brandenburgii, wynagrodzenia elektora niezależnością w Księztwie Pruskiém, za odstępstwo i wiarołomstwo podczas wojny szwedzkiéj. Klauzula traktatów welawsko-bydgoskich obowiązująca elektora do potrzeby odnowiania praw swéj niezależności przez każdego nowego Króla Polskiego, dawała owemu usposobieniu, owéj żądzy naprawienia wyrządzonego przez Jana Kazimierza *złego*, prawną i polityczną podstawę. Mimo Jana Leszczyńskiego, mimo podskarbiego Morsztyna, mimo kasztelana poznańskiego Grzymułtowskiego, rzeczników i agentów interesu elektorskiego w Polsce, znalazło owo usposobienie przeciw niemu wyraz w odprawie danéj, jak powiedziano wyżéj, Hoverbeckowi, przez podkanclerzego Olszowskiego, w wyjeździe samegoż Hoverbecka z Warszawy do Królewca. Teraz zależało elektorowi i jego reprezentantom na naprawie w obec mającego się zebrać w Warszawie *sejmu*, tego co nie dopisało w obec króla Michała i dygnitarzy Rzeczypospolitéj. Tymczasem, pokazał się, pokazywał się coraz bardziéj pod *tym* właśnie względem Kalkstein, mimo wszelkich wadliwości i ułomności swéj akcyi konspiratorsko-politycznéj, bardzo przeszkadzającą i niewygodną figurą. Z jednéj strony oddziaływał niewątpliwie w sposób burzący i podniecający na opozycyę stanów pruskich, z drugiéj na szlachtę polską, na wojsko polskie, na poczynające się gromadzić nad górną Wisłą z powodu nawałnicy tureckiéj pospolite ruszenie szlacheckie. Obecność—owego „*exulanta*“ pruskiego, „Jego Mości pułkownika Kalksteina“, przypominającego dołączonym do nazwiska swego dodatkiem *Stolińskiego* własne szlachectwo polskie, odzywającego się do pomocy polskiéj, piorunującego w niebogłosy przeciw „*regnantowi berlińskiemu*“, zapowiadającego powstanie całych Prus przeciw jego tyranii, skoroby się tylko zbawcze zastępy polskie na progu Księstwa Pruskiego ukazały, —nie pozostała ostatecznie bez wpływu na patryotyczną wyobraźnię, na zadawnione żale, na namiętności szlachty przeciw nienawistnemu jéj zawsze elektorowi. Prawda ta miała się co rychléj stwierdzić na odbywających się w m. Maju roku 1670 sejmikach. Szlachta zgromadzona na sejmiku średzkim podnosiła zbiorowy głos przeciw zatwierdzeniu elektorowi traktatów welawsko-bydgoskich, a niejaki Trąmpczyński, stając się poprostu wyrazem ogólnych usposobień szlacheckich, domagał się

ogłoszenia trzech głównych popleczników interesu elektorskiego w Polsce: Jana Leszczyńskiego w. kanclerza koronnego, Jana Andrzeja Morsztyna podskarbiego koronnego i Krzysztofa Grzymułtowskiego kasztelana poznańskiego, za zdrajców ojczyzny. W późniejszym już nieco liście, pisze Brandt do elektora: „Każdy dziwi się nad nierozumem *tych* ludzi, że własnego, nędznego stanu nie mają na względzie. Dzielą już bowiem w swych dyskursach księztwo Pruskie na województwa, starostwa i biskupstwa między siebie. Cóż to innego, jak sprzedawać skórę niedźwiedzia, nim go się schwyciło!“ Niewątpliwie, Brandt mógł mieć słuszność; nierozum szlachty polskiéj w dzieleniu się zdobyczą na elektorze, kiedy się jéj jeszcze w ręku nie miało, kiedy nawałnica turecka groziła z południa, a niemoc wewnętrzna nie pozwalała skutecznie zajrzéć jéj w oczy,—mógł być wielkim; mimo to, trudno jednakże zaprzeczyć prawdzie, że „*nierozum* ów“, prosty wynik zadawnionych niechęci przeciw Brandenburgii, miał swe wielce praktyczne następstwa, że zmusił *już* Hoverbecka do opuszczenia Warszawy, że zamykał usta rzecznikom interesu elektorskiego Leszczyńskim, Morsztynom, Grzymułtowskim, Kochanowskim; że wreszcie, jak zobaczymy niżéj, zniewolił pretensye elektorskie zstąpić z jasnéj i wielkiéj widowni rady królewskiéj czy sejmu, na ciemne pole intryg i nieczystych machinacyi, by choć połowicznie dobić do upragnionego celu. W tém wszystkiém zaś nie małym był udział Prus samych i Kalksteina, który świéci i burzy wszędzie w interesie podjętéj przez się sprawy. Znamy już stosunki jego z podKanclerzym Koronnym Olszowskim, z W. Kanclerzem Litewskim Pacem, z biskupem poznańskim Wierzbowskim, z Kasztelanem Warszawskim Oborskim; znane nam stosunki jego ze szlachtą. W początku Maja sięga wyżéj. Pod d. 6 maja 1670 r., przesyła Brandt elektorowi lakoniczną depeszę: „Kalkstein był *znów* u *dworu*, sypia jednakże i ma wszystkie swe rzeczy w klasztorze. Staje się coraz zapamiętalszym i rozpaczliwszym...“ W téj to chwili warszawskiego pobytu Kalksteina, następuje epizod, nie znajdujący dostatecznego wyjaśnienia, w tyle wyczerpujących i obfitych zkądinąd materyałach, w aktach jego procesu i korespondencyi Brandta. W połowie Maja znika nagle Kalkstein z Warszawy, na ten raz w tajemnicy nawet przed Brandtem, a rezydent brandenburgski nie wie przez niejaki czas, co się z nim dzieje, i staje się w swych depeszach jedynie tylko echem plotek i pogłosek, jakie na karb jego bruk warszawski obiegają. Raz donosi, że został katolikiem i zagrzebał się w zaciszu klasztorném. Inny raz, że przebrany za mnicha powrócił skrycie w ojczyste strony, by bu-

rzyć ziomków przeciw elektorowi. Raz widziano go podobno w Wilnie, inny raz gdzieś na południowych kresach Rzeczypospolitéj. Tak to wyrasta rubaszny, hulaszczy i hałaśliwy, z usposobienia ani tajemniczy, ani lubiący się ukrywać szlachcic pruski, przez m. Maj i Czerwiec r. 1670, na jakąś mityczną, legendową postać. Wkrótce, dzięki czujności i zabiegłości agentów Brandta, mianowicie pułkownika Lehndorffa, opada jednakże tajemnica z zagadki osłaniającéj jego osobę i miejsce pobytu, jakkolwiek się nie wyjaśnia dostatecznie w przedmiocie ówczesnéj jego *działalności*. Wyjazd jego z Warszawy każe się domyślać dobrych stosunków, protekcyi może nawet samegoż króla Michała. Kalkstein wybiéra się w owym miesiącu Maju r. 1670 do wojska Rzeczypospolitéj znajdującego się przeciw Turkom na Rusi i staje się, co najważniejsza, namiotowym towarzyszem księcia Dymitra Wiśniowieckiego wojewody Bełzkiego, Hetmana Polnego Koronnego, brata stryjecznego króla. (1)

Pod podobną opieką w obozie polskim, być może, iż pośród wielu jeszcze znajomych, przyjaciół, towarzyszów z czasów własnéj służby pod znakami Rzeczypospolitéj, spędza Kalkstein kilkanaście tygodni, według doniesień Lehndorffa i Meglina do Brandta, nie nadaremno. Naturalném jego tutaj *caeterum censeo* staje się oswobodzenie Prus z pod rządów Elektora Brandenburgskiego. Co się praktykowało u dworu, nad czém się pracowało w komnacie zamkowéj w obec senatorów lub pośród szlachty na bruku warszawskim, praktykuje się teraz z namiotu i z pod opieki księcia Dymitra Wiśniowieckiego, pośród wojska Rzeczypospolitéj, na kresach jéj ruskich. Pomiędzy hufcami polskiémi mającémi zasłaniać kraj przeciw grozie półksiężyca, przypomina „*exulant*“ pruski, że pohaniec nie jedyny nieprzyjaciel Polski, a że wylęgły z polskiego czarny orzeł brandenburgski, może się stać z czasem niebezpieczniejszym od tureckiego półksiężyca. Równocześnie, w miesiącach Czerwcu i Lipcu r. 1670, gromadzi się w obec niebezpieczeństwa grożącego od Turka, pospolite ruszenie szlacheckie nad górną Wisłą. Po swéj wycieczce do wojska koronnego, odbywa Kalkstein z kolei pielgrzymkę do obozów pospolitego ruszenia, gdzie jeszcze lepszego doznaje przyjęcia i z jeszcze lepszym skutkiem dzieło swe szerzy. „Daléjże na Brandenburgczyka, daléj na wiarołomnego lennika

---

(1) *Bracia*
Michał i Konstanty
| |
Jeremi Janusz
| |
Michał (król) Dymitr;—a więc Dymitr z królem ze stryjecznych stryjeczni bracia.

Polski, by oswobodzić czekające z otwartemi rękami Polaków Prusy!" Otóż wiecznie powtarzające się hasło Kalksteina, hasło znajdujące sympatyczne echo pomiędzy szlachtą, gotową w obietnicach swych przynajmniéj dać pomoc braci szlachcie pruskiéj, jęczącéj pod absolutném panowaniem elektora... Lehndorff i Meglin czuwają tymczasem nad każdym krokiem Kalksteina, i donoszą wszystko, o czém tylko wiadomości zasięgnąć zdolni, Brandtowi. Na podobnych bieganinach i robotach Kalksteina spływają letnie miesiące roku 1670. Co ważniejsza może jeszcze od skutku ich i wrażenia w Polsce, to pełne groźnéj niezmiernie dla panowania elektora doniosłości następstwa, jakie wywołują w Księztwie Pruskiém. Może być rzeczą wątpliwą, czy szlachta, czy stany pruskie były w wyraźnéj konspiracyi z Kalksteinem. Stałość jego, nawet pod mękami tortury, odebrała badaniu historycznemu wszelką możność dowodnego stwierdzenia tego prawdopodobieństwa. Natomiast niema wątpliwości, że robota jego w Polsce znajdowała w stanach pruskich nie głośną może, ale tém gorętszą sympatyę; i że Księztwo Pruskie wyglądało z uczuciem nadziei i tęsknego wyczekiwania, zbawczéj odsieczy polskiego pospolitego ruszenia. Najlepszym barometrem ówczesnego usposobienia Pruss są raporty Hoverbecka, komisarza Schwerina i namiestnika księcia Bogusława Ernesta de Croy do elektora; równym mu zaś postawa sejmu pruskiego, który się rozpoczął z dniem 1 Lipca 1670 w Królewcu. Hoverbeck pisał już dawniéj, „że liczba malkontentów w kraju wzrasta, ponieważ ludzie myślą, że im droga prawa zamknięta." Schwerin i książe de Croy zaklinają elektora, by uderzył w stronę łagodności i nie rozdrażniał zbytnią stanowczością oporu. Mimo to, pokazuje sejm pruski bardzo złowrogie oblicze. Dozwolona na utrzymanie wojska elektorskiego w kraju akcyza, kończyła się z dniem 1 Września. Na żądanie dalszego zezwolenia, odpowiedział sejm pruski odmową, dzięki stanowczéj opozycyi Schliebenów, Packmohów, Brömsenów i Redernów. Władze elektorskie poczynały być w kłopocie o środki utrzymania żołnierza w kraju. Pod dniem 29 Września nadszedł od elektora z Berlina rozkaz do jego reprezentantów w księstwie pruskiém, zażądania od sejmu pruskiego nowego podatku łanowego. Żądanie podobne dolało oliwy do ognia, zwiększyło w niesłychany sposób rozdrażnienie i wywołało ze strony stanów pruskich najdrażliwsze, najniebezpieczniejsze dla władzy elektorskiéj, jeśli jeszcze nie postanowienia, to przynajmniéj *intencye*. Jak za dawnych, dobrych, przed oliwskich czasów obejrzano się na Warszawę, na króla polskiego i Rzeczpospolitę. W Warszawie, mówiono, nie potwierdzono dotąd ze strony nowego króla

polskiego elektorowi traktatów welawsko-bydgoskich. Odżywa tedy, chwała Bogu, dawny stosunek między stanami pruskiemi a Rzeczpospolitą. Trzeba więc, dowodziła szlachta pruska daléj, wyprawić deputacyę stanów pruskich do Warszawy i zażądać ztamtąd zatwierdzenia przywilejów stanowych. Łatwo pojąć, jak dalece podobna postawa sejmu pruskiego, postępująca z widoczną równoległością obok roboty Kalksteina w Polsce, rozdrażniła i rozgniewała elektora, jak nadto daléj stawała się dla jego panowania w księstwie pruskiém rzeczywiście groźną i niebezpieczną. Cały zysk wojny szweckiéj, wszelkie korzyści traktatów welawsko-bydgoskich i oliwskich, stawały się rzeczą problematyczną. W całéj zaś téj robocie świeci się, drażni, kłuje w oczy ów przeklęty Kalkstein, burzący w Polsce, intrygujący w Prusach, snujący się wszędzie, wnikający w każdy zakątek! Rzecz tém niebezpieczniejsza, tém groźniejsza, że agitacya rozwinięta przezeń trzyma na uwięzi popleczników i jurgieltników w Polsce, że piętnuje Morsztyna i Grzymułtowskiego jako poszlakowanych o zdradę kraju, że się przysługuje niecnemu mianowicie Grzymułtowskiemu w akcie oskarżenia jako głównym zarzutem, iż pozostaje z elektorem w podejrzanéj korespondencyi. Wśród podobnych konstelacyi, nie mogło być widoków, aby *sejm* zatwierdził wśród białego dnia elektorowi nabytki i korzyści traktatów welawsko-bydgoskich. Dzięki owéj nieprzełamanéj oczywistości przedstawia nam kronika miesiąca sierpnia roku 1670 następną grę intrygi Brandta i W. Kanclerza Koronnego Jana Leszczyńskiego. Po sejmie i wielkiéj masie szlachty nie miał się, jak co dopiéro powiedziano, elektor w postulatach swych niczego do spodziéwania. Podkanclerzy koronny Michał Olszowski był podobnież usposobiony, opiekował się nadto osobiście Kalksteinem, stróżował postępowanie w. kanclerza Leszczyńskiego. Należało więc Brandenburgczykom i rzecznikom ich interesu spuścić nieco z tonu, wytargować choćby tylko przed zebraniem się sejmu, *osobiste* zatwierdzenie traktatów welawsko-bydgoskich ze strony samegoż króla Michała. W tym celu ułożyli reprezentanci interesu elektorskiego Hoverbeck z Królewca, Brandt na miejscu w Warszawie do współki z Morsztynem, Leszczyńskim, jego sekretarzem Gurowskim, następny plan akcyi; Był domownikiem, zaufanym przyjacielem króla Michała Kochanowski Starosta Radomski. Na niego to padły oczy spółki brandenburgsko-polskiéj, jako na najodpowiedniejsze zamierzonéj roboty narzędzie. Na węża-kusiciela obrano sobie tutaj „*kulawego*“ Morsztyna. Co się tyczy środków pozyskania sobie starosty radom-

skiego, nie bawiono się w żadne ceremonie i wstydliwości, lecz obiecano mu bez ogródki ze strony elektora przez Hoverbecka i Morsztyna, faktorowi tego handlu, *jeżeli się powiedzie*, stosowne *pieniężne* wynagrodzenie. Rzecz udała się nadspodziewanie dobrze, jeszcze przed rozpoczęciem sejmu. Król Michał namówiony przez swego domownika starostę Kochanowskiego, wystawił pod dniem 30 sierpnia 1670 skrypt zatwierdzający elektorowi *osobiście*, z zastrzeżeniem późniejszego zatwierdzenia Rzeczypospolitéj, traktaty welawsko-bydgoskie i doręczył go Kochanowskiemu. Kochanowski pokazał go tegoż samego dnia jeszcze Brandtowi, który również tegoż samego dnia pośpiesza zawiadomić elektora o szczęśliwym rezultacie swojéj i Kochanowskiego roboty. „Król Michał,“ pisze Brandt w depeszy swéj z 30 sierpnia 1670, „obowiązuje się paktów, które teraz dla pewnych przyczyn potwierdzonemi być nie mogą, ściśle i sumiennie dochować, aż w przyszłym czasie zatwierdzonemi będą.“— Zadowolnienie to nie było jednakże bez przymieszki pewnego kłopotu, a nadewszystko zahaczało się o oryginalny ze strony Kochanowskiego warunek. Nie ufając wspólnikom swéj roboty, zachował chwalebną ostróżność i nie chciał podpisanego przez króla Michała aktu wydać z rąk swych tak długo, dopókiby się mu elektor brandenburgski z przyrzeczenia pieniężnego w zupełności nie uiścił. Posłuchajmy w téj mierze własnych słów Brandta: „Ponieważ Wasza Elektorska Mość temuż Panu Kochanowskiemu kazałeś przez Pana Morsztyna przyrzec *dyskrecyę*, a Pan Hoverbeck na przypadek, gdyby pomienione pismo było uzyskane, toż samo uczynił, zauważył wspomniany co dopiéro Pan Morsztyn, że pismo to przezeń nie wpródy będzie wydane, aż *takowa* rzeczywiście nastąpi, dla czego niechaj Wasza Elektorska Mość zechce wydać najłaskawszy rozkaz, aby czémprędzéj przysłano tu dotąd paręset dukatów, co Jéj wysoki interes tutaj niemało poprze. W skutek tego bowiem nie tylko Wasza Elektorska Mość pomienione pismo otrzyma, lecz pozyska także zupełnie przez to Pana Kochanowskiego, który się jeszcze więcéj podobnych przyjemnych usług podejmie. Skoro owo pismo dostanę, prześlę takowe do przypieczętowania panu wielkiemu Kanclerzowi, gdyż winno być trzymane w najgłębszéj tajemnicy, aby podkanclerzy koronny ani zdźbla o tém się nie dowiedział i nie rzucił ztąd nienawiści na pana Kochanowskiego. W obec takich okoliczności nie należy przeceniać gadaniny szlachty i groźb, które się tu i ówdzie z jéj strony słyszy, jakkolwiek mi sekretarz pana wielkiego kanclerza Gurowski donosi, że szlachta publicznie na sejmiku średzkim mówiła, że nie

należy dotrzymywać Waszéj Elektorskiéj Mości paktów bydgoskich.“ Elektor uznał słuszność przedstawień Brandtowych i przesłał dla Kochanowskiego 200 dukatów, z których tenże uczciwie pokwitował, a pismo króla Michała w ręce rezydenta brandenburgskiego oddał.— Tuż po tym epizodzie zakulisowym, rozpoczął się pod laską Stanisława Lubomirskiego podstolego koronnego dnia 9 Września 1670, sejm warszawski, obchodzący nas w obecnym przypadku do tyla tylko, o ile się tyczy sprawy zatwierdzenia elektorowi traktatów welawsko-bydgoskich i rozwinionéj przy téj sposobności akcyi Kalkstejna. Kilku posłów litewskich odezwało się ze stanowczém żądaniem, aby elektorowi nie zatwierdzać zwierzchniéj władzy w księstwie pruskiém. Grzymultowskiemu kasztelanowi poznańskiemu wytoczono formalny akt oskarżenia o zdradę kraju z powodu korespondencyi z elektorem. Szczegóły te charakteryzowały nie dwuznacznie usposobienie sejmujących względem Brandenburgii. Zresztą pojawił się znów w piérwszéj połowie Września w Warszawie Kalkstein i podjął tu swą działalność pośród sejmującéj szlachty, nie zrywając równocześnie, rzecz dziwna, dotychczasowych swych stósunków zażyłości z Brandtem. Nasamprzód rozrzucał pismo wystosowane do króla Michała z prośbą o pomoc dla Pruss, z oskarżeniem elektora jako tyrana swobód krajowych. Drugie pismo noszące tytuł *Supplex nomine ducatus Prussiae libellus* odzywało się w imieniu stanów pruskich w tym samym duchu do zgromadzonego właśnie sejmu polskiego. Pismo to wytaczało cały szereg oskarzeń przeciw elektorowi, jego uciskowi i tyranii, przedstawiało szkodliwość traktatów welawsko-bydgoskich dla Polski, ucisk religii katolickiéj w księstwie pruskiém, niebezpieczeństwo dla przyszłości Rzeczypospolitéj przez odcięcie jéj w Piławie i Memlu od morza.,. „Patryota Roth,“ mówiło rozrzucone przez Kalksteina po Warszawie i kraju pismo, „pędzi już dziewiąty rok w udręczeniach więziennych.“

„W ogóle wszystkie, i szczególne przywileje zostały nam złamane i pogwałcone, wszystko od początku do końca pomięszano nam zapamiętałością! Błagamy, my mieszkańcy Księstwa Pruskiego, o to jedno, błagamy, aby przez wierność naszą dla was, pogwałcone względem nas traktaty i prawa nie pozostawiliście niepomszczonemi; chcę też, aby świat uznał a uczuła tymczasowa domu brandenburgskiego potęga, iż *Wy* byliście niegdyś, jesteście teraz a będziecie na przyszłość najwyższymi ojczyzny naszéj opiekunami i panami. Gdyby zaś, dzięki nieprzyjaznym Rzeczypospolitéj losom, nie miało nam być wolno powrócić do dawniejszéj drogi prawa naszych zażaleń, to przynajmniej niechaj będzie wolno naszemu nieszczęściu, abyśmy

drogą skarg i zażaleń uznawali nad nami zwierzchnie panowanie króla i Rzeczypospolitéj, abyśmy uznawali daléj Rzeczpospolitą praw i zwyczajów naszych opiekunką, aby z czasem wszelkiéj pomocy i oparcia pozbawieni w potomkach naszych (o co domowi brandenburgskiemu głównie chodzi) królewskiego i rzeczypospolitéj panowania w Prussach naszych wszelkie nie zaginęły ślady, aby nie tak, jak to poprzednio w liście do Jego Królewskiej Mości starano się wyłożyć, jakoby Prusacy nie byli już Jéj poddanymi a elektorska rodzina nie stała się w Prussach absolutniejszą jeszcze, a niżeli w owéj Marchii ziemiach, które posiada prawem dziedzicznem.“ Takich pism rozrzucił Kalkstein jeszcze kilka, nie omieszkując szerzyć ich i po Prusach. Mimowolnie odzywa się w nich głos wymownej skargi Jana Baysena przeciw uciskowi krzyżackiemu, z tą tylko niestety różnicą, że wiek XVI w Polsce, to nie opłakana druga połowa XVII, że słaby na ciele i duchu król Michał w otoczeniu Leszczyńskich, Morsztynów i Kochanowskich, to nie reprezentant młodzieńczej dynastyi Jagiellońskiéj opiérający się na radzie dojrzałych dygnitarzy, że Elektor Brandenburgski to nie zgrzybiały i rozpadający się sam w sobie zakon krzyżacki. Jedna tylko *niemiecka* ludność kraju pruskiego, ona jedna się nie zmieniła, wyciągając w wieku XVII nie mniéj energicznie ręce do Polski, jak to przed dwustu czyniła laty! Pisma owe nie pozostawały w łonie sejmu i w kraju bez wielkiego wrażenia, Marszałek sejmu odczytał „*libell*“ Kalksteina na publicznéj *sesyi*. Brandt odezwał się w skutek tego z zażaleniem do króla Michała, żądając, aby wezwano Kalksteina do wystąpienia z dowodami, iż go rzeczywiście stany pruskie do podobnéj skargi upoważniły. Wrazie przeciwnym żądał jego przytrzymania i wydania. Podkanclerzy koronny Olszowski pouczył jednakże „exulanta“ pruskiego, jak w obec podobnéj groźby sobie postąpić. Postarał mu się, jako publicznemu oskarżycielowi elektora, o posłuchanie u króla w obecności zgromadzonego senatu. Gdy referendarz koronny Krasiński, stojąc na stopniach tronu przy królu, zabiérał się notę Brandta odczytać, przystąpił doń Kalkstein, wziął mu pismo z ręki, przeczytał i oddał następnie Olszowskiemu, (1) który oświadczył, że sprawa ta nie należy do sejmu, lecz kwalifikuje się przed sąd asesorski, gdzie i elektor przeciw oskarżeniu bronić się może. Powodzenie podję-

---

(1) Owa scena wyrwania pisma z ręki referendarza koronnego znajduje się w oskarżających depeszach Brandta, ale także i w I tomie Puffendorfa D*e rebus gestis Friderici Guillelmi* strona 860 i następne.

tego przez Kalksteina dzieła urosło naturalnie po podobném zajściu w jego własnych oczach, a choć w tenczas właśnie zgromadzone stany pruskie pod grozą elektorskiego przymusu wydały deklaracyę, iż się z nim wszelkiéj wypiérają spółki, nie stracił tak dalece otuchy, iż ogłosił natychmiast potém pismo zaręczające ich wierność dla Polski a tłómaczące przymusem ich ostrożne umywanie rąk od wszelkiego udziału w jego robocie. Równocześnie, w miesiącu Wrześniu i Październiku roku 1670,—pojawia się w depeszach Brandta do elektora i do księcia Croy coraz częściéj, niewiadomo o ile na prawdzie polegająca pogłoska, że jest zamiarem Kalksteina korzystać z pospolitego ruszenia szlacheckiego i pobudzić je do napadu na Prusy. Kalkstein wyrastał w ten sposób w coraz większą, w coraz niebezpieczniejszą dla elektora postać. *Politycznie* wpłynął mocno na zwichnięcie starań jego o zatwierdzenie traktatow welawsko-bydgoskich, teraz groził zbrojną inwazyą. Łatwo pojąć, że czynny i energiczny elektor sprawy téj nie zaśpi, że się będzie bronił, nie przebiérając w środkach. Nasamprzód kazał ośmiu pułkom w Marchii, Minden, Halbersstacie być gotowemi do wymarszu do Prus, dokąd sam wyjazd swój zapowiadał, następnie postanowił uprzątnąć z widowni niebezpiecznéj akcyi osobę Kalksteina.

Tutaj to wchodzimy w ciekawy zwrot ciemnych, podziemnych intryg i knowań poprzedzających późniejszy zamach na osobę naszego bohatera. Myśl gwałtownego pochwycenia go i uwięzienia rodzi się, mimo tak dziwnie stanowczego zaprzeczenia profesora Droysena w dziele jego *Geschichte der Preussischen Politik*, ze strony elektora w obec piérwszej odmowy króla Michała na żądanie jego wydania, rośnie zaś i zamienia w prawdziwą namiętność w miarę zwiększającéj się działalności i zabiegłości Kalksteina. Zstąpmy w ciekawe szczegóły téj kontrminowéj roboty. Elektor opiéra swe plany w tym względzie na swym rezydencie Brandcie, ale więcej może na pułkowniku Łąckim, Meglinie i radcy legacyjnym w Polsce Lehndorffie, którzy służąc wszyscy w wojsku Rzeczypospolitéj cudzoziemskiego autoramentu, mieli sposobność czuwania nad wszelkiemi krokami Kalksteina i po za obrębem Warszawy, a nadto możność mniéj podejrzanéj z nim komunikacyi, aniżeli sam Brandt. Profesor Droysen, który w swém dziele *Staat des Grossen Kurfürsten* apoteozuje elektora, zohydzając jego ofiarę, zaręcza kategorycznie, „iż to co Brandt uczynił później, nie było przez jego pana ani nakazane, ani pochwalone". W innémi tamże miejscu powiada profesor Droysen, „iż bliższych szczegółów pochwycenia osoby Kalksteina elektor nie przepisał". Zobaczmy jak

się w obec tych stanowczych zaręczeń professora berlińskiego, który akta tego tragicznego procesu porówno z nami miał w ręku, przedstawia *prawda* historyczna. Niechaj za nas mówią własnoręczne pisma elektora, piérwsze zaraz mianowicie do Brandta, z dnia 15 maja 1670. (1) „Wiernie nam miły! Uczyniliśmy Lehndorffowi pewną propozycyę, jakim sposobem chcielibyśmy pochwycić osobę Kalksteina, poczém ci będzie zakomunikowana. Zapewnij go z naszéj strony, że jeżeli to uczyni, uznamy to ze szczególną naszą łaską. Gdyby Kalkstein w razie zaczepki miał się bronić, lub gdyby po drodze miało być niebezpieczeństwo, że będzie uwolniony i znów z niewoli wydobyty, —w takim przypadku będzie nam wszystko jedno, czy choć umarły wydany nam będzie, ponieważ pod każdym warunkiem na utratę życia zasłużył". Drugie własnoręczne pismo elektora z tejże saméj daty do Lehndorffa bzrmi dosłownie, jak następuje: „A ponieważ nam jak najbardziéj na tém zależy, aby Kalksteina pochwycić, zechciéj się jeszcze raz postarać u króla o wydobycie jego osoby; w razie przeciwnym zaś wraz z Brandtem, do którego w tym względzie obszerniéj piszemy, wziąść pod rozwagę, czyby go za pomocą przekupionych Polaków, na co byśmy pieniądze dać chcieli, nie można tajemnie w nocy pochwycić i do Pruss odstawić. Jeżeli to doprowadzisz do skutku, zaręczamy, że ci za to ze szczególną łaską wdzięczni będziemy".

Wyraźniéj i kategoryczniéj nie można było zapewne ani objawiać swéj woli, ani przepisywać z daleka, „z owéj Kolonii nad Sprewą", szczegółów jéj wykonania. Wykonanie owo jednakże stawało się coraz trudniejszém, bo, jak sobie przypominamy, wyjechał Kalkstein w połowie maja 1670 r. z Warszawy, a pochwy-

---

(1) Do *Brandta*: „Lieber Getreuer! Haben wir an Lehndorffen einigen Vorschlag gethan wie Wir Uns des Kalkstein bemächtigen möchten, worauf er mit diesem communiciret wird. Du hast ihn unseretwegen zu versichern, dass wir, wenn er dies prästirt, es mit sonderbaren Gnaden erkennen wollten. Sollte sich auch Kalkstein, wenn er angegriffen wird, zur Wehr stellen oder aber unterwegs die Gefahr sein, dass er wieder befreiet und losgemacht werden könnte, auf solchen Fall soll es Uns gleich viel gethan, das er todt geliefert werde weil er das Leben ohne das verwirket".

Do *Lehndorffa*: „Und weilen Uns zum Höchsten daran gelegen, dass wir des Kalksteins mächtig werden mögen, so hast du dich nochmahlen zu bemühen dessen Person vom Könige loss zu bekommen, oder widrigenfalls nebst Brandten. an welchen Wir ein Mehreres geschrieben haben, zu überlegen, ob man denselben nicht durch dafür erkauft Polen, wozu wir das geld geben wollen, heimlich in der nacht wegbekommen und in Preussen liefern könnte. Wirst du dieses zu Werke richten, versichern wir dich, es mit besonderer Gnade zu erkennen. Kölln den 5 (15) Mai 1676. F. W. an den Legationsrath in Pohlen, den von Lehndorff.".

cenie jego czy to wśród wojska Rzeczypospolitéj na Rusi, czy to w obozie szlacheckiego pospolitego ruszenia, przedstawiało mimo czujności Lehndorffa i Meglina, nieprzezwyciężone trudności. Zda je się nawet, jakoby i elektor przez czas nieobecności Kalksteina w Warszawie był ustał nieco w swych naleganiach o jego bezzwłoczne pochwycenie. Niepowodzenie dopiéro w przedmiocie zatwierdzenia traktatów welawsko-bydgoskich, sceny podczas sejmu, rozrzucane przez Kalksteina pisma, dodają mu znów widocznie ostrogi i rozdrażniają jego gniewy. Ponowne rozkazy elektora postępują tu widocznie równoległym krokiem z depeszami Brandta. Pod dniem 18 Października 1670 r. pisze Brandt do elektora: „Przesyłam niniejszém najuniżeniéj paszkwilowe i bluźniercze pismo Kalksteina, które tutaj tak Jego Królewskiéj Mości, jak marszałkowi izby poselskiéj (Lubomirskiemu) na sesyi w bezwstydny sposób przeciw Waszéj Elektorskiéj Mości rozdawał.“ W trzy dni późniéj przesłał Brandt do Berlina jeszcze więcéj alarmującą wiadomość: „Zresztą, pisze, rozgaduje Kalkstein w rozpaczy, że ma zamiar zaprowadzić pospolite ruszenie, które niedaleko tu ztąd stoi, do Prus. Jakkolwiek się to bez zezwolenia Rzeczypospolitéj stać nie może, mógłby przecież kilka tysięcy gawiedzi, któraby paliła, wszystko w perzynę obracała, mordowała i kradła, do kraju poprowadzić.“ — Tuż po odebraniu tych depesz wyprawił elektor pod d. 24 Października 1670 r. następne do Prus ostrzeżenie: „Donosimy o tém Waszym Miłościom w tym celu, aby pod każdym warunkiem poczyniono należne przygotowania, iżby podobni rabusie zasłużoną otrzymali nagrodę.“ Następnie pisze do Brandta pod tąż samą datą, aby zażądał powtórnie od króla Michała wydania Kalksteina. „Gdyby jednakże, mówi daléj, nadspodziéwanie nic w skutek tego nie nastąpiło, rozkazujemy Ci niniejszém łaskawie, abyś z dwoma wiadomemi osobami, to jest pułkownikiem Łąckim i kapitanem Meglinem w najodpowiedniejszy sposób działał i zaręczył, że skoro Kalksteina tajemnie za łeb schwycą i w naszą moc oddadzą, my za to im tak rzeczywiście wdzięcznymi być potrafimy, że z tego z pewnością będą zadowolnieni.“ Brandt pośpieszył z odpowiedzią elektorowi, iż „niegodziwego łotra pochwyci“, — ale stosownie do odebranych instrukcyi, prosił jeszcze o posłuchanie u króla Michała i uzyskał takowe pod d. 22 listopada 1670 r. Rezultat tego posłuchania nie odpowiedział oczekiwaniom ani elektora, ani jego rezydenta. „Co się tyczy punktu wydania Kalksteina, pisze Brandt, oświadczyła Jego Królewska Mość, że tego człowieka wcale nie proteguje. Nie może go jednakże wydać, ponieważ nikogo prawem nieprzekonanego do wię-

zienia brać nie można. Prusacy bowiem, jakkolwiek są pod panowaniem Waszéj Elektorskiéj Mości, korzystają, dopóki się w Polsce znajdują, z polskich przywilejów.“ — Nie dość na tém, wyszło jeszcze z kancelaryi królewskiéj w przedmiocie tym następne pod d. 24 listopada 1670 r. do elektora, urzędowe pismo: (1) „Co do Krystyana Ludwika Kalksteina, którego jako winnego najcięższych zbrodni, potępionego wyrokiem, żądasz, abyśmy pochwycić, oddać pod straż i do granic Prus książęcych wraz z pismami jego, pod bezpieczną eskortą odstawić i władzom Twym oddać zechcieli,—uznaliśmy, iż postępowanie podobne byłoby zbyt surowe, nie wypływające z paktów a niegodne także łaskawości królewskiéj, aby człowieka nieszczęśliwego i poszukującego schronienia, na pewną poświęcać zgubę. Wiemy dobrze, co zresztą z traktatu bydgoskiego wypływa, że po ustanowieniu najwyższego trybunału w Prusach Książęcych, od tegoż sądu do nas odwoływać się i skarg jakichbądź zanosić nie wolno. Z tego też powodu nie dopuszczamy zażaleń Kalksteina w celu wyrokowania i rozstrzygania nad niemi, lecz uważaliśmy za rzecz miłosierdzia i ludzkości, aby mu pobłażanie Waszéj Elektorskiéj Mości wyjednać. Staraliśmy się o to u Waszéj Elektorskiéj Mości przez posła naszego p. Morsztyna, lecz gdy nasze wstawienie się królewskie nie osiągnęło żadnego skutku, doszło do tego, że wspomniany Kalkstein, z pochodzenia szlachcic polski nazywający się Stolińskim, wsparty stosunkami pokrewieństwa, wielu także osobom z czasów służby wojskowéj znany, a około Rzeczypospolitéj zasłużony, błagał na sejmie o opiekę stanu rycerskiego. Nie napróżno też przytaczał, że prawa, swobody, przywileje, wolność Prus Książęcych we wspomnianych paktach są zawarowane, a że pakta owe zastrzegają Rzeczypospolitéj, od któréj nie na zawsze odpadli, tak opiekę nad niemi, jak nad jego własną osobą. Co do nas, nie czytaliśmy sami owych pism jego. Że zaś, co się tyczy wydania Kalksteina, żądaniu Waszéj Elektorskiéj Mości zadosyć nie czynimy, nie może tego Wasza Elektorska Mość brać nam za złe, dawszy sam przykład opieki i otaczania swą troskliwością i powagą niektórych Polaków nieszczęśliwych a ściganych wyrokami, jakkolwiek to poprzednikowi memu królewskiemu bardzo przykrém było. Zresztą kazaliśmy upomnić Kalksteina, aby się skromnie zachował a usiłował zyskać łaskę Waszéj Elektorskiéj Mości przyzwoi-

---

(1) Załuski, Epistolae, tom I, str. 277 i 278.

temi środkami. Pozostaje mi tylko życzyć zdrowia i dobrego powodzenia Waszéj Elektorskiéj Mości. (podp.) „*Michał, król.*“

W sposób więcéj kategoryczny, choć ze stanowiska prawa publicznego lepiéj uzasadniony, nie podobna było wziąść pod własną opiekę i obronę zagrożonego zemstą elektorską Kalksteina. W odpowiedzi téj króla Michała przemówiły widocznie wpływy księcia Dymitra Wiśniowieckiego i wpływ zacnego podkanclerzego Olszowskiego. Zarazem jednakże wprowadzała owa odpowiedź królewska rzecz w stadium gwałtu ze strony brandenburgskiéj, dawała mimowolnie hasło czarnemu i podstępnemu zamachowi przeciw prawu narodów i godności Rzeczypospolitéj. Brandt i Lehndorff uważali się odpowiedzią podobną króla Michała za rozgrzeszonych; co więcéj, kategorycznemi instrukcyami elektora za wyraźnie upoważnionych do rozpoczęcia swéj sztuki. Zastrzegając sobie opis jéj szczegółowy na późniéj, przypatrzmy się nasamprzód, jak ją sam elektor i namiestnik jego w Prusach, książę de Croy przygotowywali, jak dalece robota tych *głów* idzie w zgodnéj i jednolitéj harmonii z pracą *rąk*, których zadanie biorą na siebie Brandt, Lehndorff i Meglin. Politycznym reprezentantem elektora w Prussach jest naówczas jako następca zmarłego Bogusława Radziwiłła, książę Ernest Bogusław de Croy nawpół Francuz, nawpół Niemiec, osobistość, na wyższém tylko stanowisku, moralnie wielce do Brandta podobna. Odznaczają przedewszystkiém księcia de Croy właściwa dyplomatom i mężom stanu owego czasu swoboda od wszelkich więzów i względów moralnego znaczenia, pewien naiwny cynizm pozwalający igrać ze czcią, łamać dane słowo, nadużywać zaufania, skoro racya stanu, interes państwa i wola monarsza tego wymagają. Najwyższą wojskową figurą w księstwie Pruskiem z ramienia elektorskiego jest naówczas generał Joachim von Görzke, plackomendant miasta Memla, żołnierz zwyczajny, ciasnego, jak się zdaje, horyzontu, wykonywający ściśle odbierane od wyższéj władzy rozkazy. Podobnie jak Brandt i Lehndorff w Warszawie, tak książę de Croy w Królewcu, a za jego pośrednictwem generał Görzke w Memlu, odbierają od elektora rozkazy i instrukcye w przedmiocie pochwycenia jakimbądź sposobem Kalksteina. Nadto pozostaje agencya brandenburgska w Warszawie w ciągłéj komunikacyi z Królewcem i księciem de Croy. Teraz, istnie jak w Szekspirowskim Ryszardzie III, jak w Szyllerowym Wallensteinie, wstępują na scenę tego dramatu rzeczywistości, nowe całkiem o barwach kondotiersko-bandyckich postacie. Wiek XVII, wiek wojen trzydziestoletniéj i Karola Gustawa, bojów weneckich z Turkami i Ludwika XIV z Rzeszą

Niemiecką, wyrzucił liczniéj może, niż wszystkie dawniejsze i późniejsze czasy na powierzchnię wypadków liczny ów pomiot wątpliwéj narodowości, religii, charakteru i moralności awanturników wojny i polityki, zmieniających co chwila służbę i panów, gotowych na wszystko, zdolnych za zapłatą i rozkazem sięgnąć czy to po sztylet skrytobójczy, czy posłużyć się stryczkiem kata. Spisek przeciw Wallensteinowi znalazł w *ostatecznćm* swém rozwiązaniu jako *ostatecznych* aktorów najemnych halabardników plemienia irlandzkiego. Kalkstein doznaje tego samego nieledwie zaszczytu. Znajduje się, w oddziale jazdy stojącym pod rozkazami generała Görzkiego w Memlu, porucznik Hugo de Montgomméry. Nazwisko charakterystyczne i wiele samo przez się mówiące. Począwszy od Gabryela, smutnie wsławionego niewinném na turnieju zabójstwem króla francuskiego Henryka II, widzimy nazwisko owo podczas zawieruch religijnych XVI i XVII wieku pojawiające się w Szkocyi, Szwecyi, w Niemczech. Hugo de Montgomméry zawędrował w swéj Odyssei, nie wiadomo zkąd, do Polski, wstąpił w służbę wojskową Rzeczypospolitéj obcego autoramentu, i znajdował się przez niejaki czas w wojsku litewskiém, gdzie prawdopodobnie zabrał znajomość z Kalksteinem. Miał udział w kampanii moskiewskiéj pod Pawłem Sapiehą r. 1662. Następnie przeszedł pod Smoleńskiem do wojska Carskiego.

Późniéj niknie z tamtąd, przyjmuje służbę elektora brandenburgskiego i pojawia się jako porucznik pod bezpośrednią komendą generała Görzkiego w Memlu. Elektor, książe de Croy i generał Görzke znali widocznie „*swoich ludzi*", skoro ich oko, nie szukając długo, padło na *niego*, gdy się nadarzyła potrzeba wykonania zamachu, jakim było pochwycenie w stolicy obcego państwa, otoczonego przyjaciółmi, ostrożnego już teraz, mogącego stawiać niebezpieczny opór Kalksteina. Już w miesiącu Kwietniu roku 1670 odebrał Montgomméry rozkaz udać się wraz z kilku pewnego serca i pewnéj ręki towarzyszami z Memla do Willenberga, nad granicą polską, czekać tamże dalszych rozporządzeń, a w razie potrzeby odstawić przytrzymanego już przez innych Kalksteina do Królewca lub Memla. W skutek wyjazdu Kalksteina z Warszawy, poszedł jednakże ten plan, jak się zdaje, w odwłokę, ponieważ w Sierpniu widzimy Montgommerego znów w Tylży. Decydującemi są dopiéro dwie okoliczności, *piérwsza*, owa gwałtowna i gorączkowa akcya Kalksteina przeciw elektorowi przez miesiąc Wrzesień i Październik, *druga*, zakończenie sejmu i rozejście się posłów bez powzięcia jakiéj bądź szkodliwéj wyraźnie interesowi brandenburgskiemu uchwały. Na kilka dni przed 1 Listopada odbiérają tak

Brandt w Warszawie, jak książe de Croy w Królewcu od elektora widocznie już wyraźniejsze i szczegółowsze w przedmiocie pochwycenia Kalksteina instrukcye.

Brandt pisze do élektora z Warszawy: „Pismo Waszéj Elektorskiéj Mości wraz z rozkazem z 25 b. m. (października) i anexami odebrałem i posłużę się niemi wedle mego najpoddańszego obowiązku, ku mojego pana najłaskawszego Elektora sławie, a ku Kalksteina ostatecznéj zgubie... Bogu Najwyższemu niechaj będą dzięki, że sejm się skończył, a że nic szkodliwego Waszéj Elektorskiéj Mości w konstytucye jego nie weszło.“ Równocześnie całkiem z tym charakterystycznym listem Brandta, wyszedł z zaleceniem zachowania najgłębszéj tajemnicy rozkaz księcia de Croy do Montgommérego, by dobrawszy sobie kilku śmiałych i gotowych na wszystko towarzyszów, dobrych, jak on sam, jeźdźców, udał się nasamprzód do Szczytna, następnie przeprawił się z wszelką ostrożnością przez granicę polską, stanął ze swymi ludźmi w Prasnyszu i oczekiwał tamże dalszych rozkazów Brandta z Warszawy. Montgommery zastosował się wiernie do odebranego rozkazu, dobrał sobie jako pomocników porucznika Baumgardta, również niegdyś oficera Rzeczypospolitéj obcego atoramentu, nadto niejakiego Fehra, kilku prostych dragonów brandenburgskich i przedostał się z nimi bez przeszkody wskazaną drogą do Prasnysza. Brandt zawiadomiony o ich przybyciu, układał z każdym dniem prawie inne plany pochwycenia Kalksteina do współki z Lehndorffem, Meglinem i Łąckim. Pomoc dwóch ostatnich ubyła mu jednakże w ostatnich dniach niemal przed zamachem, ponieważ ich książę Dymitr Wiśniowiecki powołał do wojska. Pozostał na miejscu tylko czynny niezmiernie i obrotny w całéj téj sprawie Lehndorff, a co najboleśniejsza dla czci polskiéj, „ofiarowało się,“ według raportu Brandta, „wielu *kawalerów* z dobréj woli do pochwycenia Kalksteina, jakkolwiek żaden w stanowczym momencie nie chciał kotu zarzucić obróży na szyję.“ Zyskał nadto Brandt za pieniądze niejakiego Klingsporrego, dawnego żołnierza także z wojska cudzoziemskiego autoramentu, znajdującego się chwilowo w służbie Kalksteina. Tymczasem nadchodziły do Brandta tak od elektora, jak od księcia de Croy coraz to natarczywsze upomnienia, aby powierzonego sobie dzieła nie zwlekał. Brandt, złożywszy radę z Lehndorffem, postanowił przedewszystkiém, sprowadzić po cichu do Warszawy czekającego na swe rozkazy w Prasnyszu Montgommérego wraz z towarzyszami. Stało się to po cichu i bez zwrócenia niczyjéj uwagi. Brandt, jak widzimy z jego opowiadania, zajmował dolne, obszerne mie-

szkanie w domu szkockiego winiarza Andrzeja Thamsona na Lesznie. Od frontu znajdowała się winiarnia gospodarza działającego, nawiasowo powiedziawszy, ile tego było potrzeba, w porozumieniu z rezydentem brandenburgskim. Obszerne podwórze wraz ze stajniami i poddaszami znajdowało się również w użytkowaniu Brandta. Tutaj to sprowadził Montgommerego i Baumgardta. Oficerów pomieścił w swém mieszkaniu, jeźdźców na poddaszach, konie w stajniach, zabezpieczony przeciw wszelkiéj możliwéj niedyskrecyi wspólnictwem gospodarza swego Thamsona, obsługiwany wybornie przez zostającego oddawna w swéj służbie, przebiegłego i sprytnego kozaka Tomaszewskiego, któremu, jak zobaczymy niżéj, w dziele wykonania samegoż zamachu, także nie skąpa dostaje się rola. Jak długo Brandt trzymał sprowadzonych z Prasnysza jeźdźców po swych stajniach, podwórzach i poddaszach, nie umiemy z dokładnością powiedzieć. Trwało to jednakże prawdopodobnie kilkanaście dni, ponieważ wydatek na „ludzi i koni utrzymywanych w Warszawie dla pochwycenia Kalsteina," figuruje w rachunkach Brandta dość wysoką, jak na owe czasy, cyfrą 478 talarów. Dopełniając jeszcze poprzedzających wykonanie zamachu na Kalksteina szczegółów, wśród owéj mglistéj, listopadowéj pory o krótkich dniach, długich wieczorach i nocach, powiedzieć należy, że za staraniem Lehndorffa dostał się też na podwórze Thamsonowego domu duży, drabiniasty wóz, wielce prozaiczny a przecież nie bez znaczenia przedmiot w ciągu zajścia, które nam niżéj opowiedzieć przyjdzie.

Od Brandta i Thamsonowéj na Lesznie gospody, przeniesiemy się teraz do Kalksteina; przypatrzmy się jego postawie i robotom. W owych dniach późnéj jesieni fatalnego tyle dlań roku 1670 widzimy go znów tym samym, jakim był w pierwszych chwilach pobytu swego w Warszawie po ucieczce z Prus. W tym względzie winniśmy znów powtórzyć i przypomnić to, cośmy powiedzieli wyżéj, że historya ma zadanie kreślić prawdę, a nie tworzyć wbrew niéj ideały, a że nasz bohater często dalekim bardzo od ideału. Po rozpoczęciu tak stanowczéj akcyi przeciw elektorowi, po tylokrotnie rzucanych nań obelgach, po scenach w komnacie królewskiéj i sejmie, po rozszerzaniu mianowicie owych niebezpiecznych pism przeciw panowaniu brandenburgskiemu; byłoby słusznem przypuszczenie, że Kalkstein spalił po Kortezowemu wszelkie okręty powrotu czy to do łaski, czy to do kraju elektora, i że raz przynajmniéj będzie się wystrzegał wszelkich stosunków z rezydentem brandenburgskim. Dzieje się tymczasem przez miesiąc Październik i Listopad r. 1670 wręcz inaczéj, a winę, czy objaw

tego dzielą między siebie łatwowierna i rubaszna lekkomyślność Kalksteina, w równéj prawie mierze z chytrością i podstępnością jego węża-kusiciela Brandta. Kalkstein mieszkał obecnie znów w klasztorze Bernardynów, jako najbezpieczniejszém dla siebie schronieniu a ostrożniejszy nieco po tak wyraźném wypowiedzeniu wojny elektorowi, miał zawsze w otoczeniu swém kilku śmiałych towarzyszów. Mimo to jednakże nie posuwa się przezorność jego do tego naturalnego bardzo stopnia, aby zerwać wszelkie związki z Brandtem, aby nie zaglądać do lwiéj paszczęki, jaką mu rezydent brandenburgski wraz ze swymi siepaczami w Thamsonowéj gospodzie zgotował. Brandt łudzi Kalksteina nadzieją łaski elektorskiéj, tłómaczy mu po cichu, że rzecz nadaremna spuszczać się na Polaków niezdolnych dotrzymać słowa, rozdartych niesnaskami domowemi, zagrożonych nawałnicą turecką i zaprasza go na konferencye do swego mieszkania. Kalkstein widząc, czego niewidzieć nie mógł, iż rzeczywiście *czynnéj* pomocy ze strony Rzeczypospolitéj spodziéwać się na teraz przynajmniéj niepodobna; patrząc na niechęć dla siebie, na wyraźne sprzyjanie sprawie elektorskiéj dygnitarzy tak wiele znaczących, jakimi byli wspomnieni przez nas tylokrotnie Jan Leszczyński, Grzymułtowski, Morsztynowie, Kochanowski; począł się wahać i próbować, czyby się też może nie udało zawrzéć pokoju z elektorem za pośrednictwem tak doświadczonego przyjaciela, jakim się ciągle okazuje dlań Brandt. Brandt tymczasem odbiéra coraz to natarczywsze instrukcye, by zwabić Kalkstaina do siebie, by go czémprędzéj pochwycić, bo w Berlinie i w Królewcu wzrasta obawa, czy też wpływ „*exulanta*“ pruskiego nie stałby się czasem niebezpiecznym w Polsce i nie przyprawił elektora o utratę zysków wojny szwedzkiéj, traktatów welawsko-bydgoskich i oliwskich! Brandt odwiedza tedy Kalksteina w klasztorze Bernardyńskim, Kalkstein w asystencyi swoich pięciu zbrojnych towarzyszów Brandta w jego gospodzie na Lesznie, rozmawiają o polityce i o głównéj dotyczącéj Kalksteina sprawie, ale równocześnie jedzą i piją z sobą, strzelają z pistoletów, odbiérają je sobie nawzajem żartobliwie, mierzą do piersi, zamieniają z sobą prezenta, —żyją słowem, jak dawni i dobrze wypróbowani przyjaciele; a tymczasem czychają na strychach gospody Thamsonowéj przybyli z Przasnysza siepacze, domagają się niecierpliwie wykonania zamachu Montgomméry i Baumgardt, stoi przygotowany na podwórzu drabiasty wóz, na którym tyle pożądany dla elektora brandenburgskiego połów ma być złożony! Mimo to wszystko wadzi i przeszkadza Brandtowi, choć i owa połowiczna ostrożność Kalksteina. Pisząc do elektora, robi

między innemi uwagę, że Kalkstein przychodząc do niego, „sprawia wrażenie zestraszonego, dzikiego ptaka oglądającego się z obawą i niepokojem na wszystkie strony.“

Nie wygodni nadto są owi zbrojni towarzysze Kalksteina, mogący na każde zawołanie pospieszyć w pomoc, wywołać walkę z dragonami Montgommérego, ściągnąć z ulicy tłum ciekawych, skompromitować w ostatecznym rezultacie ciężko godność, bezpieczeństwo i powagę rezydenta elektorskiego. Zależy więc na uciszeniu i ukołysaniu obaw i podejrzeń Kalksteina. W tym celu posługuje się Brandt następną sztuką. Obiecuje mu stanowczo udać się do elektora i księcia de Croy razem, z prośbą o amnestyę dla niego i ręczy prawie za dobry skutek swych starań. Co się zaś tyczy obu swych pryncypałów, tłómaczy im bez ogródki, że najskuteczniejszym środkiem pochwycenia Kalksteina w nastawione sidła, będzie lep przyobiecanego mu *fałszywie*, bez zamiaru dotrzymania, przebaczenia. Znajdujący się w aktach procesu Kalksteina, pod koniec, arkuszowy list Brandta do księcia de Croy, nadeszły do Królewca dnia 15 listopada 1670, nie pozostawia pod tym względem najmniejszéj wątpliwości. „Ponieważ Kalkstein nie zupełnie jeszcze dowierza i na lep iść nie chce, lecz żąda poprzednio widzić jaką *piśmienną* wiadomość od Jego Elektorskiéj lub Waszéj Książęcéj Mości, chciałbym Jéj tedy niniejszém najuniżeniéj przedstawić, czyby się nie dało zrobić, aby Jego Elektorska Mość *pro forma*, odpowiadając niby to na jeden z moich listów, najłaskawiéj do mnie napisała, że się dowiedziała, jakoby Kalkstein chciał Jéj złożyć akt submissyi i że sądzi, iż skoroby mu o to tylko naprawdę chodziło, jeszczeby dlań może była pewna nadzieja uzyskania pardonu, choćby to z trudnością poszło... Jeżelibyś Wasza Książęca Mość w ten lub inny sposób chciała według swego upodobania napisać, aby na ten lep mógł iść...., wtedy ufałby mi już więcéj. Choćby mu się nawet pod warunkiem szczéréj skruchy nadzieję przebaczenia zrobiło, nie będzie się mógł na tak sprytne oszukaństwo skarżyć, ponieważ jest rzeczą niepodobną takowego warunku mu dotrzymać. Proszę najuniżeniéj Waszą Książęcą Mość najłaskawiéj rozważyć, co tutaj czynić, a jeżeli się Jéj ta moja rada podoba, mnie“.... Tak daleko ciekawe zapytanie Brandta, uszkodzone pod koniec, znajdujące się w archiwum berlińskiém, ale szczęściem dla prawdy i dokładności historycznéj, nie zbywa na odpowiedzi. Pomienione akta zawiérają następny list namiestnika elektorskiego do Brandta z dnia 16 Listopada 1670: „Pomienionego pułkownika możesz w mojém imieniu stanowczo zapewnić, że ze względu na jego wysokiego rodu, tu w kraju ży-

jących krewnych, a mianowicie z żalu dla jego niewinnych dzieci i ze względu na zgubną dolę, jaką im dotychczas zgotował, chętnie niniejszém wszelkie możliwe wstawienie się nasze u Jego Elektorskiéj Mości za nim uczynimy.“ Nawiasowo powiedziawszy istnieje w tychże samych aktach list tegoż samego księcia de Croy, do tegoż samego Brandta na jedenaście dni przedtém pisany, w którym czytamy: „Czekając z niecierpliwością, jaki skutek będzie miało *to przedsięwzięcie* (zamach na Kalksteina), o którém donosisz Jego Elektorskiéj Mości, a pragnąc, aby wypadło najzupełniéj ku Jéj zadowoleniu“... Nie dość na tém, zdaje się, że i elektor sam nadesłał w tymże samym czasie przyrzeczenie amnestyi dla Kalksteina, ponieważ Brandt odwołuje się wyraźnie w swéj depeszy z dnia 30 Grudnia 1670 na żelazny list (literae protectoriales), które na jego ręce dla Kalksteina nadeszły. Tak więc znalazł się Brandt w posiadaniu najoficyalniejszych dokumentów, za pomocą których mógł wywieść w pole mniéj nawet łatwowierną od Kalkstejna osobistość. Zbrojny w tak skuteczny środek, chwycił się jeszcze Brandt w ostatnich owych chwilach innego. Znajdował się naówczas w Warszawie, znany nam już potroszę żołnierz z pułku Kalksteina z czasów jego służby w wojsku Rzeczypospolitéj cudzoziemskiego autoramentu, nazwiskiem Klingsporre. Brandt skłonił go do wstąpienia w osobistą służbę Kalksteina i do pełnienia przy jego osobie roli nieodstępnego a czujnego stróża. W ostatnich dniach listopadowych przybiegł Klingsporre do rezydenta brandenburgskiego z wiadomością, że Kalkstein ma zamiar wyprowadzić się z klasztoru bernardyńskiego i przenieść się do najętego na Pradze domu. W skutek tego zapadło między Brandtem, Montgommérym i Klingsporrem postanowienie doczekać chwili owych przenosin i sprzątnąć pocichu Kalksteina z jego pragskiego ustronia. Plan ten, czyby się był powiódł, pozostanie rzeczą wątpliwą. Na Pradze, w otoczeniu zbrojnych towarzyszów, bylby może Kalkstein potrafił zapobiedz zdradzie, stawić opór napaści. Chciała tymczasem ścigająca go fatalność, że on sam stał się poniekąd własnym zdrajcą i przyśpieszył wykonanie długo przygotowywanego przeciw sobie zamachu. Zdaje się, że wkońcu Listopada właśnie protekcya księcia Dymitra Wiśniowieckiego, Biskupa Poznańskiego Wierzbowskiego dodała mu nowéj otuchy, i że traktując przez Brandta z elektorem o pokój, dawał jednakże do zrozumienia, ileby mu w razie woli i potrzeby mógł jeszcze szkodzić. Mówił, że jest w łaskach u króla Michała, że znajdzie protekcyę Rzeczypospolitéj, że będzie objeżdżał wszystkie sejmiki, a że elektor straci wszystko, co zyskał

przez pakta Bydgoskie. „Widziałem,“ pisze Brandt w sposób ironiczny do elektora pod dniem 30 grudnia 1670, „że pan *Stoliński* z każdym dniem staje się śmielszym.“ W obawie prawdopodobnie, aby mu się Kalkstein w miarę wzrostu owych nadziei ze strony Rzeczypospolitéj nie wymknął, posłał mu Brandt w Czwartek, dnia 27 listopada nadeszły co dopiéro list żelazny czy to od elektora samego, czy to od księcia de Croy. (1) Zwabiony podobnym łepem Kalkstein, postanowił dnia następnego odwiedzić rezydenta Brandenburgskiego i odbyć z nim w przedmiocie swéj sprawy nową konferencyę. Nieszczęsne te dla Kałksteina odwiedziny cechuje istny szereg fatalności. Zamiast wśród mglistego i dżdżystego a krótkiego dnia listopadowego wybrać się rano, przyszedł na podwórze Thamsonowego dworca wśród zapadającego zmroku po godzinie trzeciéj, wraz z pięcią wprawdzie zbrojnymi w szable i pistolety towarzyszami. Brandt siedział właśnie z Montgommérym przy stole po ukończonym obiedzie. Spostrzegłszy Kalksteina idącego przez podwórze, wyszedł naprzeciw niego i poprosił go do swego gabinetu, którego okiennice były zamknięte, a który oświecał jedynie tylko palący się jasnym płomieniem na kominku ogień. Rozpoczęła się między dwoma przyjaciółmi zwykła, poufna gawęda, podczas któréj Brandta niepokoiła tylko obawa, aby chciwy jak sęp na swą zdobycz, a zniecierpliwiony długiem wyczekiwaniem Montgommèry nie przystąpił czasem, spostrzegłszy Kalksteina, z własnéj inicyatywy i na własną odpowiedzialność do wykonania zamachu. Wyszedł więc na chwilę i przestrzegł Montgommérego, aby na dzisiaj dał całéj rzeczy pokój, gdyż należy dla bezpieczeństwa odczekać zapowiedzianéj przez Klingsporrego zmiany mieszkania. Prawdopodobnie byłby więc Kalkstein tego wieczoru wyszedł jeszcze szczęśliwie z przygotowanéj matni, gdyby nie druga fatalność. Po powrocie Brandta do gabinetu ciągnęła się przerwana gawenda daléj. Kalkstein zaczął się, jak zwykle, przechwalać swemi stosunkami, opisywać swe stanowisko zaufania w obec szlachty i Rzeczypospolitéj, grozić wreszcie elektorowi, coby wszystko jeszcze było rzeczą mniejszą. Wśród zapału poufnéj pogadanki, wśród opowiadania mianowicie o serdecznych stosunkach przyjaźni z Biskupem Poznańskim Wierzbowskim, wyr-

(1) Raport Brandta do elektora z dnia 30 grudnia 1670, pod napisem: *Kalksteins Captivirung:* „Unterdessen aber kommt er fatoquodam am 28 November mit einigen Diennern auf meinem Hof, sich ohne Zweifel auf die literas protectoriales, so er den Tag zuwor erhalten, werlassund.“

wało mu się niebacznie fatalne zwierzenie, że dzisiejszego wieczoru jeszcze przenosi się ze wszystkiemi rzeczami do Biskupa Poznańskiego, który mu na cały czas pobytu w Warszawie mieszkanie w swym domu ofiarował. Nieszczęsna ta gadatliwość zdecydowała o losie Kalksteina.

Brandt zrobił sobie w swej praktycznie kombinującéj i pomysłowéj głowie natychmiast krótką rachubę, że ułożony z Klingsporrem plan pochwycenia Kalksteina na Pradze upada w skutek przenosin do Biskupa Poznańskiego, że zaś nadto rzucać się na gościa senatora Rzplitéj w jego własnym domu, gra równie niepewna, jak niebezpieczna. *Dzisiaj więc, albo nigdy*, pomyślał Brandt po krótkiéj naradzie z samym sobą i wyszedł na chwilę, prosząc Kalksteina, „aby mu się nie dłużyła.“ Wyszedłszy, pobiegł czém prędzéj do Montgommérego, oświadczył mu krótko, że dzisiaj i to zaraz zamach trzeba będzie wykonać. Równocześnie kazał zamknąć bramę wjazdową prowadzącą na ulicę, słudze swemu, sprytnemu Kozakowi Tomaszewskiemu usunąć jakąkolwiek bądź sztuką towarzyszów Kalksteina i zaprządz czém prędzéj do woza na podwórzu dwa dzielne gniade konie. Montgomméry wysłał zarazem, będącego przypadkowo przy sobie dragona do Baumgardta i innych jeźdźców z poleceniem, aby byli gotowi, a Brandt wydawszy wszystkie te rozporządzenia, powrócił po kilku minutach na dalszą przyjacielską pogadankę z czekającym nań gościem. Kalkstein stał przy oknie. Grzeczny Brandt poprosił go do kominka, aby, jak pisze, nie dostrzegł tego, co się dzieje na podwórzu i „niedał czasem drapaka.“ Ubiegło znów kilkanaście minut a zmrok rozpostarł się na dobre. Tomaszewski wyprowadził szczęśliwie ludzi Kalksteina do obszernéj izby służącéj za miejsce pobytu jeźdźców, i poczęstował ich prawdopodobnie zapasami Thamsonowéj winiarni. Wóz stał zaprzężony, Montgomméry był ze swymi dragonami gotów. Brandt wyszedł ponownie, opuszczając po raz trzeci na chwilę Kalksteina, aby zobaczyć, czy brama wjazdowa zamknięta i czy obcych ludzi na podwórzu nie ma. Zaledwie miał czas wychylić głowę i przekonać się o wiernem spełnieniu wszystkich swych rozporządzeń, wsunął się za nim do komnaty Tomaszewski, zbliżył się po cichu do Kalksteina i pochwycił go z tyłu za szpadę. Nim zaczepiony miał czas obrócić się i pomyśleć o jakimbądź oporze, wpadli Montgomméry i Baumgardt wraz z sześciu dragonami, rzucili się na Kalksteina, powalili na ziemię, zatkali usta, związali go, zawinęli w płaszcz, zarzucili nań pstrą, perską końską derę i zanieśli jak

pakunek na wóz zaprzężony przez Tomaszewskiego. Jak się zdaje, przyczynił się gospodarz domu, Szkot Thamson, w zmowie z Tomaszewskim do usunienia zbrojnych towarzyszów Kalksteina. Stróż tylko rąbiący na podwórzu drzewo, słyszał z Brandtowéj komnaty dwa razy powtarzający się okrzyk: *Mein Gott*, *mein Gott!* poczém zupełna nastąpiła cisza... Było już zupełnie ciemno. Brama wjazdowa otworzyła się, wóz powożony przez Tomaszewskiego wyjechał na ulicę pod eskortą Montgommérego, Baumgardta i ich dragonów, pospieszył kłusem, nie zwracając niczyjéj uwagi, ku Wiśle, skręcił następnie na lewo i pojechał ku przewozowi Bielańskiemu. Przeprawiwszy się tu na prawy brzeg Wisły, udali się Montgomméry i Baumgardt ze swą zdobyczą na Żerań ku Jabłonnie. Tutaj zdjęli dragoni więźnia z wozu, wsadzili na białego konia, przywiązali doń, grożąc bezzwłocznie śmiercią, gdyby się chciał bronić lub uciekać i ruszyli na Nieporęt ku granicy pruskiéj. Podróż więźnia i jego eskorty, do któréj przyłączył się po drodze wysłany naprzeciw niéj przez księcia de Croy pułkownik Henryk Flemming, szła z niezmiernym pospiechem aż do zajeżdżenia na śmierć koni; zwracała mimo to jednakże uwagę księży, chłopów, szlachty okolicznéj, którzy spoglądali nie bez ciekawości, jak powiadają, w późniejszych zeznaniach na zbrojną kawalkadę, pośród któréj uderzał widok przywiązanego do białego rumaka, silnie strzeżonego jeńca. Zresztą nie dotrzymywała straż szczególnego sekretu co do osoby i winy więźnia. Głośnym mianowicie był Kozak Tomaszewski, który opowiadał gromadzącéj się ciekawie na popasach i wypoczynkach ludności, że przewożą do Pruss zdrajcę elektora brandenburgskiego a że nieinaczéj gotowiby przewozić samego króla polskiego, gdyby im tylko kazano. Gawiedź słuchała i patrzała ciekawie; do obrony i wyzwolenia więźnia nie ruszyła się żadna ręka! Zdaje się jednakże, iż krótko przed przeprawą granicy zagroziło eskorcie brandenburgskiéj jakieś niebezpieczeństwo, ponieważ w liście Montgommérego do księcia de Croy znajdujemy wzmiankę, że dopiero przybycie z Prus chorążego Blocka w 24 konie, zdołało go wydobyć z trudnego położenia i ułatwić przejście granicy. Nastąpiło to dnia 1 grudnia. Nazajutrz znajdujemy eskortę z więźniem w Rastenburgu, 3 grudnia w Tapiau. W sześć dni późniéj otwiéra się przed nim brama cytadeli Memelskiéj, i przyjmuje go w swą czujną i troskliwą opiekę znajomy nasz generał-plackomendant Memla, Joachim von Görzke. Po swobodzie polskiéj, po gościnnym pobycie w Warszawie, po oddychaniu świeżém powietrzem pośród namiotów wojska polskiego na Rusi, czy obozów pospolitego ruszenia nad Wisłą, dostaje się więźniowi najciemniejszy kąt Memel-

skiéj cytadeli kaźń znana pod nazwą „*Pfefferstube*.“ Więzień obciążony kajdanami, przykuty do pnia znajdującego się w ciemnym zakątku swéj celi. Otóż to straszliwa zmiana dekoracyi, otóż nowy a stanowczy obrót w losach naszego bohatera. Wiadomość o jego pochwyceniu i osadzeniu w cytadeli Memelskiéj rzuciła przerażenie na kraj pruski. Hrabia Schlieben umknął, przewidując co go spotka, czém prędzéj do Polski. Ucieczka ta mówiła wiele, świadczyła, że Kalkstein nie zupełnie i nie ze wszystkiém grzeszył samochwalstwem, twierdząc w swych skargach przeciw elektorowi, że jest wyrazem życzeń i usposobień ludności całego księstwa Pruskiego.

(D. c. n.)

MIĘDZYNARODOWY KONGRES STATYSTYCZNY w Peszcie.

Niezwykły postęp, jaki w ciągu 19 wieku we wszystkich gałęziach umiejętności uczyniono, powołał też do życia nie jedną nieznaną przedtém instytucyę, mającą poprzeć albo sam rozwój pewnéj gałęzi wiedzy ludzkiéj, albo jéj rozszerzenie w jak najobszerniejszych kołach, lub wreszcie praktyczne jéj w życiu zastosowanie. Jedną z takich instytucyi, właściwych wiekowi dziewiętnastemu, są naukowe kongresy, zjazdy uczonych, czy to jednego kraju, czy też międzynarodowe. Nieraz już zadawano sobie pytania, czy i jaki też jest pożytek z tych kongresów, nieraz już użyteczność ich podawano w wątpliwość. Sądzimy jednak, że niesłusznie—jeżeli tylko zadania zjazdom tym stawiane, do właściwéj sprowadzimy miary. Żądać od nich nowych zdobyczy wiedzy—byłoby naszém zdaniem zupełnie niewłaściwém, również jak wymagać, ażeby pewne sporne w umiejętności kwestye stanowczo raz na zawsze rozstrzygały. Nie w zgiełku kongresowych narad czyni nauka istotne postępy i nowe zdobywa prawdy. Laboratoryum, biblioteka, cicha pracownia uczonego, oto pole walki, na którém umiejętność najpiękniejsze swe święci tryumfy. Ani też można jakiegokolwiek przypisywać znaczenia temu, że pewną, czasem wcale skromną większością głosów, oświadczono się za jakąś nową teoryą lub przeciw niéj. Nauka nie znosi przegłosowania, przypadkowa większość głosów nie doda teoryi żadnéj ani odrobiny prawdy więcéj, niż tkwi w jéj istocie, ani jéj błędu nie ujmie, gdy teorya fałszywa. Dla ogółu nie oddającego się pewnym specyalnym studyom, takie orzeczenie większości zebranych powag

może mieć rozstrzygające znaczenie—dla uczonego badacza, może ono być tylko podnietą do nowych, tém sumienniejszych badań, żeby mógł zdanie swe nie na czyjéjś powadze, lecz na własném oprzeć przekonaniu.

W czém inném przeto szukać należy znaczenia kongresów, i ważnego ich na rozwój nauki wpływu. Przedewszystkiém zaprzeczyć się nie da, iż wpływ ten działać musi ożywiająco, i to w tak znacznym stopniu, że ta jedna korzyść przemawiałaby stanowczo za kongresami, gdyby nawet żadnéj więcéj nie było. Same przygotowawcze prace, same memoryały i sprawozdania w przedmiotach, które mają wejść na porządek dzienny, wymagają nieraz nowych a gruntownych studyów, i nie jednego do nich pobudzą. Drugą korzyścią jest osobiste zetknięcie się uczonych na wspólnéj pracujących niwie, i owa bezpośrednia dyskusya i wymiana myśli, z któréj czasem w godzinie więcéj skorzystać można, więcéj wątpliwości wyjaśnić, więcéj pozornych sprzeczności wyrównać aniżeli przez długą szczegółową korespondencyę. Wreszcie—i w tém nadzwyczaj doniosła korzyść — na takich międzynarodowych kongresach wypowiadają reprezentanci umiejętności, czego nauka od praktyki życia dla rozwoju swego i pomyślnego rozkrzewienia wymaga; a głos taki wyrażający opinię nie jednostki, lecz zebrania uczonych różnych krajów, nie może nie mieć powagi w obec tych, od których nauka ma prawo czegoś żądać. Nie zapomnieć nam zresztą i o tém, że stosunki zawiązane pomiędzy uczonymi różnych krajów, rozciągają wpływ swój zbawienny po za sesye kongresu, że i ogół w tém mieście, gdzie kongres jaki odbywa swe narady, zainteresuje się tą nauką, która jest narad tych przedmiotem—że liczne publikacye, zazwyczaj dla kongresów ogłaszane, przyczyniają się także do rozszerzenia pewnych specyalnych wiadomości. Z tych wszystkich powodów nie możemy się zaliczyć do rzędu niewiernych Tomaszów, którzy kongresom naukowym odmawiają jakichkolwiek doniosłych skutków.

Nie był téż bez ważnych korzyści dziewiąty międzynarodowy kongres statystyczny, który się we wrześniu r. z. odbył w stolicy Węgier. Mając z czynności jego zdać sprawę czytelnikom, winienem przedewszystkiém choćby w najtreściwszym zarysie przedstawić dzieje poprzednich kongresów. Twórcą ich jest ojciec t. zw. szkoły francuskiéj statystyków, która dziś już stanowczo panującą nazwać się może, zmarły przed dwoma laty Quetelet. Mając zawsze na oku prawidło wielkich cyfr, i w przekonaniu, że do pozytywnych rezultatów w dziedzinie tak zwanéj przez niego physique sociale, dojść można tylko za pomocą poró-

wnania dat ze wszystkich krajów i o wszystkich narodach—Quetelet wcześnie powziął myśl międzynarodowéj statystyki, która dopiéro teraz stopniowo i z wielkiemi trudnościami wchodzi w wykonanie. Podjąwszy tę pracę, musiał się na piérwszym zaraz kroku przekonać, że zamiar taki rozbić się musi o wielką różnorodność materyałów. Statystyczne dochodzenia bowiem w każdym kraju w inny sposób, na innych dokonane podstawach; dają w rezultacie cyfry, których porównywanie jest niemożliwém, a gdyby je kto porównywał, doszedłby do najfałszywszych wniosków. Dość przytoczyć owe różnice, jakie w spisach ludności powstają ztąd, iż w jednych państwach liczą ludność tak zwaną prawną (population de droit) t. j. spisują tych tylko, którzy mają prawo obywatelstwa i przynależności w gminie—w innych zaś krajach całą ludność podczas spisu obecną (population de fait). Z tych uwag powstała w uczonym belgijskim myśl stworzenia instytucyi zmierzającéj do tego, by dochodzeniom statystycznym w różnych państwach nadać jednostajność pewną, umożliwiającą ich porównanie. Taką instytucyą miały być kongresy statystyczne, złożone i z uczonych i z reprezentantów urzędowéj statystyki, mające zatém charakter na pół oficyalny, na pół akademicki. Po dwuletnich rokowaniach udało się wreszcie myśl tę urzeczywistnić. Piérwszy kongres statystyczny zebrał się w Brukseli r. 1853, następne zgromadzały się w większych lub mniejszych przerwach czasu, w Paryżu (1855), w Wiedniu (1857), w Londynie (1860), w Berlinie (1863), we Florencyi (1867), w Hadze (1869), w Petersburgu (1872), dziewiąty wreszcie w r. z. w Peszcie. Do przedostatniego jeszcze kongresu kwestya organizacyi jego bardzo ważną odgrywała rolę, i wywoływała nader ożywione spory. Quetelet występował zawsze w obronie półurzędowéj formy kongresów, Engel z Berlina pragnął odjąć im tę cechę, a zamienić w zebrania uczonych tylko. Praktyka sama jednak poparła najlepiéj zdanie Queteleta. Ze wszystkich nauk, żadna nie potrzebuje w tak wysokim stopniu pomocy państwa, jak statystyka. Nie przesadzimy pewno, mówiąc, że z badań statystycznych przynajmniéj trzy czwarte, bez udziału organów rządowych, nie mogłyby być wykonane. Już ta część, która tworzy piérwszą zasadniczą podstawę wszelkich statystycznych badań, to jest statystyka ludności nie da się wykonać usiłowaniami prywatnych, czynność rządowa jest tu bezwarunkowo niezbędną. Z drugiéj znów strony, dochodzenia statystyczne są nietylko sprawą nauki, nietylko leżą one w interesie umiejętności, lecz są one oraz rządową czynnością, bez któréj o dobréj, uporządkowanéj, na jakichkolwiek racyonalnych podstawach opartéj administracyi,

mowy być nie może. Jest tu zatém tak ścisła łączność między nauką a administracyą, że się w statystyce zarząd państwowy bez uczonego, uczony bez reprezentanta rządu obejść nie może. Uchwały kongresu powzięte bez udziału reprezentantów państwa, przebrzmiałyby bez echa, z ich udziałem zaś o wiele łatwiéj i pewniéj mogą wejść w wykonanie. Zresztą w obec tego połączenia interesu nauki i administracyi, jeżeliby kongres nie obejmował reprezentantów jednéj lub drugiéj, bardzo łatwo mogłyby zapadać na nim uchwały, któreby interesom tym nie czyniły zadość, albo téż rozbijały się o przeszkody praktyczne. Względy te ostatecznie przeważyły tak dalece, że na kongresie Petersburskim Engel cofnął swoje organizacyjne wnioski, zatrzymano dotychczasowy półurzędowy charakter kongresu, i w tym téż duchu dokończono dzieła organizacyi, przez utworzenie komisyi stałéj (Commission permanente), złożonéj z urzędowych reprezentantów państw i z referentów poszczególnych działów międzynarodowéj statystyki. Zadaniem téj komisyi jest, według uchwały kongresu petersburgskiego: 1) czuwać nad wykonaniem uchwał przez kongres powziętych, badać i usuwać trudności, jakie się może wykonaniu ich przedstawią; 2) popiérać przyjście do skutku statystyki międzynarodowéj, uchwalać plany na podstawie programów przez referentów przedłożonych; 3) brać udział w przygotowaniach do następnego kongresu, a szczególniéj w ułożeniu porządku dziennego i szczegółowego programu; 4) spowodować w poszczególnych krajach wczesne dochodzenia co do przedmiotów, które mają przyjść pod obrady przyszłego zebrania, i rezultaty dochodzeń tych przedłożyć komisyi organizacyjnéj. Obok komisyi stałéj bowiem, która jest międzynarodową, i któréj skład nie ulega peryodycznym zmianom, istnieje komisya organizacyjna (przygotowawcza), urzędująca w miejscu, gdzie się ma odbyć następna sesya kongresu i złożona z samych tamże zamieszkałych członków.

Cała ta sprawa organizacyjna była, jak już wspomniałem, przedmiotem bardzo żwawych rozpraw na poprzednich sesyach kongresu, co jednakże wcale nie przeszkadzało mu zajmować się właściwemi swemi przedmiotami. I tutaj też kwestye teoretyczne usuwano zwykle na drugi plan, a załatwiano przeważnie sprawy czysto praktycznéj natury. I tak poruszane kilkakrotnie pytanie co do saméjże definicyi statystyki, czy ona jest tylko metodą, czy téż samoistną umiejętnością, jakie są jéj granice i t. p., umilkło zazwyczaj w obec tego względu, iż się takie teoretyczne sprawy przegłosowaniem rozstrzygać nie dadzą, i że ostatecznie rozwijając daléj prace statystyczne dotychczasowym trybem, w końcu dojdzie

się do definicyi, która sama przez się organicznie z tych prac się wyłoni. Nie podobna, ani też byłoby tu na miejscu, streszczać wszystkie uchwały poprzednich kongresów, wyliczać szczegółowo przedmioty, do których się one odnosiły. Wspomniémy tylko, że zajmowano się bardzo gorliwie i na kilku sesyach sprawą spisów ludności, tudzież statystyką ruchu ludności, a owoce tych narad już się objawiły w spisach i prowadzeniu rejestrów nie jednego państwa; daléj statystyką zbiorów, cen i płac, ruchu towarów na kolejach, obrotu pieniężnego i kredytu, przemysłu i t. p. Wszystkie uchwały dotychczasowe kongresów, zebrał i ogłosił najprzód Quetelet p. t. „Congrès international de statistique“ (Bruksela 1873)— a p. Semenow uzupełnił je uchwałami petersburskiemi i wydał w Petersburga p. t. „Compte rendue des sèances ét travaux du congrès international de statistique“.

Kongres peszteński, i pod względem składu swego i prac dokonanych, nie ustępuje w niczem poprzednim, a nawet śmiało twierdzić można, iż co do prac przygotowawczych zajmuje on jedno z piérwszych miejsc. Wspomnijmy przedewszystkiém o składzie. Honorowym prezydentem kongresu był Arcyks. Józef, prezydentami: minister oświaty Trefort, który wówczas prowizorycznie kierował także ministerstwem handlu i rolnictwa, arcybiskup Haynald, i p. Koleti dyrektor królewskiego węgierskiego biura statystycznego. Oprócz wymienionych, zamianowano jeszcze 28 wiceprezydentów, oczywiście nie dla istotnego urzędowania, lecz raczéj dla uczczenia zasług, lub odszczególnienia rządów które ich delégowały. Obecnych na kongresie było według listy sekretaryatu 455, liczbę tę trzeba jednak znacznie obniżyć, a to z tego powodu, że jak i na poprzednich kongresach, tak i tutaj w Peszcie, zapisało się bardzo wielu miejscowych, którzy w naradach żadnego nie brali udziału. Z Węgier więc, zapisanych było 282, między któremi ledwie 50 rzeczywistych uczestników; obcych zaś członków, którzy wszyscy byli obecni 173, a mianowicie: z Austryi 42, z Niemiec 33, z Rosyi 30, z Francyi 12, z Belgii 11, z Anglii 10, z Włoch 7, z Danii 4, z Szwecyi i Szwajcaryi po 3, z Rumunii, Portugalii, Holandyi i Egiptu po 2, z Brazylyi, Hiszpanii, Grecyi, Luxemburgu, Norwegii i Serbii po 1, nawet księstwo Monaco miało swego przedstawiciela, Japoński zaś rząd uprosił delegata francuzkiego p. Maurycego Blocka, by reprezentował Japończyków na kongresie.

Lista członków kongresu zawiéra wiele nazwisk bardzo znakomitych: Ernest Engel, dzisiaj po Quetelecie piérwsza powaga na polu urzędowéj statystyki, Maurycy Block, prof. Gneist, prof. Hil-

debrand, prof. Stein, Brachelli, Maksymilijan Wirth, Becker dyrektor cesarsko-niemieckiego biura statystycznego, Dr. Janssens z Brukseli, którego prace na polu statystyki zdrowia zajmują piérwszorzędne miejsce, Farr z Londynu, Levasseur z Paryża ekonomista statystyk i geograf, Correnti były minister oświaty włoski, Yvernès, autor międzynarodowéj statystyki sądownictwa cywilnego i wielu innych.

Z polaków byli obecni i brali czynny udział w pracach sekcyjnych: Witold Załęski z Warszawy, Józef Poznański z Petersburga, profesor Oczapowski z Krakowa, Jarosław Michałowski delegat kolei Karola Ludwika, Otton Hausner, poseł sejmu galicyjskiego i Tadeusz Romanowicz ze Lwowa.

Dodać jeszcze należy, co do składu kongresu, iż na żadnym poprzednim kongresie nie były tak licznie jak na peszteńskim reprezentowane miejskie biura statystyczne; skutkiem czego utworzyła się osobna komisya dla statystyki wielkich miast, a na następnym kongresie ma być ukonstytuowaną osobna sekcya miast. Reprezentowane były: Londyn, Paryż, Bruksela, Wiedeń, Peszt, Wrocław, Praga, Lwów, Lipsk, Monachium, Chemnitz, Drezno, Neapol, Altona. Oprócz reprezentantów tych miast, brali jeszcze udział gorliwy w czynnościach téj nowéj w kongresie komisyi p. Załęski, tudzież delegaci szwajcarscy p.p. Kinkelin i Kummer.

Według pierwotnego programu miał się kongres podzieliś na 5 sekcyi: 1) teorya statystyki i ludność, 2) sprawiedliwość, 3) higiena publiczna, 4) rolnictwo i leśnictwo, 5) przemysł, handel, komunikacya, finanse. Gdy jednak sekcya piąta byłaby zanadto obarczoną, przeto przyłączono finanse, co do których były tylko wnioski dotyczące finansów wielkich miast, do sekcyi piérwszéj i utworzono jeszcze osobną sekcyę szóstą, któréj przekazano sprawy handlu i komunikacyi. Jak się łatwo domyśléć, i jak zresztą dzieje się we wszystkich tego rodzaju licznych zebraniach, główna waga prac kongresu spoczywała w sekcyach. Na posiedzeniach sekcyjnych referenci obszerniéj motywowali swe wnioski, rozprawy łączyły się więcéj szczegółowe i wyczerpujące, zaś na pełném zgromadzeniu kongresu przyjmowano już bez dyskusyi wnioski, przez sekcyjnych sprawodawców przedstawiane. Dla tego też chcąc dać obraz prac przygotowawczych i wyników narad kongresu, najwłaściwiéj będzie przedmiot cały podzielić według sekcyi.

Pierwszym przedmiotem narad *sekcyi pierwszéj* była *statystyka* jako przedmiot nauki w szkołach ludowych, średnich i wyższych. Prace przygotowawcze do tego przedmiotu przedstawili: *Konek* profesor statystyki w uniwersytecie peszteńskim, profesor *Levasseur*

z Paryża, i profesor *Jahnson* z Petersburga. Piérwszy był głównym sprawozdawcą. Prace te były bardzo wyczerpujące, a już po ich przejrzeniu można było wnioskować, że rozprawy będą ożywione i dość sporne. Profesor Konek w memoryale swym wychodzi z tego założenia, że statystyka będąc nietylko ową wyższą umiejętnością, którą Quetelet nazwał physique sociale, inni demologią i demografią, ale zarazem zebraniem pewnych dat, wyjaśniających stan społeczeństwa i państwa, a każdemu obywatelowi, każdemu wykstałconemu człowiekowi potrzebnych — zamieścił we wniosku swym jako ustęp piérwszy, iż statystyka ma być przedmiotem nauki na *wszystkich* stopniach nauczania. W szkołach elementarnych należy dawać wiadomości statystyczne dotyczące rodzinnego kraju, posługując się przytém przeważnie metodą graficzną i kartograficzną, a bardzo tylko umiarkowanie używając cyfr. Prócz tego należy według sprawozdawcy w szkołach elementarnych dodać przedewszystkiém zrozumienie potrzeby dochodzeń statystycznych, tudzież poczucie obowiązku współdziałania ze strony ludności. W wyższych klasach szkół elementarnych, tudzież w szkołach uzupełniających, zwanych u nas wydziałowemi, u Niemców „Bürgerschulen,“ należy także nauczać sposobu, w jaki te dochodzenia mają być czynione, a ich wyniki zbiérane i obliczane. W szkołach średnich zakłada sprawozdawca nauce statystyki tenże sam cel, tylko w obszerniejszym zakresie, i radzi stosować ją do tego, czy są to szkoły przygotowujące do wyższego wykształcenia umiejętnego, czy téż technicznego, W szkołach specyalnych naprzykład: rolniczych, leśnych — radzi, żeby uwzględniano przedewszystkiém statystykę tego działu, któremu szkoła jest poświęcona. Wnosi wreszcie, żeby na uniwersytetach statystyka więcéj była uwzględnianą niż dotąd, żeby tworzono seminarya statystyczne (jak w Berlinie) i żeby przy egzaminach na posady urzędowe statystyka była przedmiotem obowiązkowym.

Levasseur w memoryale swoim nie stawia żadnych sformułowanych wniosków. Zajmuje stanowisko toż samo co Konek, mówi także o nauczaniu statystyki w szkołach elementarnych, główną zaś a z wielką werwą napisaną część swéj rozprawy poświęca metodzie nauczania, szczególniéj metodzie graficznéj. *Jahnson* wreszcie zajął wręcz przeciwne stanowisko i wyklucza statystykę stanowczo ze szkół elementarnych. W szkołach średnich żąda, ażeby używając przeważnie metody graficznéj, podawano przy sposobności dane statystyczne ile możności w cyfrach stosunkowych i procentowych. Główny zaś nacisk kładzie na naukę statystyki w uniwersytetach i wyższych zakładach specyalnych, gdzie oprócz

kursu teoretycznego żąda także zaprowadzenia kursów praktycznych, z którychby uczniowie wynieśli techniczną wprawę do prac statystycznyh.

Domyślicie się łatwo, że najżywszą dyskusyę wywołała zaraz piérwsza kwestya, czy i o ile można mówić o nauce statystyki w szkołach elementarnych. Przeciwnicy— do których i wasz sprawozdawca się przyłączył—przytaczali, że niepodobna szkół tych tak obciążać, ażeby każda gałęź wiedzy ludzkiéj do nich się domagała wstępu, że trudno umysły dziecięce obciążać cyframi, które zresztą zmieniają się, podczas gdy włościanin np. nie będzie miał sposobności po kilkunastu latach sprostować tego, czego się w szkółce nauczył, a co już będzie fałszywém— że daléj, jeżeli rozchodzi się o nauczenie sposobów zbiérania dat, to tego w szkole elementarnéj dziecko nie pojmie i nie zrozumie, że zatém daleko lepiéj będzie, gdy kandydatów nauczycielskich z tém się obznajomi, ażeby nauczyciel, ten naturalny doradzca i pomocnik gminy, mógł jéj być pomocnym, gdy ma sporządzać wykazy i t. p.— Po długiéj i bardzo ożywionéj dyskusyi, w któréj właściwie nikt nie bronił wniosków Koneka w tak skrajném sformułowaniu, jakie im nadał wnioskodawca, zapadły w tym przedmiocie następujące uchwały:

1) Nauka statystyki w szkołach elementarnych nie wydaje się (ne parait pas) teraz możliwą.

2) Pewne wiadomości statystyczne, odnoszące się głównie do znajomości kraju rodzinnego, należy do szkół tych wprowadzić, w ramach elementarnéj geografii.

3) Nauczanie to ułatwiać należy zapomocą diagramów, kartogramów i zapomocą wyłącznie do tego przeznaczonéj książki. Byłoby do życzenia, żeby książka taka ułożoną była tak, by się mogła jak najszerzéj między ludem rozejść i wyjaśnić metodę i niezbędność głównych dochodzeń statystycznych.

4) W tych klasach, w których nauka geografii zajmuje ważniejsze miejsce, jest do życzenia, żeby te wiadomości statystyczne były dane w obszerniejszym zakresie.

5) W wyższych klasach szkół średnich należy zaprowadzić specyalny kurs statystyki narodowéj, w porównaniu z innemi państwami.

6) Zakłady, w których się kształcą nauczyciele, powinny mieć kurs podobny jak szkoły średnie.

7) W zakładach wyższych, poświęconych umiejętnościom politycznym i administracyjnym, powinny istnieć katedry statystyki. Przy examinach do służby administracyjnéj, tudzież przy exami-

nach do doktoratu z umiejętności politycznych, należy także uwzględniać statystykę.

8) Kongres wyraża życzenie, aby obok teoretycznych wykładów statystyki były urządzane kursa praktyczne, i żeby w tym celu, obok katedr tych istniały biblioteki specyalne statystyczne, i żeby wreszcie biura statystyczne były ile możności w zetknięciu z profesorami, bez naruszenia jednak obustronnéj niezależności.

9) We wszystkich wyższych zakładach specyalnych, nauka statystyki powinna być zaprowadzoną przynajmniéj w formie opisowéj i z zastosowaniem do tego zawodu, któremu szkoła jest poświęconą.

10) Biuro statystyczne każdego kraju winno się przyczynić do pomyślnego rozwoju dochodzeń statystycznych, za pomocą praktycznych kursów dla administracyjnych urzędników.

11) W zakładach średnich i wyższych, tak samo jak w szkołach elementarnych, metoda graficzna powinna być w obszernym zakresie użytą.

Dodać jeszcze muszę, iż bardzo żywe spory spowodowała kwestya, czy należy katedry statystyki łączyć z biurami statystycznemi tak, aby dyrektor biura był zarazem profesorem i jako taki, kierownikiem seminaryum. Ostatecznie zgodzili się prawie wszyscy, że zależy to przeważnie, a prawie wyłącznie od indywidualności; najlepszy dyrektor biura może być bardzo lichym profesorem, i odwrotnie; i dla tego w powyższych rezolucyach kwestya ta, która zresztą bardzo niewłaściwie była poruszoną, nie została rozstrzygniętą.

Ściśle umiejętne znaczenie miał drugi przedmiot obrad sekcyi pierwszéj: „*jakich podstaw ma dostarczyć statystyka do obliczenia tabeli śmiertelności*.“ Memoryały w téj sprawie opracowali: Becker, dyrektor cesarsko-niemieckiego biura statystycznego, Baumhauer, dyrektor biura holenderskiego, Shörössi, dyrektor miejskiego biura stat. w Peszcie, i ostatecznie jako główny sprawozdawca, prof. Lewen z Pesztu.

Do układania tabeli śmiertelności używano dotąd najpowszechniéj metody *Hermana*, polegającéj na tém, że liczbę zmarłych w pewnym wieku odnoszono do ogółu współcześnie urodzonych, t. j. do ogółu urodzonych w tym roku, z którego właśnie ci zmarli pochodzą. Jeżeli np. w r. 1876 zmarło w pewnym kraju 1500 mężczyzn 50-letnich, odnosi się tę cyfrę do liczby narodzonych w r. 1826, a stosunkowa cyfra ztąd uzyskana powie nam, ilu z pokolenia w r. 1826 zrodzonego zmarło w 50 roku życia. W ten sposób uzyskuje się *kolej wymiérania*, z któréj obliczyć można prawdopodobieństwo życia, i prawdopodobieństwo śmierci dla poszcze-

gólnych kategoryi wieku. Metoda ta wychodzi z tego zasadniczo mylnego założenia, że ci zmarli np. w 50 roku życia pochodzą z tego samego pokolenia, które się w tymże kraju w r. 1826 urodziło — czyli, przypuszcza identyczność zmarłych z urodzonymi, która w obec zmian jakie zachodzą w skutek wychodztwa z jednéj, a napływu obcych z drugiéj strony, jest wręcz niemożliwą. Drugą zaś słabą stroną metody Hermana jest to, iż według niéj, dla uzyskania zupełnéj tabeli śmiertelności, potrzeba niezbędnie, spostrzeżenia i obliczenia na których się tabela taka opiéra, prowadzić przez całych *lat sto;* co w obec faktu iż w bardzo wielu państwach zaledwie od 20 lub 30 lat prowadzą tak dokładne zapiski, jakich tu potrzeba, odracza tę całą sprawę w bardzo daleką przyszłość. Chciał tego uniknąć i po części uniknął *Wargentin* w swojéj metodzie, w któréj wprowadza do układania tabeli śmiertelności trzeci jeszcze element— t. j. żyjących w każdéj klasie wieku, i do niéj odnosi cyfrę zmarłych. Skoro bowiem spis ludności daje nam liczbę żyjących według wieku, skoro zapiski porodów i śmiertelności dają znowu liczbę narodzonych tudzież liczbę zmarłych według wieku, skoro wreszcie, następny spis ludności dozwoli sprawdzić, jaka jest różnica między tak obliczoną a istotną liczbą ludności każdéj kategoryi wieku, którą to różnicę mogę kłaść na karb wychodztwa lub napływu obcych, to nie potrzeba wtedy do ułożenia tabeli czekać całych stu lat — ale materyał zebrany pomiędzy dwoma spisami ludności wystarcza, a zestawienie będzie tém lepsze, im częstsze będą spisy. *Farr* starał się ulepszyć metodę Wargentina, przez przybliżone obliczenie wpływu wychodztwa, a *Knapp* i *Zeuner*—trzymając się w zasadzie téj saméj metody, ujęli ją w matematyczne formułki. W obec tego stanu rzeczy autorowie memoryałów w tym przedmiocie kongresowi przedstawionych, właściwie mogli poprzestać ściśle na tém, by od powiedzieć: czego statystyka ma dostarczyć, by można zestawić dobre tabele śmiertelności? Stało się jednak inaczéj. *Becker*, starał się w obszernéj rozprawie udowodnić, iż to samo do czego Knapp dochodzi tylko za pomocą wyższéj matematyki, przez rachunki różniczkowe, można osiągnąć w drodze czysto elementarnéj—ztąd też obszerna jego i bardzo gruntowna rozprawa jest przeważnie matematyczna, w konkluzyi zaś żąda, ażeby spisy ludności odbywały się przynajmniéj co 10 lat, i rozróżniały wiek nie w dłuższych okresach ale od roku do roku (co zresztą kongres już dawniéj uchwalił),— ażeby daléj wykazywano urodzonych według miesięcy, zmarłych według wieku, ale z dodaniem roku

urodzenia — wreszcie żeby wykazywano przychodźców i wychodźców.

Inaczéj *Körössi*. Przeprowadziwszy krytykę dotychczasowych metod, które wszystkie odrzuca jako niedokładne, rozwija nową zupełnie metodę tak zwaną *indywidualną*. Sądzi bowiem, że dla uniknięcia wszelkich błędów, jakie wynikają z fluktuacyi ludności przez wychodztwo i przychodztwo, należy koniecznie dążyć do tego, ażeby działać cyframi zupełnie jednotliwemi, czyli brać w rachubę tylko tych zmarłych, którzy pochodzą z pokolenia w témże samém miejscu, w tym samym kraju zrodzonego. W tym samym celu należy koniecznie obserwować niejako każde indywiduum od urodzenia do śmierci, należy co do każdego zmarłego stwierdzić, czy był liczony w poprzednim spisie ludności czy nie, albo czy po spisie urodził się w tém samém miejscu a względnie w tym samym kraju, i tylko tych zmarłych odnosić do cyfry urodzonych tudzież do liczonych przy ostatnim spisie. Teoretycznie spotyka tę metodę zarzut, iż popada w błąd wręcz przeciwny temu, którego uniknąć pragnie. Metody poprzednie dają cyfrę śmiertelności stosunkowéj nieco za wielką — bo nie uwzględniają przychodźców. Metoda Körösyego da cyfrę za małą, bo nie uwzględnia tych, którzy, czy to stale po za krajem zamieszkali, czy też chwilowo go opuścili i zagranicą zmarli. Praktycznie zaś byłaby ta metoda w wykonaniu tak trudną i uciążliwą, że się wydaje prawie niemożliwą. W mniejszych zakresach, np. w mieście, łatwiéj by ją zastosować można, ale w kraju—nigdy, a wszelkie tego rodzaju obliczenia, tém większą mają wartość, im obszerniejsze obejmują zakresy.

W sposób niekoniecznie powadze uczonego i powadze kongresu odpowiedni—wytknął sprawozdawca *Lewin* te wady metody „indywidualnéj“ Körössyego, a niewątpliwie sprawa cała byłaby wielce na tém zyskała, gdyby krytyka była więcéj objektywną. Z tém wszystkiem praca Lewina, który pod wielu względami poprawia Beckera, zasługuje ze wszech miar na uwagę. Ostatecznie dochodzi on do tych samych co Becker rezultatów, a sekcya wielką większością przyjęła ich wnioski, z tym dodatkiem, iż przez to jeszcze bynajmniéj nie usuwa się i nie potępia żadnéj innéj metody. Wnioski te przeszły też i na pełném posiedzeniu kongresu.

Gdy wszyscy reprezentanci *miejskich biur statystycznych* należeli do sekcyi piérwszéj, przeto porozumiawszy się miedzy sobą wnieśli na posiedzeniu pełnéj sekcyi, ażeby im wolno było utworzyć osobną komisyę, którejby poruczono sprawę statystyki finansów miejskich, a zarazem dano prawo zajęcia się innymi jeszcze

przedmiotami statystyki miast, jakie za stosowne uzna. Wniosek ten przyjęto, i skutkiem tego po raz piérwszy na kongresie utworzono tę osobną komisyę dla miast, która na przyszłość ma tworzyć zupełnie samodzielną sekcyę. Spodziéwamy się też, że w sekcyi téj na przyszłym kongresie zasiądzie i reprezentant miasta Warszawy, które powinnoby raz przecie przyjść do własnego biura statystycznego, skoro inne, mniejsze miasta, mają już takie biura. Przewodniczącym komisyi był Körössy, a przyznać trzeba, iż ta komisya może najgorliwiéj ze wszystkich pracowała, szczególniéj, że jéj członkowie brali prócz tego udział w pełnych posiedzeniach sekcyi.

Piérwszym przedmiotem obrad była sprawa cyfry śmiertelności, t. j. stosunku zmarłych do ludności. Jakich zmarłych brać za podstawę, czy tylko z pomiędzy stałych mieszkańców miasta, czy i z obcych? czy tylko cywilnych czy i wojskowych? Jaką ludność wziąść za podstawę — stałą tylko i cywilną, czy też całą wraz z wojskowymi? Po dłuższéj rozprawie uznano, iż gdy rozróżnienie stałéj i niestałéj ludności jest zawsze zupełnie dowolne, gdy daléj spisy ludności obejmują zarówno jedną jak i drugą, gdy nakoniec statystyka winna dać zawsze obraz życia *całéj* bez wyjątku ludności, — przeto najwłaściwiéj będzie za podstawę cyfry śmiertelności brać z jednéj strony wszystkich zmarłych bez wyjątku, z drugiéj zaś całą ludność, bez żadnego rozróżniania i wyłączania. Gdy jednak spisy ludności nie odbywają się co roku, przeto dla uzyskania przybliżonéj liczby ludności należy procent rocznego wzrostu, jaki się okaże z porównania ostatnich dwóch spisów, brać za podstawę dalszego wzrostu, i na téj zasadzie obliczać *średnią* cyfrę ludności w roku, którego śmiertelność ma się oznaczyć.

W ścisłym związku z tém, była poruszona przez Farra sprawa tygodniowych buletynów śmiertelności w miastach. Biuro londyńskie zostające pod dyrekcyą Farra, daje świetny przykład urządzenia tych buletynów, co tygodnia bowiem, ogłasza buletyn śmiertelności nietylko Londynu, ale i wszystkich większych miast Anglii. Berlin, Drezno, Praga, Wiedeń, Peszt i inne większe miasta ogłaszają i rozsyłają buletyny tygodniowe, Lwów miesięczne. Rozchodziło się o to, ażeby ułożyć formularz, któryby mógł posłużyć wszystkim miastom za wzór. Ostateczną redakcyą formularza zajął się *Jannasch* (Drezno) a wnioski jego przyjęto z niewielkiemi zmianami. Postanowiono, ażeby ile możności w biurach większych miast koncentrowały się buletyny z innych miast kraju, i żeby je ogłaszano razem, tudzież żeby wszystkie biura staty-

styczne udzielały sobie wzajemnie swych buletynów. Szczegółów formularza nie podaję, — dodam tylko, iż postanowiono zarazem, aby zamieszczać tam także liczbę narodzonych dzieci z rozróżnieniem żywych i nieżywych, tudzież główne dane meteorologiczne z ubiegłego tygodnia. Do ułożenia formularza i w ogóle do załatwienia téj bardzo ważnéj sprawy, przyczynili się szczególniéj oprócz wspomnianego już referanta Jannascha, Farr z Londynu i Jahnsen dyrektor biura higieny publicznéj w Brukseli.

Oprócz tych dwóch spraw, odnoszących się do ruchu ludności, a co do których nie było żadnych opracowanych naprzód memoryałów, zajmowała się komisya statystyką finansów miejskich, na podstawie memoryału Körössyego. Uchwalono zbiérać corocznie wykazy *a*) dochodów, *b*) wydatków, *c*) stanu majątku miasta. Pragnąc rzecz uprościć i nie obciążać wykazów zbyt drobiazgowemi szczegółami, popadł sprawozdawca w błąd przeciwny, opuszczając niektóre bardzo ważne rubryki, które téż zostały przez komisyę uzupełnione. Co do dochodów i wydatków, podstawą wykazów mają być nie budżety lecz zamknięcia rachunkowe, i to nie wyniki obrotu lecz wyniki kasowe, to znaczy, bez uwzględnienia tak czynnych jak i biernych należności w ciągu roku nie pobranych lub nie wypłaconych. Co do stanu majątku, wchodzą w wykaz tylko te przedmioty, które dają dochód lub oszczędzają wydatek— nie zaś przedmioty publicznego użytku, jak muzea, galerye, biblioteki i t. p.

Wszystkie wnioski komisyi miast zostały przez sekcyę a następnie przez kongres przyjęte. Wniosek o utworzenie w przyszłych kongresach osobnéj sekcyi dla statystyki wielkich miast, został odesłany do komisyi stałéj, jako należący do jéj kompetencyi.

Do *Sekcyi drugiéj* zaliczono wszelkie sprawy odnoszące się do *statystyki sądownictwa*. Kilkakrotnie już poruszano w kongresach myśl jednolitéj nomenklatury czynów karygodnych, któraby umożliwiła porównawczą statystykę zbrodni w różnych państwach. Umieszczono téż przedmiot ten na porządku dziennym dziewiątego kongresu, znowu jednak bezskutecznie, sekcya bowiem odroczyła tę sprawę do następnego zebrania kongresu. I sądzimy, że następny kongres nie wiele więcéj zdoła w téj mierze uczynić. Trzeba bardzo wielkiego ujednostajnienia ustawodawstwa karnego w różnych państwach, ażeby można osiągnąć jednolitą nomenklaturę. Że zaś ustawodawstwo karne bardziéj może, niż jakakolwiek inna gałęź ustawodawstwa, musi uwzględniać odrębne stosunki społeczeństwa dla którego ma miéć moc obowiązującą, przeto téż, nie tak łatwo można się tu spodziéwać iż rządy uwzględniłyby życzenia kongresu

i zaprowadziły w swych ustawach karnych te zmiany, które, ze względu na porównawczość danych statystycznych, byłyby pożądane. Przez długi czas jeszcze, będziemy się musieli zadawalniać porównywaniem głównych tylko kategoryj zbrodni jak np: skierowanych przeciw własności lub przeciw osobie—pochodzących z chęci zysku lub z namiętności i t. p.

Dalszym przedmiotem narad téj sekcyi była statystyka powtórnie karanych tak zwanych recydywistów. Kongres miał w tym przedmiocie przedłożone sobie bardzo dobre prace przygotowawcze. P. Yvernès opracował bardzo gruntowny memoryał p. t. „o recydywie i systemie więzień w Europie,“ oparty na zbadaniu stanu rzeczy we wszystkich państwach europejskich. Przedstawia w nim naprzód przepisy ustaw, odnoszące się do powtórnie karanych, następnie sposoby dochodzenia i sprawdzenia recydywy, stan tego działu statystyki, dalej różne systemy kar, nakoniec w jaki sposób dochodzą rządy wpływu systemu kar na recydywę. W sprawozdaniu swém i wnioskach do memoryału tego dołączonych, zaleca system francuski tak zwany *casiers judiciaires*. Polega on na tém, że po każdem orzeczeniu karném sąd wyrokujący przesyła sądowi okręgu rodzinnego skazanego, tak zwany buletyn, obejmujący w streszczeniu wszelkie potrzebne dane, jeżeli zaś skazany jest cudzoziemcem, przesyła się buletyn do ministerstwa sprawiedliwości. W każdéj zaś rozprawie sądowéj, udaje się sąd śledczy do trybunału tego okręgu, z którego podsądny pochodzi, z zapytaniem, czy podsądny ma w tamtejszych „Casiers“ swój buletyn, i o przesłanie w takim razie wyciągu. System ten, oprócz Francyi, zaprowadzonym jest także we Włoszech, Portugalii i niektórych kantonach szwajcarskich. Rosyjscy członkowie kongresu zaś, przeciwstawili temu systemowi, sposób używany w Rossyi, który polega na tém, że ministerstwo sprawiedliwości publikuje i rozsyła trybunałom alfabetyczne spisy wszystkich skazanych, po czém już oczywiście stwierdzenie recydywy nie ulega trudnościom. Między temi dwoma systemami staczano w sekcyi żywą walkę, która nie została rozstrzygniętą, sekcya bowiem uchwaliła w ogóle, wyrazić życzenie, aby starano się o jak najdokładniejsze przy każdym wyroku stwierdzenie faktu recydywy, „za pomocą systemu francuskiego albo rosyjskiego.“ Dalsze uchwały odnoszą się do szczegółów, jakie co do każdego recydywisty stwierdzić należy, szczególniéj zaś tych, z którychby można wnioskować jaki jest wpływ przyjętego systemu więzień, przy czém nie pominięto i takich szczegółów jak: zatrudnienie przed uwięzieniem, jakiego rzemiosła wyuczył się w więzieniu? i t. p.

Do statystyki ksiąg gruntowych i hipotecznych były dwa memoryały: Zlinszkiego i Sznierera, obu z Pesztu. Piérwszy podjął się bardzo mozolnéj pracy zestawienia głównych cech charakterystycznych ksiąg hipotecznych w różnych krajach, drugi zaś, przedstawił ściśle sformułowane wnioski, na podstawie których sekcya uchwaliła, iż należy zestawiać: 1) ilość i wartość ciał tabularnych; 2) ilość i wartość zmian w ciągu roku zaszłych tak w stanie własności jak i w stanie ciężarów; 3) ogólną wartość obciążenia; 4) podział tego obciążenia na kategorye: *a*) według wysokości kwot, *b*) według wysokości procentu. Byłoby nadzwyczaj pożądaném, ażeby uchwały te weszły wszędzie w wykonanie, wszak stan obciążenia własności nieruchoméj jest jedną z najbardziéj charakterystycznych cech ekonomicznego stanu społeczeństwa; ale zachodzi obawa, że w obec ogromu pracy jakiegoby wymagało wykonanie szczególniéj trzeciego punktu tego programu, nie prędko doczekamy się takiéj statystyki hipotek. Nie mogę téż pominąć téj okoliczności, że podczas rozpraw nad tym przedmiotem p. Hausner ze Lwowa, podniósł znakomite i prawdziwie wzorowe urządzenie ksiąg hipotecznych w Królestwie, o których i referent Zlinszky i inni jakoś przepomnieli.

Sekcya druga miała prócz tego oddaną sobie jeszcze statystykę towarzystw akcyjnych i w ogóle spółek bezimiennych, sprawę tę jednak pozostawiam do sprawozdania z czynności sekcyi piątéj, która ją załatwiła na wspólném z członkami sekcyi drugiéj posiedzeniu.

Statystyka higieny publicznéj, była przedmiotem obrad sekcyi *trzeciéj*. Program obejmował: 1) statystykę chorób epidemicznych; 2) statystykę specyalną cholery; 3) miejsc kąpielowych i wód mineralnych. Dwa piérwsze przedmioty do których memoryały nadesłali Fodor prof. uniwersyt. w Peszcie, Nusser lekarz miejski w Wiedniu, Berg dyrektor szwedzkiego biura statystycznego, słynny dr. Maksymilian Patenkoffer, i Koranyi profes. uniwer. w Peszcie—zostały ujęte w szereg wniosków, prócz Fodora i Koranyego. Najżywszą dyskusyę wywołała kwestya, czy można od prywatnych lekarzy uzyskać statystykę chorych, czy też poprzestać na statystyce zmarłych, do któréj niezawodnego materyału dostarczą lekarze oglądający ciało, tudzież na wykazach ruchu epidemicznie chorych w szpitalach. Tego szczuplejszego zakresu bronił szczególniéj Nusser, dowodząc, że przy największéj nawet usilności nie udało się dotąd nigdzie uzyskać dobréj, we wszystkich szczegółach niezawodnéj statystyki chorych; że przeto lepiéj i pewniéj będzie wysnuwać wnioski z wykazów zmarłych, które dają o wiele silniejszą

podstawę. Zdanie to znalazło pośrednie poparcie w memoryale nieobecnego na kongresie Berga, który główną zwrócił uwagę na to, jak należy podczas epidemii mieć zorganizowaną służbę lekarską, i jaki ma być jéj stosunek do władz administracyjnych i statystycznych – a zakończył wnioskiem, że *jeżeli* taka będzie organizacya—*wtedy* będzie można myśléć o dobréj statystyce chorych. Otóż to „jeżeli“ jest tak dalekim do urzeczywistnienia, że w bardzo daleką przyszłość usuwa całą tę sprawę, nie zadziwi to zresztą nikogo, kto kiedykolwiek probował od prywatnych lekarzy uzyskać daty statystyczne co do ilości leczonych chorych. Z drugiéj jednak strony nasunęła się ta uwaga, że jeżeli administracya mogła przy epidemii cholerycznéj doprowadzić do tego, że i lekarze ordynujący i właściciele domów są obowiązani do przesłania wiadomości o każdym wypadku choroby, chociażby on nie zakończył się śmiercią—to można i w innych chorobach epidemicznych tego sprobować. Przyjęto więc zasadę, iż należy dochodzić zarówno liczby chorych jak i zmarłych, i dla jednych i drugich dochodzeń ułożono dość szczegółowe formularze. Co do cholery zaś—wspólnie ułożone wnioski Fodora i Koranyego obejmują 99 punktów odnoszących się do wszelkich osobistych stosunków chorych i zmarłych, do pomieszkań, ogólnych higienicznych stosunków miejscowości i t. p. Pytania te są bardziéj lub mniéj szczegółowe według tego do jakiéj miejscowości się odnoszą, cały bowiem program podzielono na cztery części: 1) dla takich miast, w których będzie urządzona osobna stacya obserwacyjna, osobna statystyczno-sanitarna komisya dla cholery; 2) dla miast w których wprawdzie urządzenia takiego nie ma, ale istnieje publiczna służba zdrowia; 3) dla miejscowości nie mających publicznych lekarzy; 4) dla okrętów i portów. Sekcya zgodziwszy się na punkta zasadnicze, wybrała osobną komisyę do zbadania owych 99 pytań i ostatecznego uchwalenia kwestyonarza.

Do statystyki miejsc kąpielowych i wód mineralnych nadesłali memoryały Gross z Pesztu i Schneller z Wiednia. Oprócz tego Körössi i Jellinek (Praga), przesłali wnioski co do badań meteorologicznych w miejscach kąpielowych, a doktorowie Pichler i Hirszweld z Wiednia, ułożony wspólnie spis miejsc kąpielowych w Europie, z podziałem według krajów, tudzież według rozmaitych chemicznych właściwości wód. Sprawozdawcą był prof. Jan Hunfalvy z Pesztu. Z wykazów tych mają być wyłączone kąpiele morskie, zakłady hydropatyczne, tudzież wszelkie kąpiele w zwyczajnéj wodzie. Wnioski Grossa i Schnellera były w zasadzie zgodne, tylko piérwszy kładł większy nacisk na statystykę chorych, pod-

czas gdy Schneller starał się objąć wszelkie stosunki miejscowości saméj, stosunki klimatyczne i topograficzne, wszelkie właściwości wody, jéj ilość, ciepłotę, skład chemiczny, daléj stan zakładu i t. p., przyjmując jako wzór włoską statystykę kąpielową. Hunfalvy w swém sprawozdaniu uwzględnia zarówno jedną jak i drugą stronę badań, a kończy wnioskami, które wyrzekają w zasadzie potrzebę prowadzenia dokładnéj statystyki wód mineralnych, wzywają rządy do téj czynności, a zaleciwszy by wykazy miejsc kąpielowych były w ciągłéj ewidencyi uregulowane, rozróżniają kąpiele mniéj ważne, od takich, które szczególniéj na uwagę i na dokładniéjsze dochodzenia zasługują. Wnioski te zostały przyjęte. Dodać należy, iż sprawa ta była po raz piérwszy przedmiotem obrad kongresu.

Sekcya czwarta zajmowała się statystyką rolnictwa i leśnictwa. Miała ona już dobrze utorowaną drogę, ponieważ sprawa ta była już kilkakrotnie przedmiotem obrad kongresu statystycznego, a w r. 1873 międzynarodowy kongres rolniczy, który w Wiedniu podczas wystawy obradował, zajmował się także statystyką rolniczą, i powziął w téj mierze szereg uchwał, na podstawie wniosków tak kompetentnego sprawozdawcy, jakim jest August Meitzen. Również szczegółowe w téj mierze uchwały, odnoszące się jednak do austryackiéj a nie międzynarodowéj statystyki rolniczéj, powziął austryacki kongres rolniczy odbyty w Wiedniu, w r. 1868. Obszerny przeto materyał miał przed sobą p. Keleti, przygotowując dla peszteńskiego kongresu staystycznego, memoryał i sprawozdanie w tym przedmiocie. Dodać jeszcze należy, że kongres rolniczy z r. 1873 uchwalił był życzenia, aby dla spraw statystyki rolniczéj komisya stała kongresu statystycznego, wzmocnioną została fachowymi delegatami, w skutek czego jako tacy delegaci wzięli udział w pracach komisyi pp. Fisserand z Francyi i Björkmann ze Szwecyi, ale memoryałów dla kongresu nie przygotowali. Owoż p. Keleti, jako sprawozdawca przyznał przedewszystkiem, iż postanowił utrzymać we wnioskach swych łączność pomiędzy kongresem rolniczym a statysty cznym, i dla tego ponawia uchwały piérwszego co do dwojakich dochodzeń, a) peryodycznych, co 10 lat powtarzanych, i b) corocznych tudzież co do udziału ludzi fachowych w naradach nie tylko komisyi stałej ale i kongresu. Rozróżnia daléj, trojakie tych dochodzeń przedmioty: 1) takie, które mogą być przedstawione tylko w formie opisowéj, za pomocą ankiety, jak warunki produkcyi rolniczéj tak przyrodzone jak i społeczne, stosunek różnych rodzajów uprawy, ustawodawstwo odnoszące się do rolnictwa, uboczne zatrudnienia ludności rolniczéj i t. p. 2) takie, które mogą być przedstawione za pomocą bezpośrednich dochodzeń, nakoniec 3) takie, któ-

re są wynikiem kombinacyi i rachunku z poprzednich danych. Podział ten nie jest zupełnie odpowiedni, to też stało się iż niektóre pozycye zamieścił sprawozdawca we wszystkich trzech kategoryach. Co do publikacyi wniósł, ażeby ogłaszano co 10 lat sprawozdanie z ogólnego stanu rolnictwa w kraju, corocznie wyniki produkcyi, i wszystko to co nie może być w opisowy sposób za pomocą bezpośrednich dochodzeń sprawdzoném, miesięcznie zaś ceny płodów rolniczych, tudzież sprawodzania o stanie zasiewów. Wnioski Keletego obejmujące bardzo wiele szczégółów, natrafiły na dość silną opozycyę, która wolała wszystkie te szczegóły wymagające głębszego rozbioru pozostawić komisyi stałéj, tudzież nie powtarzać uchwał kongresu rolniczego, a poprzestać tylko na kilku zasadniczych uchwałach. Opozycya ta, poparta była tak silnie, że w końcu Keleti sam od swych wniosków odstąpił, a zapadła uchwała następującéj treści:

Kongres, przyjąwszy do wiadomości uchwały kongresu rolniczego wiedeńskiego z r. 1873, uchwala co następuje:

1. Zaleca doprowadzenie do skutku statystyki rolniczéj w każdém państwie według jednych i tych samych zasad, tak, żeby na téj podstawie oprzéć można statystykę międzynarodową. Mniema iż statystyka winna się składać: a) z ankiety powtarzanéj co 10 lat, b) z publikacyj biur statystycznych w krótszych okresach.

2. Zaleca rządom mianowanie specyalnych delegatów, którzyby z głosem doradczym brali udział w rozprawach komisyi stałéj. Co do publikacyi wyraża życzenie, ażeby rządy oprócz opisu stanu rolnictwa w kraju, który ma być ogłoszany co 10 lat, ile możności równocześnie we wszystkich państwach publikowały następujące dane co do produkcyi:

a) cenę ziemiopłodów według zapisków targowych i giełdowych tudzież cyfrę rzeczywiście dokononéj sprzedaży, te daty mają być ogłaszane miesięcznie.

b) roczny plon w cyfrach absolutnych, dodając zarazem objaśnienie, co do metody dochodzenia.

c) najwyższą, najniższą i średnią cenę przewozu (od 200 kilogr. wagi od kilometra drogi) tak koleją żelazną jak i innemi drogami, ogłoszenia b i c mają być coroczne.

3. Zaleca rządom, ażeby co do dochodzeń wymagających specyalnych i praktycznych wiadomości, zapewniły sobie współudział ludzi fachowych.

Prócz tego osobnemi uchwałami wyrażono potrzebę w obraniu i ogłoszeniu porównawczego obrazu ustawodawstwa agraryjnego w Europie, daléj stosunków własności ziemskiéj a mianowicie licz-

bę i obszar gospodarstw z osobnem wyszczególnieniem gospodarstw położonych w mieście, a nakoniec potrzebę ogłaszania wykazów szkód w rolnictwie wyrządzanych przez owady.

Dalszym przedmiotem obrad sekcyi czwartej była statystyka leśnictwa. Memoryał i sprawozdanie opracował Meitzen.

Do memoryału załączył przegląd publikacyi do statystyki leśnictwa się odnoszących, tudzież urzędowe sprawozdania komisyi dla państwa niemieckiego w tej sprawie wyznaczonej—wraz z wielką liczbą bardzo szczegółowych formularzy. Oprócz tego, przedstawił Bedö, szef węgierskiej dyrekcyi lasów osobny memoryał—a w dodatkowym zeszycie programu znajdujemy jeszcze wiadomość o publikacyach statystyki leśnictwa w Holandyi, Szwajcaryi, Norwegii, Węgrzech i Rossyi wraz z dość szczegółowemi wykazami statystycznemi ostatnich dwóch państw. Meitzen, osobiście na kongresie nieobecny, rozróżnia w statystyce leśnictwa także publikacye powtarzające się w dłuższych okresach czasu, np. co dziesięć lat, i corocznie; i radzi wyznaczyć na większe okręgi np. 100 mil kwadr. komisarzy, którzyby zbierali daty. Uchwały zapadły zupełnie analogicznie z tem co uchwalono dla statystyki rolnictwa. Wykazy 10-letnie mają obejmować: przestrzeń lasów, stosunek do innych rodzajów uprawy, stosunek do ludności, położenie lasów, stan własności, sposób eksploatacyi i zarządu; a co do lasów rządowych: drzewostan, okresy zrębu i t. p., nakoniec stan szkół leśniczych. Publikacye roczne zaś, mają podawać ceny drzewa i ceny robotnika, a co do lasów rządowych wyrąbane przestrzenie. Żałować wypada, że pominięto bardzo ważną kwestyę karczowania. Prawie we wszystkich państwach istnieją ustawy o ochronie lasów, mocą których karczowanie może nastąpić tylko za pośrednictwem władz rządowych—byłoby przeto bardzo łatwo wykazać co roku przestrzeń wykarczowaną.

Wreszcie zajmowała się sekcya czwarta sprawą meteorologii w stosunku do rolnictwa, do czego przedłożono kongresowi memoryały Szenela z Pesztu i Lorenza z Wiednia, tudzież sprawozdanie prezydenta komisyi stałej Semenowa. Sprawa ta była już omawianą na ósmem zebraniu kongresu w Petersburgu, a poruszył ją za pośrednictwem Quteleta słynny Kommodore Maury, który tak jak w interesie żeglugi i handlu urządził całą sieć obserwacyi meteorologicznych morskich—pragnął w interesie rolnictwa zarzucić lądy stałe taką samą siecią obserwacyjną. Kongres petersburgski powziął w tej mierze tylko ogólnikową uchwałę, zalecającą rządom i towarzystwom naukowym zajęcie się tą sprawą

i wykonanie pomysłu Maurego. Kongres peszteński zaś, zgodnie z wnioskami Semenowa uchwalił:

1. Zalecić rządom, by podjęły specyalne obserwacye meteorologiczne, w celach rolniczych, których rezultaty byłyby zbiérane opracowywane i ogłaszane peryodycznie.

2. Wezwać rządy, ażeby przez osobnych agentów (crop-reporters) zbiérano miesięczne sprawozdania o stanie zasiewów.

3. Aby zbiérano spostrzeżenia, co do wpływu tępienia lasów na klimat.

4. Aby w jak największéj liczbie miejscowości zbiérano spostrzeżenia, co do burz, gradobić i t. p. i peryodycznie je ogłaszano.

5. Aby pewna liczba obserwatoryj meteorologicznych we wszystkich państwach utrzymywała telegraficzny związek międzynarodowy, tak, aby można na podstawie wzajemnie udzielanych sobie spostrzeżeń, stawiać prognozę powietrza.

6. Komisya stała udzieli uchwały te kongresowi meteorologicznemu w Rzymie w r. 1877 — a w razie gdy się osiągnie zgodę obu kongresów, przeszle je i zaleci rządom.

Do sekcyi *piątéj* należały sprawy przemysłu. Statystyka przemysłu pomimo, że się nią i rządy i stowarzyszenia różne zajmowały, pomimo, że na kongresie już po kilkakroć była omawianą, dotychczas jednak najmniéj ma powodzenia, najmniejszemi może się poszczycić rezultatami. Wielka różnorodność kształtów przemysłowéj produkcyi, a to nietylko w różnych krajach, ale i w obrębie jednego kraju, mnogość pytań na które statystyka znaleść musi odpowiedź, jeżeli ma dać dokładny obraz przemysłu, nakoniec niechęć samychże przemysłowców obawiających się, aby, dostarczone przez nich daty, nie były wyzyskane, czy to w konkurencyjnych, czy fiskalnych celach,—oto przeszkody, z któremi statystyka przemysłowa walczyć musi, a zwalcza je powoli, krok za krokiem. To téż kongres statystyczny, nie kusi się o to, aby od razu wypełnić cały bardzo rozległy program przemysłowéj statystyki, lecz wypełnia go częściowo, stopniowo.

Tegoroczny kongres miał na porządku dziennym sprawę *domowego przemysłu*, która szczególniéj od czasu ostatnich wielkich przesileń zajmuje bardzo żywo umysły. Maksymilian Wirth był niewątpliwie w téj sprawie jednym z najkompetentniejszych znawców, Szwajcarya bowiem, gdzie Wirth przez długi czas przebywał, i kierował biurem statystyczném, ma bardzo wysoko rozwinięty przemysł domowy. Memoryał Wirtha dzieli przemysł domowy na dwie kategorye: 1) dawny, t. j. przemysłowa praca członków rodziny celem przysporzenia przedmiotów domowego użytku; 2) nowy,

t j. przemysłowa praca w domu na rachunek większego przedsiębiorcy. Wykazawszy ekonomiczne, etyczne i społeczne znaczenie téj gałęzi pracy gospodarczéj, zestawił Wirth obszerne kwestyonarze, dla każdéj z wymienionych wyżéj kategoryj inne, dla drugiéj oczywiście o wiele obszerniejsze. W pytaniach tych, objął nietylko różne rodzaje przemysłu, i wewnętrzne jego stosunki, lecz chciał mieć także dany historyczny niejako obraz każdego rodzaju, jego powstania i rozwoju, daléj obraz poparcia jakiego w społeczeństwie doznaje, wewnętrzne stosunki, wreszcie stosunki z większymi przedsiębiorcami. Drugi w tym przedmiocie memoryał pochodzi z pióra byłego węgierskiego ministra Kerkapoliego, a jest raczéj społeczną i ekonomiczną rozprawą, przedewszystkiem bowiem rozważa znaczenie przemysłu tego, mało się zastanawiając nad celem i środkami statystycznych w tym przedmiocie dochodzeń, w których zadawalnia się pytaniami: o ile czynniki administracyjne i socyalne do tego powołane, udzielają przemysłowi domowemu poparcia? Sprawozdawca Herich, wyższy urzędnik w węgierskiém ministerstwie handlu, dokładniéj określił pole tych dochodzeń. Praca członków rodziny celem sporządzenia przedmiotów domowego użytku, ściśle biorąc tutaj nie należy, ani téż dałaby się statystycznie ująć,—właściwy zaś przemysł domowy dzieli sprawozdawca na dwa rodzaje: *a*) narodowy przemysł domowy, to znaczy tradycyjne niejako, uboczne zajęcia przemysłowe członków rodziny dokonywane w domu — *b*) fabryczny przemysł domowy, t. j. robota w domu, na rachunek i zamówienie większych przemysłowych przedsiębiorców. Tak w jednym jak i w drugim, chodzi o zarobek, a nie o sporządzenie pewnych dla domu przedmiotów. Zasadę podziału tego sekcya przyjęła, formularze zaś Hericha odesłała do osobnéj komisyi.

Sprawa instytucyi w przemyśle wielkim na korzyść klas roboczych istniejących, nie była poprzednio poruszaną. Komisya stała wezwała dyrektora biura stałego bawarskiego dra Mayra do opracowania tego przedmiotu. Mayr wziął za podstawę formularze używane już w tym celu w Bawaryi, a obejmujące oprócz ogólnych pytań, co do rodzaju przemysłu, ilości robotników, szczegółowe pytania, dotyczące wspomnianych instytucyj, do których zalicza: fabryczne kasy oszczędności, fundusze zaliczkowe, kasy zapomóg dla chorych i szpitalne, daléj zakłady celem podniesienia oświaty, towarzyskiego pożycia i t. p. Rozróżnia zaś cztery ich rodzaje, według tego czy były założone 1) przez rząd lub niższe organizmy polityczne,— 2) przez samych robotników, — 3) przez przedsiębiorców,— 4) przez obcych. Kwestyonarze mają być roze-

słane do wszystkich zakładów, które zatrudniają więcéj niż 5 robotników. Sprawozdawca Mudrony przyjął wnioski Mayra z tą tylko zmianą, że mają być zapytywane zakłady o 10 i więcéj robotnikach. Sekcya przyjęła te wnioski, a do ostatecznéj redakcyi formularzy, wybrała specyalną komisyę.

Z tą sprawą łączy się druga, obszernie i wyczerpująco opracowana przez Engla: statystyka chorób, nieudolności do pracy i śmiertelności osób zarobkujących— statystyka wypadków w przemyśle, które spowodowały śmierć albo téż czasową czy stałą nieudolność do pracy — tudzież statystyka ubezpieczeń na wypadki nieszczęść. Engel uznał jak wielkie téż trudności tu się przedstawiają, i dla tego, szczególniéj co do pierwszéj części, radzi poprzestać na zbiéraniu materyału od stowarzyszeń i korporacyi, które członkom swym w razie choroby lub nieudolności do pracy, tudzież na wypadek śmierci wdowom i siérotom zapewniają zapomogę, jako téż od tych instytucyj publicznych, czy to rządowych, czy korporacyjnych, które dają stałe zarobki. Tu zatem należą szczegółowe wykazy co do ruchu chorych, inwalidów i zmarłych we wszelkich rodzajach towarzystw wzajemnéj pomocy, z rozróżnieniem rodzaju zarobkowania, tudzież wyszczególnieniem osobistych stosunków (wiek, płeć, stan cywilny etc.). Statystyka wypadków, które spowodowały śmierć lub nieudolność do pracy, prowadzoną jest w Niemczech bardzo dokładnie, — to téż Engel potrzebował tylko odwzorować swoje pruskie urządzenie, zmierzające do tego, ażeby można oznaczyć procent wypadków dla każdéj płci, każdéj klasy, wieku, rodzaju zajęcia i t. p. z rozróżnieniem, czy wypadek zdarzył się przy zajęciu (w fabryce lub pracowni) czy nie. Co do statystyki ubezpieczeń żąda Engel, ażeby towarzystwa podawały co rok ilość zabezpieczonych zakładów i robotników, kwotę ubezpieczoną i wysokość pensyi, ilość i kwotę wypłaconych sum ubezpieczonych i t. p. Przedewszystkiém jednak żąda, aby wszędzie przeprowadzono ankiety, co do istniejących w każdém państwie ustaw o obowiązku przedsiębiorcy do wynagrodzenia tych, którzy z powodu przedsiębiorstwa doznali uszkodzenia. Wnioski te przekazane specyalnéj komisyi, zostały następnie z małemi zmianami przez sekcyę i kongres przyjęte.

Poruszona jeszcze w Petersburgu (1872) sprawa klasyfikacyi przemysłu, nie została załatwioną. Na petersburgskiém zebraniu statystycznego kongresu przedstawił p. Andrejew projekt takiéj klasyfikacyi z wnioskiem, ażeby go przesłać komitetowi sędziów wiedeńskiéj wystawy powszechnéj do ocenienia. Wniosek ten został przyjęty i wykonany — komitet sędziów wybrał specyalną ko-

misyę, która pod przewodnictwem Brachellego zbadała i znacznie zmieniła projekt Andrejewa. Brachelli przedstawił komisyi stałéj nowy ten projekt, ale pomimo zamieszczenia go w programie kongresu, do obrad i uchwał w tym przedmiocie nie przyszło.

Nakoniec miała jeszcze sekcya piąta wspólnie z drugą załatwić sprawę statystyki zarobkujących osób jurydycznych. Sprawozdawca Engel, w memoryale nadał przedmiotowi pełną rozciągłość, obejmując wnioskami swemi wszelkiego rodzaju spółki akcyjne i komandytowe na akcye, daléj towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, spółki zarobkowe i gospodarcze, towarzystwa melioracyjne, spółki górnicze i t. d. Żądał, ażeby wszędzie utrzymywano stałą ewidencyę tych instytucyi, a co rok zbiérano daty, dające obraz ich czynności, stanu majątku i t. p. Na samym kongresie jednak, to jest na posiedzeniu połączonych sekcyi piątéj i drugiéj, sam się wycofał z tego tak obszernego pola, i wnioski swe uszczuplił do tyla, że poprzestał na spółkach akcyjnych i komandytowych na akcye. Dyskusya przeszła na pole bardzo obszerne, wciągnięto w nią sprawy ostatnich przesileń, — w końcu przyjęto wnioski Engla z dodatkiem, iż ma być także publikacyami temi objęty kurs akcyi d. 31 grudnia każdego roku. Wniosek Poznańskiego o prowadzenie statystyki operacyi giełdowych przekazano komisyi stałéj.

Sprawy handlu i komunikacyi były przedmiotem bardzo ożywionych obrad sekcyi szóstéj. Żaden może z przedmiotów obrad kongresu nie był w tylu memoryałach opracowany jak statystyka handlu. Program obejmował tylko handel zewnętrzny, więc przywóz, wywóz i przewóz, pomijając na teraz trudną kwestyę handlu wewnętrznego —a uchwała komisyi stałéj wskazywała wyraźnie, iż rozchodzi się tu o takie wykazy zewnętrznego handlu, któreby umożliwiły ścisłe obliczenie handlowego bilansu. Najgruntowniéj opracował ten przedmiot Becker, dyrektor ces. niemieckiego biura statystycznego, które od początku swego istnienia na statystykę handlu nadzwyczaj baczną zwróciło uwagę, i poświęca jéj wiele miejsca w peryodycznéj swéj publikacyi „Statistick des deutschen Reiches“. Becker tedy wyjaśnił naprzód ekonomiczne znaczenie bilansu handlowego (oczywiście nie w owém bardzo prymitywném pojmowaniu dawnych merkantylistów)—zestawił dotychczasowe uchwały kongresu w sprawie zagranicznego handlu, podał sposób obliczania bilansu handlowego, a nakoniec przedstawił nadzwyczaj ciekawe i pouczające doświadczenia, jakie poczyniono w Niemczech od roku 1872 ze statystyką handlu. Nessmann (Hamburg) zestawił tabelę dowozu i wywozu 13 państw europejskich,

dowodząc z niéj, że właśnie w krajach najbardziéj ekonomicznie rozwiniętych i najzamożniejszych, jest bardzo znaczna nadwyżka dowozu. Neumann-Spallart z Wiednia oparł wnioski swe na przedstawieniu sposobu postępowania w różnych państwach, celem zebrania dobréj statystyki handlu. Giffen przedstawił w jaki sposób dotychczasowe uchwały kongresu co do statystyki handlu zostały wykonane w Anglii i jakie tam przyniosły skutki,—takież same sprawozdanie złożył co do Francyi Caignon, co do Rosyi Schmid. Sprawozdawcą był Matlekowicz, radca sekcyjny w węgierskiém ministerstwie handlu. Uchwalono: 1) odłączać zawsze przewóz na morzu, na rzekach i kolejach, od przewozu na drogach zwykłych; 2) złoto i srebro wykazywać zupełnie osobno; 3) uznano urzędy cłowe, jako najstosowniejsze organa do zbiérania dat; 4) o ile towary nie są oclone, mają kupcy pod zagrożeniem grzywny podawać wszelkie potrzebne daty; 5) w braku takiéj ustawy powinny poczty i wielkie zakłady transportowe podawać przynajmniéj ilość, gatunek i miejsce przeznaczenia wywożonych towarów; 6) niezbędném jest wymienienie kraju, z którego towar pochodzi, tudzież, do którego jest przeznaczonym, samo wymienienie granicy nie wystarcza; 7) co do sposobu oznaczenia wartości nie można podać ogólnych norm, zalecić można deklaracye kupców, kontrolowane za pomocą cenników; 8) kupców należy pouczyć o celu i ważności statystyki handlu, tudzież o potrzebie składania dokładnych i prawdziwych deklaracyi.

W sprawie statystyki kolei żelaznych przedstawił dr. Bela Weise, sekretarz miejskiego biura statystycznego w Peszcie, memoryał, w którym ogranicza przedmiot o tyle, iż nie o statystykę kolei ale kolejowego ruchu mu chodzi, — żąda przeto ażeby zmierzano do przedstawienia: 1) przedmiotów ruchu; 2) jego *intensywności*; (t. j. długość dróg odbytych przez osoby i towary); 3) czasu (według miesięcy); 4) miejsc (według stacyi); 5) obszaru ruchu (lokalny, krajowy, zagraniczny); 6) kategoryi pociągów (osobowe, towarowe, mięszane); 7) kosztów ruchu; 8) wartości towarów. Leon Beöthy, węgierski ministeryalny sekretarz, w sprawozdaniu swém ma także na oku nie samą kolejową statystykę, ale handel wewnętrzny—wnosi przeto: 1) handel wewnętrzny ma być przedmiotem urzędowéj statystyki; 2) materyałem do zestawienia dat mają być karty frachtowe używane przez urzędy kolei żelaznych i żeglugi parowéj, a przechowywane na stacyach; 3) należy w zestawieniu uwidocznić ruch każdéj stacyi, i odnieść go do wszystkich stacyj krajowych; 4) zasadę tę zastosować do wszystkich rodzajów towarów wyszczególnionych w klasyfikacyi, która będzie przez

kongres przyjęta. Karol Foth, węgierski inspektor kolejowy, podnosi przedewszystkiem bardzo słuszną myśl, ażeby za podstawę statystyki ruchu kolejowego przyjęto większe jedności, więc zamiast kilometra—miriametr, zamiast kilogramu—tonę, żąda daléj, ażeby z wykazów wyłączyć wszelkie towary liczone na sztuki nie na wagę, nareszcie, ażeby nie zapomniano o statystyce budowy kolei, t. j. zebrania wszelkich dat, wyjaśniających stronę techniczną i inżynierską saméj budowy. Wreszcie Robert Giffen, szef biura statystycznego w londyńskiém board of trade, przedstawił memoryał, najbardziéj jeszcze odpowiadający zamiarowi komisyi stałéj, kiedy na porządku dziennym postawiła statystykę kolei żelaznych. Giffen obejmuje wnioskami swemi: 1) kapitał w akcyach i priorytetach; 2) długość linii i wydatki na budowę; 3) materyał ruchu (park); 4) ruch osobowy i towarowy; 5) koszta ruchu. Dodaje także statystykę wypadków na kolejach. Sprawozdawca Brachelli zalecał wnioski Beöthego, a przedstawił zarazem sekcyi formularze austryackiéj statystyki kolejowéj, przemawiając za ich przyjęciem dla międzynarodowéj statystyki. Formularze te, obejmujące zbyt wiele szczegółów, takich nawet, które się do międzynarodowego porównania zupełnie nie nadają, wywołały bardzo żywą dyskusyę, w któréj rodak nasz p. Michałowski z Wiednia przedstawił osobne wnioski. Ostatecznie zapadła uchwała, będąca właściwie odroczeniem sprawy: „Celem ustalenia międzynarodowéj statystyki kolejowéj i ułożenia formularzy, szósta sekcya kongresu wybierze specyalną międzynarodową komisyę znawców, którą ma ukonstytuować zaraz po zamknięciu bieżącéj sesyi kongresu. Komisya ta ma prawo zasilić się powołaniem nowych członków z różnych gałęzi kolejowéj służby. Ma ona roztrząsnąć uchwały poprzednich kongresów, nowe formularze przyjęte w Austryi, tudzież wnioski pp. Giffena, Bodio, Annenskiego, Michałowskiego, Wedrycha i innych.“ Do komisyi wybrani: Keleti i Iwanka z Węgier, Bracheli i Schüler z Austryi, Becker i Jenke z Niemiec, Perl, Wedrych i Borkowski z Rosyi, Bodio z Włoch, Tiffen z Anglii i Celyvaer z Belgii; dwóch reprezentantów Francyi komisya sama przybierze.

Wreszcie uchwaliła sekcya jednolitą nomenklaturę towarów, jako podstawę wszelkich wykazów ruchu handlowego, w myśl wniosków Nessmana, omówionych poprzednio w specyalnym komitecie przez komisyę stałą kongresu wybranym. Spis ten obejmuje 105 towarów, jako minimum wykazów.

Starałem się ile możności w streszczeniu przedstawić prace sekcyjne i ich rezultaty, które téż bez wyjątku przez kongres przy-

jęte zostały. Wspomnieć mi jeszcze należy o publikacyach statystyki międzynarodowéj, staraniem komisyi stałéj wydanych, tudzież o wystawie graficznéj, która z kongresem była połączona.

W pracach międzynarodowéj statystyki biorą udział prawie wszystkie państwa europejskie. Rozdział ich oczywiście nie może być stałym , skoro w sprawie téj bardzo wiele zależy od indywidualności nie państwa, lecz referenta, skutkiem czego, nieraz zajść muszą zmiany. Obecnie podział jest następujący: Szwecya—ludność, Francya—sądownictwo i handel, Włochy—finanse, Hamburg-emigracya, Bawarya—własność domów i budynków, Prusy—towarzystwo akcyjne, Austrya—szkoły i oświata, Niemcy—asekuracya, Rosya—górnictwo, Anglia—higiena i przyczyny śmierci, Holandya—rybołówstwo, Niemcy i Rosya—żegluga, Prusy—przemysł, Węgry—uprawa wina, miasta Peszt i Berlin—statystyka wielkich miast.

Z tego do téj pory ogłoszono drukiem: 1) piérwszą część statystyki ludnosci, przez Berga dyr. szwedzkiego biura stat.; 2) statystykę kas oszczędności, przez biuro włoskie; 3) piérwszą część ruchu ludności w wielkich miastach, przez Körösyego; 4) statystykę sądownictwa cywilnego w Europie p, Yvernisa; 5) statystykę uprawy wina, przez Keletego. Ostatnia publikacya *będzie* dopiéro międzynarodową, piérwsza część bowiem obejmuje tylko Węgry. Wyborną jest statystyka ludności i kas oszczędności. Dzieło p. Yvernisa obejmuje wiele nadzwyczaj cennych szczegółów, ale dla saméj rozmaitości ustawodawstwa cywilnego i organizacyi sądownictwa w różnych państwach europejskich, przedmiot ten mniéj się nadaje, do ściśle porównawczéj metody.

Wystawa graficzna była bardzo obfita, a obejmowała oprócz diagramów i kartogramów, także i karty geograficzne, ściśle do téj wystawy nie należące, tudzież wielką ilość publikacyi statystycznych. To przekroczenie granic programem objętych, uważamy jako niewłaściwe, wystawa, któréj celem było przedstawienie różnych metod grafiki statystycznéj, stała się przez to, w części wystawą geograficzną i bibliograficzną. Nie podobna dawać tu szczegółowego z wystawy téj sprawozdania. Było wiele okazów bardzo znakomitych, a na szczególniejszą wzmiankę zasługują prace kartograficzne austryackiego katastru, które w sposób nader plastyczny przedstawiają rodzaje uprawy, stosunki własności i t. p. daléj niesłychanie pracowite publikacye graficzne włoskiego ministerstwa finansów. W ogóle jednak, pozwolimy sobie wyrazić pewne powątpiewanie, co do wartości grafiki, któréj zdyt wielkie przypisują znaczenie, a jak na pracę czysto pomocniczą tylko, zbyt wiele jéj poświęcają trudu i czasu. Zawsze szereg cyfr, szczegól-

niéj, jeżeli to nie są surowe cyfry, ale procentowe i w ogóle stosunkowe, o wiele dokładniéj wyobrazi badane stosunki, aniżeli szereg obok siebie postawionych kwadratów różnéj wielkości, lub pewna ilość kół koncentrycznych. Tam bowiem mam cyfrowe wyobrażenie stosunku, tutaj widzę tylko, iż w pewnym kraju, czy w pewnym czasie cyfra była wyższą lub niższą niż w innym kraju lub czasie, ale dla ocenienia różnicy muszę albo z cyrklem w ręku zmierzyć przestrzeń kwadratu, albo wrócić do najlepszego źródła—do tabeli. Toż samo da się powiedziéć o najprostszéj, a więc i najlepszéj metodzie grafiki, t. j. o linii łamanéj, która jednak gdy chodzi o przedstawienie fluktuacyi pewnych cyfr, ma jeszcze względną użyteczność. W ogóle zaś, cała grafika jest tylko metodą pomocniczą, którą może dydaktyka szkolna przyjąć, jako środek uzmysłowienia nauki, która jednak dla *rozwoju* saméj umiejętności nie ma żadnego znaczenia, a jeżeli się ją zanadto rozszerzy, zanadto wiele szczegółów objąć nią pragnie, wygląda czasem na zabawkę. A i z zastosowaniem grafiki, jako metody uzmysławiającéj w szkołach, należy postępować bardzo ostrożnie. I tak np. Levasseur zaleca dla szkół elementarnych graficzne przedstawienie różnych stosunków państw europejskich, więc ludności, budżetu, produkcyi rolniczéj, handlu i t. p. a to w tén sposób, że państwo każde wyobrażone jest kwadratem pewnéj barwy, wielkość tych kwadratów ma dać wyobrażenie o stosunkach cyfr porównywanych, a położenie ich wzajemne ma mniéj więcéj odpowiadać, położeniu ich na karcie geograficznéj. W wyższych klasach szkół średnich, jeszcze takie uzmysłowienie może być odpowiedniém, chociaż młodzieży już dojrzewającéj cyfra odda taką samą usługę, ale w szkołach elementarnych, byłoby to nie tylko nie właściwém, ale wręcz szkodliwém. Bo jak wytłómaczyć dziecku, które przedewszystkiém zmysłami się uczy, i okiem objąwszy kształty zachowuje je w pamięci, jak mu wytłómaczyć dla czego, gdy Włochy na karcie geograficznéj mają kształt podłużny, Anglja mniéj więcéj trójkątny, na karcie statystycznéj oba kraje mają kształt kwadratowy? dla czego na piérwszéj karcie jest Anglia od Francyi przedzielona morzem, na drugiéj zaś bezpośrednio do niéj przytyka? Wrażenie téj drugiéj, statystycznéj karty, będzie w oczach dziecka zaciérać wrażenie piéwszéj geograficznéj, a to tém silniéj, że kształt kwadratu silniéj mu utkwi w pamięci, a niżeli nieregularne linie które widzi na mapie. Widzimy z tego przykładu, iż z grafiką nawet w zastosowaniu szkolném należy z bardzo wielką ostrożnością postępować.

Ocenienie praktycznych rezultatów dziewiątego kongresu statystycznego będzie możliwém dopiéro po kilku latach, kiedy ze

sprawozdań komisyi stałéj będziemy się mogli dowiedzieć, które państwa i w czém swoje statystyczne prace zastosowały do uchwał kongresu, tudzież kiedy będziémy mieli przed sobą nowe działy międzynarodowéj statystyki, już pod wpływem uchwał kongresu redagowane. Dzisiaj możemy tyle tylko powiedzieć, że to dziewiąte zgromadzenie, pod wielu względami wyprzedziło poprzednie. A przedewszystkiem co do naukowych przygotowań przyznać należy, iż były one nadzwyczaj staranne, a zasługą tą dzielą się z referentami obie komisye, stała i organizacyjna. Streszczając powyżéj narady sekcyjne, mieliśmy sposobność przy każdéj kwestyi wymienić autorów memoryałów; komisye bowiem starały się o to, ażeby każda sprawa przez kilku była opracowana i żeby w tén sposób główny sprawozdawca miał przygotowany znaczny materyał. Memoryały te wszystkie i sprawozdania wyszły jeszcze przed zebraniem kongresu i były członkom rozesłane w pięknéj edycyi jako program kongresu, a obejmują 1740 stronic w formacie średniéj ćwiartki. Jest to nadzwyczaj obfity, dla specyalistów nieoceniony materyał ekonomiczny i statystyczny, po części i bibliograficzny, w którym obok teoretycznych rozpraw, znajdzie także wiele dat poprzednio nie ogłaszanych. Uchwałom kongresu mielibyśmy może nie jedno do zarzucenia, głównie zaś to, iż niektóre z nich, nie bardzo się liczą z możebnością i żądają za wiele, co szczególniéj tam utrudnia pracę, gdzie się rozchodzi o międzynarodowe porównawcze zestawienia. Mimo to jednak, kto bezstronnie przejrzy uchwały kongresu, przyznać musi iż pod wielu względami są one ulepszeniem i dalszém wykończeniem dawniéj powziętych uchwał, główną zaś zasługą tegorocznego zebrania jest poruszenie kilku nowych, na poprzednich zebraniach nie podnoszonych spraw, jak nauczanie statystyki, osobny rozbiór statystyki leśnictwa, dawniéj tylko pobieżnie przy sprawach rolnictwa poruszanéj, statystyka miejsc kąpielowych i wód mineralnych, domowego przemysłu, instytucyi dla klas roboczych, wypadków wynikłych z zarobkowania, a powodujących śmierć lub nieudolność do pracy, wreszcie utworzenie osobnéj komisyi dla statystyki wielkich miast. Prawda, że nie wszyskie te sprawy zostały stanowczo załatwione, a dla niektórych jeszcze komisya stała ma ostateczne ułożyć formularze, jednak są one wprowadzone na tor taki, iż wykonanie jest już tylko kwestyą czasu.

Nie poruszyłem w mém sprawozdaniu strony ceremonialnéj kongresu, nie wspomniałem ani o owej uroczéj podróży parowcem z Wiednia do Pesztu, ani o serdecznêm w Peszcie przyjęciu, o licznych recepcyach i uroczystościach dla członków kongre-

su wyprawianych, o prześlicznéj Małgorzatce (nie czarnooka Węgierka, ale wyspa na Dunaju pod Pesztem) słowem o tém wszyskiém, czém starano się pobyt w Peszcie nam uprzyjemnić i na długo pamiętnym uczynić. Węgrzy prześcigali się w gościnności i uprzejmości, a rząd i miasto nie żałowały wydatków, które musiały być bardzo znaczne. A jednak, nasuwa się tu koniecznie pewna krytyczna uwaga, która nie uchybia w niczém serdecznym uczuciom wdzięczności dla tak uprzedzających i gościnnych gospodarzy; to mianowicie, że samym pracom kongresu zbytek uroczystości owych i przyjęć wcale nie sprzyja. Zabiérają one tyle czasu, i tak dalece rozrywają umysł, że chwilami zdawać się mogło, jakoby zjazd cały miał przeważnie na celu zabawę, a dopiéro na drugiém planie pracę naukową. Jedno przyjęcie powitalne przed rozpoczęciem kongresu, drugie pożegnalne po jego zamknięciu, wystarczyłyby do spełnienia wszelkich obowiązków gospodarzy i gości, i pozostawiłyby cały czas od przyjazdu do powrotu na rzeczywiste prace kongresu, które byłyby mniéj dorywcze, z mniejszym dokonane pośpiechem. Ale w przeciągu ośmiu dni: bal, dwa wielkie bankiety, jedna wielka recepcya, dwie wycieczki, prócz tego teatra i t. p. to wszystko było bardzo miłe, bardzo serdecznie i z przepychem urządzone, ale nie przyczyniające się do należytego wytężenia pracy. A wynika z tego jeszcze drugie, nie koniecznie korzystne następstwo: ogromne wydatki, jakie rządy czynią na przyjęcia kongresów, mogą nie jeden rząd państwa mniejszego, a nie chętnie zbytkującego, powstrzymać od zaproszenia. Gdybym był nie dyskretnym, mógłbym złożyć na to dowód z wymienieniem i państwa i jego reprezentanta. Jest jednak bardzo do życzenia, ażeby się kongresy odbywać mogły kolejno we wszystkich, nawet i mniejszych stolicach, wszędzie bowiem znajdą się nowe siły, które się tém do pracy poruszy, i zawsze kongres zostawia po sobie ślad w ożywioniéj znacznie czynności statystycznéj tego państwa, w którém się odbywał. Kończę więc życzeniem ażeby przyszłe kongresy miały tak samo wyborne naukowe przygotowania jak Peszteński, ale żeby się odbyły z mniejszém przepychem i nie z tyloma uroczystościami, na których praca naukowa wcale nie zyskuje.

Tadeusz Romanowicz.

ZARYSY
ŻYCIA LUDOWEGO
NA SZLĄSKU

przez

Lucyjana Malinowskiego.

W roku 1869, w lecie, odbyłem wędrówkę po Szląsku (1) górnym i w Cieszyńskiém, dla zbadania miejscowych gwar ludowych polskich i morawskich (2). W ciągu trzechmiesięcznego przeszło pobytu w różnych okolicach Szląska (3), obcując ciągle z ludem, miałem sposobność zapoznać się z różnemi stronami jego życia. Zebrane wiadomości podaję poniżéj; są one wprawdzie niedokładne, mają jednakże przynajmniéj tę zaletę, że są oparte na własnych spostrzeżeniach autora. Zarys niniejszy, na podstawie notatek w ciągu podróży czynionych, skréślony został jeszcze w roku 1870. Od tego czasu niektóre warunki bytu Szlązaków, (że wspomnę tu tylko stosunki kościelne i szkolne), znacznym uległy zmianom; nie będąc jednak tych zmian świadomy, przedstawiam stan rzeczy tak, jak go znalazłem w roku 1869,

(1) Lud miejscowy nazywa swą krainę nie *„Szląsk,"* lecz *Śląsko* przez *ś* i w rodzaju nijakim np.: *„Śląsko górne."*

(2) Patrz: „Listy z podróży etnograficznéj po Szląsku przez Lucyana Malinowskiego", w czasopiśmie krakowskiém „Na dziś" tom I, pag. 289 i nast.; jak również: „Beiträge zur slavischen dialectologie von Lucian Malinowski. I. Ueber die oppelnsche mundart in Oberschlesien, Leipzig 1873."

(3) Dla dokładności podaję tu wykaz wsi i miast, które zwiedziłem. Na Szląsku Górnym Okręg Opolski, wsi: Ługniany, Bolkowa wyspa, Gosławice, Wójtowa Wieś

I.

Szląsk pruski pod względem geograficznym dzieli się na: górny, średni i dolny (Ober-Mittel—Nieder Schlesien). Żywioł słowiański stanowi gęstą masę ludności tylko na Szląsku Górnym i w części Szląska Średniego. Polacy zajmują okręgi: Wschodnią połowę Sycowskiego (Polnisch-Wartenberg), na granicy Księstwa Poznańskiego; połowę Namysłowskiego, Brzeskiego (Brieg), większą część Opolskiego, północno-wschodnią część Prudnickiego (Neustadt), część Niemodlińskiego (Falkenberg), prawie cały Głogowski (Ober-Glogau), wschodnią część Głupczyckiego (Leobschütz), cały Kluczborski (Kreutzberg), Oleski (Rozenberg), Lubliniecki, Wielko-Strzelecki, Kozielski, Toszko-Gliwicki, Bytomski, Pszczyński (Pless), Rybnicki i większą część Raciborskiego. W innych okręgach Szląska Średniego ludność słowiańska miesza się już z żywiołem niemieckim. Według świadectwa profesora Władysława Nehrynga wsi polskie znajdują się nawet na zachód od Wrocławia; tam jednak żywioł słowiański jest nader slaby i ciągle się zmniejsza. W zachodnich i południowych okolicach okręgu Raciborskiego i kilku osadach Głupczyckiego zamieszkują Morawianie, czyli, jak się sami nazywają *Morawcy*, wrzynając się klinem między ludność czysto polską na wschód i niemiecką na zachód. W okręgu Głupczyckim po morawsku mówią w miasteczku Baborowie (Bauerwitz), we wsiach Jarowniowie (Gernau) i Tłustych Mostach (Stoltzmütz). Dalej granicę między ludnością polską i morawską stanowią następujące wsi morawskie: Wielkie Petrowice, Szamarzowice, Krzenowice, Borzucin, Piszcz, Benkowice, Tworkowo, Owsiszcz, Rudyszwałd, Gać, Szulerzowice, Kobłowo na granicy Szląska Austryackiego. Kolonie czeskich wychodźców, którzy opuścili rodzinną ziemię w połowie

---

Szczepanowice, Chrastów, Dąmbio (Dąbie), Zakrzów Górek, Polska Nowa-Wieś Okręg kluczborski: Polska czyli Górna Ligota, Nagodowice, Gotortów, Szywałd Brzeziny, Skalungi, Kunów, Kujałkowice i Bogacica. Okręg Bytomski: Niemieckie Pickary, Radzionków, Królewskie Huty. Chorzów. Michałkowice. Okręg Gliwicki: Szobiszowice, Szobiszowska Ligota, Pyskowice. Okręg Kozielski: Kłodnica, Pogorzelec, Brzeżec, Ryńska Wieś, Ostrożnica, Pawłowiczki, (Gnadenfeld, kolonia Hernhutów), Uciszkowy, Dobieszowy. Okręg Głupczycki (Leobschütz): miasteczko Baborów (Bauerwitz), Sulków, Jarowniów, Dzielów, Raków, Tłuste Mosty. Okręg Raciborski: Wielkie Petrowice, Tworkowo, Krzyżanowice, Owsiszcz. Okręg Pszczyński: Łąka, Miedzna, Grzawa. Na Szląsku Austryackim, w okręgu Cieszyńskim: Sibica, Mistrzowice, Górna i Średnia Sucha, Ustroń, wieś Wisła, Istebno, Jabłonków Nawsi, Gródek, Bystrzyca, Nydek, Gnojnicka Ligotka, Śmiłowice.

zeszłego stulecia i wcześniéj, uchodząc przed prześladowaniami religijnemi, znajdują się w okolicach Strzelna (Strehlen): Husinec, Mehltheuer, Pentsch (1), Wyższy i Niższy Podjebrad; w okolicach Kladska (Glatz): Cudowa czyli Chudoba, i inne; w Sycowskim okręgu: Tabor, Czermin i kilka innych. Wśród żywiołu słowiańskiego Niemcy na Szląsku Górnym stanowią przeważającą ludność po większych miastach. Prócz tego następujące kolonie niemieckie znajdują się na Szląsku Górnym: wieś Schönwald (Szywald) pod Gliwicami, Neu Anhalt i Alt Anhalt (Hołdanów) w okręgu Pszczyńskim, Piasek (Ludwigsthal) w okręgu Lublinieckim, jak również kilka osad pod miasteczkiem Pokój (Karlsruh) w okręgu Opolskim. Lud miejscowy zwie tych przybyszów „Rajchy,“ gdyż przybyli z krajów koronnych niemieckich „Reichsländer.“

Na Szląsku Austryackim polska ludność zamieszkuje okręg Cieszyński. Granica między gwarą polską i morawską ciągnie się, począwszy od granicy pruskiéj, koło Morawskiéj Ostrawy, Szonowa, Lesznowic, Więckowic, Spłochowa, Brusowic, Kozurowic, Wojkowic, Sprochowic, Dobracic, Lgoty i Morawki. Wsi tu wymienione stanowią pograniczne osady morawskie. W Dobracicach, Wojkowicach i Sprochowicach ludność miejscowa katolicka mówi po morawsku, protestanci zaś, przybyli z sąsiednich wsi polskich, mówią po polsku, Niemcy w okręgu Cieszyńskim mieszkają tylko w Cieszynie, w Bielsku (Bielitz) i wsiach sąsiednich w okolicy Bielska nad granicą galicyjską.

Szczegółowe przedstawienie właściwości języka ludowego na Szląsku stanowi przedmiot osobnych studyów; w tém miejscu poprzestać wypada na ogólnéj tylko charakterystyce gwar z oznaczeniem ich granic. W każdym okręgu, rzec można w każdéj wsi, lud wyróżnia się od sąsiadów drobnemi odcieniami w swéj mowie; niektóre jednak znamiona, jakkolwiek nieznaczne pod względem gramatycznym, nadają gwarom wybitny, im tylko właściwy charakter, a tém samém mogą służyć za podstawę podziału w systematyce narzeczy. Godna uwagi, że mowa mieszkańców równin, nawet na znacznych przestrzeniach, nie przedstawia tak rozmaitych odcieni, jak w okolicach górzystych, gdzie każda prawie wieś mówi swoim własnym, indywidualnym dyalektem. Podobneż zjawisko takiéj krańcowéj indywidualizacyi gwar spotykamy także na granicach kilku pobratymczych języków, jak np. polskiego i morawskiego w okręgu Raciborskim, albo w Cieszyńskiém, gdzie aż trzy

(1) Nazw słowiańskich tych miejscowości nie mogłem się dowiedzieć.

narzecza: polskie, słowackie i morawskie się stykają. Prócz tego rzecz jasna, że pasma gór, znaczne rzeki i inne przegrody naturalne lub społeczne (np. granice polityczne) stanowiące tamę dla żywszych stosunków, są zarazem kresami różnych gwar i narzeczy. Tych zaściankowych właściwości mowy są świadomi sami mieszkańcy i z kilku słów wyrzeczonych przez przybysza z sąsiedztwa, poznają, z któréj wsi pochodzi. Różnice dyalektyczne, jak to zwykle bywa, dostarczają obfitego materyału do wzajemnych przedrzéźniań i pośmiewiska.

Dwa są główne narzecza słowiańskie na Szląsku: polskie i morawskie; na ich pograniczu wytworzyło się trzecie, pośrednie, które nazwałbym morawsko-polskiém, przejściowém. Granice tych narzeczy wskazałem wyżéj. Charakterystycznemi znamionami gwary polsko-morawskiéj pod względem fonetycznym są: *h* zamiast *g*: *dobreho Boha*; zastąpienie samogłosek nosowych (nie zawsze) przez czyste; ě (ѣ) zamiast polskiego *ja* (nie wszędzie!). Z wyjątkiem tych właściwości, zbliżających tę gwarę do narzecza czesko-morawskiego, ogólny jéj charakter jest polski, który jednakże się zaciéra, w miarę tego, jak oddalamy się od granicy narzecza czysto polskiego.

W narzeczu czysto polskiém wyróżnić należy dwie gwary, wybitnie się różniące od siebie sposobem wymawiania spółgłosek *ż*, *cz*, *sz*. W okręgach: Sycowskim, Namysłowskim, Kluczborskim, Brzéskim, Oleskim, Opolskim (z wyjątkiem okolic południowych), Lublinieckim, w zachodnich okolicach okręgów Bytomskiego i Pszczyńskiego, wzdłuż granicy Królestwa, spółgłoski *ż*, *cz*, *sz* wymawia lud po mazursku, jak *z*, *c*, *s*. W południowéj części okręgu Opolskiego, w Strzeleckim, Toszko-Gliwickim, zachodnich okolicach Bytomskiego i Pszczyńskiego, w Rybnickim, Raciborskim, Kozielskim, Prudnickim i Głupczyckim wymawianie tych dźwięków jest takie, jak w języku ogólnym polskim. Drugiém charakterystyczném znamieniem gwary mazurskiéj jest wymawianie spółgłoski *ł* jak krótkie *u*, zbliżające się, zwłaszcza między samogłoskami, do spółgłoski *w*: *byu*, *miau*, *gwowa*. Sposób ten jednak wymawiania sięga nierównie daléj po za granicę gwary mazurskiéj; panuje on w okręgach Strzeleckim, Toszko-Gliwickim, Pszczyńskim, Rybnickim i w Kozielskim na prawym brzegu Odry.

Na Szląsku Austryackim gwara Cieszyńska zbliża się do Raciborskiéj, z tą tylko różnicą, że górale wymawiają tu *ł* jak *u* krótkie, z wyjątkiem miasteczka Jabłonkowa i katolickiéj wsi Istebno, gdzie dźwięk ten brzmi jak czeskie, lub niemieckie *l*. Prócz tego w Jabłonkowie i we wsiach sąsiednich spółgłoski *sz*, *cz*, *ż* brzmią

jak *ś*, *ć*, *ź*, co nadaje mowie mieszkańców charakter pieszczony, dziecinny, sprawiający dziwnie komiczne wrażenie na nieoswojonego słuchacza: np. ćlowiek co chceś za tego wolu. Wymawianie samogłosek nosowych jest nader rozmaite i może posłużyć za podstawę podziału w szczegółowéj systematyce gwar szląskich.

W ogóle, niektóre zwroty składniowe i słownik zdradzają wpływy czeskie, a raczéj morawskie, zwłaszcza na pograniczu siedzib morawskich. Za to winienem tu zaprotestować przeciwko błędnemu, a tak upowszechnionemu mniemaniu, jakoby mowa szląskich polaków przepełniona była germanizmami; lud szląski mówi równie czysto, jak i w innych okolicach naszego etnograficznego obszaru i obce wtręty nie są tu liczniejsze, aniżeli w słowniku ogólnym. Poparcie tego zdania posiadam w zbiorze nader bogatym, (bo przeszło 30 arkuszy zwykłego druku obejmującym powieści i pieśni, które, kiedyś wydane, będą wymownem świadectwem piękności i starożytności mowy szlązaków. Godna uwagi, że nigdzie nie zauważyłem, aby różnica wyznania stanowiła gdziekolwiek różnicę narzecza; tak np. język ewangielików w okolicach Kluczborka niczém nie różni się od mowy sąsiedniéj ludności katolickiéj, jakkolwiek oba wyznania nie łączą się między sobą w związki małżeńskie, co wpłynęło nawet na wyrobienie odrębnych typów.

II.

W skutek politycznego podziału Szląska między Austryą, i Prusy wyrobiły się w obu dzielnicach różne stosunki, które miały wielki wpływ na losy słowiańskiéj narodowości jednéj i drugiéj krainy. Jakkolwiek na Szląsku Pruskim żywioł niemiecki w ciągu naszego stulecia pod względem ilości się nie powiększył, przeciwnie, germanizacyą ziem słowiańskich w tych stronach należy odnieść do czasu nierównie wcześniejszego, to jednak warunki rozwoju narodowości słowiańskiéj były tu daleko mniéj sprzyjające, aniżeli na Szląsku Austryackim.—Na Szląsku Górnym (w Prusach) zachowały w życiu potoczném mowę słowiańską następujące klasy: cała ludność wiejska rolnicza, a w miastach, zwłaszcza niewielkich, stany rzemieślnicze i robocze. Wszystkie inne klasy, jak kupcy, fabrykanci, urzędnicy, tak przybysze z innych prowincyj, jak i rekrutowani wśród miejscowéj ludności, duchowieństwo, nauczyciele elementarni po wsiach i po miastach, oficyaliści dominialni, (zwani na szląsku z czeska *urzednikami*), nie mówiąc już

o większych posiadaczach ziemskich, którzy ulegli germanizacyi jeszcze za czasów piastowskich, wszystkie te klasy używają zwykle języka niemieckiego. Śmiało jednakże powiedzieć można, że niemasz ani jednego człowieka na Szląsku Górnym, z wyjątkiem chyba najmłodszego pokolenia po miastach (1), któryby nie władał językiem polskim, używając go, zwłaszcza po wsiach w stosunkach z ludem.

Stan rzemieślniczy uorganizowany w cechy, z niemieckiemi *vereinami*, reprezentuje tu żywioł niemiecki i jest propagatorem niemczyzny. Przełożony stowarzyszenia rzemieślniczego (Gewerbeverein), w Hutach królewskich, obecny na piérwszém posiedzeniu zawiązującego się kasyna katolickiego, protestował przeciwko przyjmowaniu młodzieży rzemieślniczéj do tego towarzystwa, wypowiadając obawy, czy nie będzie ono bruździło stowarzyszeniu rzemieślników z charakterem czysto niemieckim, do którego pod karą wszystka młodzież rzemieślnicza należéć i uczęszczać jest obowiązana.

Dla utworzenia sobie dokładniejszego obrazu stosunków, w jakich żyje narodowość słowiańska na Szląsku, przypatrzmy się tym czynnikom, które, bądź to dodatnio, bądź ujemnie wpływają na losy żywiołu słowiańskiego. Przedewszystkiém przypatrzmy się *szkole*. Każde dziecko w szóstym roku życia zaczyna uczęszczać do szkoły elementarnéj; opuszcza ją zaś dopiéro w roku czternastym. Nauka, jak wiadomo, jest obowiązkowa i nikt się od niéj wyłamać nie może. Cały kurs rozpada się na dwa oddziały, w których wykłada nauczyciel, zwany tu przez lud *rektorem*, i jego pomocnik, (adjuwant). W zimie nauka trwa dziennie od czterech do pięciu godzin; w lecie, gdy dzieci zajęte są paszeniem bydła i innemi posługami w gospodarstwie, do szkoły chodzą tylko po obiedzie. — Przedmioty wykładu są następujące: nauka czytania i pisania po polsku, z którą połączone są krótkie wiadomości z geografii (nauka kraju rodzinnego, Heimatskunde), historyi i nauk przyrodzonych; nauka religii, arytmetyka, język niemiecki, nauka śpiewu i ogrodnictwo. Wszystkie przedmioty są wykładane w ję-

---

(1) Kiedy w Gliwicach zapytałem staruszki sprzedającéj bułki, o „Kloster Strasse," odpowiedziała mi, że nie rozumié języka niemieckiego; musiałem zapytanie powtórzyć po polsku. Jakież było moje zdziwienie, gdy, idąc daléj, zwróciłem się z podobném zapytaniem już po polsku do 12 letniego gimnazyasty i otrzymałem odpowiedź: „ich verstehe nicht polnisch."

zyku polskim (1). W języku niemieckim, podług instrukcyi, nauczyciele winni doprowadzić dzieci do tego stopnia, ażeby były w stanie płynnie czytać i rozumiéć co czytają, poprawnie pisać, a nawet prowadzić po niemiecku łatwiejsze rozmowy o przedmiotach życia potocznego. Lecz takich rezultatów żaden nauczyciel nie osiąga; uczeń, opuszczając szkołę, umié zaledwie czytać i przepisywać tekst niemiecki, nie rozumiejąc wcale co czyta, lub pisze. Kiedym w Ostrożnicy (Powiat Kozielski) pytał szesnastoletniéj dziewczyny, czy umié po niemiecku, odpowiedziała mi: „czytać umiem, ale nie wiem, co to jest." W niektórych tylko szkołach protestanckich w Okręgu Kluczborskim i Sycowskim, w oddziale wyższym, wykład wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem języka polskiego i religii, odbywa się w języku niemieckim. Jak mnie objaśniono, przyczyną tego jest ta okoliczność, że do niedawnych czasów (do r. 1858) nie było na Szląsku polskiego seminaryum nauczycielskiego dla ewangielików i nauczyciele, po większéj części niemcy. kształcili się w seminaryach czysto niemieckich.

W owym czasie, kiedym zwiedzał Szląsk (w r. 1869), nadzór nad szkołami należał do duchowieństwa. To zaś, nie jednakowo zapatrywało się na sprawę kształcenia ludu Górno-Szląskiego. Pod czas gdy jedni, jak np. ksiądz Karol Pressfreund w okręgu Bytomskim, występowali w obronie wykładu języka niemieckiego, inni, (i tych była większość,) sprzyjali kierunkowi wychowania w duchu więcéj rodzimym. Nawet sam rząd pruski zaczął był troszczyć się o podniesienie i wzmocnienie żywiołu słowiańskiego w systemacie wychowania. I tak, dla kształcenia nauczycieli *utrakwistów*, to jest takich, którzyby byli zdolni prowadzić wykłady w dwu językach, polskim i niemieckim, oprócz istniejącego już seminaryum katolickiego w Głogówku (Ober Glogau), otworzono jeszcze dwa katolickie: w Pyskowicach (Peiskretscham) i w Pilchowicach i jedno ewangielickie w Kluczborku. Przy każdym z tych zakładów znajduje się nauczyciel języka polskiego. W Pilchowicach zajmował tę posadę w roku 1869 ksiądz Damroth, w Pyskowicach p. Nachbar, w Kluczborku p. Rostalski. Dwu tych ostatnich miałem przyjemność poznać. Obaj szlązacy rodem, kształcili się w Poznańskiém, znają gruntownie swój przedmiot i z zapałem są mu oddani. Podług instrukcyi, nauczyciele seminaryów

---

(1) Zastrzegam tu powtórnie, że stosunki szkolne przedstawiam tu tak, jak je znalazłem w roku 1869, kiedy ministrem oświecenia był Mühler.

i szkół ludowych przy wykładzie języka polskiego winni starać się usilnie wdrażać uczniów do czystego wymawiania po polsku, „hoch polnisch,“ jak się wyrażają i oczyszczać język z prowincyonalizmów i miejscowych właściwości fonetycznych. Rzecz jasna, że rezultatu tego, zwłaszcza w szkołach ludowych, nie osiągają nigdy; gdyż dziecko zaledwie parę godzin słyszy w szkole język poprawny, w domu zaś mówi po staremu, „cawą gambą,“ jak zwykli szląsacy nazywać swoją mowę. Lecz nawet nauczyciele wiejscy nie są, powiększéj części, wolni w swéj mowie od pewnego odcienia dyalektycznego. A to ciągłe łamanie się z trudnościami języka, to sztuczne, dosadne wymawianie wszystkich dźwięków, wyrażonych znakami piśmiennemi, według pisowni nie ściśle fonetycznéj, na mnie przynajmniéj, nadzwyczaj niemiłe sprawia wrażenie.

Owo dążenie szkoły za czasów ministeryum Mühlera, a sądzę że to ma miejsce dotychczas, do wprowadzenia na Szląsku języka polskiego poprawnego, piśmiennego, wynika z ogólnego poglądu pedagogii niemieckiéj, według którego tylko język literacki (hoch sprache) może być przyjęty za podstawę wykładów szkolnych.

Ciekawą byłaby historya szkół ludowych na Szląsku górném od czasu zajęcia téj prowincyi przez Prusaków. Przechowuje się tu podanie, że Fryderyk wielki, po przyłączeniu Szląska do monarchii pruskiéj, wysłał tu legion swych podoficerów, którzy, w charakterze nauczycieli ludowych, otrzymali misyą germanizowania ludności słowiańskiéj. Jeszcze przed laty czterdziestu wszystkie przedmioty, nie wyłączając religii. wykładano po niemiecku. Nawet modlitwy i formy rytualne, np. przy spowiedzi, odmawiały dzieci w tym języku. Całe pokolenie, które się kształciło w owych czasach, do dziś dnia zachowało ten zwyczaj. Pewien proboszcz wiejski opowiadał mi, że w jego parafii, ludzie w wieku dojrzalszym dotąd przy spowiedzi odmawiają formuły obrzędowe, które pamiętają z czasów szkolnych, po niemiecku, nie rozumiejąc ich wcale, lecz gdy przyjdzie do wyznawania grzechów, rozpoczynają je frazesem, który się stał formułą prawie rytualną: „a teraz grzychy banan mówić po polsku.‘ Po czém następuje już opowiadanie w języku polskim.

Jak patrzyli urzędowi działacze pruscy na sprawę germanizacyi polaków szląskich przed laty pięćdziesięciu, wyświetli najlepiéj następujący memoryał niejakiego pana Bendy, radcy szkolnego regencyi Opolskiéj. Oto co pisze p. Benda pod dniem 10 Kwie-

tnia 1819 r. z Opola (1) w tym przedmiocie: „Lud (polscy górnoszlązacy), o którym mówię, należy do niemieckiego monarchy, podlega niemieckim prawom; wszakże nie zna on ani swych panujących, ani języka swych praw. Stroni on od urzędników państwowych, którzy bardzo mało, albo wcale nań nie mają wpływu; kierują nim jedynie przez postrach, nie zaś w imię miłości i zaufania.“

„Lud ten nie ma nic wspólnego, oprócz nazwiska, z właściwymi polakami, gdyż nawet nie mówi językiem polskim, lecz jakąś mieszaniną czesko-morawsko-polsko-niemiecką (?), której trudnoby szukać w jakimkolwiek języku piśmiennym.

To prawdziwe nieszczęście (!) da się, według mego zdania, jedynie tylko przez to usunąć, jeżeli język ten zostanie, jak można najrychléj wytępiony przez nauczanie młodzieży w języku niemieckim (2). Nic na tém świat nie straci, nie straci żadnéj świętości; gdyż ten tylko język zasługuje na tę nazwę, który posiada literaturę, lub przynajmniéj zawiéra w sobie pierwiastki, po których możnaby się spodziéwać rozwoju literatury. Żeby tego można było oczekiwać od mowy waserpolaków, nie słyszałem, aby utrzymywali nawet najzagorzalsi obrońcy tego języka. Że wytępienie języka rychléj da się osiągnąć, aniżeli zwykle mniemają, przekonałem się właśnie niedawno w dwóch szkołach, do których dzieci wstąpiły zabitemi polakami (stockpolnisch), a po trzechletniém nauczaniu, rozmawiały ze mną po niemiecku płynnie i zrozumiale, a nawet pod moim kierunkiem rozwijały pojęcia, które mnie w przyjemne zdziwienie wprawiły. Rezultat ten osiągnęli nauczyciele bez wszelkich kunsztownych środków. Jeden z nich, już człowiek w wieku, ze starszemi dziećmi rozmawia tylko po niemiecku; drugi, młodszy, wcale nie umié po polsku, a właśnie szkoła tego ostatniego była najlepsza, jaką w całym departamencie w ciągu lat trzech poznałem.

Zarzucą mi może, że dziecko, skoro opuści szkołę i w domu rodziców, tak na wsi, jako i w mieście, zacznie znowu mówić po polsku, zapomni wkrótce, czego się w szkole nauczyło. Próżna oba

---

(1) Correspondenz der Schlesischen Gesellschaft für vaterländische Cultur. Bd. 1 1820. pag. 15 i nn.

(1) „Dieses wahre Unglück kann nach meiner Ansicht nur dadurch gehoben werden, wenn diese Sprache durch deutschen Unterricht der Jugend so schnell als möglich vertilgt wird.“

wa! kto się do tego stopnia wydoskonalił w języku, że w nim może samodzielnie rozwijać pojęcia, ten nie tak łatwo go zapomni, a takie ciągłe i troskliwe kształcenie młodzieży, musi nakoniec przyczynić się do rozprzestrzenienia języka. *Zaprawdę! nie potrzeba będzie na to nawet pół wieku, aby w prowincyi niemieckiéj wytępił żywioł polski do szczętu* (1).

Język niemiecki otwiéra dla ludu polskiego, nie umiejącego dotychczas po niemiecku, wrota cywilizacyi niemieckiéj. Wykształcić lud szląski na polskich narodowców nie może być zamiarem rządu, ani téż życzeniem Szlązaka. Do języka swych współobywateli waserpolak, dotychczas tak zaniedbany, posiada niezaprzeczone prawo, jakkolwiek nie rozumié on może jeszcze korzyści, które mu ten język zapewnić może. *W obec tak oczywistéj konieczności, powinien wykład w języku polskim, według mego zdania, całkiem być usunięty*, skoro tylko dzieci otrzymają piérwsze, zasadnicze pojęcia w nauce, a nawet podczas ich rozwoju powinno przeważać dążenie ku językowi niemieckiemu.

Dotychczas ma to miejsce w bardzo małéj liczbie szkół, a najmniéj można myśléć o takiém *racyonalném rozwijaniu pojęć* (!) gdzie nauka wykładana jest po polsku. Zwiedziłem wiele szkół ludowych, w których dzieci z największą biegłością czytać mogły po niemiecku i po polsku. Zdziwienie moje jednak zmieniło słę wkrótce w bolesne rozczarowanie, gdy dzieciny ani słowa nie zrozumiały z tego, co tak płynnie dopiéro przeczytały. Wyuczyły się one po niemiecku czysto mechanicznie, jak papugi, a i po polsku nie lepiéj, gdyż elementarz niemiecki dla szkół katolickich został przełożony na język polski piśmienny (hoch polnische sprache), a tego dzieci nie rozumieją wcale (?), a nawet rzadko sam nauczyciel (?).“

Oto są słowa pisane w roku 1819. Pan Benda stoi na stanowisku niemca urzędnika. Po za interesami państwa, żadnych innych on nie uznaje. Prowincya słowiańska przez to, że należy do państwa niemieckiego, że jest rządzona podług praw niemieckich, staje się dla pana Bendy niemiecką. Ludność jednak języka panującego nie rozumié. Jak zaradzić temu? w jaki sposób ludności polskiéj otworzyć wrota kultury niemieckiéj? Oto—przez jak najrychlejsze *wytępienie* języka polskiego. Nie dosyć jest nauczyć Szlązaków po niemiecku, potrzeba im jeszcze odebrać ich własny język, należy ich wynarodowić. Za najskuteczniejszy zaś

---

(1) „Wahrlich keines halben Jahrhunderts wird es bedürfen, um das polnische in einer deutschen Provinz ganz zu vertilgen.“

środek do wytępienia polszczyzny na Szląsku poczytuje p. Benda niezwłoczną i natychmiastową germanizacyę szkół ludowych, a tych nauczycieli uważa za najlepszych, którzy ani słowa nie umieją po polsku; a przemawianie do dzieci w języku wcale dla nich niezrozumiałym, nazywa p. Benda „*racyonalném rozwijaniem pojęć*."

Nie ma się co zastanawiać nad wartością moralną poglądów p. Bendy, zobaczmy raczéj, o ile nadzieje żywione przez niego się ziściły. Pan Benda łudził się, mniemając, że nauczenie się w przeciągu kilku lat w szkole po niemiecku skłoni dzieci do wyrzeczenia się języka ojczystego w życiu potocznem, że wykształcenie w szkołach niemieckich kilku, lub nawet kilkunastu pokoleń wpłynie na rozpowszechnienie języka niemieckiego wśród ludności innoplemiennéj! Fakt, nad którym pan Radca Regencyjny tak ubolewał, że dzieci czytają wprawdzie płynie po niemiecku, lecz ani słowa z tego nie rozumieją i dziś, po upływie lat pięćdziesięciu kilku, wciąż się powtarza na Szląsku, jakeśmy to już wyżéj zauważyli. Myli się również p. B., utrzymując, jakoby dzieci szląskie, a nawet nauczyciele nie rozumieli języka polskiego literackiego. Mowa szlązaków nie jest wcale ową czesko-morawsko-polsko-niemiecką mieszaniną, jak ją p. Benda nazywa i nie różni się tak dalece od języka piśmiennego, aby ten był niezrozumiały dla szlązaków; co więcéj, język ludowy w niektórych okręgach, jak np. w Kozielckim, Raciborskim, Rybnickim lub Pszczyńskim więcéj zbliża się do języka literackiego, aniżeli gwary ludowe z okolic np. Warszawy lub Krakowa.

Lat pięćdziesiąt upłynęło od czasu, jak pisał pan Benda. W ciągu tych lat wiele się zmieniło. Jeden z następców pana B., ksiądz Bogedajn, nadzorca szkolny regencyi opolskiéj, był najżarliwszym zwolennikiem wyłącznie polskiego nauczania katolików na Górnym Szląsku w szkołach. Za jego zarządu wszystkie przedmioty wykładano tylko po polsku.

Przekonanie o niedorzeczności i niemoralności zachcianek, dążących do wyrugowania języka polskiego jako wykładowego ze szkół górno-szląskich, na początku drugiéj połowy naszego stulecia, stało się udziałem sfer rządowych i zawładnęło opinią publiczną. Wiele faktów dałoby się przytoczyć na poparcie tego zdania. Kilka wystarczy. Tak np. p. Wachner, Radca Wrocławskiego Konsystorza Ewangelickiego (Konsistorialrath) na akcie uroczystym otwarcia seminaryum nauczycielskiego dla polskich ewangelików w Kluczborku (Kreutzburg) w dniu 30 kwietnia 1858 r. miał mowę, w któréj zaznaczając doniosłość otwierającego się zakładu, nazwał dzień ów dniem zadosyćuczynienia (Tag der Sühne) ze strony

rządu pruskiego, który dotychczas był niesprawiedliwym dla polskich ewangelików na Szląsku. Oto są jego słowa: Nasz lud polski ewangelicki, lud, którego pobożność i sposób myślenia prawdziwie chrześciański, mogłby służyć za wzór niejednéj gminie niemieckiéj, lud, wierny swemu królowi, daleki od wszelkich rewolucyjnych zachcianek; lud ten przez wiele dziesiątków lat był deptany i poniewierany. Dla tego téż dzień dzisiejszy jest także dniem zadosyćuczynienia, w tym bowiem zakładzie mają się kształcić nauczyciele, którzyby byli w stanie wykładać nietylko w języku niemieckim, ale i w języku ojczystym tego ludu!! i t. d. (1).

Zmarły w roku 1868 hrabia Strachwitz, prezydent prowincyi Szląskiéj, na akcie uroczystym w seminaryum Pyskowickim (Peiskretscham), zwracając się z mową do elewów szkoły, zalecał im, aby przedewszystkiem przykładali się do języka polskiego, który im będzie tak potrzebny w przyszłym zawodzie nauczycielskim.

Jako wyraz opinii publicznéj w téj sprawie niechaj posłuży poniżéj przytoczony ustęp z czasopisma „*Centralblatt für Schlesien*" z roku 1869 str. 303 i następne: „Nasi szląscy polacy są prusakami i to wiernymi prusakami. Dla tego téż powinni i pragną uczyć się po niemiecku. *Że jednak cel ten nie powinien być osiągnięty bynajmniéj drogą gwałtownéj germanizacyi szkół polskich, jest to dzięki Bogu, głębokiém pszekonaniem naszych władz szkolnych, jak również wszystkich poważnych i po chrzesciańsku myślących ludzi w kraju tutejszym.*" („*Unsere schlesischen Polen sind Preussen und zwar treue Preussen. Darum sollen und wollen sie deutsch lernen. Dass dieses Ziel, auf dem Wege einer gewaltsamen Germanisirung der polnischen Schulen nimmermehr erstrebt werden dürfe, ist Gott sei Dank die feste Ueberzeugung unserer Schulbehörden, wie aller sittlieh ernsten und christlich denkenden Männer in diesem Lande).*"

Tak umiarkowane przekonania co do języka wykładowego na Górném Szląsku panowały wśród miejscowéj inteligencyi niemieckiéj właśnie w lat pięćdziesiąt po proroctwach pana Bendy,

---

(1) Unser polnisch ewangelisches Volk, ein Volk, welches durch seine Frömmigkeit, durch seinen Kirchlichen Sinn, ein Muster so mancher deutschen Gemeinde sein könnte, das Volk, treu seinem Könige, ein Volk welches fern von allem revolutioneren Gelüste ist; dieses Volk ist durch Jahrzehnte hindurch niedergetretten worden. Darum ist dieser Tag auch ein Tag der Sühne, es sollen hier Lehrer gebildet werden, die nicht blos im deutschen unterrichten könnten, sondern in seiner Muttersprache i t. d. (Udzielone przez p. Rostalskiego, nauczyciela seminaryum w Kluczborku).

a w przeddzień wojny francusko-pruskiéj. Czy pozostały takiemi dotychczas? —nie wiem.

Do niedawnego czasu, to jest do wydania nowych ustaw, regulujących stosunki kościelne i szkolne w monarchii pruskiéj, kościół i szkoła ściśle były z sobą złączone; ukształcenie religijne zajmowało w szkole najważniejsze stanowisko, nauczyciel prawie zawsze pełnił zarazem obowiązki organisty lub kantora, a proboszcz był najbliższym zwierzchnikiem szkoły. Ztąd wykładowym językiem w szkole był zawsze ten, który panował w kościele. Po wsiach i małych miasteczkach, gdzie ludność polska przeważa, kazania odbywają się po polsku wyłącznie, w miastach większych po polsku i po niemiecku. Kaznodzieje i nauczyciele poczytują sobie za obowiązek i zaletę iżby władali poprawnym językiem polskim bez dyalektycznych odcieni. I im czyściéj kapłan jaki mówi po polsku, im mowa jego jest wolniejsza od właściwości miejscowych, tém uważany bywa za lepszego kaznodzieję i aby go usłyszyć, tłumy ludu gromadzą się na uroczystości z najodleglejszych okolic. Przeciwnie zaś księży, którzy nie zdołali lub nie zadali sobie pracy, aby przełamać trudności językowe i zacinają ze szląska, lud słucha niechętnie i zarzuca im, że niedosyć poważnie zapatrują się na swe obowiązki.

W okręgu Raciborskim, gdzie ludność polska mięsza się z morawską, w szkole i kościele pod względem języka zachodzą stosunki oryginalne. Niektóre parafie tego okręgu należą do dyecezyi Ołomunieckiéj, a z tego powodu w szkole i w kościele używają w nich języka morawskiego, pomimo, że miejscowa ludność mówi po polsku. Tak np. w parafii Baborowskiéj (Bauerwitz) mieszkańcy wsi Dzielowa, Rakowa i Sulkowa mówią po polsku, w szkołach jednak, uczą się tylko po morawsku, używają morawskich modlitewników, (drukowanych niemieckim abecadłem czyli tak zwanym szwabachem) w kościele śpiéwają pieśni morawskie, słuchają kazań morawskich, a nawet paciérz odmawiają w tém narzeczu. Gwarę swoję poczytują także za narzecze morawskie, jakkolwiek jest ona czysto polską z samogłoskami nosowemi, ze spółgłoską *g*, nie zaś *h* i t. d. Zdarza się niekiedy nawet, że ksiądz pochodzi z okolicy polskiéj, po morawsku nie umié, parafianie mówią po polsku, a jednak w kazaniach kaznodzieja zniewolony jest nałamywać język do narzecza morawskiego. Narzecze to stało się tu tak dalece językiem wyższych, idealnych potrzeb, w wypadkach wychodzących po za obręb życia zwykłego, potocznego, że nawet pieśni światowe śpiéwają tu po morawsku, wymawiając naturalnie z polska, odpowiednio ustrojowi swych organów mównych. Kilka takich piosnek udało mi się za-

pisać, a język ich przedstawia nader ciekawy materyał pod względem gramatycznym.

Wprost przeciwne stosunki istnieją w niektórych wsiach morawskich, należących do dyecezyi wrocławskiéj. I tak: w Benkowicach i Tworkowie lud mówi po morawsku, wykłady zaś w szkole, kazania i śpiewy odbywają się po polsku. Sami włościanie uważają się za Polaków; a kiedy zwracałem uwagę, że nie mówią po polsku tylko po morawsku, odpowiadali mi: „*Nie, my su polacy, a tam daléj, to morawcy. bo należu pod Olomuckieho biskupa.*“ Nawet księża częstokroć nie wiedzą, do jakiéj narodowości etnograficznie należą ich parafianie. Ksiądz Welcel, proboszcz Tworkowski, z trudnością dał się przekonać, że mowa Tworkowian nie jest narzeczem polskiém, lecz morawskiém. Dopiéro wyjaśnienie zasadniczych właściwości i różnic obu narzeczy, i sprawdzenie, że lud w Tworkowie mówi z morawska, np. *huś* nie zaś *gauś* lub *gęś*, jakby powinno być po polsku, przekonało go o faktycznym stanie rzeczy. Zresztą, nic w tém dziwnego, gdyż ogólny charakter obu narzeczy jest jednakowy i potrzeba się pilnie wsłuchać, aby zauważyć różnice.

W okręgach Kluczborskim i Sycowskim ludność jest wyznania ewangielickiego. Jednakże nie masz tu fanatyzmu religijnego i nieprzyjaźni między różnowiercami. Cały zresztą antagonizm wyraża się w opowiadaniu anegdot niezbyt pochlebnych o duchowieństwie innowierców. Wyłączność polega także na tém, że się żenią w jedném wyznaniu. Ztąd też nawet wyrobiły się oddzielne typy, bez widocznego jednak wpływu najęzyk.

Powiedzieliśmy wyżéj, że dziecko w roku czternastym życia opuszcza szkołę. Odtąd, dla dziéwcząt, wrota cywilizacyi niemieckiéj pozostają zawarte na zawsze. Dziewczyna pozostaje do zamążpójścia w domu rodzicielskim, wkrótce zapomina tę trochę niemczyzny, któréj wyuczyła się w szkole i już nigdy w życiu z tym językiem się nie spotyka. Chyba, jeżeli niezamożność rodziców lub inne okoliczności, zmuszą ją do szukania zarobku lub służby w większém mieście.

Inaczéj się rzecz ma z chłopcami. Jakkolwiek ogół męzkiéj ludności wiejskiéj oddaje się przeważnie zawodowi rolniczemu, wszakże pewien procent młodzieży, po wyjściu ze szkoły, wstępuje do seminaryów nauczycielskich lub do gimnazyów, a następnie do uniwersytetu na wydział teologiczny. Dla oznaczenia tego rodzaju karyery istnieje na Szląsku osobny termin: „*wyuczyć się za rechtora, abo za księdza*“. Oprócz rolnictwa te tylko dwa stany: nauczycielski i duchowny, mają powab dla Szlązaków. Na nauczycieli

kieruje się przeważnie młodzież uboga a zdolna, która wykształcenie i utrzymanie w seminaryach otrzymuje kosztem rządu. Do uniwersytetu wstępują synowie bogatych „siodłaków,“ jeżeli ci ostatni, w swéj ambicyi zapragną mieć w swym rodzie księdza. Poświęcenie się innym zawodom, prócz wyżéj wspomnianych, należy między Szlązakami do wyjątków. W każdym razie młodzieńca który został nauczycielem lub księdzem, uważać można za straconego dla ogniska rodzinnego. Od chwili, kiedy Szlązak zamieni ojcowską *kamizelę* na cywilizacyjny surdut, przestaje mówić po polsku, wyjąwszy chyba z rodzicami i krewnymi, którzy nie umieją po niemiecku. A czyni to nie dla tego, żeby miał wyrzekać się swéj mowy rodzinnéj, lub wstydzić się swego pochodzenia, bynajmniéj;—przeciwnie, zdarzało mi się spotykać często młodzieńców w stanie nauczycielskim, dla których drogiém jest wszystko co swojskie, którzy gorąco kochają ziemię rodzinną i lud z pośród którego wyszli, używają zaś w życiu towarzyskiém języka niemieckiego, ulegając powszechnemu zwyczajowi, powszechnéj modzie, podług któréj mowa polska uważaną była za oznakę stanu rolniczego, *siodlackiego.* Gdym zapytywał jednego siodłaka, czy ma zamiar kazać uczyć swych synów po niemiecku, odrzekł mi: „*nic, to cóż, czyż to wszyscy mają zostać panami, niech lepiéj zostaną siodłakami, jak ja.*“ Jak dalece język niemiecki uchodzi tu za znamię dobrego wychowania, przytoczyć mogę, że Szlązacy wierzyć mi nie chcieli, gdym ich zapewniał, że z trudnością przychodzi mi się wyrażać w języku niemieckim. Pewnego razu, gdym odwiedził jednego siodłaka w Zakrzowie, w okolicy Opola, gospodyni przywitała mnie po polsku, lecz zaraz uważała za stosowne prosić mnie o przebaczenie, że nie wita po niemiecku: „Niech przebocą, ale jo ta nie umię po niemiecku.“

Na Szląsku nie pojmują nawet, jak człowiek ukształcony może używać języka polskiego w życiu potoczném. Pewien ceglarz pod Koźlem, który jakiś czas pracował w Warszawie, opowiadał mi o swojém niemałém zdziwieniu, które go opanowało, gdy, w piérwszych chwilach swego pobytu w Warszawie, słyszał na ulicach ludzi, należących do wyższych warstw społecznych, a jednak rozmawiających po polsku.

Młody nauczyciel nigdy nie pojmuje za żonę córki gospodarza wiejskiego, lecz, idąc za zwyczajem ogólnie przyjętym, wybiéra sobie towarzyszkę życia ze stanu nauczycielskiego lub oficyalistowskiego. Tu zaś wszędzie panuje język niemiecki, jakkolwiek wszyscy władają językiem polskim lepiéj jak niemieckim, lecz używają tego języka tylko w stosunkach z ludem. Pewien wiejski

proboszcz, zapytany przeze mnie, czy umié po polsku: „ja, odpowiedział, ich spreche polnisch, aber nur für das Volk.“ Każdy nauczyciel, każdy duchowny uczy się po polsku, (w tym celu przy uniwersytecie wrocławskim istnieje dwu lektorów), lecz uczy się go tak, jak inni nauczyciele studyują języki np. starożytne; patrzy na ten język, jak na przedmiot, którego znajomość jest niezbędnie potrzebna przy wykonywaniu obowiązków powołania. Jest jeszcze inna przyczyna, dla któréj Szlązacy z wyższém ukształceniem nie radzi mówią po polsku. Jest to głęboko w naturze ludzkiej zakorzeniona żądza odgrywania wyższego, wykwintnego tonu, wyróżniania się od motłochu. Jak każdy dobrze wychowany człowiek, jakiéjbądź narodowości, stara się mówić językiem poprawnym, wytwornym, tak i Szlązak cywilizowańszy ucieka się do niemczyzny, gdyż tylko ta mu imponuje, ta go wynosi ponad lud wiejski, nieokrzesany. Kto wié, gdyby na Szląsku był więcéj rozpowszechniony język polski poprawny, czyby go częściéj nie używano. Tak zaś, nawet z Polakami, Szlązak niechętnie mówi po polsku, gdyż się wstydzi swéj wymowy.

Jedném słowem, wszystko co nosi na sobie znamię kultury, od nauczyciela wiejskiego do możnego pana, potomka starożytnéj rodziny słowiańskiéj, cały stan przemysłowy i handlowy,—wszystko uległo germanizacyi. Nawet dziewczęta wiejskie, objąwszy służbę u rodzin niemieckich po miastach, rychł opoczynają wstydzić się mówić po polsku, a nawet poczytują sobie to za obrazę, gdy kto przemówi do nich tym językiem. Mieszczanie, przedewszystkiém mieszkańcy miast większych, do tego stopnia starają się zetrzéć z siebie ślady pochodzenia słowiańskiego, że nawet swe nazwy rodowe przekręcają na sposób niemiecki. Oto kilka przykładów takiego przerabiania nazwisk, które udało mi się zanotować w różnych okolicach Szląska. Pewien *Goły-brzuch* przezwał się *Golibersuch*, *Kwasigroch* pisze się *Quasigroch* (czytaj: Kuazygroch,) *Zawada—Sowade*, *Sobol—Sobel*, *Cieślik—Czieschlik*, *Solarz—Sollorz*, *Koszula—Koschille*, *Zając—Zajanz*, *Mróz—Mrosz*, *Cholewa—Kolewe*, *Śmieszek—Smieschek*, *Polák—Pollok*, *Matysiák—Matischock*, *Kokot—Kokott*, *Sobota—Sobotta*, *Szymoszek—Simossek*, *Porwál—Porwoll*, *Chuć—Hutsch*, *Przybyla—Przibilla*, Inni swe nazwy całkiem przekładają na język niemiecki. Tak naprzykład, *Piątkowie*, zamożna rodzina wieśniacza w Szywałdzie pod Kluczborkiem, w zwykłych stosunkach zachowała nazwę słowiańską, lecz w dokumentach urzędowych, np. przy oddawaniu dzieci do szkół, domagają się jéj członkowie, aby ich pisano *Freytag*. Wiadomo, że dwaj koryfeusze literatury niemieckiéj *G. Freytag* i zmarły nie-

dawno profesor *Wuttke (Wódka)* pochodzą z Kluczborka na Szląsku.

Tak więc, tylko ogół ludności wiejskiéj, oddającéj się rolnictwu, zachowuje narodowość słowiańską. Lecz i tu ludności męzkiéj zagraża niebezpieczeństwo, — służba wojskowa. Jak wiadomo, każdy Prusak, doszedłszy do lat dwudziestu, obowiązany jest trzy lata służyć wojskowo. Młody parobek, który już wszystkiego prawie zapomniał z tego, czego się nauczył po niemiecku w szkole, w pułku rychło nabiéra wprawy w tym języku, (zwłaszcza, jeżeli konsystuje w okolicy niemieckiéj), i mówi nim z wielką ochotą. Uważa się on, za coś lepszego i szlachetniejszego od swoich współwieśniaków; gdy wróci na urlop do wsi rodzinnéj, tracą już dla niego znaczenie drobne dążności i cele parafii, czuje się on członkiem potężnéj armii, z dumą opowiada o czynach oręża pruskiego pod Sadową, powtarza anegdoty z życia królów pruskich, a zwłaszcza o *starym Frycu* (alte Fritze), śpiéwa niemieckie pieśni żołnierskie i ze zgrabnością młodego niedźwiedzia naśladuje ruchy i maniery swoich oficerów. Nie mając dostatecznego ukształcenia, aby przyswoić sobie dobre strony cywilizacyi niemieckiéj, nabywa nałogów i przywar niemieckiego żołdactwa. Niejednokrotnie zdarzyło mi się spotkać w oberży wiejskiéj po kilku młodych urlopników, w żołnierskich myckach na głowie, koło osobnego stołu przy piwie, butnie i gwarnie rezonujących łamaną niemczyzną z widoczném lekceważeniem i pogardą pozostałych gości. Często wieczorem słyszéć można, jak taki podpiły patryota pruski ochrzypłym głosem wyciąga tony fałszywe znanéj pieśni w niefortunnym polskim przekładzie:

„Ja jestem Prusak, czy znasz moje farby.“ (1)

Lecz całe to żołnierskie zacięcie i przywary rychło mijają jak ospa, skoro rezerwista, po kilku latach, wraca na zagon rodzinny. Górno-Szlązacy starannie golą brodę i wąsy, które poczytują za wymysł czysto niemiecki. Nosić wąsy uważają tu *po prostu* za rzecz nieprzyzwoitą, niegodną prawego Szlązaka. „*Wuns nosić to je gańba,*“ powiadają. Byłoby to znieważeniem rodzinnych zwyczajów i wyraźném odstępstwem. „Niechby się który odważył zapuścić wąsy, —mówił mi jeden siodłak z okolic Opola,—to by mu

---

(1) „Ich bin ein Preusse, kennst du meine Farben?“

przy każdéj „*przyleżytości*“ (okoliczności) dziesięć razy na dzień wypomniano: pilnuj no lepiéj swoich wąsów, a do cudzych spraw nosa nie wtykaj.“ To téż, ulegając temu zwyczajowi, młody landwerzysta, powracając do domu, przybywa do rodzinnéj wioski już ogolony, przyodziéwa *jaklę* i *kamuzolę*, zapomina wkrótce dawnéj buty i fantazyi, i znowu staje się cichym, dobrodusznym i pracowitym rolnikiem, jak przedtém. Gdy jednak nastaną manewra czternastodniowe landwery, wtedy, jakby na skinienie rószczki czarodziejskiéj, z przywdzianiem munduru, wraca paroksyzm niemczyzny i marsowego junactwa. Sam widziałem w Koźlu oddział landwerzystów, z fantazyą przeciągających pod dowództwem sędziego okręgowego, komicznie a wcale nie marsowo przyozdobionych dwutygodniowemi nieuniknionemi wąsami.

Tym sposobem służba wojskowa, jakkolwiek oddziaływa cokolwiek na czas pewien na młodzież, w istocie jednak nie ma stanowczego i trwałego wpływu na ogół ludności słowiańskiéj na Szlązku. Naturalnie wyjątki się zdarzają, że ten lub ów syn bogatego Siodłaka, zwłaszcza, jeżeli służył w Berlinie, lub zakosztował postdamskiego gwardyjskiego chleba, nie ma ochoty powrócić do pracy około roli i nie smakuje sobie w skromnym chlebie z grzędy rodzinnéj. Zjawiska jednak takie należą do rzadkich bardzo wyjątków. W ogóle zaś owa nieznaczna znajomość języka niemieckiego, jaką żołniérz zdobywa w pułku, nie wpływając bynajmniéj na język jego ojczysty, ułatwia mu stosunki z niemcami po miastach i z mieszkańcami sąsiednich niemieckich okolic.

Stosunki te zresztą ograniczają się do interesów handlowych, do sprzedaży produktów rolniczych i zakupywania odzieży w mieście i innych potrzeb życia. I tu wszędzie bywa w użyciu język polski; na jarmarkach i targach po miastach, złożonych z ludności wyłącznie niemieckiego pochodzenia, wszyscy kupcy i sklepowa służba muszą mówić po polsku. Inaczéj żadna wiejska gospodyni nie zajrzałaby do sklepu.

Tu kilka słów o stosunkach między ludnością słowiańską i niemiecką na kresach obu narodowości. Zdawałoby się, że tu właśnie germanizacya wsi słowiańskich powinnaby się szybkim krokiem posuwać naprzód. Tymczasem zachodzi tu zjawisko wprost przeciwne. Przeszedłem właśnie znaczną przestrzeń kraju w okręgu Głupczyckim i Raciborskim na granicy narodowości polskiéj i morawskiéj na wschód, a niemieckiéj na zachód. Sprawdzałem przytém kartę etnograficzną Boeckha (1) i cóż się okazało? Oto,

(1) Richard Boeckh Sprachkarte vom Preussischen Staate 1861.

wiele wsi, oznaczonych na karcie jako niemieckie, i które rzeczywiście przed laty dwudziestu były niemieckiemi, teraz do połowy stały się polskiemi. Tak na przykład, we wsiach Dziećmorowie (Dittmerau), Babicach w Okręgu Głupczyckim, żywioł polski ciągle wzrasta. Fakt ten, jakkolwiek wydaje się szczególnym, łatwo jednak da się objaśnić. Niemcy zawsze są więcéj przedsiebiorczy, więcéj ruchliwi od ludności słowiańskiéj, a stąd w nadziei korzyści, które mogą osiągnąć z interesów handlowych z sąsiedniemi polakami, uczą się łatwo i chętnie po polsku. Dziéwczyna polska, ile razy wyjdzie za niemca do wsi sąsiedniéj, zachowuje swój język i rozmawia z mężem i dziećmi po polsku, nie dla żadnych dążności narodowych, lecz po prostu, dla tego, że jest za leniwa, aby miała sobie zadawać pracę przy nauce języka niemieckiego. Zdarza się jednak, że mieszkańcy sąsiednich wsi nie rozumieją się nawzajem. Przy mnie właśnie przyjechało do Uciszkowych (w Okręgu Kozielskim) dwóch rzeźników niemców z sąsiedniego Grobnika z zamiarem kupienia krowy od miejscowéj karczmarki. Kupno nie przyszło do skutku jedynie dla tego, że strony handlujące nie mogły się rozmówić. Takim stosunkom sprzyja jeszcze i ta okoliczność, że wieśniacy niemieccy nie imponują tak dalece swym słowiańskim sąsiadom ani wyższością kultury, ani większą zamożnością. Życie, zwyczaje i obyczaje obu narodowości są prawie jednakowe, i oba typy niczém się od siebie nie różnią. Brak téż jest zupełny z obu stron nienawiści plemiennéj.
Nie można jednak zaprzeczyć, aby nie było równie podobnego oddziaływania ze stronny niemców, jednakże dzieje się to w rozmiarach daleko mniejszych. Tak na przykład we wsi Dobieszowach (okręg Kozielski) starzec jeden zapewniał mnie, że przed laty trzydziestu nikt tu nie umiał po niemieckn, teraz zaś wielu zna ten język, wyuczywszy się go od niemek z Grobnika i Dziećmorowa z któremi się pożenili.

Tym sposobem, w skutek takiego oddziaływania wzajemnego na kresach etnograficznych, powstał grunt wspólny, przejściowy, na którym wytworzyła się ludność dwujęzyczna, zawsze jednak z przewagą żywiołu słowiańskiego. To krzyżowanie plemion ma także wpływ i na język, zwłaszcza włościan-niemców. Podczas gdy mowa polaków i morawian, zamieszkujących wsie graniczące z niemcami, wolna jest prawie od germanizmów, i nie różni się pod tym względem od mowy mieszkańców okolic w głębi Górnego Szląska, leżących zdala od żywiołu niemieckiego, to przeciwnie w ustach chłopów niemieckich często słyszéć można wyrażenia jak: „*nim die drunga*, *hau di kobyla*, *żeby besser ciągla*“ (weź

drąga, a uderz kobyłę, żeby lepiéj ciągnęła); lub: „*hast tu nich gezan kole waszych humen klajne prasiatki laufn*“ (Czyś nie widział koło waszych gumien, nie biegały tam małe prosięta); albo:

„*Du zef* (?), *was kosten to jelito?*
Cwaj piętoki.
Gib her ho sam.“

(Ty, słuchajno, co kosztuje ta kiełbasa? Dwa piętaki (grosz srebrny). To daj ją tutaj.)

Powiedziano wyżéj, że między chłopami niemcami i polakami nie masz plemiennéj nienawiści. W istocie nigdy nie zdarzyło mi się słyszéć, aby Szlązak odzywał się o niemcu z nienawiścią lub pogardą. Jednakże u ludu Szląskiego, jak i w innych dzielnicach, wyrobiło się przekonanie o niemcach, jako o narodzie głupowatym, bez przyrodzonego sprytu i nieradnym. W powieściach zawsze polak niemca w pole wywiedzie, zawsze go niewinnie „*oszydzi*“ (oszuka) i figla mu wypłata. Mnóstwo anegdot krąży między ludem górnoszląskim, w których na jaw wychodzi głupowatosć i niedołęstwo niemców, tych zwłaszcza, którzy oddzielnemi koloniami osiedlili się w śród okolic czysto słowiańskich. Oto niektóre z nich: „W Szywałdzie (kolonia niemiecka Schönwald pod Gliwicami) ci mądrzy niemcy chcieli kościół cofnąć, bo jedni mieli bardzo daleko, a ci drudzy zaś mieli bardzo blizko do kościoła. Tak się raz zebrali trzydzieści chłopa, a chcieli go cofnąć. Przyszli ku temu kościołowi, pozdejmowali sobie kapudroki (surduty), a położyli se ich za siebie, a wysypali przed kościołem trzy miechy grochu, potém się oparli i wzięli ten kościół cisnąć, a jeden chłop (polak) pozbiérał wszystkie te rzeczy, co pozdejmowali i zaniósł je kąsek za nich. Jeden się potém obejrzy, a prawi: bracia, stójcie, bo byśmy bardzo daleko odcisnęli, bo już naszych rzeczy nie widzimy, Tak myśleli, że ten kościół już na to miejsce zacisnęli, gdzie go chcieli.“ (zapisano w Baborowie.)

W innéj anegdocie, opowiadają, jak pewnego razu niemcom wlazł wół w zielone żyto na polu. Jak go tu wypędzić, a nie uszkodzić zboża. Posłać pastucha? źle, bo żyto stratuje. Cóż tedy robią? Oto, biorą we czworo chłopa nosze, sadzają na nie pastucha z batem i wnoszą go w żyto dla zajęcia wołu.

Znowu inna. Pewnego razu wrona, zagnieździwszy się gdzieś w okolicy, poczęła niemcom tępić kurczęta i gąski. Niemcy w radę. Postanawiają, aby wyszukać gniazda i zniszczyć je. Rzeczywiście jest gniazdo w głębi lasu na wierzchołku sosny. Aby się doń dostać, potrzeba drabiny. Niosą, lecz zamiast skierować ją wzdłuż, dzwigają w poprzek, gdyż drzewa przeszkadzają. Co tu

począć? Niemcy wpadają na koncept i wycinają taką warstwę lasu, jak szeroka była drabina.

Do języka niemieckiego lud górnoszląski nie czuje wstrętu; chyba w następującéj przypowiastce dopatrzyć by można pewnéj goryczy i ironii. Jak się nauczyć po niemiecku? „Kto chce po niemiecku się nauczyć, to musi, kiedy jest ciężki mróz, na klamkę język położyć, a potém ostro zerwać, to język się krwią zaleje, to już umié po niemiecku". (Zapisano w Pogorzelcu pod Koźlem).

Cokolwiek bądź, język niemiecki coraz więcéj staje się potrzebny górnoszlązakom. Bez jego znajomości wszystkie inne powołania, oprócz stanu rolnika, wszelkie wyższe wykształcenie jest dla nich niedostępne. Cała urzędowa korespondencya, wymiar sprawiedliwości odbywają się w tym języku. Prawda, że większość sędziów umié po polsku, lecz urzędowi tłómacze, których obowiązkiem jest przekładać dokumenta sądowe, częstokroć pojęcia nie mają o języku polskim piśmiennym. Jako przykład ich stylu przytaczano mi nastąpujące wyrażenie, które, jak mnie zapewniano, stało się stereotypowém: niemiecki frazes: „*Die kosten werden niedergeschlagen*", wykładają ci panowie po polsku: „*Kusta będą na dół trzaskane*".

Dotychczas rozpatrywaliśmy te strony życia Szlązaków, w których narodowości ich zagraża niebezpieczeństwo ze strony żywiołu niemieckiego. Rzut oka na owe stosunki przekonywa, że jakkolwiek nie sprzyjają one rozwojowi ludności w duchu rodzimym, to jednak nie przynoszą jéj istotnéj szkody, i śmiało rzec można, że zdanie wypowiedziane przez zacnego Akademika Kunika w Petersburgu, znającego dokładnie stosunki Szląskie, iż po roku 1815 ani jedna wieś na Szląsku nie uległa germanizacyi, jest najzupełniéj słuszne.

Zobaczmy teraz, jakiemi środkami rozporządzają górnoszlązacy dla podtrzymania i rozwoju swéj narodowości. Najdzielniejszym i najpotężniejszym czynnikiem rozwoju umysłowego jest bez zaprzeczenia literatura i instytucye społeczne.

O działalności literackiéj Górnoszlązaków zdołałem zebrać nader skąpe dane i to przeważnie natury bibliograficznéj. (1)

Z pism peryodycznych wymieniam następujące w porządku chronologicznym.

Tygodnik polski, poświęcony włościanom. Pszczyna, 1842-1846. Wydawca Szemel.

---

(1) Porównaj Listy pag. 301-2.

Od roku 1848 wychodził w Pszczynie Tygodnik Górno-Szląski, wydawany równie przez Szemla. Najwięcéj pracował przy nim miejscowy nauczyciel ewangielicki w Pszczynie. Pismo to miało kierunek dydaktyczno-gospodarski, dawało także powieści, wychodziło lat parę.

Dziennik Górno-Szląski pod redakcyą Heneczka 1848. Późniéj wydawał go w Piekarach J. Łepkowski (obecnie profesor Uniwersytetu Jagielońskiego).

Ksiądz Fietzek wydawał w Piekarach „Listy Maryańskie“ i jeszcze jedno czasopismo, którego tytułu p. Miarka, który udzielił mi niniejszych notatek, nie pamiętał. Być może, iż jest to „Poradnik Górnoszląski,“ pismo miesięczne 1851—53. W roku 1869 wychodziło na Górném Szląsku dwa czasopisma tygodniowe:

Zwiastun Górno-Szląski, pismo zabawne, nauczające i polityczne, redaktor odpowiedzialny ksiądz Purkop, nakładca i rzeczywisty redaktor p. Heneczek, wychodziło w Piekarach, i

Katolik, dawniéj w Chełmnie (Prowincya Pruska) pod redakcyą Chociszewskiego, później nabył go Karol Miarka i od roku 1869, naprzód w Hutach Królewskich, a następnie w Mikułowie wydaje go dotychczas. Jest to pismo polityczne i naukowe. Redaktorem odpowiedzialnym jest obecnie Adolf Hytrek.

Jakiś czas ksiądz Kamiński wydawał w Mysłowicach (czy w Katowicach?) gazetę pod tytułem „Prawda.“ Czy pismo to dotąd wychodzi i o ile treść jego usprawiedliwiała tytuł — nie wiem

O obecnym ruchu dziennikarskim zdołaliśmy zebrać następujące dane:

Oprócz już wspomnianego „Katolika“ w Mikułowie, cieszącego się podobno największém powodzeniem, z téjże drukarni (Karola Miarki) wychodzi:

Monika, organ popularno-pedagogiczny, przeznaczony dla matek chrześciańskich; jak donosi „Kaliszanin,“ liczba prenumeratorów tego pisma wynosi dwa tysiące. Od Nowego roku „Monika“ powiększyła format podwójnie; cena wynosi sześćdziesiąt feników kwartalnie.

Gazeta Górno-Szląska wychodzi w Bytomiu; niewiadomo mi kto jest jéj redaktorem.

Od nowego 1877 roku w Bytomiu, p. Stanisław Przyniczyński (nie ks. Fr. Przyniczyński, jak gazeta „Wiek“ doniosła), począł wydawać: „*Postęp Rolniczy*,“ organ Przemysłowo-Gospodarczy Prowincyi Szląskiéj, wychodzi co 1 i 15 kazdego miesiąca. Mamy przed sobą pierwszy numer tego pisma. Jest to arkusz wielkości i formatu „Gazety Warszawskiéj.“ Wypełniają go następujące arty-

kuły: Odezwa, O Płodozmianach. O mierzwie. Przegląd gospodarczy. Maszyna ręczna do młócenia (z drzeworytem). Krótkie artykuły z dziedziny rolnictwa. Wiadomości Handlowe. Ogłoszenia. W odcinku powieść: Lekarz na wsi, tłómaczenie M. A. Miłkowskiéj. Ciekawym rysem, rzucającym światło na obecny stosunek organów rządowych pruskich do ludności słowiańskiéj na Szląsku, jest okoliczność, że urzędy pocztowe wzbraniają się widocznie przyjmować przedpłaty na „Postęp Rolniczy.“ Na czele bowiem 1-go Numeru Redakcya ostrzega publiczność, aby, na wypadek, gdyby który z urzędników pocztowych odmawiał przyjęcia przedpłaty, okazano mu odpowiednie ogłoszenie pomieszczone zaraz poniżéj.

Tyle o ruchu dziennikarskim.

Do najenergiczniejszych pracowników na polu literatury na Górném Szląsku, poczynając od roku 1835 do 1860, należą bez zaprzeczenia *Lompa* i *Nowacki*.

Józef Lompa (1), którego działalność literacka najwięcéj jest znana wśród naszéj publiczności, był z powołania stolarzem. Długi czas pracował jako nauczyciel elementarny w Lubszy, a pod koniec życia osiadł, jako tłómacz sądowy, w Woźnikach (powiat Lubliniecki).— Prace jego (przeszło trzydzieści tomów) rozchodziły się w tysiącach egzemplarzy wśród ludu szląskiego. Wiele z nich pozostało w rękopismach. Z tych godne uwagi: *Zbiór przysłów Szląskich* i *Zbiór pieśni ludowych z melodyami*. Ostatni ten rękopism, przechodząc z rąk do rąk, dostać się miał w posiadanie pana *Oskara Kolberga*. Rzut oka na ogłoszone drukiem prace Lompy świadczy o wszechstronności autora. Pisał on pieśni pobożne, poezye świeckie, powieści, dzieła treści historycznéj i geograficznéj, elementarze, podręczniki szkolne (rachunki, historya naturalna) poradniki gospodarskie i t. p. Wymieniam tu co ważniejsze;

Krótki rys geografii Szląska, z mapą, w Lublińcu 1843.

Pielgrzym w Lubopolu czyli historya Szląska, opowiedziana na wzór Pielgrzyma w Dobromilu. w Lublińcu 1844.

Przysłowia i mowy potoczne ludu polskiego w Szląsku. Bochnia, u Pisza.

---

(1) Porównaj życiorys Lompy z wizerunkiem w Tygodniku Illustrowanym 1860 Nr 48, i Janusza Ferdynanda Nowakowskiego; Odwiedziny u Józefa Lompy mieszczanina Szląskiego i t. d. Słówko o nowém jego dziele: Przewodnik dokladny dla zwiedzających Częstochowę, Wilno 1861. W dziełku tém podano dokładną bibliografią wszystkich dzieł Lompy.

Przewodnik po Częstochowie. Warszawa, 1860 r.

Prócz tego Lompa zasilał swemi pracami wiele pism czasowych w Warszawie, na Szlązku i w Poznańskiém.

Równie płodnym wydawcą był Nowacki w Mikułowie. Jego powieści o Brunświku, Meluzynie, Helenie i Genowefie, modlitewniki, różnego rodzaju od lat 40 rozchodzą się na jarmarkach nie tylko po Szlązku, ale i do ościennych prowincyi. Wydania Nowackiego są bardzo tanie, gdyż sam autor był zarazem drukarzem i nakładcą. Równie czynnym nakładcą był p. *Heneczek*. Ksiądz Antoni Stabik, proboszcz Michałkowski, oprócz kilku dzieł treści religijnéj napisał: Wspomnienia z podróży do Włoch górnych i dolnych, Wrocław 1869. W przedmowie autor zastrzega, że jakkolwiek Niemiec, pisze jednak po polsku dla Górnoszlązaków. Tenże ksiądz Stabik usiłował był stworzyć oddzielny język piśmienny i literacki polsko-szlązki, oparty na języku ludowym. Usiłowania te jednak rozbiły się, pominąwszy inne, (jak np. niechęć ludu samego) już o tę nieprzełamaną trudność, że gwar ludowych na Szlązku jest niezliczona ilość. Byłoby to więc narzecze jednéj okolicy, narzucające się drugim. Tu miejsce przytoczyć dwie w tym kierunku podjęte próbki dra Haasego dawniéj w Wołczynie (Constadt) w okręgu Kluczborskim osiadłego: Są to trawestacye w mowie ludowéj dwu ballad Szyllera: „der Taucher“ i „Die Handschuh:“ p. t.

1) Ten Uebersetzung tego Tauchera, Niejakiejs bojki łod Pana Schillera 8⁰. 7.

2) Ta Rankawica łod Pana Schillera übersetzowanoł przez Dr. Haase pierwej we Wołczynie, 8⁰. 7. Drukiem i Nakładem E. Thielmanna w Kluczborku.

Pisownia tych, w każdym razie ciekawych próbek, jest potworna, tak, że nie znający języka ludowego z okolicy Kluczborka, nawet zrozumiéć ich treści nie są w stanie. Krotochwilne te powiastki przepełnione są wtrętami niemieckiemi, o których lud nawet pojęcia nie ma. Cokolwiekbądź, dla dialektologa próbki pana Haasego przedstawiają pewien interes.

Fryderyk Rostalski, nauczyciel seminaryum w Kluczborku, napisał kilka powieści z życia Królów pruskich.

Szlązk posiada także i swoich poetów. W roku 1867 wyszły w Chełmnie u Danielewskiego poezye Czesława Lubieńskiego (pseudonym): Wianek pieśni Górnoszlązkich. Poeta stoi na stanowisku wyłączném, górnoszlązkiém. Kocha tę ziemię i wysławia jéj piękności.

Lecz najdzielniejszym pracownikiem w dziedzinie literatury na Szląsku jest, głośny w ostatnich czasach zapaśnik w szrankach „walki kulturowéj,“ *Karol Miarka*. Urodzony w r. 1825, dopiéro w r. 1860 zaczął się uczyć po polsku w Pszczynie. Gimnazyum skończył Miarka w Gliwicach, seminaryum nauczycielskie w Głogówku. Pierwszą jego pracą na polu literatury była powieść, drukowana w Gwiazdce Cieszyńskiéj, pod tytułem: Klemensowa Górka. Rzecz wzięta z czasów apostolstwa na Szląsku świętego Klemensa, ucznia świętego Wojciecha. Zachęcony przychylném przyjęciem téj pracy przez pisma czasowe, wystąpił Miarka z broszurą p. t. „Głos wołającego na puszczy górnoszląskiéj“ (Gwiazdka 1862 osobne odbicie 1865 r. w Poznaniu). Przetłómaczona na język morawski i serbołużycki. W broszurze téj odpiéra autor zarzuty Niemców, jakoby lud górnoszląski nie był zdolny do przyjęcia oświaty w języku ojczystym; broni współziomków przeciwko szkalowaniom Niemców i wzywa kapłanów i nauczycieli, aby nie opuszczali rąk i pracowali około oświaty ludu. Równie politycznéj i społecznéj treści jest broszura: Górnoszlązak i Wielkopolanin, wspomnienia z podróży. Gwiazdka 1865/6. W książce téj autor porównywa wady i cnoty Szlązaków i Wielkopolan. W artykule: „Stosunek Kościoła katolickiego i ewangelickiego na Górnym Szląsku“ autor wykazuje zasługi Kościoła katolickiego około podniesienia umysłowego i moralnego ludności Górnoszląskiéj. Komedyjki: „Kultura“ i „Sąsiedzi na granicy“ mają równie za cel podniesienie poczucia rodzimego na Szląsku. W ogóle prace pana Miarki zalecają się najzacniejszemi dążnościami; wszędzie przebija w nich miłość rzeczy swojskich i ludu, dla którego pracuje. W roku 1868 Miarka przyjął uczestnictwo w redakcyi Zwiastuna Górnoszląskiego, gdzie był nader czynnym współpracownikiem. Artykuły jego wywołały wkrótce okrzyk oburzenia w obozie przeciwnym.

Miarka ustąpił niebawem z redakcyi Zwiastuna i wkrótce sam począł wydawać już wspomnionego Katolika w Hutach Królewskich. Tu również założył w roku 1869 Księgarnię i Czytelnię.

Nieugiętość charakteru i wytrwałość z jaką się trzyma na raz obraném stanowisku zjednały mu nawet uznanie w obozie przeciwnym. Co więcéj, starano się ująć go i przeciągnąć na swoję stronę, lecz na próżno. Zmarły niedawno profesor lipski H. Wuttke, w znaném swém dziele o czasopismach niemieckich, donosi, iż Miarce (mylnie nazywa go Wuttke księdzem) ofiarowano z gadzinowego funduszu 7500 talarów, których naturalnie nie przyjął, jeżeli będzie łagodniéj pisał podczas wyborów i powstrzyma się od

nacisku. (1) O tym wypadku sam Miarka ogłosił w Katoliku Miarka nie poprzestaje na działalności literackiéj i wydawniczéj. Z jego inicyatywy zawiązało się w roku 1869 w Maju piérwsze Kasyno katolickie w Hutach Królewskich. Miałem właśnie sposobność być obecnym na piérwszém posiedzeniu tego towarzystwa. Według statutu kasyno miało być miejscem zabawy dla miejscowéj i okolicznéj ludności; program obejmował koncerta, odczyty, przedstawienia sceniczne, wycieczki wspólne. Pomysł i przeprowadzenie przejął Miarka od cieszyńskiego stowarzyszenia, które już istnieje od lat kilku pod nazwą: „Czytelnia ludowa“. Od tego czasu powstało na Górném Szląsku wiele takich stowarzyszeń, a gdy władze zamykają jedne, powstają na to miast nowe. Tak np. istnieje w Mikułowie „Kółko katolickie, którego duszą jest tenże Miarka. Właśnie w 1-m numerze „Postępu Rolniczego“ czytam ogłoszenie o walném zebraniu tego kółka, na które prezes Miarka zaprasza. Tego rodzaju stowarzyszenia wywiérają dobroczynny wpływ na obyczaje i umysłowość ludności. Podnoszą ją we własnych jéj oczach. Przedtém widzieli szlązacy tylko niemieckie „Gesangverein'y“, „Turnverein'y“ i t. p. zgromadzenia i nie przypuszczali nawet, aby i oni mogli stworzyć coś podobnego własnemi siłami. Ów brak zaufania w samych siebie i poczucia własnéj godności spotykałem w czasie mego pobytu na Szląsku w r. 1869 na każdym kroku. O własnym języku mają sami szlązacy najgorsze pojęcie i lekceważą go sobie. Przekonanie takie wpajają w nich niemcy, księża i nauczyciele, którzy im ciągle dotąd powtarzali, jak ów pan Benda, że mowa szląska nie zdolna jest do wyrażania myśli poważnych i wytwornych. Wszak znane jest powszechnie przezwisko mowy szląskiéj, „wasserpolnisch“. Pewien młody nauczyciel (adjuwant) (w okręgu Kluczborskim), w którego przytomności zapisywałem powieści z ust chłopców, płonął ze wstydu, słuchając rodzinnéj mowy i nie mógł się powstrzymać od wykrzyku: „Das ist kauderwelsch dieses polnische!“ Lud dobroduszny uwierzył temu i sam nie zbyt pochlebnie świadczy o swéj własnéj mowie. Pewien siodłak w okręgu Kozielskim, gdym go w gospodzie prosił o opowiedzenie mi jakiéj powieści, zapewniał mnie,

---

(1) Heinrich Wuttke. Die Deutschen Zeitschriften und die Entstehung der öffentlichen Meinung, ein Beitrag zur Geschichte des Zeitungswesens. Leipzig 1875. 3 aufl. pag. 306: „Oeffentlich versicherte der Kaplan (?) Miarka, Herausgeber des „Katolik“, eine gewisse Person habe ihm 7500 Thaler zahlen wollen, falls er während der Wahlen zahmer schreibe und der Einwirkung auf selbige sich enthalte“.

że mowa jego na nic się nie zdała. „Po co oni, mówił mi, mają pisać takie błazny (głupstwa), nasza rzecz (mowa) to nie je nic wert dle pisma, to je taka rzecz grubelacka, paorisz (bauerisch), waserpolacka rzecz“.

Lud nie czuje nawet swéj odrębności plemiennéj od niemców. Nazwiska „niemiec“ i „polak“ mają tu swoje specyficzne znaczenie. Kto umié tylko po polsku, ten jest polak, kto tylko po niemiecku,— ten uważa się za niemca. Lecz jeżeli zapytać człowieka, posiadającego oba języki, jakiéj jest narodowości, zawsze odpowié, że jest zarazem polak i niemiec. W tych tylko okolicach, gdzie ludność słowiańska graniczy z niemiecką, słowianie wyróżniają siebie od niemców i nawet morawcy nazywają mowę swoję „polska rzecz“, jeżeli chodzi o wyróżnienie jéj od języka niemieckiego. Za to od ludności polskiéj ościennych krajów, zwłaszcza na granicach, lud szląski stroni. Kiedy ich upewniałem, że w naszym kraju taki sam lud, ten sam język i wiara, odpowiadali mi: „my nie są polacy, my są prusacy“ (Pszczyna).

Do lepszego scharakteryzowania tych stosunków niechaj posłuży następująca scena, którą tu przytaczam ze swych listów z podróży (pag. 309—310).

Rzecz dzieje się w Niemieckich Piekarach, w okręgu Bytomskim.

Siedzę w kancelaryi pana Kuny (pisarz sądowy gminny, Gerichtsschreiber), zajęty wypisywaniem nazwisk chłopskich. W tém wchodzi chłopek w ubiorze górniczym, widać prosto od roboty.

—Niech będzie pochwalony ...

—Na wieki, odpowié p. Kuna, a co to powiécie?

— A ja przyszedłem na skargę, objaśnił przybyły.

Oto ten, co to ma się żenić z tą wdową—tu wymienił nazwisko—przezywał mnie i wymyślał...

—A jakże on was przezywał? pyta pisarz.

—A to przezywał mnie polakiem,—hyrtuniem, powiada: polska siarka . . . mówi, że ja mam złodziejski adest, wyzywał mnie polakiem.

Tu nie mogłem wytrzymać.

—Powiedźcie mi téż, przerwałem, dla czego was tak obraża nazwisko polaka? Słyszycie że ja mówię tak samo, jak wy, po polsku; rozumiemy się przecię, a jak mnie kto nazwie polakiem, to się nie obrażam, bo jestem na prawdę polak, tak jak i wy, bo nasza mowa jednaka.

Na takie dyktum skarżący zmięszał się trochę.

—No to niech ta, to już o polaka mniéjsza, ale za co on mi wyzywa, że ja mam złodziejski adest ....

Złodziejskiego adestu nie mógł przebaczyć.

Pisarz przyrzekł wezwać oskarżonego na sprawę na dzień następny. Według ustaw sądowych pruskich, pisarz sądowy gminny w sprawach tego rodzaju stanowi piérwszą instancyę. Najprzód usiłuje pogodzić strony; jeżeli tego nie osiągnie, spisuje protokół i sprawa idzie przed sąd okręgowy. Za każdą sprawę dostaje pisarz dziesięć srebrników.

Po wyjściu górnika objaśnił mi p. Kuna, że sąd, według ustaw, nazwę „polak", daną z intencyą obrażenia, uznaje za obelgę. Że miano Polaka używa w tych okolicach tak złéj opinii, ma to pochodzić ztąd, że z pogranicznych wsi Królestwa chronią się tu wszelkiego rodzaju włóczęgi, których władza chwyta, najczęściéj na gorącym uczynku, i z odpowiedniém świadectwem odstawia do granicy. Ztąd termin: „złodziejski adest". Dla czego chłopi szląscy, sąsiadujący z Królestwem, wyrzekają się swych współplemieńców z za kordonu i nie chcą mieć z niemi nic wspólnego, zrozumié ten tylko, kto na miejscu przyjrzał się różnicy bytu jednych i drugich. Piekary leżą nad samą granicą. Niewielką łączkę przerzyna strumyk, stanowiący właśnie granicę. O parę kroków leży wioska Kamień. Rozwalone, obszarpane chaty, źle uprawne pola, nędzne twarze mieszkańców, wszystko to stanowi rażący kontrast z bogatemi osadami, z zamożnością i dobrobytem Górno-Szlązaków. Za to w głębi kraju, zdala od granicy, przechowują się podania o tém, że Szląsk stanowił niegdyś część państwa Słowiańskiego. Jako granicę podają rzekę Odrę. W okolicach Opola istnieje podanie, jakoby w Odrze znajdował się kamień, który niegdyś stanowił znak graniczny. Lud mniema, że, jeżeli kiedyś kamień ten wynajdą, natenczas granica będzie znowu przywrócona.

V.

Odrodzenie się i rozwijanie w duchu swojskim narodów słowiańskich Monarchii Rakuzkiéj nie mogło pozostać bez wpływu również i na nieliczną, bo zaledwie sto sześćdziesiąt tysięcy wynoszącą, ludność w Cieszyńskiém. Przebudzenie swe ze snu wiekowego Szlązacy Cieszyńscy zawdzięczają głównie byłemu nauczycielowi ludowemu Piotrowi Stalmachowi. Zacny ten opiekun ludu przed laty trzydziestu kilku począł wydawać w Cieszynie czasopismo tygodniowe, pod tytułem „Gwiazdka Cieszyńska", które

wkrótce stało się organem interesów nietylko miejscowéj ludności, ale i ościennych prowincyi. Dzięki staraniom Stalmacha, przy współdziałaniu kilku nauczycieli i okolicznych wieśniaków, założono w Cieszynie „Czytelnią ludową“. Jest to rodzaj resursy, połączonéj z muzeum i biblioteką. Czytelnia posiada teatr, w którym dają przedstawienia amatorowie.

Na czele ruchu umysłowego i społecznego w Cieszyńskiém stoją mężowie z ludu. Wielu z włościan cieszyńskich ukończyło gimnazya i ogół ludności pod względem ukształcenia nie ustępuje bynajmniej wieśniakom w Czechach. Z wybitniejszych osobistości miałem sposobność poznać Jana Glajcara z Sibicy i rodzinę Cięciałów. Ojciec tych ostatnich, starzec siedmdziesięcioletni, zamożny gazda w Mistrzowicach, w swoim czasie przyjmował żywy udział w założeniu czytelni ludowéj i długi czas był jéj prezesem. Gdym go poznał w r. 1869, nie zajmował się już bezpośrednio sprawami społecznemi, lecz za to synowie jego, a zwłaszcza młodszy Jerzy, prezes Towarzystwa Rolniczego Cieszyńskiego, następnie poseł do Rady Państwa, cały jest oddany sprawom swych współziemian i cieszy się powszechnym szacunkiem. Cięciała zwiedził kilkakrotnie Czechy i Galicyą, a o wystąpieniach jego w Wiedeńskiéj Radzie Państwa spotykać można częste wzmianki w gazetach. Silniéj pulsujące życie społeczne w sąsiedniéj Morawii w latach 1867—69 znalazło odgłos na Szląsku. Cięciałowie, Glajcar z Sibicy i inni, przy współudziale nauczycieli i duchowieństwa, uorganizowali w Sierpniu 1869 r. piérwszy „tabor“ w Sibicy, na wzór podobnych zgromadzeń, będących wówczas na dobie w Czechach i na Morawie. Na zgromadzenie owo zebrało się kilka tysięcy ludu, wystąpiono z mowami i t. p. W swoim czasie gazety podawały sprawozdania o tém i o innych zgromadzeniach ludowych na Szląsku.

Wyższe ukształcenie i żywsze poczucie własnéj godności zawdzięczają Szlązacy austryaccy w znacznéj części stanowisku, jakie zajęło duchowieństwo i nauczyciele względem ludności wiejskiéj. Tutejsi nauczyciele, równie jak na Szląsku Pruskiém, wychodzą z pośród ludności wiejskiéj. Lecz ci tutaj nie stronią od ludu, z którego łona wyszli, nie panoszą się, nie wstydzą się swego języka; przeciwnie, wśród nich właśnie znaleźć można najgorliwszych obrońców interesów ludowych. W życiu rodzinnem zachowują swojskie zwyczaje i obyczaje, żenią się zawsze z córkami gazdów; żony ich i córki zachowują strój wiejski i niczém się nie różnią od innych kobiét i dziéwcząt wiejskich.

Pastór i nauczyciel wiejski występują w obec parafian, nietylko w sprawach religii i wychowania, lecz i we wszystkich kwestyach społecznych w charakterze wiernych i szczerych doradców i opiekunów. Do liczby pastorów, cieszących się powszechną czcią i poważaniem, należał, w ciągu kilkunastoletniego pobytu swego w Cieszynie, czcigodny ksiądz Leopold Otto, redaktor „Zwiastuna Ewangelicznego“.

Większa część miejscowéj ludności jest wyznania ewangelickiego, i trzeba wyznać, że nierównie więcéj wykazuje energii, żywotności i miłości wszystkiego, co swojskie, aniżeli ludność katolicka. Zadziwia to tém więcéj, że na Szląsku Pruskiém widzimy zjawisko wprost przeciwne: polscy ewangelicy tameczni, daleko chętniéj poddają się germanizacyi, aniżeli katolicy. Zresztą, między katolikami i ewangelikami w Cieszyńskiém nie masz ani cienia nienawiści religijnéj i sektarskiéj wyłączności.

Zamiłowanie swojskości wśród tutejszych ewangelików wyraża się między innemi i w tém, że już oddawna wprowadzono do obrzędów kościelnych i do wykładu po szkołach język polski na miejsce wiekami uświęconéj czeszczyzny. Inicyatywę w téj sprawie powziął ksiądz Jerzy Heczko, pastor w Ligotce. Przełożywszy kancyonał czeski na język polski, wprowadził go do kościoła w swéj parafii, na mocy postanowienia rady parafialnéj. Za jego przykładem poszli i inni dusz pasterze. Tym sposobem, obecnie prawie we wszystkich gminach ewangelickich kazania, nabożeństwo i wykład szkolny odbywa się w języku polskim. Niektóre tylko zacofane parafie górskie, jak np. we wsi Wiśle, zatrzymały, przynajmniéj do 1869 r., kancyonały czeskie. Tymczasem, w większéj części parafii katolickich, zwłaszcza w zachodnich okolicach kraju, dotychczas kazania i wykłady po szkołach odbywają się po czesku. W roku 1867, we wsi Niemieckiéj Lutyni, cała ludność kobiéca powstała przeciwko nauczycielowi czechowi, który nie chciał uczyć dzieci po polsku. Sprawa przyjęła obrót taki, że nauczyciel musiał się uciec pod opiekę żandarmów, a winne zostały pociągnięte do odpowiedzialności sądowéj. Mimo to, skończyło się na tém, że nauczyciel był zmuszony opuścić swe stanowisko.

Oświata i ukształcenie nie we wszystkich okolicach cieszyńskiego stoi na równym stopniu. Mieszkańcy dolin (*Dolacy* czyli *Lachy*) wzdłuż granicy pruskiéj, ku północy od Cieszyna, i *Wałachy*, mieszkańcy pagórkowatych okolic w pobliżu Cieszyna, stanowią niejako żywioł cywilizacyjny. Oni nadają ton całéj prowincyi; od nich górale poczęli przejmować nawet w ostatnich czasach u-

biór; ztąd we wsiach górskich bogatsze wieśniaczki, żony nauczycieli i t. p. ubierają się po cieszyńsku.

Górale, czyli *podgórzanie*, mieszkańcy górskich osad, rozrzuconych w wąwozach *Bieskidów*, czyli *Małych Karpat*, we wschodnich i południowych stronach kraju, nierównie niżéj stoją pod względem umysłowego rozwoju od Wałachów i Lachów, lecz za to w swym bycie zachowali wiele znamion starożytnych, godnych uwagi badacza.

Niemcy, jak już wyżéj zauważono, mieszkają tu tylko w Cieszynie i w okolicy Bielska-Białéj, na granicy galicyjskiéj. W Cieszynie należą przeważnie do stanu kupieckiego. Są to po większéj części zniemczeni słowianie, jak tego już ich nazwy rodowe dowodzą (Lewiński, Kamprat i t. p.), lub téż żydzi. Lecz tutejsi Niemcy nie są wcale niebezpieczni dla żywiołu słowiańskiego; brak im téj żywotności i energii, która charakteryzuje to plemię, zwłaszcza na kresach etnograficznych na wschodzie i północy. Gdyby nie sztuczne z zewnątrz podtrzymywanie żywiołu niemieckiego, jużby dawno zlał się on z ludnością miejscową. Dowodem słabości tutejszych Niemców jest fakt, że dla celów germanizacyjnych wydawano tu, w duchu nieprzyjaznym dla słowian, gazetę w języku polskim, pod tytułem *Szląskie nowiny* (z księgarni Prohazki w Cieszynie). I ta jednak dla braku prenumeratorów przestała wkrótce wychodzić. Języka niemieckiego ludność po miastach używa więcéj dla mody, dla zwyczaju, niż z koniecznéj potrzeby. Godna uwagi, że nawet po wsiach, ludzie starzy, zacofani chętniéj mówią po niemiecku, zwłaszcza z obcymi, niż młodsze pokolenie.

Główną przeszkodę rozwoju umysłowego w duchu rodzimym dla tutejszéj ludności stanowi brak wyższych zakładów naukowych z kierunkiem, któryby odpowiadał potrzebom. W Cieszynie istniały w r. 1869 dwa gimnazya: katolickie i ewangelickie; miano je połączyć w jedno, usuwając charakter wyznaniowy. Do roku 1869 wykładano w gimnazyum ewangelickiém język polski i czeski, lecz w 1870 nowy dyrektor usunął oba te języki z liczby przedmiotów wykładowych. Brak się téż czuć dawał w owym czasie, gdym zwiedzał te okolice, seminaryum nauczycielskiego dla ludności polskiéj i morawskiéj. Większa połowa uczniów obu gimnazyów składała się z Polaków i Morawców. Wieśniacy, tak dolacy, jak i górale, chętnie oddają synów do szkół i nie masz wsi, któraby corocznie nie wysyłała dziesięciu i więcéj chłopców na naukę do gimnazyów cieszyńskich. Kończący gimnazyum zwykle udają się na Uniwersytet wiedeński; najwięcéj z nich obiéra fakultet teologiczny, wielu także studyuje filologią i prawo. Tu nadmienić wy-

pada, że znane stowarzyszenie studentów w Wiedniu, pod nazwą „Ognisko,“ założone zostało z inicyatywy przeważnie studentów szląskich.

VI.

Typ Szlązaka jest czysto słowiański: twarz okrągła, z wystającemi kośćmi twarzowemi (licowemi), nos zadarty; oczy po większéj części siwe, włosy jasne. Pięknych twarzy mało się spotyka, jakkolwiek między kobiétami są niekiedy prawdziwe piękności. Lecz w zamian za to na twarzy szlązaka maluje się poczciwość i szczérość. Typ lachów i wałachów w Cieszyńskiém nie różni się niczém od typów górno-szlązaków. Tylko górale, zamieszkujący południowo-wschodnie okolice Szląska Austryackiego, wybitnie się wyróżniają od mieszkańców dolin. Najwięcéj między niemi jest brunetów o czarnych, pełnych wyrazu, oczach. Góralki, zwłaszcza we wsi Wiśle, słynne są z piękności.

Wśród ludności górskiéj zasługują na szczególną uwagę mieszkańcy miasteczka Jabłonkowa, w dolinie rzeki Olzy położonego. Mają to być, według przechowanego wśród nich podania, potomkowie plemienia węgierskiego *Jacygów*, którego część przybyła w te strony z sąsiednich Węgier. Ztąd pochodzi przezwisko „Jackowie,“ którém ich raczą okoliczni górale. Na Jabłankowian ułożono nawet pieśń, podrzeźniając ich wymawianie; zaczyna się ona temi słowy:

„W Jablonkowie som Jackowie,
Rozumiejom różnéj mowie,
Bo wandrujom z Węgrem, Turkiem,
Śli na śańce (szańce) z Brandeburkiem“ (?).

Jakkolwiek *Jackowie* mówią po polsku, lecz dotychczas mają się za coś lepszego od okolicznych górali i patrzą na nich z góry, pomimo tego, że handel z okoliczną ludnością górską stanowi ważne źródło ich zamożności. Jackowie bez miłosierdzia wyzyskują dobrodusznych górali, którzy, jakkolwiek niezbyt korzystnie o nich świadczą, wszakże obejść się bez nich nie mogą. Jabłonków jest punktem handlowym nietylko dla ludności górskiéj na Szlązku, ale nawet dla okolic pogranicznych Galicyi, Węgier i Morawii. Nawet Czesi przybywają tu z bydłem, sérem i innemi produktami. Cały ten tłum różnobarwny i różnojęzyczny powraca do domu za-

dowolony. Gdyż, jakkolwiek Jackowie drogo sprzedają, a tanio kupują, lecz z każdym umieją pomówić, każdemu trafią do przekonania. Głęboko też są przekonani, że ich miasto jest stolicą czterech królestw. Jeden z mieszczan Jabłonkowskich tak mi scharakteryzował swych współobywateli, łamiąc różne języki: „W Jablonkowie przydzie tam Tiech, taki ho strejcem przywitaji, przydzie Polak, zowióm go panem; pryjdzie ale Slowak, showaraju sa s nim po susecku, przydzie tam Niemiec, tak go tam przywitajom wilkomen; poradzom se Jabłonkowianie z rozmaitemi narodami, nie potrzebujom nigdzie po tłomacza posyłać. A przez to sie oświadczajom, źe sóm w okolićnem zgromaźdźeniu prawi sławianie.“

Co się tyczy charakteru narodowego Szlązaków, to wszyscy, którzy kiedykolwiek pisali o Szląsku, nawet Niemcy, których przecię nie można posądzić o stronniczość pobłażliwą, wydają nader pochlebny sąd o cnotach domowych ludu szląskiego. W istocie, o ile sam mogłem przeświadczyć się w czasie trzechmiesięcznego pobytu na Szląsku, jak również, opierając się na świadectwach miejscowego duchowieństwa, wyznać muszę, iż pochwały te nie są bynajmniéj przesadzone. Jest to lud uczciwy, dobroduszny i łagodny. O wysokiéj jego moralności społecznéj świadczą najwymowniéj kroniki sądowe. Nie słychać tu o kradzieżach, rabunkach, a cóż dopiéro o rozbojach i morderstwach, o których słuchają tu jakby o powieściach z tysiąca i jednéj nocy. Głównym rysem charakteru Szlązaka jest rozwaga i umiarkowanie. Pracowitość, a z drugiéj strony dobrobyt, ochraniają go od dzikich i gwałtownych namiętności. Sądzę, że następująca anegdota będzie dobrą ilustracyą usposobienia chłopka szląskiego. Dwu Szlązaków powaśniło się pewnego razu w gospodzie. Od przymówek przyszło do łajania, a następnie i do żwawszéj kłótni. Kiedy przeciwnicy wyczerpali już cały, zresztą niezbyt bogaty, słownik wzajemnych obelg i zaczęli się coraz żywiéj zapalać, wypadało przejść od słów do czynu. Lecz razy kosztują drogo; rozpoczynający bijatykę, gdy sprawa pójdzie na drogę sądową, winien zapłacić kary pięć talarów. Wiedzieli o tém zapaśnicy i gorętszy z nich, pałający żądzą walki, zamiast sam natrzéć na nieprzyjaciela, zawołał, podstępując bliżéj:

— Piźnij raz! (uderz no!)

— Nie, piźnij ty wprzoudy — odparl tamten.

Napróżno. Mimo wzajemne wyzywania, żaden nie odważył się powierzyć szczęścia swego losowi walki. Tak więc pożar w sa-

mym zaczątku, dzięki manewrom zręcznéj gosposi, zalany został kilkoma *żedlikami* piwa.

Szlązacy są w ogóle trzeźwi i nigdzie nie zdarzyło mi się spotykać nałogowych pijaków. A odnosi się to tak do Szląska górnego, jak i do Cieszyńskiego. Wyjątek stanowią niektóre wsi górskie, jak np. Wisła i Brenna w Bieskidach, gdzie pijaństwo bardzo jest rozpowszechnione. Objaśniono mnie w Cieszynie, iż wiele temu winno miejscowe duchowieństwo. Zarzut ten, o ile sądzę, jest uzasadniony. Podczas, gdy na Wiśle przez cały tydzień karczma przepełniona jest pijakami, raczącemi się *rosolką* (rodzaj wódki osłodzonéj) i zataczającemi się na ulicy, w sąsiedniéj (katolickiéj) wsi Istebno znalazłem karczmę całkiem pustą. Gdym wyraził swe zdziwienie utrzymującemu gospodę, ten objaśnił mnie, że to ksiądz Minster (miejscowy probosz) zaprowadził takie zwyczaje. „U nas," powiadał, „w dzień powszedni nie znajdziecie nikogo w karczmie, wszyscy u roboty; a w święto, przyjdzie góral, wypije szklankę piwa i kontent, a gorzałki u nas nikt nie pije."

Co do moralności kobiet, to pod tym względem na Szląsku górnym wielka zachodzi różnica między ludnością katolicką a ewangelicką. Ogół dziewcząt katolickich prowadzi się moralnie, a opinia publiczna surowo karze upadłą. Przeciwnie między ewangelikami w okręgu Kluczborskim związki nieprawe są dosyć częste, a ilość dzieci naturalnych bywa znaczna, jakkolwiek i tu naruszenie wierności małżeńskiéj rzadko się zdarza.

Na Szląsku Austryackim, w dolinach, moralność równie stoi wysoko. Inaczéj w górach. Tu rzadko spotkać dziewczynę, któraby przed wyjściem zamąż nie została matką. Lecz w takim razie wychodzi ona zwykle za ojca swego dziecięcia. A jeżeli ten ją opuści, to z pewnością męża dostanie, łatwiéj nawet, aniżeli ta, która nie miała konkurentów. Lecz myliłby się, ktoby stan ten przypisywał upadkowi obyczajów, lub chciał zwyczaje podobne porównywać z prostytucyą świata cywilizowanego. Górale są ludem pierwotnym i bynajmniéj niezepsutym moralnie. Związki zaś przedślubne stanowią tu odwieczny zwyczaj, którego ani duchowieństwo, ani władze gminne, pomimo usilnych starań, nie są w stanie wykorzenić. Kojarzenie małżeństw odbywa się tutaj w sposób następujący. Zwykle rodzice, mający córkę na wydaniu, upatrują jakiego tęgiego a zamożnych rodziców parobka. W niedzielę, po nabożeństwie, przydybawszy kawalera w karczmie, częstują go flaszką *rosolki*, po czém, dobrze już podpojonego,

prowadzą do swéj zagrody na serdeczniejszą gościnę. Często się zdarza, że tak załapany parobczak, wytrzeźwiwszy się nieco, wymyka z komory, póki czas jeszcze. A gdy mu wpadnie w oko inna dziewczyna, porzuca dawną i pozwala się znów częstować innym rodzicom.

Uczucie religijne ludności katolickiéj na Szląsku jest nader silne, a duchowieństwo posiada tu wpływ wszechwładny. Pobożne pielgrzymki do miejsc cudownych nie ustają na Szląsku. Kilka razy do roku tłumy ludu szląskiego i z sąsiedniéj Morawy udają się na Jasną Górę. Prócz tego na Górnym Szląsku wiele jest miejsc cudownych, do których gromadzi się lud na odpusty, jak do niemieckich Piekar (okręg Bytomski), gdzie jest cudowna Matka Boska, na górę Świętéj Anny (okręg Kozielski), do Studzienki, Ostroga i innych. Katolicy tutejsi częstokroć znaczne sumy ofiarują na budowę kościołów i klasztorów. Nie jeden „siodłak" sam własnym kosztem wznosi świątynię. W roku 1869 oglądałem w Szczepanowicach pod Opolem obszerny klasztor, w którym osiadły siostry miłosierdzia, wzniesiony kosztem bogatéj wieśniaczki. W owym czasie, za ministeryum Mühlera, rząd nietylko że nie stawiał przeszkód wznoszeniu klasztorów, ale nawet sam przyczyniał się do ich rozwoju.

Na Szląsku, jak i w innych naszych dzielnicach spotykać można co chwila przy drodze to figurę, to kapliczkę, wzniesioną ręką pobożnych. Nawet w ścianach domów umieszczają obrazy w formie ołtarzów, przyozdobionych firankami i wieńcami.

W czasie mego pobytu na Szląsku mieszkała w okolicach Kluczborka we wsi Kujałkowicach kobiéta, katoliczka, licząca lat około pięćdziesięciu, chorowita, któréj okoliczna ludność przypisywała władzę leczenia chorób przez naznaczenie modlitw. Nie tylko katolicy, ale i ewangelicy, a nawet żydzi udawali się do niéj po radę. Każdemu stosownie do wyznania wyznacza odpowiednie modlitwy. Nawet z odległych krajów, z Prus Wschodnich i z za Berlina przybywali do niéj pacyenci, nawet ludzie zamożni i ukształceni. Pieniędzy zarobionych nie obracała lekarka na swoję korzyść, lecz fundowała kościołek, przy którym miała zamiar osadzić kilku Franciszkanów. Właśnie budowniczy, kierujący budową, zawiózł mnie do niéj. W ciasnéj izbie, w kącie, urządzono dwa czy trzy całkowite ołtarzyki; w jednym z nich znajdował się wizerunek Chrystusa z drzewa w koronie cierniowéj (jak mi mówiła, podarunek jakiegoś żyda). Oprócz wieszczki i jéj służącéj, zastałem w izbie kilka mło-

dych kobiét, jedna z nich była mieszczanka z Kluczborka, ewangeliczka; wszystkie pzzybyły, aby zasięgnąć rady. Ewangeliczka owa przed odejściem pomodliła się, klęcząc przed ołtarzami, ucałowała ręce lekarki, wręczając jéj ofiarę. W mojéj obecności przyszła jakaś wiejska dziewczyna. Ta wydobyła z kieszeni kilka garści drobnéj monety, zapewne ukwestowanéj, i oddała gospodyni. Mnie przedstawił budowniczy jako podróżnego, który, usłyszawszy o osobie, obdarzonéj tak cudowną potęgą, zapragnął ją poznać osobiście. Na nieszczęście nie zdołałem zjednać sobie zaufania wiejskiéj cudotwórczyni. Nie byłem chory i nie zasięgałem rady. Tém większe niedowierzanie obudziłem, kiedy zacząłem ją prosić, aby mi opowiedziała swoję historyą. „Cóż tu opowiadać, odparła, wszystko to zależy od mocy Boskiéj i od woli Jego świętéj, a my ludzie cóż mądrego powiedzieć możemy.“ Ciekawy byłem, czy sama ta kobiéta wierzy w swoję potęgę, czy téż tylko odgrywa komedią. Nie mogłem się téż dowiedzieć, czy miéwa jakie widzenia.

Szlązacy bywają zawsze dobrymi ojcami i mężami; życie domowe jest spokojne, i rzadko bywają niesnaski i bójki między członkami rodziny. Gospodynie słyną ze skrzętności i czystości. Szlązak, będąc sam uczciwym i dobrodusznym, żywi zaufanie do każdego obcego. Podczas swoich wędrówek po Szlązku najczęściéj zwracałem się wprost do ludu i zawsze doznawałem serdecznego i gościnnego przyjęcia. Wszędzie mnie zaraz częstowali i obrażali się, gdym im odmawiał, lub ofiarował datek za podany posiłek. Gdy zaś, aby zyskać zaufanie dzieci i zachęcić je do opowiadania powieści, podarowałem im jaką drobnostkę lub trochę łakoci, wtedy poczciwi rodzice nie wiedzieli, jak wyrazić swą wdzięczność. Serdeczność ta tém więcéj powinna była zadziwiać, że lud nie był w stanie zdać sobie sprawy z tego, co ja jestem właściwie za jeden, i jaki jest prawdziwy cel moich wędrówek. Nikt bowiem nie chciał uwierzyć, mimo to, żem zawsze z góry starał się usunąć wszelkie co do tego wątpliwości, abym podróżował tylko dla słuchania bajek i piosnek. To téż rozmaite poczęto sobie tworzyć przypuszczenia o mojéj osobie. Jedni powiadali, że jestem ajentem, wysłanym, aby wynaleść jakiegoś księdza; inni brali mnie za nauczyciela (rechtora), pozbawionego chleba. W Cieszyńskiem nareszcie podejrzywano mnie, iż jestem szpiegiem, czy inżynierem pruskim, którego wyslano na zwiady, aby wypatrzył przejścia między górami. W Ligotce, właśnie gdy mi jedna staruszka opowiadała bardzo ciekawą historyą o górze Goduli, która stoi na czterech

złotych słupach, i jak czesi przyszli do téj góry po ukryte w niéj skarby, aresztował mnie „policajt“ (policyant gminny) i odprowadził do pani burmistrzowéj, (pan burmistrz zajęty był zwożeniem owsa z pól górskich). Pani burmistrzowa wypuściła mnie niebawem z niewoli, lecz musiałem się już wyrzec dalszych studyów w Ligotce, gdyż zostałem skompromitowany w oczach poczciwych górali, którzy mnie widzieli prowadzonego przez wieś przez srogiego „policajta.“

(Dok. nast.)

POSTRZELONA

POWIEŚĆ

Williama Black'a

przekład

MARYI FALEŃSKIÉJ.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ XIV.

Czém to jest domowe ognisko znowu powitać.

Miara jéj udręczeń nie była jeszcze dopełnioną. Gdy już do woli dała ujście swemu oburzeniu przeciw nierozsądkowi i przewrotności całego rodu męzkiego, stanowczo sobie przyobiecała nie wyjść nigdy za mąż, chociażby się nawet o nią starał jaki królewicz, podniosła się, obmyła sobie twarz i przyczesała włosy, a potem udała się do pokojów swéj macochy. Tam wszedłszy, poprosiła z uszanowaniem téj wielce uroczystéj osoby, któréj szare oczy badawczo na nią patrzaly, aby mogła miéć na wieczór karetę do swego rozporządzenia.

Lady North zdziwioną się uczuła i nieco obrażoną. Córka jéj Anatolia przybiegła była śpiesznie powiedziéć jéj, że z największą pewnością Violetta już dała słowo panu Millerowi; że był tylko co w gabinecie sir Actona i miał z nim poufną rozmowę; a tymczasem Violetta siedziała w salonie, milcząca i zmięszana, i nie chciała odpowiadać na żadne pytania dotyczące tego młodzieńca. Kiedy więc teraz pasierbica jéj pojawiła się, lady North pewna była, że przychodzi zawiadomić ją o daném przyrzeczeniu, a tymczasem chodziło tu tylko o powóz.

— Violetto, rzekła chłodno lady North, nie zdaje mi się właściwém z twéj strony tak ściśle zachowywanie tajemnicy, w sprawie dotyczącéj twojéj przyszłości.

— Nie rozumiem co chcesz pani powiedzieć, odparła młoda dziéwczyna z nagłym błyskiem oburzenia w oczach. O jakąż tajemnicę tu chodzi?

— Nie mam chęci cię badać, skoro nie jesteś usposobioną do ufności względem mnie, odpowiedziała jéj macocha, ze zwykłą sobie w mowie spokojną dobitnością. Zdawało mi się, że do nikogo właściwiéj by ci nie było udać się w tym razie o poradę, jak do mnie. Bez wątpienia, dla tego żądasz powozu, aby się wybrać do Camberwell, do twoich przyjaciół.

— Mam w istocie przyjaciół w Camberwell i wielką mi to jest pociechą, odpowiedziała wyniośle młoda dziéwczyna. Dobrze to mieć gdziekolwiek serca, na które można liczyć. Ale o jakiejże tu mowa tajemnicy? Cóż takiego zataiłam przed panią?

— Nie domyślasz się zapewne, że wiem o bytności pana Millera u twego ojca? rzekła lady North utkwiwszy w niéj chłodny promień swych szarych oczu.

— A cóż mię to może obchodzić? zawołała żywo Violetta, z twarzą oblaną gorącym rumieńcem. Na cóżbym miała przychodzić tu zawiadamiać panią, o tém co mię wcale nie dotyczy? Jeżeli pani ciekawa byłaś wiedzieć o treści rozmowy pana Millera z moim ojcem, lepiéj było ich samych o to zapytać, niż mnie udręczać podejrzeniami i posądzać o skrytość, wtedy, gdy nic nie mam do zatajania.

Już teraz inną wcale miała postawę, niż kiedy wchodziła, i mówiła z zuchwałém lekceważeniem.

— O ile mi się zdaje, dodała, nie masz pani chęci pozwolić mi powozu.

— Twój ojciec nie wróci do domu przed wieczorem, Violetto, a naprawdę, nie chciałabym brać na siebie odpowiedzialności...

— Mniejsza o to, rzekła młoda dziewczyna, zwracając się ku drzwiom; mogę przecię dać sobie rady i bez tego.

— Ach, Violetto, rzekła z westchnieniem jéj macocha, co to za nieszczęście, że nikt nie ma najmniejszéj przewagi nad tobą!

— Nikt, to prawda; bo téż się nikt o to nigdy nie starał, odkąd żyję na świecie, odparła z goryczą młoda dziéwczyna.

Gdy wyszła po pewnym czasie z domu, zdało jéj się, że świeższém i swobodniejszém oddycha powietrzem. Mało ją to obchodziło, że tak sama jedna odbędzie tę wycieczkę. Z łatwością znalazłszy powóz do najęcia, siadła do niego, i wskazawszy woźnicy kierunek ku Waterloo-Bridge, po drodze kazała mu zatrzymać się przed paru sklepami, gdzie porobiła różne drobne sprawunki, przeznaczone na podarunki dla swoich przyjaciół. Najwięk-

szą miała biédę z wybraniem książki, którą chciała zawieźć Drummondowi; obmyśliła sobie, że ma być ona treści filozoficznéj, ale gdy w tym względzie zażądał od niéj księgarz bliższych określeń, nie była w stanie dać ich tylko prosiła o coś bardzo rzadkiego, i co by było istotnéj wartości. Nie łatwo jednak udało się wynaleźć coś, czego by nie widziała już Violetta u swego przyjaciela, lub o czém by go nie słyszała mówiącego; wreszcie, po długich poszukiwaniach, w których księgarz okazał cierpliwość, na jaką nie trudno się zdobyć, gdy idzie o zadowolenie młodéj i niezwykle pięknéj kobiéty, wybór Violetty padł na ostatnie dzieło Darwina, którego pojawienia się w handlu, wiedziała że Drummond oczekuje niecierpliwie. Na szczęście, nadeszło było właśnie, zabrała je więc co prędzéj, i już zaopatrzona we wszystko co z sobą chciała zawieźć, siadła do powozu i puściła się w dalszą drogę.

Zanim się jednak z temi zakupami załatwiła, mrok począł zapadać i kiedy dojeżdżała do Camberwell, noc już prawie była, przyśpieszona tego wieczoru nagłém zachmurzeniem się nieba. Już zdaleka odgłos grzmotu dawał się słyszéć, a wkrótce przy świetle pozapalanych latarni, widać było spadające piérwsze krople deszczu i przechodniów śpiesznie uciekających po chodnikach, przed groźną zapowiedzią burzy. Na szczęście, zanim się ona rozszalała, już się Violetta znajdowała w lesie, pokrywającym pochyłość wzgórza na którém stał dom Drummonda; tym sposobem, jak bądź nie uniknęła ulewy, nie uczuła przynajmniéj gwałtowności wichru, przelatującego z szumem po wierzchołkach wysokich drzew, pod któremi powóz toczył się zwolna pod górę, i obłamującego nie jednę z nich gałęź.

Stopniowo jednak, nawałnica uciszać się poczęła wyczerpana własną gwałtownością, deszcz już nie strumieniami spływał, ale kapał kroplami coraz rzadszemi po liściach; wreszcie gdy Violetta wysiadła z powozu, u samego prawie szczytu wzgórza, cały świat boży już się rozpogadzał i wyglądał odświeżony czystemi strumieniami, co go przed chwilą spłukały. Wilgotne liście drzew zdawały się rozkoszować wonnem powietrzem nocy, mniéj teraz ciemnéj, bo gwiazdy przebłyskiwać poczynały na niebie z chmur oswobodzoném. Podczas gdy Violetta przechodziła przez ogród Drummonda, wśród téj ciszy pogodnéj, pomyślała że sama jest podobną do tego wieczoru, który, wybuchnąwszy burzą i spłakawszy się potokami deszczu, ukołysał się niemi do zupełnego spokoju. Takiż sam czuła w sercu swojém, gdy szła samotną uliczką wiodącą do domu; zdawało się jéj, że teraz jest u siebie i w bezpieczném zaciszu. Niemniéj też czystym i pogodnym od

światła tych gwiazd co jaśniały na bladém tle nieba, był promień świecący w jéj pięknych oczach, gdy zbliżyła się ku swym przyjaciołom, by ich powitać.

Wyszli byli właśnie do ogrodu, skoro tylko deszcz ustał, dla odetchnienia odświéżoném powietrzem i silną wonią kwiatów. Postacie ich były w cieniu, ale w domu światła już pozapalano, i ślicznie się z ogrodu wydawało jego wnętrze, które dostrzedz było można, przez okna i drzwi pootwiérane. Szczérze się nad nią użalali, że ją w drodze spotkała ulewa, a ona myślała w duchu, że z chęcią naraziłaby się na nie jednę taką burzę, byleby się potém dostać do téj przystani spoczynku.

— Ach! nie masz pani pojęcia, powiadała do pani Warrener ściskając jéj ręce, co to za roskosz uczuć się znowu w swém domowém ognisku.

— Cieszysz mię gdy tak mówisz Violetto, odpowiedziała jéj przyjaciółka, albowiem nieraz myślę, że z czasem oddalisz się od nas i że całkiem wtedy wyjdziemy ci z pamięci.

— O tak, stanie się to może gdy żyć przestanę, ale nigdy przedtém, rzekła młoda dziewczyna.

Weszli do domu, i wtedy Violetta zdjąwszy kapelusz usiadła do fortepianu i poprosiła Amy, aby jéj zaśpiéwała piosnkę którą sama wskazała, rozpoczynając wtór do niéj. Była to stara ballada, wypowiadająca słodki urok domowego ogniska. A cóż tymczasem porabiał James Drummond? Oto na wpół leżąc w swém głębokiém krześle, spoglądał zamyślony na wdzięczną postać siedzącą przy fortepianie i powiadał sobie:

— Czyż to podobna, aby to dziéwczę nie uczuło się dotąd nigdy u siebie, ani téż w spokoju, z wyjątkiem chwil które spędza u ludzi całkiem prawie obcych?

Zbliżyła się do niego wkrótce i usiadła na krzesełku przy kominku,

— Czy nie wydaje się panu znakomitą ta ballada? spytała go nieśmiało, jakby czuła ustępstwo jakie czyni tak wzniosły umysł jego, ilekroć się zniża do poziomu wrażeń pensyonarki.

— Nie wiem coby w tém mogło być znakomitego, odpowiedział jéj.— Czyś téż kiedy z uwagą przeczytała słowa pieśni, która ci się podoba? Z pewnością, aniś ty to uczyniła, ani kto bądź inny. Zachwyciło cię kilka słów tkliwych, dobrze godzących się z melodyą, i nie zwróciłaś na to uwagi, że resztę śpiewu zapełnia mnóstwo wykrzykników i oklepanek, stanowiących główną treść utworów tego rodzaju. Tak się ja przynajmniéj na nie zapatruję. Nie ma co tu szukać poezyi, wystarcza zwykle jakaś cząstka me-

lodyi, skojarzona z pewną ilością uczuciowego pierwiastku; o ciąg zaś konsekwentny, a nawet o sens jakikolwiek, nie ma się co i pytać. W ogóle nawet co do poezyi, miewałem nieraz na myśli...

Tu, założyła ręce na kolanach i słuchać poczęła uważnie, uradowana, że go z miejsca zruszyć potrafiła.

— Miewałem nieraz na myśli, że wartoby całkiem nową teoryę utworzyć, co do djabelskiéj pokusy, która zmusza niektórych ludzi do szukania koniecznie dla wyrażenia myśli swoich, dobranych końcówek i okresów trzymających się pewnéj miary. Zresztą, nie jestem pewien czy usposobienie to nie wiąże się czasem z innemi zakresami ducha ludzkiego, pozornie całkiem mu obcemi. Nastręcza się tu pole do nie jednéj filozoficznéj uwagi pełnéj głębokości. Rym powtarzający się w danych odstępach, wpływa nieraz na wywołanie wrażenia, którego by nie sprawiła ta sama myśl, wypowiedziana bez jego pomocy. Piękność niejednéj Szkockiéj pieśni, naprzykład, wyłącznie prawie na tém polega; weź wiersz z osobna i odczytaj go, będzie to coś podobnego do nieustannie powtarzających się wyrazów, któremi matka usypia swoje niemowlę; a jednak gdy się to zleje z melodyą, wydaje się nieraz być prześlicznym utworem. Ale rozbiérać wrażenia wywołane przez muzykę, to to samo co skrobać listek różany, na to, żeby dojść zkąd się w nim barwa bierze. Pocóżeś wstała od fortepianu, Violetto? Czy nam jeszcze czego nie zaśpiéwasz?

— Ach nie! odpowiedziała. Moje piosnki za treść mają tylko wino i bójki, bom ja zawsze żałowała że nie jestem studentem jakiego niemieckiego uniwersytetu,— to było wiecznie jedyném mojém pragnieniem — i tego tylko chciałam, abym mogła raczyć się kuflami piwa, bić się na rapiéry i śpiéwać pieśni studenckie. Otóż takie tylko umiem, a one zanadto byłyby burzliwe na ten miły, spokojny wieczór. Prowadźmy oto lepiéj daléj rozmowę; jak się panu zdaje, czy téż istniał kiedy Ossyan, jako człowiek żyjący?

Ale owo zapytanie nadto wyraźnie miało na celu wywołanie go w szranki wyższéj krytyki; więc téż słysząc je, Drummond serdecznie się roześmiał.

— Panno Violetto, rzekł, nie należy ci wyprowadzać mnie na rozmowy, z których nie wiele byś zrozumiała. Damy na teraz pokój Ossyanowi i odłożymy go do czasu, kiedy wzrok nasz sięgać będzie mógł po za błękitne wzgórza Morwenu. Tém bardziéj mię do tego zachęca ta okoliczność, że słyszę oto prozaiczną, ale wielce pożyteczną Marysię, brząkającą talerzami które nam tu zaraz przyniesie do wieczerzy.

W téj właśnie chwili weszła służąca i do stołu poczęła nakrywać.

— Wspomniałeś pan coś o Higlandach? rzekła nieśmiało Violetta.

— Tak jest, odpowiedział. Lękam się nieraz abyśmy nie wyczerpali naprzód wszystkich uciech téj wycieczki, nadto o nich marząc nieustannie.

— O nie, rzekła trochę posępnie, wiem dobrze, że będzię ona dla was rozkoszną.

— Ale czy wiesz także, iż mam to za rzecz już postanowioną, że się z nami wybierzesz?

— Słuchajże Jamesie, uczyniła mu siostra uwagę, zanim to będziesz miał za pewne, musisz się porozumiéć z jéj macochą.

— Ach, jabym bardzo rada pojechać, rzekła Violeta, a potém stala się milczącą i zamyśloną na czas jakiś.

Dwie były rzeczy z których James Drummond lubił się nieco przechwalać:— niepospolite znawstwo co do krajobrazów i wyjątkowa umiejętność w przyprawianiu salaty. Że zaś pole do tego ostatniego popisu właśnie mu się teraz nastręczyło, czynność owa zajęła go wyłącznie przez pewien czas, w którym nie było więcéj mowy o zamierzonéj podróży. Ale po trochu, gdy już zasiedli około stołu, wrócił do téj rozmowy i prawdopodobnie wkrótce temu uwierzył, że jest ona ogólną i że każdy w niéj wypowiada swoje pojęcia o wrażeniach gór i morza,— a tymczasem on jeden tylko ciągle mówił, a słuchającym go dosyć było téj roskoszy. W rzeczy bo saméj, tyle było życia i prawdy w jego słowie, że nieraz zdawało się w niém dosłyszéć plusk tych fal, które opisywał, i z nim razem słuchacz mknął po nich lekką łódką rybacką, lub téż błąkał się po zielonych wzgórzach, wśród woni które przynosiły wiosenne powiewy. Niewysłowioną były uciechą owe błogie złudzenia wśród tego zakątka, tak bliskiego przykrego zamętu olbrzymiego miasta. Zapominali oni wszyscy o palącym się gazie w sąsiedniéj ulicy, o ciasno nagromadzonych domach, zapatrzeni w czarowną krainę zalaną jasném słońcem, owianą orzeźwiającym wiatrem wiejącym od morza. I nie wiadomo czy z umysłu, czy téż w skutek roztargnienia, Drummond ciągle trzymał się tego, że z niemi tam pojedzie Violetta. Nieustannie do niéj się zwracał, przygotowując ją do wrażeń jakich będzie w tém, lub w owém miejscu doznawała; aż wreszcie zawołała:

— O, jakżebym chciała żeby to wszystko było prawdą! Jakżebym pragnęła być tam z wami!

— Tak się stanie z pewnością, odpowiedział jéj żywo.

— Lady North wybiera się do Wenecyi, rzekła z westchnieniem Violetta.

— To niech sobie tam jedzie, zawołał niedbale.

— Ależ właśnie mamy wszyscy razem wybrać się w tę podróż, jeżeli przedtém nie będę miala z macochą jakiego zajścia, w skutek którego będzie rada pozbyć się mnie. Wielka to doprawdy pokusa, dodała zamyślona.

— Co chcesz powiedzieć? zapytał, jakbądź dorozumiewał się jéj myśli ze złośliwego uśmiechu, czającego się w zakątkach jéj ust.

— Nie, rzekła z nagłém postanowieniem; nie godziłoby mi się wywoływać z umysłu sprzeczkę, w celu odzyskania swobody. Moja macocha starała się być uprzejmą dla mnie, wypada, abym i ja taką była dla niej. A jednak, nie z każdym to rzecz łatwa.

Po niejakim czasie rozmowy, obracającéj się głównie około owéj zamierzonéj podróży, dano znać Violecie że powóz na nią czeka, i z żalem, jak zawsze, porzuciła to jedyne miejsce, gdzie znajdowała spokój, szczerą przychylność i łagodny kierunek.

W miarę jak się oddalała od tego zacisznego ustronia, wjeżdżając w zaludnione ulice pełne sklepów i gwaru, zdawało się jéj, że w coraz odleglejszéj za sobą przestrzeni, pozostawia wszystką szczęśliwość i wszystek spokój jakich kiedy w życiu doznała. Tam, pod tym skromnym dachem, było jéj prawdziwe rodzinne ognisko, tam opiekę miała, mądrą poradę i współczucie; gdy wdzięczną myślą ku niemu wracała, na pamięć jéj przychodziły, wypowiadając jéj obecne uczucie, słowa dawnéj pieśni niemieckiéj, nie już studenckiéj tym razem, ale tęsknéj, jak było jéj serce w téj chwili:

„Tam daleko—wśród łąk woniejących, jest dach mój rodzinny. Nieraz z pod niego wyszedłszy, błąkałam się pośród doliny. O ty przecudna dolino — którą po tysiąc razy witałam—żegnam cię teraz—żegnam cię!“

ROZDZIAŁ XV.

Błędne przypuszczenia.

Tego samego wieczoru, Jerzy Miller śpiesznie się wybierał do swojego klubu, gdzie był zaproszony na obiad wydawany przez jednego z członków dla kilku znajomych. Przejęty się czuł gniewem i oburzeniem. Przyrzekał sobie nie poddawać się więcej ni-

gdy fantazyom żadnéj w świecie kobiéty. Dosyć mu było tego co już przebył, uważał że w téj sprawie, wszystkie ustępstwa po jego dotąd były stronie. Jeżeli się ona spodziewa, powiadał sobie, że dla zadowolenia jéj miłości własnéj, okażę się uległym jéj dziwactwom i podejmę trudy długiego starania się o jéj rękę, nie mając żadnego od niéj zapewnienia,—myli się grubo w tym razie. Dla czegóżbym siebie wiązał dobrowolnie, skoro ona całkiem wolną pozostaje?

Zaproszony został na ów obiad, przez niejakiego Artura Headley, gentlemana, który, wzbogaciwszy się w skutek szczęśliwych jakichś okoliczności w Australii, wrócił do kraju, by tu wydać, co tam udało mu się zyskać. Był to bardzo przystojny mężczyzna, wzrostu wysokiego, dobrze zbudowany, ruchów zręcznych, twarzy pięknéj, którą jeszcze zdobiła ciemna broda wielce wspaniała. Uroda jego była tego rodzaju, że w oczach pokojówki lub panny sklepowéj, musiał przedstawiać uosobienie półbożka. Bystrości umysłu nie było zresztą co szukać pod tą piękną powłoką; jeżeli prawdziwą jest teorya przemian u istot organicznych, w takim razie musiała się dostać wypadkowo temu człowiekowi, mózgownica jakiego mikroskopijnego robaczka. Jak bądź, dobréj był i spokojnéj natury; jedna drobna cząstka złośliwości w nim się mieściła, a ta pojawiała się w jego stosunku z intendentem klubu! Potulny ten człowieczyna nie miał za jego sprawą jednéj chwili spokojnéj. Wiecznie pisywał zażalenia do zarządu, bądź to w przedmiocie złego oświetlenia salonów, bądź to ze względu nieporządku w jakim były utrzymywane dzienniki. W to téż wkładał wszystkie swoje literackie zdolności, których było niewiele, co prawda. Cóż na to poradzić! miewają i półbogowie swoje słabe strony.

Obiad odbywał się w osobnym gabinecie, i w dosyć licznem gronie. Miał tam Miller wyborną sposobność, zapomnienia do czasu o całym przewrotnym rodzie kobiecym, albowiem rozmowa szła z ożywieniem, mając ciągle za przedmiot wewnętrzne urządzenie innych klubów, o czém pan Headley mógł mówić z wszelką świadomością. Trzymał tedy uwagi swych gości nieustannie zwróconą na różnice, jakie zachodziły pomiędzy zbytkiem i wygodami, które można było znaléść w innych publicznych miejscach tego rodzaju, a tém, na czém oni muszą poprzestawać jako członkowie klubu Judaeum. W miarę jak wino bardziéj podniecało umysły, każdy począł brać w téj rozprawie coraz żywszy udział, i potworzyły się kółka w których wszyscy prawie jednocześnie mówili, niewiele o to dbając, aby cośkolwiek mogli usłyszeć z tego, co do nich powiadano.

Jeden tylko z pomiędzy gości Headleya stanowił w tym razie wyjątek. Był nim Jerzy Miller. Słuchał w posępném roztargnieniu tego co mówiono w około niego, nie biorąc udziału, ani w ocenach wina, ani w porównaniach pomiędzy tém a owém urządzeniem służby.

Znagła jednak, od kilku wyrazów które zasłyszał, silniéj uderzyło jego serce.

— Kto jest ta młoda panna wysokiego wzrostu, zwykle mająca białe pióro przy kapeluszu, którą widuję w Parku, powożącą amerykanką zaprzężoną siwemi końmi?

Zapytanie to czynił jakiś gentleman, siedzący po drugiéj stronie stołu.

— Czyż jéj nie znasz z widzenia? odezwał się obojętnie Headley. To córka Northa, kolejowego przedsiebiercy.

— Tyle tylko wiedziałem dotąd o niéj, że rzadkiéj jest piękności. Od niedawna dopiéro ukazuje się w Parku.

— O, co do mnie, rzekł gospodarz, nie znajduję aby żadna inna kobiéta mogła się równać z tą panią.

— Słuchaj no Headley, przerwał mu Miller z żywością któréj nie był w stanie pohamować, zaprzestańmy téj rozmowy, proszę cię o to. Panna North jest mi znajomą.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas któréj każdy się czuł trochę zakłopotany, a także zdziwiony.

— Przebacz mi mój kochany, rzekł wreszcie Headley bardzo przyjaźnie, przepraszam cię po tysiąc razy i dodaję że ci zazdroszczę.

Małe to wydarzenie, niewiele pozostawiło wrażenia u osób w których obecności miało miejsce, jakbądź nie jedna z nich zauważyła, że panna North musi zbliska obchodzić młodzieńca, który tak pośpiesznie starał się o usunięcie jéj nazwiska z rozmowy, w któréj mogła być narażona na ubliżające jéj zestawienia. Ale ponieważ mało to kogo obchodziło, wkrótce téż uwaga ogólna ku innym zwróciła się przedmiotom.

Co zaś do Millera, owa wypadkowa wzmianka o Violecie nie polepszyła wcale jego usposobienia. Wyraźnie zwracała ona ogólną uwagę, a sama myśl o tém budziła w nim wszystkie udręczenia zazdrości, z ich rozlicznemi przywidzeniami. Nienawidził niewinnego gentlemana, który o niéj wspomniał, i czuł że krew się w nim burzy na samę myśl o próżniaczéj gawiedzi podziwiającéj ją w Parku i pozwalającéj sobie o niéj rozprawiać.

Zaledwie obiad się skończył i całe towarzystwo zabrało się do palenia cygar, Jerzy wymknął się do osobnego pokoju i zasiadł

do pisania listu, który zamierzał posłać Violecie. Było to najzupełniejsze, jakie być może wyznanie skruchy za poprzednią śmiałość i wymagania, przyrzekał że byleby mu przebaczyła, poprzestanie na teraz na jéj przyjaźni, powierzając resztę przyszłości. Kończył zapytując, czy się Violetta nie wybiéra na wystawę kwiatową do South-Hensington w przyszły Czwartek?

List ten, odesłany zaraz przez klubowego posłańca, doszedł rąk panny North, w chwili gdy tylko co powróciła była ze swojéj wycieczki do Camberwell. Znajdowała się w jak najlepszém usposobieniu, co zwykle bywało po każdém jéj widzeniu się z ukochanemi przyjaciołmi. Ulitowała się tedy nad strapieniem i nad pokorą swego wielbiciela, i jakkolwiek nie zabrała się zaraz do dania mu odpowiedzi, postanowiła uczynić ją o ile możności uprzejmą i przyjazną.

Odebrał ją Miller następnego wieczoru; wrócił był zawczasu do domu, by tam wyczekiwać jéj nadejścia. Była to piérwsza ćwiartka przez nią zapisana, jaką miał w swém posiadaniu; serce jego zadrżało od wzruszenia, gdy na kopercie ujrzał swoje nazwisko, skreślone jéj ręką. Tak szybkim spojrzeniem przebiegł to pismo, że zdawało się iż treść jego objął w całości, za nim miał czas wyrazy przeczytać. Zdało mu się z niego, że uraza Violetty przeciw niemu nie jest głęboką, ale sam swemu szczęściu nie dowierzał i po kilka razy jéj list odczytywał, by dobrze zrozumieć jego znaczenie. W końcu, wszystkie już wyrazy umiejąc na pamięć, jeszcze się w nie wpatrywał machinalnie, podczas gdy myślą pracował nad dojściem tego, co się pod niemi może ukrywać.

Zdawało mu się koniecznie, że prostota z jaką do niego przemawia Violetta, w tym liscie, jest tylko przybraną. Powiadała mu w krótkich słowach, że spodziewa się na przyszłość przyjaznego pomiędzy niemi stosunku, skoro łatwo będzie uniknąć wiadoméj już przyczyny ich pierwszego nieporozumienia; i że bardzo mu jest wdzięczna, za wzmiankę jaką sam o tém w swoim liście uczynił. Znaczenie tych ostatnich słów łatwe było do odgadnienia, i w końcu Jerzy przyszedł do przekonania, że w nich się mieściła główna treść odpowiedzi panny North, a nawet może powód dla którego się na nią zdobyła.

Violetta wybrała się w dniu oznaczonym na wystawę kwiatową, w towarzystwie sióstr swoich i macochy; nie potrzebujemy dodawać że znalazł się tam także Miller, i że był nieodstępnym tych pań towarzyszem. Słoneczna pogoda pięknego dnia letniego, widok prześlicznych kwiatów i woń ich rozlana w powietrzu, dźwięki muzyki odzywającéj się wśród tych gąszcz z zieleni i ze świetnych

barw złożonych, wszystko to cieszyło i upajało Violettę, nie przesyconą jeszcze przyjemnościami, jakiemi Londyn darzy swoich mieszkańców. W skutek tego pomyślnego usposobienia, okazywała się też bardzo przyjazną względem Jerzego. Nadeszła jednak chwila, w któréj, skutkiem przybycia jakiegoś członka królewskiéj rodziny na wystawę, tłum zwrócił się ku stronie, gdzie można było zbliska oglądać ową znakomitość. Lady North poszła za jego prądem ze swemi córkami, chcąc zaspokoić ich ciekawość, i wtedy wypadkowo Violetta znalazła się prawie sam na sam z Jerzym, tak niewiele osób w około nich pozostało. Zmiana ta nie wywołała żadnéj zmiany w jéj obejściu, zajęta była mocno w téj chwili oglądaniem jakiejś rzadkiéj rośliny z rodzaju mimozów, i nie oderwała od niéj swojéj uwagi. Przeciwnie jednak rzecz się miała z Millerem, który rad był skorzystać ze zdarzonéj sposobności.

— Violetto, rzekł z cicha, nie mam nic od ciebie cobym mógł przy sobie zawsze nosić; daj mi kwiat jaki, aby mi był pamiątką od ciebie.

Zwróciła się ku niemu z niejakim chłodem na twarzy.

— Czyż nie byłoby to z mojéj strony zalotnością? rzekła mu z powagą.

— Na cóż nam znowu rozpoczynać to stare nasze zajście? rzekł trochę już rozdrażniony, sądziłem że ma to już pójść w niepamięć.

— Tak jest, rzecz sama pójdzie w niepamięć, ale nie nauka jaka z niéj wynikła, odpowiedziała w ten sam sposób stanowczy i tchnący godnością. Zdaje mi się, że najlepiéj będzie, jeśli się jasno w tym względzie z sobą wytłómaczymy. Nie życzę sobie nic takiego zrobić, co byś pan mógł wyrzucać mi późniéj; bo któż wié co z czasem może nastąpić?

Znaczenie tych słów było dosyć jasne; w żadnym razie nie mogły mu one dawać lepszéj otuchy co do przyszłości.

— Niedobrą jesteś dla mnie Violetto, rzekł z goryczą. Widzę że nie umiałaś mi przebaczyć kilku słów nierozważnych.

— Mylisz się pan, przebaczyłam i to jak najszczerzéj. Co więcéj, przyznaję żem może źle postąpiła, zgadzając się na ową rozmowę twoją z moim ojcem; ale, wszakże sam mi pan wtedy powiedziałeś, że mię to do niczego nie obowiązuje; że przyszłość pozostaje w zawieszeniu, że poprzestajesz na cierpliwém oczekiwaniu tego co ona przyniesie....

— I na to samo dzisiaj się zgadzam, zawołał ze stanowczością jakiéj dotąd nie bywało w jego mowie, gdy się do niéj odzywał. Nie pytam co daléj będzie, nadto już związany jestem abym się

mógł cofnąć; co do ciebie możesz pozostać tyle swobodną, ile ci się spodoba. Sprobuję szczęścia; wszakże nie jeden człowiek większych szaleństw się dopuszczał, dla zdobycia o wiele mniéj cennéj nadgrody. Z tém wszystkiem, powtarzam że nadto niedobra jesteś dla mnie Violetto.

— Dam panu kwiat, jeśli życzysz tego, rzekła.

— Spójrzała w około siebie i podniosła z ziemi zmięty jakiś kwiatek, który sam opadł był, lub téż został przez kogoś porzucony.

— Czy się ten przyda? spytała.

Wziął go od niéj i cisnąwszy na ziemię, nogą na bok odrzucił.

— Nie w taki sposób chcę dostać od ciebie pamiątkę. Poczekam aż mi dasz inny kwiat, niż taki co go już pod nogami stratowano.

— Ach jakże mi przykro naprawdę, rzekła z westchnieniem, że zawsze musimy być z sobą w niezgodzie. Oto może lepiéj pójdźmy poszukać gdzie się moje panie podziały.

— Przebacz mi Violetto, odpowiedział, nie chciałbym znowu sprzeczki z tobą rozpoczynać, ale widząc cię tak obojętną i wyniosłą względem mnie, zasmucam się i to mię czyni rozdrażnionym. Zapomnijmy o tém i bądźmy znowu z sobą w zgodzie.

— I owszem, życzę tego bardzo.

— Daj mi inny jaki kwiat.

— Jakże dziecinnym pan jesteś, zawołała śmiejąc się. Doprawdy, wydaje mi się że jestem jeszcze na pensyi i że mam zajście z którą z koleżanek o kawałek ołówka.

— Może to być dzieciń以stwem i śmiesznością, w każdym razie postanowiłem czekać. Kiedyś spełnisz może moje życzenie.

— I zapewne chcesz mnie pan dopóty męczyć aż to uczynię?

— Czyniłbym to, gdybym wiedział że się na co przyda.

— Lepiéj nie probuj pan tego. Nie należę do rzędu kobiét na których można wymódz przyrzeczenie, i sądzę, że takie najgorzéj na tém wychodzą po ślubie.

— Przekonam cię ile się mylisz, bylebyś mi dała kiedykolwiek do tego sposobność, zawołał już rozjaśniony samém tém przypuszczeniem.

Szczerym był gdy to powiadał. Nie przeceniał siebie i wiedział dobrze że mu braknie tych właśnie przymiotów, któremi najłatwiéj podbić serce młodéj dziewczyny; nie był w stanie wypowiedzić kwiecistym stylem swoich uczuć, tém mniéj zaś wierszem je wyrazić, jak to inni umieją, ale czuł, że potrafi być mężem przy-

wiązanym i pracować wytrwale na to, ażeby zapewnić żonie nie tylko wygody, ale téż i przyjemności życia.

Na nieszczęście, ostatnie słowa Jerzego, zaniepokoiły tylko Violettę, dając jéj poznać, że bądź co bądź, zawsze do tego samego przedmiotu musi się zwracać ich rozmowa. Pożałowała kilku słów przyjaznych, któremi mogła ożywić jego nadzieje, i stała się od razu chłodniejszą; śpieszno jéj teraz było złączyć się jak najprędzéj ze swoją macochą i siostrami.

Łatwo im przyszło te panie odszukać, ale podczas dalszéj przechadzki po ogrodach, nie zabrakło sposobności Jerzemu rozmawiania jeszcze nie raz sam na sam z Violettą. W jednéj z chwil podobnych zapytał jéj czy się nie wybiéra na odczyt o malarstwie, mający się odbyć w gmachu królewskiéj akademii wraz z wystawą obrazów. Uśmiechnęła się i rzekła:

— Jeśli powiem że tam będę, to może się panu zdawać że tém samém schadzkę naznaczam.

— O nie, tém mniéj to pomyślę, że nawet nie mam jeszcze biletu wejścia.

— W takim razie mogę powiedzić że się wybiéram na to zebranie z moją macochą i Anatolią.

— Więc i ja się postaram o bilet. Sądzę że mi swój zechce pan Drummond odstąpić.

— Mam nadzieję że nie zażądasz pan tego od niego, rzekła z żywością Violetta.

— A to dla czego? Zna on na pamięć wszystkie obrazy o których tam będzie mowa. Czegoż go może nowego nauczyć taki odczyt? Zresztą wiem, że rzadko kiedy odpowiada na podobne zaproszenia, jakbądź ich wiele odbiéra.

— Nie masz pan prawa wymagać od niego podobnéj uprzejmości. Przytém, zaproszenia są imienne i nie można ich nikomu odstępować. Ale nie ma o czém tu mówić, bo wiém że się pan Drummond na ten odczyt wybiéra.

— Doprawdy? wiesz to na pewno?

— Tak jest, ale znając go wiém téż, że jeśli tylko będzie to w jego możności, ustąpi swego biletu każdemu co go o to poprosi, i dla tego właśnie, spodziewam się że pan tego nie uczynisz.

— Zdajesz się bardzo pragnąć spotkania go tam.

— Zapewne, — to jest nie powiem że pragnę tego, ale przyznaję że mam nadzieję z nim się zobaczyć, i że się nią cieszę.

— O, niekoniecznie téż potrzebuję do niego o to się udawać, rzekł Jerzy obojętnie, dostanę bilet kiedy zechcę, mam znajomego co mi się o to z łatwością wystara. Zresztą, na sto osób które się

tam wybierają, zaledwie jedna pójdzie dla odczytu i dla obrazów; inne zwabi ciekawość widzenia książąt, lub chęć zabicia czasu.

— Mam nadzieję, że do téj setnéj cząstki publiczności właśnie pan będziesz należał, rzekła uprzejmie Violetta.

— O, co do mnie, wiész dobrze dla czego tam pójdę, odpowiedział; ale zaraz poczęła mówić o czémś innem i lękając się zejść znowu na ową niebezpieczną pochyłość, gdzie, pomimo swego oporu, widziała się coraz bardziéj w zobowiązania oplątaną.

Takim był ich wzajemny stosunek w onym czasie; on, w zachowaniu się swojém z nią, okazywał jéj tak wyłączne względy, jak gdyby stanowcze przyrzeczenie istniało pomiędzy niemi; ona, w głębi ducha czuła się tém nieco zatrwożona i usiłowała zabezpieczyć swą niezależność, przypominając mu nieustannie że jest całkiem swobodną i że jéj w niczém nie wiążą jego nadzieje. Z tém wszystkiém mimo woli prawie, okazywała mu więcéj przychylności niż by może sama chciała; albowiem czuła się naprawdę jak najlepiéj usposobioną względem niego; a przytém cierpliwe to jego przywiązanie pewną litość budziło w jéj sercu. Nieraz szczerze byłaby chciała aby się na dobre wyrzekł swoich zamiarów, ale nie umiała zdobyć się na odwagę dania mu odprawy. Było to ze wszech miar niebezpieczne położenie, przyznać należy.

Dni i tygodnie upływały tymczasem, zbliżając coraz bardziéj kres modnego sezonu londyńskiego społeczeństwa, i każdy już myśleć zaczynał o przyszłych jesiennych wycieczkach. Violetta nie potrafiła odważyć się na poproszenié macochy, o pozwolenie jéj odbycia z panią Warrener podróży w Highlandy; ale wspominała o niéj nieraz, napomykając że wolałaby o wiele tam się udać niźli do Wenecyi. Pani Warrener zaś nie przestawała ją zachęcać do wybrania się z niemi w góry.

Pewnego słonecznego poranku, amerykanka powożona przez dobrze nam znaną młodą osobę, która zdawała się być przyjemnie zajętą kierowaniem pary dzielnych siwoszów, toczyła się szybko po drodze wiodącéj na Camberwell-Grove, wśród lip i kasztanów, których cienie gęsto ją znaczyły ciemnemi pasami. Tym razem jedynym towarzyszem Violetty był służący, siedzący z tyłu jakby w klombie utworzonym z doniczek kwitnących fuksyi, o których staranie miał sobie poleconém przez swą panią.

U podnóża wzgórza, Violetta zwróciła swe konie w ulicę wysadzaną, w końcu któréj był obszerny budynek drzewami ocieniony; tam je zatrzymała i sama wysiadłszy weszła do wnętrza domu, rozglądając się z zajęciem w około siebie, po tém miejscu tyle w sobie wspomnień dla niéj mieszczącém. Któż zdoła wyrazić zdziwienie

panny Main, gdy wyszedłszy powitać tę piękną panią, noszącą z tak wytworną swobodą swój strój elegancki, poznała w niéj najniesforniejszą uczennicę, jaką kiedykolwiek miała w swoim zakładzie? Mocno zabawiona jéj zdziwieniem, Violetta powiedziała, że chcąc choć w części zatrzéć niekorzystne wrażenie jakie musiała pozostawić w umyśle swéj nauczycielki, zapragnęła ją teraz odwiedzić, a zarazem jéj ofiarować trochę kwiatów, wybranych z pomiędzy tych do których znała jéj upodobanie. Wszystko to wyrzeczone zostało w sposób tak uprzejmy i ze spokojem tak dalekim od dawnego obejścia panny North, że poczciwa ochmistrzyni, zachwycona tak cudowną przemianą, niczego więcéj nie życzyła jak módz się pochwalić tym wzorowym okazem dawnéj uczennicy swego zakładu, w obec dzisiejszych jego mieszkanek. Prosiła więc panny North aby raczyła cokolwiek u niéj pozostać i przyjąć śniadanie, które miało być zaraz podane. Ale usilne jéj nalegania nie odniosły na ten raz skutku; Violetta podziękowała nader uprzejmie za tak przychylne przyjęcie, oświadczając jednak, że nie może dłużéj tu zabawić, ponieważ musi jeszcze odwiedzić panią Warrener, zanim do domu powróci. Przyrzekła odnowić sobie wkrótce przyjemne wrażenia, któremi tak mało może na ten raz się nacieszyć; i temi grzecznemi wyrazami pożegnawszy swą dawną nauczycielkę, odjechała zostawiając ją zachwyconą sobą i skłonną do uwierzenia, że jak największa ilość wad u pensyonarki, bywa rękojmią jak najkorzystniejszego przeistoczenia się jéj w dalszym czasie.

Wyjechawszy z ulicy wiodącéj do zakładu panny Main, Violetta zwróciła swe konie na drogę wijącą się w cieniu drzew coraz gęściéj zwieszających się po nad nią, ku szczytowi wzgórza. Tam był istotny cel jéj wycieczki, z radością téż ujrzała wkrótce przed sobą ów skromny domek, z którym wiązały się dla niéj same przyjemne wspomnienia. Wiedziała że tam Drummonda w téj chwili nie znajdzie; był to dzień, w którym zwykł był uczęszczać na jakieś naukowe posiedzenia, ale właśnie dla tego go obrała, potrzebując pomówić sam na sam z panią Warrener. Znalazła ją w domu, jak się tego spodziewała; zaraz więc po przywitaniu, zdjąwszy tylko kapelusz, poprosiła ją aby mogła wyjść razem do ogrodu.

— Mam do powiedzenia pani coś bardzo ważnego, dodała w sposób wielce uroczysty.

— Doprawdy? spytała z uśmiechem pani Warrener, przypuszczając, że chodzi o jakieś nowe zajście młodéj przyjaciółki z macochą.

| O, nie ma tu z czego śmiać się, kochana pani, rzekła z żywością Violetta. Oto poprostu o co chodzi: czy mam dać stanowcze przyrzeczenie panu Millerowi, czy też go nie dać?

— Ależ zastanów się, moje dziecię! zawołała pani Warrener, przestraszona tym obcesowym sposobem odwoływania się do jéj zdania, tyle zresztą właściwym usposobieniu Violetty. Żartujesz chyba, bo przecięż niepodobna abyś odemnie czekała odpowiedzi na to pytanie. Nie rozumiem nawet dla czego mi je czynisz.

— Dla tego, że nie mam nikogo coby mógł być mi w téj sprawie poradą i pomocą, odparła z prostotą panna North.

— Przecięż, w podobnych razach żadna młoda dziewczyna nie potrzebuje radzić się niczyjego zdania. Należy ci poprostu kierować się własnemi uczuciami.

— Gdyby tego dosyć było, nie znajdowałabym mego położenia tyle trudném, odpowiedziała Violetta nie bez pewnego odcienia dumy dziewiczéj. Wcale sobie nie życzę zostać czyjąkolwiek żoną. Radabym raz się oswobodzić z wszelkiego kłopotu i natręctwa tego rodzaju.

— Jeśli tak jest, dla czegoż je znosisz dotychczas?

— A jeśli téż, rzekła Violetta spuszczając wzrok ku ziemi, sumienie mi powiada, że się z własnéj winy na nie naraziłam, w znacznéj części przynajmniéj, przez nieuwagę moją i lekkomyślność,—to czyż w takim razie... łatwo mi przyjść może dzisiaj... zdobyć się na mniéj uprzejme obejście?

Rozmawiając wyszły były obie do ogrodu. Pani Warrener zatrzymała się, usłyszawszy te ostatnie słowa, i rzekła, kładąc pewien nacisk na każdy swój wyraz:

— Violetto, wszystko tu na tém polega, czy masz ty w istocie do niego przywiązanie?

— Nie... wyszeptała młoda dziewczyna nie podnosząc ciągle oczu.

— Więc dla czegoż mu tego nie powiesz?

— Czyż potrafiłabyś pani coś podobnie ubliżającego powiedzieć komukolwiek z twoich przyjaciół?

— Ależ nie zdarza się codzień, aby przyjaciel kobiéty dobijał się o jéj rękę.

— A! widzisz pani, tu właśnie to trudność stanowi, że on wcale, ale wcale nie żąda odemnie, abym wyszła za niego. Pragnie tylko abym zezwoliła na zobowiązanie, którém on jeden będzie związany; mnie zaś zostawia tę samę swobodę, jaką przedtém miałam, co do rozporządzenia dalszemi memi losami.

— Naprawdę nie rozumiem co chcesz przez to powiedzieć, odrzekła z surową powagą jéj przyjaciółka. Nie pojmuję także co może on miéć na celu, żądając z tobą układu, który jednę tylko stronę zwiąże i do niczego zatém nie doprowadzi w przyszłości.

— Tymczasem, pan Miller wymaga koniecznie odemnie abym na to przystała, odpowiedziała Violetta z wyrazem przykrego zakłopotania. Wié dobrze że mu nie przyrzekę mojéj ręki, ponieważ nie mam wcale ochoty iść za mąż; to téż jak na teraz żadnéj wzmianki nie czyni o czémś podobném.

Szły obie czas jakiś nie odzywając się jedna do drugiéj. W końcu rzekła pani Warrener:

— Zdaje mi się, że zaczynam rozumiéć jak rzeczy stoją pomiędzy wami. Sama myśl o zamążpójściu napełnia cię trwogą, gdyż wrodzonéj tobie dumie wstrętném jest wszelkie przypuszczenie zależności i wyrzeczenia się własnej woli. Zauważywszy to w tobie, pan Miller działa nader oględnie i nie żąda dziś od ciebie wyraźnego przyrzeczenia, licząc na to, że powoli i nieznacznie doprowadzić cię zdoła do kroku, do którego nie potrafiłyby cię może teraz skłonić najsilniejsze jego błagania.

— O, widzę że nie znasz pani dokładnie jakie mam pojęcia w podobnych rzeczach, odpowiedziała jéj na to Violetta z dziwną u niéj nieśmiałością. Wyobrażasz mię sobie dumniejszą niźli jestem w istocie, skoro sądzisz że chcę na zawsze pozostać niezależną. Tak nie jest wcale; ale gdybym miała iść za kogo, chciałabym się uczuć całkiem bezsilną w obec niego, módz w nim szukać kierunku i mądréj porady na każdą chwilę. Potrzebowałabym czcią otoczyć mego męża, a każdy czyn jego byłby dla mnie bez zarzutu. Wstydziłabym się wtedy przelotnego nawet marzenia o niezależności. Ale to bieda tylko, dodała, w dół patrząc podczas gdy to mówiła, że nie łatwo napotkać się dają ludzie godni podziwu i zaufania bez granic; co do mnie przynajmniéj, dotychczas.....

— Co do ciebie, już napotkałaś jednego takiego, w każdym razie; dokończyła pani Warrener z przyjaznym uśmiechem.

— O, nie, bynajmniéj; odpowiedziała panna North, jakby zaniepokojona tém przypuszczeniem. Jest to poprostu urojenie mojéj wyobraźni; wiesz pani ile to niedorzecznych myśli zwykło przewijać się po głowach, takich jak ja pensyonarek.

Za pomocą właściwéj sobie bystrości umysłu i cierpliwości, któréj źródłem była tu szczera przychylność, pani Warrener usiłowała przeniknąć wnętrze duszy téj młodéj dziewczyny i zdać sobie sprawę z jéj uczuć dziwacznych i tak z sobą sprzecznych.

Nie umiała ich sobie tłómaczyć czém inném, jak walką miłości budzącéj się w sercu Violetty z samowolą i wrodzoną dumą, które się do tego przyznać nie chciały, jakbądź coraz więcéj nad niemi nabierała przewagi. Z tego to zapewne powodu, pragnęła usłyszéć od kogo innego, to co jéj własne serce doradzało w skrytości; tym sposobem uległszy jego namowom, uczułaby się w obec siebie saméj uwolnioną choć w części od owego zarzutu słabości, którego lękała się nadewszystko.

Pojęcia, jakie sobie w tym względzie wytworzyła pani Warrener, miały może pewną trafność w ogólném ich zastosowaniu; to jest że dałyby wytłómaczyć postępowanie niejednéj młodéj dziewczyny, w podobnych okolicznościach. W tym razie jednak, były one całkiem nie w miejscu, ze względu na wyjątkowe usposobienie Violetty, a nawet stały się źródłem niejednego złego następstwa.

— Kochanko moja, rzekła przyjaznie, na nicby ci się nie przydała moja porada; a to dla tego, że nigdy prawie młoda dziewczyna nie wypowié szczerze swojego zdania o mężczyznie zbliżonym do niéj wiekiem. Zapewniłaś mię że ci jest pan Miller całkiem obojętnym...

— Może powinnam była powiedziéć raczéj, że go bardzo lubię; przerwała jéj Violetta, wzrok ciągle mając spuszczony ku zielonéj murawie, brzegiem któréj przechodziły. Nie ma co do tego najmniejszéj wątpliwości, że go przekładam nad wszystkich młodych mężczyzn, których znam. Więcéj w nim widzę hartu i szczérości, przytém rozmawia nieraz ze mną w sposób poważny; nie jak drudzy co zdają się widziéć we mnie dziecię, niezdolne pojąć żadnéj myśli głębszéj. A przytém, gdybyś pani wiedziała ile on usiłuje przypodobać mi się we wszystkiém...

— A! widzisz żem cię dobrze umiała zrozumiéć, moja droga Violetto, rzekła pani Warrener, trochę zadowolona własną przenikliwością. Domyśliłam się od razu, że po za temi wstrętami twojemi, kryją się inne uczucia. Nie znosisz nawet wzmianki zamęścia, a pomimo to wyjdziesz za mąż, tak samo jak to uczyniła twoja matka, i wtedy dopiero potrafisz stać się szczérą względem siebie i drugich.

— Spodziewam się, że nie podejrzywasz pani, rzekła Violetta z twarzą oblaną gorącym rumieńcem, że pragnęłam abyś mi doradzała wyjście za mąż?

— O nie, kochanko moja; za nadto znam ciebie abym mogła przypuszczać coś podobnego; to tylko chciałam powiedziéć, że

łatwo przewidzieć jaki będą miały koniec wahania się twoje obecne.

— Jakiż więc?

— Oto zostaniesz żoną pana Millera.

— Z tém wszystkiém, nie jestem nią jeszcze, odparła dosyć chłodno Violetta; i zaraz potém zwróciła na inny przedmiot rozmowę.

Drugim celem jéj obecnych odwiedzin, było zaproszenie pani Warrener i jéj brata na obiad w imieniu macochy; na ten sam dzień w którym się miało odbyć zebranie literacko-artystyczne, o którém wspomnieliśmy wyżéj. Odebrała odpowiedź o tyle przychylną, o ile ją dać mogła pani Warrener, w niebytności Drummonda, do którego woli stosowała się we wszystkiém, i wkrótce potém do domu odjechała.

Dla czegoż teraz trzymała swe cugle tak śmiałą ręką, a na twarzy miała tak wybitny wyraz dumy i silnéj woli.

— Nie jestem jeszcze zamężną — powtarzała sobie w myśli, popędzając żywo konie,—i upłynie trochę czasu zanim mnie kto zobaczy czyjąkolwiek żoną!

ROZDZIAŁ XVI.

Na wystawie obrazów.

Nieliczne kółko, z saméj prawie rodziny złożone, zasiadło w onym dniu przy stole lady North; ale niemniéj był przeto ów obiad wesoły i ożywiony. Drummond znajdował się w bardzo rozmowném usposobieniu; gospodyni domu, usiłując iść w ślad za nim po dziwacznych zakrętach jego myśli, o ile pozwalał na to zakres jéj wyobraźni, czuła się tém w pewnym względzie zabawioną; jak bądź znowu cudaczne zdania jakie wymykały się co chwila jéj gościowi, nieraz ją zdziwieniem przejmowały i zaniepokojeniem. Któż mógł bowiem odgadnąć kiedy ten osobliwy człowiek, o tak rozjaśnioném wejrzeniu, mówi poważnie, a kiedy żartuje w swych niemożliwych opowiadaniach i paradoksalnych poglądach na ludzi i na rzeczy? Violetta zaś rozweselona była nad wszelki wyraz, a być może, że zatrwożenie jakie dostrzegała chwilami na twarzy swojéj macochy zwiększało jeszcze jéj dobry humor.

— Czyż nie słyszałaś nigdy pani, powiadał Drummond, w odpowiedzi na ubolewania lady North nad niesumiennością kupców korzennych, dających najczęściéj towar lichego gatunku, lub też

nadpsuty;—czy nie słyszałaś nigdy pani o pewnym człowieku, który na śmierć wolał się zagłodzić, niźli dłużéj dawać się oszukiwać w podobny sposób?

— Nie wiém nic o tém, odpowiedziała z wyrazem zdziwienia na twarzy.

Violetta uśmiechnęła się w duchu. Wiedziała dobrze, że podobny człowiek nigdy nie istniał. Drummond zwykł był tworzyć sobie urojone osobistości tego rodzaju, na karb których, dogodnie mógł składać najcudaczniejsze swoje zdania i pomysły.

— O tak, ciągnął daléj z wielkim spokojem, był to człowiek wielce prawy i tak go oburzało oszustwo handlarzy, dostarczających mu żywność jego codzienną, że postanowił pomścić się na nich, zmniejszając o ile możności swoje potrzeby. Nasamprzód dostał rzeźnik odprawę, bo waga jego była nierzetelna. Potém przyszła kolej na piekarza, za mięszanie potażu do ciasta i inne tego rodzaju szachrajstwa. W końcu człowiek ten żył już samém tylko mlékiem, ale zdarzyło się iż znalazł sposobność sprawdzenia o ile to mléko było mlékiem. Otóż, przy owym rozbiorze, okazało się że mieści w sobie trzydzieści procent wody, i to odkrycie zraniło dotkliwie jego serce. Tracił ostatnią swoję nadzieję dalszego ziemskiego bytu. Dla ukarania mleczarza, postanowił pozbyć go się także; i tak zamknąwszy się w swoim pokoju, ducha tam wyzionął, zrobiwszy wszystko na co go stać było we względzie walki z ludzką nieuczciwością. Otóż, jak ztąd widzisz pani, musimy zgodzić się z tą myślą, że co chwila jesteśmy oszukiwani, i znosić to cierpliwie. Cierpliwość i jednostajność humoru są największemi darami, jakie może człowiek otrzymać w udziale. Zapewne słyszałaś pani o owym magnacie, który posiadając wszystko czego tylko mógł zapragnąć, umarł jednak skutkiem ciągłego niepokoju?

Tym razem, Violetta o mało na głos śmiechem nie parsknęła. Ma się rozumiéć, że nigdy nie istniał na świecie podobny magnat.

— O tak; do tego stopnia lękał się, aby mu ogień kiedy nie zniszczył jego malowideł, sztychów i staroświeckich zabytków, że postanowił koniecznie posiadać każdy z tych przedmiotów w podwójnym egzemplarzu, i wystawił téż osobny budynek do przechowywania tego powtórzenia swoich zbiorów. Ale ma się rozumiéć iż okazało się to niepotrzebném. Nie zdołał w żaden sposób wystarać się o duplikaty rzadkich rycin jakie posiadał; a włócząc się nieustannie po różnych włoskich miastach, dla wyszukiwania staroświeczczyzn jakich mu było potrzeba, stał się wreszcie straszliwym kościotrupem, w którym kołatał się duch na wpół już tylko przytomny. Troska zabiła go w końcu. Otóż, jeślibyśmy chcieli nie-

ustannie zastanawiać się nad wszystkiemi życiowemi możliwościami, stalibyśmy się koniecznie bardzo nieszczęśliwemi! Znałem kiedyś człowieka ....

Jeszcze jeden! Tu Violetta pomyślała o owych dwunastu komparsach, którzy odbywając w około sceny miarowy swój pochód, wyobrażać mają nieustające przeciąganie licznego wojska.

— ..... który zwykł był bardzo się zasmucać, ilekroć mu wypadło jeść śledzia, albowiem zapytywał siebie wtedy: czy też śledzie podlegają reumatycznym cierpieniom i, przypuszczając że to być może, wyobrażał sobie z przykrością jak straszliwe męczarnie musi znosić śledź w podobnym razie, ze względu na ogromną ilość kości, jaka w nim się mieści. Ale z innéj strony, niepodobna nam zawsze panować nad naszemi przywidzeniami i siłą woli od podobnych udręczeń się oswobodzić; najmniéj zaś do tego bywamy zdolni w rannych godzinach, jeśli się zdarzy, że obudziwszy się bardzo wcześnie, więcéj zasnąć nie potrafimy. Wtedy, najlżejsze zachrypnięcie, przywodzi nam na myśl straszliwe widziadło dyfterytysu; a jeżeli przypomnieć sobie nie możemy od razu błahego jakiegoś szczegółu, skłonni jesteśmy do upatrywania w tém oznaki zupełnego osłabienia naszéj pamięci, lub téż początków umysłowego cierpienia. Każda rzecz naonczas jak najgorzéj nam się przedstawia; wszystko co tylko rozpoczęliśmy, wydaje nam się brać jak najopłakańszy obrót; przyjaciel nasz najserdeczniejszy z pewnością się o coś na nas obraził. Ale czyliż podczas śniadania, nie dziwimy się sami, żeśmy mogli się udręczyć tém co wcale nie istniało? Silniéj rozbudzona żywotność całego organizmu oswobodziła już wtedy nasz mózg od urojeń, co nam się zdawały być przeczuciami. Bywa jednak w innych razach, że wyobraźnia silniejszą jest od zdrowego rozsądku.

Zdarzyło mi się napotkać bardzo światłego człowieka ...,.

Jeszcze jeden znowu!

...,. który mnie zapewniał, że morska choroba dziewięć razy na dziesięć bywa wynikiem saméj obawy jaką wzbudza, i że co do siebie, pewien jest iż potrafi się utrzymać w usposobieniu tyle spokojném, że kołysanie się okrętu wcale na niego działać nie będzię.

Ale stało się, iż zaledwie stanęliśmy obadwa na pokładzie, ujrzał spojrzawszy w górę, obłok żeglujący spokojnie po niebie, i widziałem wyraźnie na jego twarzy, że myśli z tęsknotą jakby to błogo było leżeć spowitym w téj lekkiéj chmurce i tak płynąć łagodnie ....

— Czy cierpiał ten człowiek w ciągu przeprawy na morską chorobę? spytała w tém miejscu gospodyni domu, biorąca dosłownie całą ową fantastyczną opowieść.

Drummond zmięszał się tém zapytaniem. W wyobraźni swéj doprowadził był to zdarzenie aż do tego miejsca; ale o tém co się daléj stało nie miał żadnego pojęcia.

— Nie wiem tego, odpowiedział; a lady North mocno się tém zdziwiła, iż człowiek rozsądny mógł rozpocząć opowiadanie, na to aby je przerwać w miejscu najbardziéj zajmującém.

Tego samego wieczoru, pewien młodzieniec przechadzał się dosyć długo przed wejściem Burlington-Houze, przyglądając się podjeżdżającym powozom i wysiadającym z nich strojnym paniom, które szły potém na górne piętro, ciągnąc za sobą po marmurowych schodach powłóczyste swe suknie jedwabne. W miarę jak czas upływał, niepokój owego młodzieńca zdawał się wzrastać, zaglądał coraz częściéj do swego zegarka, i wyraz przykrego zawodu poczynał malować się na jego twarzy.

W końcu jednak, ujrzał wjeżdżający w dziedziniec powóz, który jakbądź z pozoru wyglądał do innych podobny, szczególne w nim od razu obudził zajęcie. Rysy jego rozjaśniły się i podbiegł śpiesznie sam otworzyć drzwiczki. Najpierwsza wbiegła do dolnego przedsionka, rzęsisto gazem oświetlonego, młoda osoba wysokiego wzrostu, któréj strój wytworny, obmyślony był z artystycznem poczuciem piękna, tak się w nim harmonijnie godziły barwy blado żółtéj sukni o błękitnych rękawach i takichże przybraniach z czarnością kruczą włosów, w których bujnych splotach mięszały się kwiaty białego jaźminu o złotawych odblaskach. Spostrzegłszy młodzieńca, wydala się nieco zdziwiona.

— A! więc się jednak pan tu wybrałeś? rzekła, poprawiając ubrania swych trzech towarzyszek, cokolwiek zmięte w powozie.

— Tak jak pani widzi, odpowiedział. Potém dodał zwracając mowę do lady North. Szczęśliwy traf dał mi znaléść się w téj chwili przy wejściu. Uważam, że nie macie panie z sobą nikogo?

— W istocie, same jesteśmy, rzekła macocha Violetty. Pan Drummond osobno z siostrą przybędzie.

— Zdaje mi się, uczynił uwagę młodzieniec, że potrafią nas oni z łatwością odszukać w górnych salach, więc nie mamy potrzeby dłużéj tu pozostawać.

— O nie, odezwała się młoda panna, w któréj włosach były białe jaźminy, w głosie mając wyraz bardzo stanowczy; — daleko lepiéj będzie jeśli tu na nich poczekamy. Radabym aby pan Drummond przeprowadził moją macochę przez ten tłum, który napełnia sale, a to dla tego, że zna w nim prawie każdego.

Młodzieniec nie miał temu nic do zarzucenia, przewidując, że tym sposobem, pozyska możność zaopiekowania się resztą towa-

rzystwa. Nie czekano zresztą długo; zaraz potém pojawił się Drummond z siostrą. Zdawał się w jak najweselszém usposobieniu i rozprawiał głośno, ze zwykłą sobie swobodą, jak gdyby był w małém kółku bliskich znajomych, nie zaś wśród licznego i świetnego zebrania. Przypatrując mu się, młody Miller czynił w duchu uwagę, że człowiek, który się podjął towarzyszyć tak eleganckim paniom, na wieczór artystyczny w salach wystawy, mógł był trochę staranniéj zawiązać swój krawat w téj okoliczności.

Poszli tedy wszyscy na górę, gdzie u wejścia salonów, nazwiska ich zostały głośno zameldowane. Zaraz wtedy szmer powstał pomiędzy bliższemi osobami i poczęto tłoczyć się ku drzwiom, by lepiéj zobaczyć nowo przybyłe gronko. Któż to w niém tak zwracał ogólną uwagę? Wiedziała dobrze o tem pani Warrener, ciesząca się w duchu podziwem jaki widziała w tych wszystkich spojrzeniach goniących za Violettą, podczas gdy w postawie pełnéj wdzięku, a zarazem godności, przepływała lekkiemi ruchy przez wązkie przejście otwarte dla wchodzących wśród tłumu. Czy wiedziała młoda dziewczyna, czy téż nie, o wrażeniu jakie sprawia? tego nie podobna się było domyśléć z wyrazu jej twarzy. Jeśli je dostrzegała, to w każdym razie, nie zdawała się niém bynajmiéj zmięszana.

Wkrótce téż całą jéj uwagę zwróciły dzwięki muzyki, dochodzące z pobliskiéj sali koncertowéj, i śpiesznie zwróciła się w tę stronę, pociągając za sobą resztę swego towarzystwa, z wyjątkiem macochy i Drummonda, którzy przechadzali się tymczasem po salonach, gdzie lady North przypatrywała się ciekawie znakomitościom polityki i mody wielkiego świata londyńskiego. Koncert był w istocie doborowy; składały się na niego siły najlepszych artystów i utwory mistrzów znakomitych; nasze panie spędziły w téj sali czas dosyć długi, w towarzystwie Millera; potém zaś każda z nich poszukała sobie rozrywki najlepiéj zastosowanéj do swych upodobań, w tém miejscu nastręczającém tak wielką ich rozmaitość. Schodzono się z sobą i rozchodzono się znowu, to przed cudownemi kwiatami cieplarni, to przy obrazach wystawy, to znowu przy ciekawym zbiorze strojów rozmaitych ludów. W jedném z podobnych spotkań, zdarzyło się Violecie znaléść się jednocześnie z Drummondem w obec obrazu, mającego za treść smutny koniec Heleny z Kirkconnell.

Upłynęło już lat parę, odkąd malowidło wystawione zostało po raz pierwszy na widok publiczny; zdaje nam się, że nie przeceniając jego wartości, przyznać mu możemy tę zasługę, iż usiłowało widocznym uczynić dla oka, wyraz najwyższego stopnia

wzruszenia ludzkiéj duszy, jaki nam wyraziła kiedykolwiek literatura nowożytna, jeśli można nazwać literackim utworem ów dziki i przenikający wykrzyk boleści. Zresztą, obraz nie potrafił nic więcéj przedstawić, nad jedną chwilę owéj krótkiéj tragedyi: widzimy na nim Helenę Kirkconnell, rzucającą się wśród wieczornéj przechadzki odbywanéj z kochankiem, naprzeciw śmiertelnego ciosu, który w miejscu jego odbiéra, z ręki wzgardzonego współzawodnika. Nie ma już na nim dalszego ciągu dramatu, jeszcze o wiele straszliwszego.

Serce mi całe wraz z nią wtedy wydarł.

Słowa te, są pełnym grozy wstępem do dziką radością tchnącego czynu pomsty okrutnéj.

Gdy kochanka moja padła, ostrzem żelaza przeszyta
Z czułą ją pieczą w łono ziemi złożyłem,
W Kirkconnell, pod zieloną murawą cmentarza.

Złożyłem ją tam, a potém miecz z pochwy dobyłem,
Zaciętą była moja walka z Kirtleshawem,
Powaliwszy go o ziemię, w kawałki zsiekałem,
Za nią, co dla mnie swe życie oddała.

— Smutne to dzieje, rzekł z roztargnieniem Drummond, wypowiedziawszy te kilka wierszy.

— Nie powiem tego wcale, odparła z żywością, a on spójrzawszy na nią, zadziwił się bladością jéj twarzy i łzami, które napełniały jéj oczy. Mnie się owszem wydaje, dodała, że dwojga szczęśliwszych ludzi nie było nigdy na świecie.

Zamilkła na chwilę; on nie śmiał na nią spojrzéć, ale odgadł, że te dumne usta drżące teraz były.

— Czy nie podzielasz pan mego zdania? rzekła potém ze zwykłą sobie otwartością. Z jednéj tu strony, kobiéta zdolna śmierć ponieść za tego, którego ukochała; z drugiéj, człowiek, który ma rozkosz zabić tego, co mu zabił kochankę; czyż nie dało życie tym dwojgu ludziom wszystkiego co dać jest w stanie? Ale... w starych to czasach, działy się podobne rzeczy,—nie zdarzyłoby się dzisiaj nic podobnego. Teraz miłość całkiem inną bywa, bardzo to spokojne i łagodne uczucie; a kochankowie obecnie najwięcéj o tém myślą, aby mogli miéć we wspólném pożyciu dochód przyzwoity i możność przejeżdżania się po parku w ładnym powozie.

— Ależ można przejeżdżać się po parku, a pomimo to, kochać się nawzajem, zauważył Drummond.

— Nie wierzę temu, odrzekła, i zaraz potém odwróciła się w inną stronę.

Właśnie w téj chwili zbliżył się do niéj Jerzy Miller.

— Chodź ze mną Violetto, rzekł, chciałbym pokazać ci obraz, który mi się bardzo podoba.

Przeszła z nim razem przez salę, chmurna i milcząca. Miller zaprowadził ją przed wcale ładny i miły dla oka obrazek, który sam wielce upodobawszy, znajdował téż godnym zwrócenia jéj uwagi. Przedstawiał on zaciszną zatokę utworzoną przez Tamizę, i w niéj, pod cieniem drzew zwieszających się po nad wygładzone tonie, łódkę przytwierdzoną do korzeni, wystających z urwistego wybrzeża; mieściła ona w sobie dwie bardzo ładne kobiéty, oraz przystojnego młodzieńca, trochę nawet może podobnego do Millera, w słomianym kapeluszu i w eleganckiém letniém ubraniu. Obraz ten nosił nazwę: „Dumanie“. W końcu łódki był koszyk nawpół otwarty, w którym dawały się widziéć zapasy przygotowane do śniadania.

— Oto, co się naprawdę może nazwać odtworzeniem rzeczywistości, rzekł Miller, wskazując swéj towarzyszce to malowidło. Spójrz tylko na tego łabędzia; zdaje się, że zaraz dziób otworzy, aby pochwycić rzucony mu sucharek.

— To jest rodzaj obrazów, którego właśnie nie nawidzę, odparła z bezpotrzebną całkiem żywością, którą został mocno zdziwiony. Zarówno téż wstrętnemi są mi ludzie, będący w stanie wyżyć tak tuzinkowém, ogłupiającém i bezcelowém życiem. Ciekawa téż jestem, nad czém mogą dumać te trzy istoty! Mądre muszą być dumania, na które one umieją się zdobyć! Zapewne treść ich rozmyślań stanowią zalety dobrze przyprawionéj sałaty z homarów, lub téż rozkosze posiadania rękawiczek wybornie do ręki dobranych. Młodzieniec zwłaszcza najstosowniejsze dla siebie znalazł by miejsce, w wystawie krawca jakiego modnego.

Zdumiony tym namiętnym wybuchem, Miller zrozumiéć nie mógł jego znaczenia.

— Jesteś cokolwiek rozdrażniona dzisiejszego wieczoru, rzekł chłodno. Nie rozumiem, czém mógł zawinić w obec ciebie artysta, który tak ładną rzecz stworzył.

— Znieść nie mogę podobnych malowideł.

— W takim razie, najlepiéj zrobisz nie patrząc na nie.

— Zapewne,—byleby mnie tylko do tego nie zmuszano, zapewniając że są cudowne.

Uwaga ta była wielce złośliwa; ale Miller okazał się w tym razie nadspodziéwanie wyrozumiałym.

— Jednemu się to, a drugiemu tamto podoba, i może z tém najlepiéj, rzekł wesoło. Co do mnie, lubię takie obrazy, a to dla tego, że je rozumiem. Są to przedmioty brane z codziennéj rzeczywistości. Inni przekładają nad nie odtwarzanie fantastycznych widziadeł; nazywają to poezyą w sztuce, wiem to dobrze; ale przyznaję, że owa poezya nie jest mi przystępną, i wydaje mi się być poprostu szpetnością.

— Czy nie wiész pan, gdzie jest teraz lady North? spytała go, jak gdyby wcale nie słuchała tego, co przedtém mówił.

— Widziałem, że nie dawno temu przeszła do sąsiedniego pokoju, odpowiedział spokojnie.

Silne podniecenie Violetty minęło za chwilę w zupełności, i nie tylko odzyskała zwykły swój spokój, ale nawet stała się pełna uprzejmości i całkiem rozjaśniona, pod wpływem miłych wrażeń, jakie w niéj wywołały piérwsze słowa macochy.

— Violetto, rzekła owa drobna kobiécina, wyglądająca dziś jeszcze szczuplejszą w swéj sukni powłóczystéj, pan Drummond prosił mnie nader usilnie, abym ci pozwoliła odbyć razem z nim i z jego siostrą, wycieczkę do Szkocyi. Czy masz chęć do tego?

— Niczego bym więcéj nie pragnęła.

— W takim razie, nie miałabym nic przeciw temu, rzekła lady North, z wyjątkiem tego, że będzie to może z naszéj strony nadużywaniem ich gościnności.

— Ach! nie przyjdzie im nawet na myśl nic podobnego, zawołała żywo Violetta.

— Nie są oni majętni, wiész o tém dobrze...

— Właśnie dla tego, odparła z pewną wyniosłością młoda dziéwczyna, umieją być hojnemi i uprzejmemi dla każdego; pieniądze najmniéj ich ze wszystkiego w świecie obchodzą.

— No, no, niechże i tak będzie, rzekła lady North; w każdym razie, zdają się oni oboje miéć dla ciebie szczerą przychylność; idź że tedy i podziękuj im za to przyjazne zaproszenie. Patrz, oto stoi tam w kącie przy drzwiach pan Drummond.

— Wolałabym może... pójść najprzód do pani Warrener, rzekła Violetta, wahając się nieco. Gdzież się podziały obie z Anatolią?

Lady North wydziwić się nie mogła, w prostocie swego ducha, uciesze jaką sprawiła przyjaciołom Violetty, przychylając się do ich prośby. Czyż podobna było uwierzyć, aby tak miłém znajdowali w istocie jéj towarzystwo? Zdawali się jéj być tyle wdzięcznemi za udzielone pozwolenie, podczas gdy konieczność zabrania z sobą pasierbicy do Włoch, bywała nie raz dla niéj przedmio-

tem przykrego zaklopotania. Z tém wszystkiém, powiadała sobie że szczęściem jest dla téj młodéj dziéwczyny, iż sobie upodobała rozsądnych ludzi, zdających się miéć pewien wpływ nad nią.

Ma się rozumiéć, że gdy porzuciwszy świetności owych salonów po skończonym wieczorze, Drummond znalazł się sam na sam z siostrą w półcieniu najętego powozu, który ich odwoził do domu, oboje wiele mieli sobie do powiedzenia o téj przyszłéj wycieczce, w któréj miała im towarzyszyć Violetta. Na miejsce téż przybywszy, daléj jeszcze o tém rozprawiali, nie spostrzegając się, jak godziny tymczasem upływały. James Drummond zdawał się bardzo cieszyć całym planem téj podróży i zawczasu widział w wyobraźni rozmaite jéj ustępy, w których Violetta zapoznawała się z tysiącznemi pięknościami tych górskich okolic.

— Musimy téż, rzekła mu siostra, zaprosić na czas jakiś pana Millera do siebie.

— O, tak; ma się rozumiéć.

— Jak widzę, dodała z uśmiechem, muszę się oswoić z tą, myślą, że ten młodzieniec może zostać mężem Violetty; chociaż, co prawda, nie bardzo mi jest miłą.

Podniósł żywo oczy i spytał:

— Co chcesz przez to powiedziéć?

— To, że zdaje mi się, iż na tém skończyć się musi koniecznie, rzekła wzruszając ramionami z pewną niechęcią. Istnieje już zapewne pomiędzy niemi wzajemne zobowiązanie, lub téż blisko bardzo do tego.

Przelotny wyraz bólu, tak nagły i przemijający, że go siostra nie mogła zauważyć, przemknął się po jego twarzy.

— Czy ci to powiedziała? zapytał spokojnie.

— Nie,—ale radziła mnie się w tym przedmiocie, przed kilku dniami; a mówiła w taki sposób, jak to zwykło czynić każde młode dziéwczę w podobnych okolicznościach, dowodząc, że wcale o niego nie dba, użalając się na jego natręctwo, a jednak, dając wyraźnie poznać, że daleko by więcéj doznała przykrości, gdyby ją w tym razie chciał wziąść za słowo, i na dobre jéj się wyrzec.

— A ty, coś jéj na to mówiła?

— Powiedziałam, że powinna zaradzić się własnych uczuć przedewszystkiém.

— Tak, zapewne, rzekł z roztargnieniem, zdając się wyłącznie zajęty ustawianiem kościanego noża w równowadze na ostrzu. Rad jestem, dodał, że jéj rodzina wié o zamiarach Millera;

to nas uwalnia od wszelkiéj w tym względzie odpowiedzialności. Ładny to będzie widok, patrzéć na tę parę, cieszącą się sobą nawzajem, podczas tych wakacyi swoich młodocianych, spędzanych tam w górach.

— Wolałabym aby sobie była wybrała kogo innego, rzekła posępnie pani Warrener. Mam go za bardzo poczciwego chłopaka i wierzę że jest szczerze do niéj przywiązany; ale on tak straszliwie jest podobny do każdego innego młodzieńca!

— Czekaj cierpliwie Saro, na to co przyszłość pokaże, rzekł do niéj brat łagodnie. Nie należy wydawać zbyt pochopnie sądu o ludziach. Daj temu chłopakowi trochę czasu, do pokazania się tobie korzystniéj.

— Dałabym mu wszystko z chęcią, z wyjątkiem naszéj Violetty, odrzekła. Ale to prawda, że gdyby młodzi chcieli wymagać nawzajem nazbyt wiele od siebie, i wypatrywać jedni u drugich najdrobniejsze usterki, nie przyszłoby nigdy do żadnego związku małżeńskiego. Jest to najpoczciwszy chłopak w świecie i pełen najlepszych chęci. Zobaczymy co zdoła w nim zdziałać wpływ Violetty; być może, że potrafi ona wynieść go cokolwiek po nad owę powszedniość jaka mię dzisiaj w nim razi.

To rzekłszy, życzyła mu dobréj nocy — chociaż co prawda, brzask już się prawie rozpoczynał— i odeszła, zostawiając go w samotności. Zasiadł wtedy w swém głębokiém krześle i głowę o poduszkę oparłszy, zdawał się bystrym swym wzrokiem, błądzącym po arabeskach obicia, chciéć wydobyć z ich powikłanych zakrętów tajemnicze jakieś wyrazy. Dumanie jego przerwał łagodny dźwięk zegara wybijającego godzinę, po raz pierwszy wtedy, zwrócił oczy na jego wskązówki.

Wstał z miejsca, z wyrazem twarzy człowieka budzącego się ze snu, i wzrokiem powiódł w około siebie. Błękitnawe smugi widniały po przez szpary żaluzyi od okien; dzień już był bliski. Bezwiednie prawie wyszedł do sieni i, włożywszy kapelusz, wolnym krokiem przestąpił drzwi wiodące do ogrodu.

Jakże błoga cisza zalegała owe półcienie rozpoczynającego się poranku! Zaledwie u szczytów najwyższych topoli, listki odznaczające się na bladém tle nieba, prowadziły cichym szelestem z sobą rozmowę; w dole, pośród ciemnych gąszczy kasztanów, zupełne panowało milczenie.

Szedł bez celu, ulicą wiodącą w głąb ogrodu, pogrążony w dumaniu roztargnioném. W tém odgłos jakiś drgnienie w nim

wywołał; było to tylko pierwsze zaświerkotanie ptaka, zabierającego się do swéj piosnki porannéj. Bo téż gwiazdy poznikały już były z nieba, na widnokręgu jaśniéj się teraz odznaczała smuga światłości. Niebawem czerwienieć ona poczęła coraz bardziéj, aż wreszcie jéj blaski odbiły się w szybach domów zwróconych ku wschodowi. Po nocnym deszczu, następowała jutrzenka pogodna i ochłodzona.

Tak to dni po sobie następują, myślał w duchu Drummond; lata mkną w przeszłość jedne po drugich, i Bóg nam młodość zabiéra, zanim się spostrzegliśmy że ją posiadamy. A jeśli to prawda, że owe tęskoty nasze młodzieńcze, które zaspokojenia sobie szukają w urokach przyrody, a znaleźć go tam nie mogą, — potrzebują koniecznie obrać sobie za cel jaką ludzką istotę, którą przyozdobią całą poezyę lat wiośnianych, to czyż podobna, aby takie uczucie powtórzyć się mogło w życiu? Miłość może powrócić, silniejsza nawet może, czystsza i mniéj samolubna, ale czy wrócą z nią roskosze piérwszego podziwu?— nie zdaje mi się. A raczéj nawet sądzę, że tajemnicze wpływy pierwszéj miłości nigdy w zupełności nie przestają w nas istnieć, i że po latach wielu, jeszcze wystarcza woni jakiéjś zalatującéj nas w powiewach wiatru, lub téż niespodzianego widoku jakiego krajobrazu, aby nas na chwilę uczynić znowu młodemi i zbudzić w naszéj duszy zapomniane marzenia dwudziestego roku życia. Ale jeśli kto wiedząc o tém wszystkiém, obchodził się bez tych wrażeń, to czyż potrafią mu dać późniejsze lata, choćby słaby ich przebłysk? Bywają tacy pomiędzy nami, którzy nie mieli wcale młodości; — godziny, dni, lata, oto całe nasze wspomnienia; nie istniała nigdy dla nas cudowna pora miłośnych zachwytów. Uczyliśmy się natomiast pilnie fizyologii, z posępnym uśmiechem spoglądając na powabne obrazy tych uczuć młodocianych, na ich dziwaczne przemiany, cierpienia i szaleństwa. Szczęśliwa młodości, o nie znasz ty sama twego bogactwa, i niecierpliwie radabyś je strwonić przedwcześnie. A bogata jesteś, nie ma co mówić, bo życie jest życiem, bądź co bądź, i ci tylko co na uboczu stojąc, widzami bywają młodości drugich, wiedzą jak téj młodości trzebaby użyć, i jaka się należy wdzięczność Bogu za najwyższy z jego darów.

Nie znać w nim jednak było ani smutku, ani zawiści, podczas gdy idąc, rozmawiał tak z sobą, nasłuchując radośnego chóru zbudzonego ptastwa i rozpatrując się we wzrastającéj coraz świetności rozpogodzonego poranku. Zamyślony ten człowiek, zatrzymujący się od czasu do czasu, a potém znowu idący raźno daléj,

z żywém się zajęciem przyglądał rozbudzonéj w około niego przyrodzie, wśród téj samotnéj ciszy, któréj mu nikt nie przerywał, a cała jego postawa tchnęła spokojem. I kiedy strudzony wreszcie tą długą przechadzką, powrócił do domu, znać było pewne zadowolnienie na jego zmęczonéj twarzy, albowiem zdawało mu się że już prawie całkiem w sobie pokonał zasmucające widziadła które go przedtém nawiedzały. Wierzył, że się wreszcie potrafił pogodzić ze swém życiem obecném, dostateczną miarę szczęścia w sobie mieszczącém; z życiem tego dnia nowego, co teraz jaśniał pogodnie po nad równinami po których trzody pasły się spokojnie, po nad cichemi wiejskiemi zagrodami i po nad całą tą piękną Anglią, o brzegi któréj rozpryskują się białą pianą fale morza co ją zewsząd oblewa.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY

za rok 1876.

Przystępując do badania objawów życia na naszéj scenie w ciągu ubiegłego roku, winienem przedewszystkiém pewne uczynić zastrzeżenia. Nie idzie mi w niniejszym pobieżnym przeglądzie o wyczerpujący rozbiór wszystkich sztuk przedstawionych w okresie, z którego zdać sprawę zamierzyłem, sądzę bowiem, że czytelnicy Ateneum czego innego wymagają, aniżeli to co im dawać zwykły pisma codzienne, notując oznaki ruchu repertuarowego ze stanowiska bieżącéj chwili. Sama prasa zwróciła w ostatnich czasach uwagę na nadmiar krytycyzmu w rzeczach teatralnych, który nawet niejednokrotnie ujemnie wpłynął na losy sztuki. Zwrot ten jeszcze silniéj odbić się powinien w Ateneum, które, nie mając pod tym względem żadnych grzechów w przeszłości swojéj, zacząć może od razu od najwłaściwszego sposobu traktowania rubryki teatralnéj: od śledzenia głównych prądów literackich panujących na naszéj scenie. Wśród powodzi różnogatunkowych utworów przepływających mniéj więcéj szybko przed oczami publiczności, takie tylko prądy pozostawiają po sobie mniéj więcéj trwałe ślady w historyi literatury dramatycznéj, a dzieje sceny o tyle są zajmującemi o ile stanowią rozdział z historyi literatury. To ograniczenie materyi, pociąga za sobą drugie zastrzeżenie: w przeglądzie niniejszym, uważam za stosowne nie zajmować się grą aktorów. Artyzm aktorski jest z natury rzeczy czémś doraźném, przemijającém, chwilowém; gra na scenie, jak w ogóle wszelkie oddawanie cudzych pomysłów jest twórczością drugorzędną, niezostawiającą

po sobie nic prócz przelotnego wrażenia, zależną od mnóstwa ubocznych okoliczności, które nigdy się nie powtarzają. Ocenianie więc natury talentu aktorów, wzrostu i faz jego rozlicznych, może być przedmiotem oddzielnego studyum, — w téj chwili wydaje mi się zupełnie zbytecznym.

I.

Wspominając o prądach literackich panujących w naszym repertuarze, nie możemy niestety badać ich jak na innych scenach europejskich w szerokiém łożysku swobodnie płynącéj oryginalnéj twórczości dramatycznéj. Do niedawnego jeszcze czasu znajdowaliśmy się w tém szczególném położeniu, że odczuwając w innych gałęziach literatury i sztuki zupełną świadomość celów, do których dążymy, kierunków które do tych celów prowadzą, w literaturze dramatycznéj przyjmować musieliśmy narzucane nam obce prądy i kierunki, nie wyrażające ani potrzeb naszego społeczeństwa, ani tém mniéj nieodzwierciadlające jego pojęć moralnych lub umysłowych. Wiemy dziś czego chcemy w powieści (jedynéj obecnie uprawianéj u nas formie poezyi), w muzyce, w malarstwie—w twórczości tylko dramatycznéj przebywamy fazę przejściową, którą przedewszystkiém scharakteryzowaćby należało. Zanim więc będziemy mieli sposobność badać pewne kierunki w swobodnym już rozwoju własnéj literatury dramatycznéj—zaznaczmy ten na teraz najważniejszy objaw życia na naszéj scenie: upodobanie w dziełach oryginalnych naszéj publiczności i prąd oryginalny w dzisiejszym repertuarze.

Skwapliwe zapisywanie tego zwykłego gdzieindziéj faktu, wydać się może dziwném w społeczeństwie, dla którego pisali Fredro, Korzeniowski, Bogusławski—nie należy wszakże zapominać, że od kilku dopiéro lat zastęp młodszych pisarzy przerwał głuche milczenie, które panowało na scenie od chwili, kiedy trzy te pióra przestały ją zasilać.

Nie tu miejsce rozwodzić się szeroko nad przyczynami tego milczenia; przytaczana często szczupłość honoraryów autorskich, wydaje mi się jedną z mniéj ważnych, nie przeszkodziła bowiem pisać ludziom, którzy nazwiska swoje zostawili w dziejach literatury. Ważniejszą przyczyną mogło być nieprzyjazne usposobienie ówczesnego Zarządu Teatrów dla dzieł orginalnych—i płynący ztąd nastrój publiczności, która, zepsuwszy smak na obcéj strawie, od swojskiéj odwracała się z nieufnością. Za najważniejszą jednak

uważam—przypuszczalny brak istotnych talentów. Przypuszczenie to opiéram najprzód na tym niezawodnym pewniku: że prawdziwy talent nie zna przeszkód, ani niepomyślnych warunków—powtóre na obserwowaniu treści talentów dzisiejszego pokolenia dramaturgów, która przedstawia wszelkie cechy formacyi przejściowéj. Nareszcie w obec wybijającego się dziś po nad wszystkie sztuki malarstwa, skłonny byłbym zastosować do naszéj społeczności zasadę Carriere'a, według któréj ideały wcielają się w danych chwilach w pewne tylko formy, których kolejne po sobie następowanie zależne jest od praw rządzących dziejowym pochodem ludzkości. Być może, iż kiedyś dramat odsunie na dalszy plan sztuki plastyczne, nim jednak to nastąpi, nie od rzeczy będzie przypatrzéć się drodze, po któréj dąży.

Atmosfera obczyzny, w któréj przez długi czas poruszał się nasz repertuar sceniczny, wpływała niekorzystnie na losy literatury dramatycznéj nietylko wtedy gdy ciążyła jeszcze nad sceną, ale i późniéj gdy oryginalni pisarze swobodniéj już oddychać mogli. Piérwszém następstwem takiego stanu rzeczy, było przedewszystkiém przerwanie ciągłości w tworzeniu, które późniéj odbić się musiało na płodach nowopowstających talentów. W ciągu przerwy, oddzielającéj szczupły zastęp dawnych koryfeuszów dramaturgii od falangi młodych autorów, nastąpiło w Europie zupełne przekształcenie w zasadach estetyki, w pojmowaniu celów sztuki—na scenę wkradła się tendencyjność—obca zupełnie szkole Molierowskiéj, do któréj należał Fredro i Bogusławski, a przebijająca się już w Korzeniowskim, który zapatrywał się często na współczesne francuskie wzory.

Po nowéj drodze mało kto poszedł za Korzeniowskim i nic dziwnego—Korzeniowski przenosił na nasz grunt obce tezy—ilekroć był tendencyjnym—a swojska tendencyjność w sztuce wtedy dopiéro zaaklimatyzować się mogła, kiedy sama społeczność zaczęła sobie ze swoich dążeń jasno zdawać sprawę. Na poparcie naszego twierdzenia wystarczy nam fakt jeden: słabe wrażenie jakie wywołało w wykształceńszych nawet kołach ukazanie się komedyi Apollona Korzeniowskiego p. t.: „Dla miłego grosza.“ Z drugiéj strony charakterystyczném dopełnieniem tego faktu jest entuzyastyczne przecenienie „Szlachectwa duszy“ Chęcińskiego. Pod względem talentu Apollo Korzeniowski o całe niebo wyżéj stoi od Chęcińskiego—ale jak pierwszy za wcześnie się odezwał, tak znowu drugi w sam czas przemówił. Powodzenie „Szlachectwa duszy“ postawiło Chęcińskiego na rozstajnéj drodze: tradycya, sympatye sfery w któréj się obracał łączyły go ze starą szkołą; niejasne jakieś

aspiracye popychały ku nowéj: wszystkie téż jego prace noszą na sobie cechę tego rozdwojenia. Chęciński zbyt był poetą ażeby znać dobrze człowieka, a za mało myślicielem aby badać społeczeństwo—ślizgał się więc powierzchownie: po ludziach i rzeczach—ratując wszystko piękną formą, którą do wysokiego doprowadził wydoskonalenia. Ściśle więc biorąc, autor „Szlachectwa duszy“ jest może jedynym łącznikiem między dwiema szkołami komedyopisarzy—bo nie możemy postawić obok niego młodszego Fredry, który rodzajem talentu i całym temperamentem komedyopisarskim przedstawia jeszcze dogasającą ojcowską tradycyę.

Młode pokolenie pisarzy odrzuciło stanowczo dawne pojmowanie komedyi, wypowiedziawszy tym sposobem wyraźnie czego nie chce. Śmiało chwyciło sztandar tendencyjności, dając téż poznać czego chce — czy jednak będąc świadomém celu, zdobyło środki osiągnięcia go—na to zapytanie, niepodobna zupełnie twierdząco odpowiedzieć.

Faktem jest niezaprzeczonym, że komedyopisarze dzisiejsi studyują społeczność swoją,—ale nie ulega również wątpliwości, że ją studyują bardziéj teoretycznie aniżeli w życiu, że znają lepiéj warstwy społeczne aniżeli człowieka. Objaw ten, jedyny może w swoim rodzaju łatwo da się wyjaśnić. Spojrzyjmy tylko na nazwiska autorów chwili obecnéj i przypomnijmy sobie, że wszyscy prawie, Józef Narzymski, Edward Lubowski, Zygmunt Sarnecki, Kazimierz Zalewski, Józef Okoński, byli lub są dziennikarzami. Otóż dziennikarstwo niesprzyjające nigdzie głębszym badaniom, u nas rozwija w dodatku doktrynerstwo społeczne, lub powierzchowny sceptycyzm felietonistowski, którym przesiąknięte są dzisiejsze utwory sceniczne. Na tle naszych rzekomo stosunków, spotykamy się z przedstawicielami arystokracyi, demokracyi, plutokracyi, inteligencyi, znajdujemy się nawet w towarzystwie poprzebieranych argumentów filozofujących nad zadaną przez autora tezą, jak w „Niewinnych“ Okońskiego—ale o postacie spotęgowane do znaczenia typów, lub przynajmniéj o ludzi nacechowanych żywém piętnem chwili obecnéj—trudno—chyba że od czasu do czasu przemknie się po scenie fotografia jakiegoś partykularza, lub jednéj ulicy, a nawet jednego domu, pewnego kąta prowincyonalnego, zdjęta zręczną choć rzemieślniczą ręką Bałuckiego. Z drugiéj strony, te nawet abstrakcye wyglądają jakby wzięte z obcego świata: finansista trąci bankierem z mieszczańskich komedyi francuzkich, przemysłowiec przypomina zagranicznego *industriel*, demokratycznosentencyonalni kochankowie robią wrażenie inżynierów lub artystów z repertuaru francuzkiego; kwestye zaś społeczne zawiązują

się i rozwiązują między temi hermafrodycznemi istotami, sztucznie w atmosferze salonu, w którym cienie Augiera, Feuilleta i Sardou ze zdziwieniem przysłuchują się dyalogowanym artykułom wstępnym lub fajerwerkom odcinkowego dowcipu.

Kreśląc te uwagi nie mamy bynajmniéj zamiaru zarzucać komukolwiekbądź plagiatu, przeciwnie taki stan rzeczy uważamy za bardzo naturalny, jest bowiem wynikiem jednostronności, na którą skazuje komedyopisarza dzisiejszy kierunek dziennikarstwa, przenoszący wprost na scenę dyskusye gazeciarskie; z obecnego znów stanu naszych stosunków wypływa, że wiele tak zwanych kwestyi społecznych nie przeszło z łamów piśmiennictwa peryodycznego w krew społeczeństwa, i że gdy przyjdzie je ucieleśnić w sytuacyach w których braliby udział żywi ludzie, z konieczności w wyobraźni piszącego stają postacie z obcego gruntu w analogicznych znajdujące się sytuacyach.

Streszczając spostrzeżenia nad obecną naszą twórczością dramatyczną, znajdujemy w niéj dwie charakterystyczne cechy: nieprzetrawioną tendencyjność i ślad długotrwałych obcych wpływów,— obie nadają jéj właśnie ten charakter przejściowy, o którym wspominaliśmy na początku tego przeglądu; obie mniéj lub więcéj wyraźnie występują w każdym z dzisiejszych pisarzy w stosunku zależnym od stopnia i siły talentu. Być może, iż zawcześnie zmarłemu Narzymskiemu przeznaczoném było dojść do téj zupełnéj harmonii między celem i środkami, która jest szczęśliwym udziałem wyższych talentów; w „Epidemii,“ a szczególniéj w „Pozytywnych“ znać głębsze w świat wejrzenie i owę obserwacyą która, charakteryzując postać przywiązaną do pewnego miejsca i czasu, używa umiejętnie rysów znamionujących człowieka jako gatunek psychologiczny. Gdy jednak śmierć Narzymskiego nadaje powyższemu spostrzeżeniu doniosłość niestwierdzonéj hipotezy, wypada nam zająć się zgrupowaniem żyjących autorów według owego stosunku czynników składowych ich twórczości, który wyraża poprostu stopień oryginalności każdego.

Przedstawicielem krańcowéj tendencyjności jest p. Okoński. Wiele w swoim czasie mówiono i pisano o „Niewinnych,“ a jakkolwiek czas ten nie należy do rozbieranego w niniejszym przeglądzie okresu, jakkolwiek chronologicznie biorąc p. Okoński, jeden z ostatnich pomnożył zastęp młodszych pracowników sceny; niepodobna go tu pominąć, bo w „Niewinnych“ tendencyjność ze stanu chronicznego przeszła w zapalny, gorączkowy, z którego starano się wyprowadzać nietylko prognozę dalszego talentu pisarza, ale kreślić nowe drogi naszéj dramatycznéj twórczości. W tém

właśnie tkwi błąd doraźnych sądów i wróżb opinii i krytyki. Gorący stronnicy p. Okońskiego widzieli w nim młodszego Dumasa; zacięci przeciwnicy odmawiali mu talentu. Pan Okoński nie jest ani Dumasem, ani pisarzem pozbawionym talentu, ale po prostu doskonałym typem owego dramaturga - dziennikarza, który na scenie nie przestaje być gorącym polemistą i lubować się w socyologicznych spekulacyach. Pominąwszy abstrakcyjność tematu, pominąwszy bezsilność dramatu opartego na deterministycznych ograniczeniach wolnéj woli działaczów, a zatém dającego widzom zamiast akcyi, zamiast doraźnych czynów, zazębienie skutków i przyczyn, które w końcu doprowadzić może do motywowania sytuacyi ruchami protoplazmy,—trzeba przyznać, że „Niewinni" wychodzą nad poziom zwykłych konwencyonalnych utworów scenicznych. Mimo widoczny wpływ autora „Księżnéj Jerzowéj" postacie działające w dramacie p. Okońskiego nie należą do świata francuskiego, ale nie należą również do naszego. Właściwie mówiąc nie znajdziemy ich w żadnym świecie, — a jednak taka jest siła przekonań autora, że nadaje rodzaj sztucznego życia, przynajmniéj na ciąg jednego wieczoru, grupie osób zatrudnionych rozwiązywaniem filozoficznéj szarady. Czy tę subiektywność autora zastąpi w przyszłości przedmiotowa obserwacya, która stanowi siłę prawdziwego talentu dramatycznego— trudno dziś przesądzać— to pewna, że obecnie nosi ona na sobie cechę niepospolitéj samodzielności.

Niepoślednią skłonność do tendencyjności widzimy również w panu Zygmuncie Sarneckim— objawia się ona jednak nieco odmiennie w tym pisarzu. Jeżeli panu Okońskiemu tendencya przedstawia się ze ścisłością dyalektycznego wywodu, w którym ludzie dobierani są do argumentów, p. Sarnecki zdaje się ją spostrzegać w gatunkowaniu ludzi według kategoryi które zazwyczaj oznaczane są w tytule. Jakim sposobem rodzą się te kategorye w umyśle autora— jest to tajemnica tworzenia — któréj może i p. Sarnecki nie jest dostatecznie świadomy. To tylko pewna, że sztuki p. Sarneckiego pozostawiają w ogóle takie wrażenie, jak gdyby pisane były dla tytułów, jak gdyby autor kreśląc „Bezinteresownych," „Kaleków" a zamierzając pisać „Umarłych," uwodził się głównie oryginalnością pomysłu streszczonego w nazwie utworu. Nie twierdzimy stanowczo, aby taką była geneza twórczości pana Sarneckiego; przypuszczamy raczéj, że autor „Złotéj gorączki" należy do rzędu umysłów pochopnych, do uogólniania i podnoszących zbyt łatwo pojedynczy a niezwykły fakt jakiś do znaczenia symptomatu społecznego. Tym sposobem tylko wytłómaczyć mo-

żna usiłowanie pana Sarneckiego objęcia w odosobnionym symptomacie jak najliczniejszych odcieni charakterowych, tym sposobem jedynie wyjaśnimy dla czego charaktery u pana Sarneckiego sztucznie gwoli tytułowi naginane, łamią się często, paczą lub snują w obec widzów w kształcie mglistych niewyraźnych sylwetek. Całe szczęście pana Sarneckiego, kiedy popychany wymaganiami wykształconéj na wzorach francuskich sceniczności, zapomina o tendencyi, wtedy kréśli sceny żywe, odgrywające się między ludźmi żywymi, nieopatrzonymi żadną klasyfikacyjną etykietą, wtedy jest może mniéj oryginalnym, ale niewątpliwie prawdziwym.

Pani Zofia Mellerowa jako autorka sceniczna, różne przechodziła fazy. „Złote runo,“ „Postanowienia“ dobrze wróżyły o jéj zdolnościach; „Wanda“ i „Zyzio“ nie dotrzymały obietnicy i zdawały się podawać w wątpliwość samo istnienie zdolności— ostatni zaś utwór pani Mellerowéj, o którym później mówić będziemy, świadczy wymownie, że zdolności te skupiły się, zmężniały przez czas zbawiennego wypoczynku, i że wzrosnąć mogą do siły talentu. Pani Mellerowa hołduje również tendencyi— ogranicza ją wszakże do jednego ulubionego tematu: do obrony praw kobiety, bądź jako panny na wydaniu, bądź jako samoistnéj jednostki wywalczającéj sobie byt w starciu z przesądami, bądź téż jako ofiary źle dobranego stadła. Autorka przystępowała widocznie do pierwszch utworów z niezaprzeczoną łatwością pisarską i ze sporym zasobem dowcipu, który osłaniał powierzchowność w traktowaniu przedmiotu i pewną konwencyonalną powszedniość poglądów na bronioną tezę — materyał taki nie wzbogacony nowemi, poważniejszemi nabytkami z obserwacyi życiowéj, nie mógł starczyć na długo: ogólniki sławiące kobietę kosztem mężczyzny, wkrótce wyczerpać się musiały. Trzeba było sięgnąć głębiéj w życie, zdobyć bezstronność za pomocą wszechstronności, a nadewszystko postawić swoich bohaterów na realnym gruncie, który coraz bardziéj usuwał się z pod stóp postaciom w „Wandzie“ i „Zyziu.“

Dokonała tego wszystkiego pani Mellerowa, a dokonała w sposób pozwalający spodziéwać się dalszego i coraz pomyślniejszego na téj drodze postępu.

Postęp zaznaczyć wypada również między piérwszém poważniejszém wystąpieniem pana Kazimierza Zalewskiego, a ostatnim utworem tego autora, granym na naszéj scenie w ubiegłym sezonie. Postęp widzimy przedewszystkiém w porzuceniu tendencyi, która jednym skrzydła przypina, innym kulę do nogi przyczepią. P. Zalewski zdaje się do tych drugich należyć: lubi widocznie wygodę w dro-

dze i szeroki, gładki, utarty gościniec. Otrząsnąwszy się więc z balastu tendencyjnéj deklamacyi i frazeologii, która obciążała komedyę „Z postępem“, wprowadza nas w sztuce „Przed ślubem“ w dziedzinę komedyi obyczajowéj, a wprowadziwszy, okazuje się przedewszystkiém dobrym znawcą wewnętrznego jéj mechanizmu. Pan Zalewski wié doskonale jak przypasować sytuacyę, z czego spoić efekt sceniczny, gdzie i jaka potrzebna jest sprężyna; komedya jego posiada dokładność maszyneryi które dobrze funkcyonują, choć części ich niekoniecznie na urząd robione, czasem z gotowych się dobierają. To poczucie sceniczności u pana Zalewskiego jest niepoślednią zaletą, którą autorowie nasi zbytecznie lekceważą. Przywykliśmy pogardliwie traktować kunsztowny mechanizm francuskiego nowoczesnego repertuaru. Pan Zalewski nie podziela tego lekceważenia i dobrze na tém wychodzi, bo sztuki jego głównie sceniczności i dobréj robocie zawdzięczają swoje powodzenie. Wszystkiego jest w nich pod miarą i wagą: charaktery o tyle wyraźne, ażeby nic do domysłu nie dawały, sytuacye o tyle naprężone, ażeby zbyt na nerwy nie działały, akcya o tyle żywa, ażeby bez wstrząśnień doprowadzała do związku Numy z Pompiliuszem. Wielkie wady nie rażą w komedyach pana Zalewskiego, ale téż i nie pociągają wielkie zalety: pozostaje się po nich w równowadze; nie na wysokościach, jak wobec rzeczy prawdziwie pięknych — lecz *terre à terre*, na poziomie po nad który unoszą się tylko samodzielne talenta.

Taki samodzielny talent widnieje w utworach p. Edwarda Lubowskiego. o którym na końcu wspominamy jako o autorze jednoczącym w sobie z pewną równowagą rozmaite rysy rozproszone w skreślonym powyżéj ogólnym obrazie naszéj twórczości scenicznéj. Dwie komedye większych rozmiarów, na poważniejszą skalę obmyślane, „Nietoperze“ i „Przesądy“ (ostatnia grana w ubiegłym sezonie), wykazują niepospolitą siłę talentu w satyrze i w traktowaniu zadań społecznych. W „Nietoperzach“ mamy do czynienia z galeryą wybornych typów, obserwowanych wzrokiem poważnego a subtelnego myśliciela, przedstawionych z kunsztowém, nieprzesadzoném oświetleniem komiczném, którego tajemnicę posiadają tylko komedyo-pisarze z temperamentu; w „Przesądach“ spotykamy się z dobrze ujętą dążnością społeczną, któréj przeprowadzenie z tego względu nie nosi na sobie cech zwykłéj doktrynerskiéj tendencyjności, że się nie narzuca apryorycznie, ale wynika z ugrupowanych naturalnie i z prawdą stosunków życiowych.

Gdy idzie jednak o ogólną charakterystykę talentu p. Lubowskiego, nie wahamy się zaznaczyć: że autor „Nietoperzów“ czuje się

więcéj sobą w atmosferze satyry, aniżeli w każdéj innéj; że charaktery ujemne głębiéj i bystrzéj traktuje; że w sztukach jego panuje pewna oschłość, czuć się daje pewien brak ciepła i poezyi niedozwalający widzom dostatecznie sympatyzować z postaciami dodatniemi, kiedy te, jak np. w „Przesądach", liczebnie przeważać się zdają. Trudno zresztą winić o to p. Lubowskiego, pesymizm bowiem któremu nie on jeden tylko hołduje, jest wynikiem stanu w jakim się społeczeństwo nasze znajduje. Był czas kiedyśmy się tylko śmieli z siebie, zaprawiając żart i satyrę dobrodusznym uśmiechem pobłażania i wielkiéj wagi nie przywiązując do poprawy grzesznika: *ridendo castigare mores*, było konwencyonalną dewizą, któréj piérwsza tylko połowa sumiennie się spełniała. Dziś nastała chwila surowego krytycyzmu; z pochodnią obserwacyi w ręku, schodzimy do najskrytszych głębin naszéj natury, rozświecamy najtajniejsze zakątki serca; dawny śmiech bez troski wykrzywił się ironją, żart zgorzkniał żółcią i częściéj jątrzy aniżeli rozwesela, bólem przypominając społeczeństwu ażeby weszło w siebie, bo od tego skupienia, może istnienie jego zależy. Gdzie tu miejsce na poezyę—czy istnieje zresztą poezya rozbioru? O tyle więc Lubowski winien jest braku poezyi, o ile usposobienie, temperament kierunek umysłu i poglądy na życie popychają go jednostronnie ku satyrze. W takich warunkach kreślenie dodatnich charakterów trudniéj przychodzi, bo zawsze łatwiéj rozbiérać, aniżeli tworzyć, a postacie dodatnie mają to do siebie, że więcéj żyją syntezą niż analizą. Dzieje się tak samo w życiu: charaktery złe są objawem dokonywającego się rozkładu natury ludzkiéj, szlachetne są owocem aktu twórczości. Téj właściwości przypisać wypada, że gniazdo „nietoperzów" odrysowane jest dzielną ręką, że figury Laufena, Migdalskiego, hrabiego Artura, Spürera i jego córki w „Przesądach" zalecają się doskonałém wykończeniem konturów i że plastycznością swoją odsuwają na dalsze plany dodatnich bohatérów w obu komedyach. Jeżeli dwie zasadnicze grupy charakterów nie są u Lubowskiego obdarzone jednakową siłą żywotną, to jednakże główną cechą jego komedyi, jest właśnie to, że się przeważnie na charakterach opiérają. Ma swoję wadę ta zaleta: Lubowski mało dba o fabułę, o intrygę; sytuacyę wynikającą ze starcia się charakterów wyzyskuje świetnie, ale nie troszczy się o przygotowanie kunsztowne téj sytuacyi—słowem budowa jego sztuk jest wadliwa. W komedyach sytuacyjnych to lekceważenie techniki, byłoby nie do przebaczenia, w utworach szerszego pokroju, jak „Przesądy" i „Nietoperze" jest błędem, ale błędem, który się okupuje mnó-

stwem zalet i przymiotów, znamionujących wyższy i poważniejszy talent.

Nazwisko Bałuckiego figurowało również na afiszu w upłynionym sezonie, ale nie więcéj nad trzy czy cztery razy. Ostatnia jego komedya „Pozłacana młodzież“ świadczy, że Bałucki nietylko nie wzniesie się już nad fotografię, ale że zaczyna zdéjmować kopie z własnych fotografii. Inaczéj być nie może, horyzont obserwacyi Bałuckiego tak jest szczupły, światek w którym się obraca tak jest maluczki, że w krótkim czasie objechawszy go na około, powraca znów do punktu z którego wyszedł. Na nieszczęście w powtórnéj podróży mało kto towarzyszyć mu zechce, widząc że mu zaczyna braknąć nawet tego motoru, który go dotychczas jako tako w drodze popychał, a który zwie się *vis comica*. Łatwiéj może pociągnie dziś za sobą Bliziński, zdolność pokrewna ale o tyle silniéjsza, że zamknąwszy się w szlacheckim świecie, głębiéj i bystrzéj weń zagląda.

II.

Wśród takiego stanu rzeczy, zdarzył się fakt doniosłego dla sceny naszéj znaczenia: ogłoszony został konkurs na dzieło dramatyczne, a doniosłość ta tém była większą, że konkurs zostawał niejako pod protektoratem Dyrekcyi Teatrów, któréj prezes podjąwszy pierwotną inicyatywę Fredry syna z ramienia swego wyznaczył komisyę i tym sposobem jeszcze szerzéj otworzył podwoje naszéj sceny oryginalnym pisarzom.

Ze sprawozdania komisyi konkursowéj, ogłoszonego drukiem, dowiadujemy się, że nadesłano ogółem sztuk 42, że z tych 14 uznano za zasługujące na rozbiór przez komplet członków komisyi, ostatecznie zaś 5 ubiegało się o nagrodę, a między pięcioma ich autorami spotykamy tylko dwa wiecéj znane nazwiska, Zygmunta Sarneckiego i Zofii Mellerowéj; Sewer zaś po raz pierwszy wystąpił jako dramaturg—Jordan dał się poznać głównie w pełnych humoru szkicach p. t. „Wędrówki delegata“—zaś Paulin Stachurski, obecnie nieżyjący, konkurował już na konkursie krakowskim, ale bliżéj znanym jest w Galicyi, aniżeli u nas.

Z pięciu sztuk: „Dworacy niedoli“, „Fałszywe blaski“, „Pojedynek szlachetnych“, „Blaga“ i „Świętosław Igorowicz“, trzy tylko piérwsze przedstawione były w minionym sezonie, wchodzą zatém w zakres niniejszego przeglądu; zanim jednak poświęcimy im wzmiankę, nie od rzeczy będzie zaznaczyć tu kilka spostrzeżeń

pominiętych w sprawozdaniu komisyi, a zatrzymanych w pamięci piszącego te słowa, który miał sposobność bliżéj zapoznać się z materyałem konkursowym.

W materyale tym uderza przedewszystkiém znaczny stosunek dramatu do komedyi, wynoszący połowę sztuk nadesłanych, i zastanawia mierność, a nawet nieudolność wszelkich pokuszeń ochrzczonych mianem dramatu. Zdawałoby się, że przyjaźniejsze dziś w ogóle dla twórczości scenicznéj warunki wpłyną na usunięcie klątwy jakiejś ciążącéj nad polskim dramatem; konkurs dowiódł, że o dramatopisarzy u nas najtrudniéj i raz jeszcze upoważnił do przypuszczenia, że objaw ten musi mieć głębsze przyczyny tkwiące w naturze naszego społeczeństwa. W literaturze dramatycznéj, pogląd na życie niezmiernie wpływa na wytwarzanie się téj lub owéj formy scenicznych utworów, i tu zdaniem mojém należy szukać rozwiązania zagadki. Nie brak dramatycznego żywiołu (braku tego w żadnéj nie przypuszczam społeczności) powoduje niedostatek tragedyi lub dramatu, ale szkła przez które na świat społeczność spogląda. Otóż wtedy, kiedyśmy jeszcze różowo na życie patrzyli i kiedy według prawa zwykłego w tym razie kontrastu, mając śmiech w rzeczywistości, mogliśmy pozwolić sobie na łzy zbytkowne,—Teatr był jeszcze u nas w stanie pierwotnym. Późniéj za wiele dramatu mieliśmy w życiu, aby nam na scenie mógł smakować—woleliśmy więc śmiać się w teatrze, gdy nie można było gdzieindziéj—i ztąd taki rozrost komedyi. Spostrzeżenie to stwierdza się jeszcze jednym faktem dostarczonym przez tegoroczny konkurs: na dwadzieścia dramatów nadesłanych komisyi—znalazło się zaledwie parę osnutych na tle teraźniejszości, innym historya wątku dostarczyła. Zdawałoby się że, według słów poety, to co umarło w rzeczywistości winnoby odżyć w poezyi: tymczasem dzieje się inaczéj nietylko u nas, ale i tam gdzie dramat historyczny polski napotyka przyjaźniejsze warunki rozwoju. Przyczyn tego objawu szukają jedni w odrębnéj zupełnie barwie naszych dziejów nieprzydatnéj do wytwarzania kontrastów i efektów scenicznych, jabym ją może upatrywał w nieugruntowanych jeszcze historyozoficznych poglądach na wybitniejsze chwile naszych dziejów. Studya nad historyą polską obfitują w skrzętnie nagromadzone faktyczne materyały: fakta oczekują jeszcze na filozofa, który poecie wskaże ślady pochodu Nemezy dziejowéj, ciążącéj nad ludźmi i nad wypadkami. Dopóki to nie nastąpi, dopóki scena nie znajdzie takiego poety-filozofa jakim był w formach epicznych Szajnocha,—dramat polski będzie albo luźną wiązanką pięknych chwil lirycznych, do których za pozór służą daty, postaci z przeszłości,—albo też kro-

niką pociętą na akty i sceny, nad któremi unosi się woń archiwów raczéj aniżeli poezyi. Przedstawicielem tego drugiego rodzaju był u nas w ostatnich czasach p. Wincenty Rapacki, w którego dramatach znać sumienne studya, niepospolite oczytanie, ale zarazem zapomnienie téj słusznéj uwagi Quinet'a, że „w nieobecności osób i rzeczy ukochanych imaginacya najwięcéj pracuje, obecność zaś uspakaja ją i hamuje"; że zatém „poeta, który gromadzi około siebie wszystkie możliwe dane tyczące swego przedmiotu, może być pewnym iż wyda zimną kompozycyę."

Zbytniego trzymania się ścisłości historycznéj nie można zarzucać panu Falkowskiemu, autorowi dramatu „Koniec Sztuartów" wycofanego z konkursu i granego na naszéj scenie na początku minionego sezonu. Krytyka nawet stając w obronie żony bohatéra pretendenta Karola Edwarda Sztuarta, pokrzywdzonéj jakoby przez autora, formułuje z tego powodu kompletny przeciw niemu akt oskarżenia. Przyznając że autor, przy najobszerniejszém zastosowaniu teoryi Getego co do prawdy historycznéj w dramacie, nie ma prawa paczyć charakterów postaci dziejowych — nie możemy pisać się na surowość z jaką krytyka potępiła cały dramat. „Koniec Sztuartów" należy do piérwszéj z dwóch wyżéj określonych kategoryi utworów historycznych, i wydaje mi się formą, w któréj autor wypowiada indywidualne swoje uczucia. Sądzę, że na znaczenie nieszczęść bohatéra złamanego niepowodzeniem, zrywającego się do wskrzeszenia dawnéj świetności a upadającego ciągle pod brzemieniem dawnych nałogów i fatalności wewnętrznego domowego dramatu, niedość baczną zwrócono uwagę.

Grupa komedyi nadesłanych na konkurs, przedstawia kilka wspólnych a dość wyraźnych rysów charakterystycznych: mianowicie szerzenie się pojęć demokratycznych, wzrastające poszanowanie pracy, odciąganie społeczności od pozorów, protest przeciwko wkradającéj się coraz więcéj do życia społecznego zasadzie „walki o byt." Niestety na dnie tego wszystkiego obserwator dostrzedz musi jeden smutny pewnik: materyalne ubóstwo społeczności, która tak uparcie jeden pisarzom swoim dostarcza temat. Dość tu na dowód przytoczyć niektóre tytuły jak np. „Za kawałkiem chleba," „Szczęście przy pieniądzach," „Praca, tytuł i majątek," „Przemysł i handel," „Złoto i szych," „Fałszywy kierunek," „Fałszywe blaski," „Blaga" etc.

Z trzech sztuk konkursowych, zaleconych do grania przez komisyę i przedstawionych w ubieglym sezonie, „Dworacy Niedoli" Zygmunta Sarneckiego, najwięcéj mają w sobie tego ekonomiczno-społecznego żywiołu, w bohatérze bowiem przedstawiają pracę wy-

zyskiwaną przez kapitał—któremu autor dał postać bankiera. Jako urzędnik w kantorze bankiera, bohatér awansuje na prokurenta po śmierci swego poprzednika, po którym pozostała się wdowa i córka. Bankier ma także syna i córkę, zdawałoby się więc, że skombinowanie uczuć, pojęć i dążeń na tych różnych szczeblach społecznych, wytworzy naturalne sytuacye, które autor przy niezaprzeczonym talencie wyzyska psychologicznie i artystycznie. Ale poprzednio już zauważyłem, że Zygmuntowi Sarneckiemu pomysł nigdy po prostu się nie przedstawia; i w tym razie także autor poświęcił charaktery i sytuacye dla tytułu podciągającego większość głównych w sztuce działaczy pod niezwykłą istotnie nazwę „Dworaków Niedoli.“ Pracę miał Zygmunt Sarnecki w wielu razach iście Syzyfową, ile że samo pojęcie „dworowania niedoli“ i to dworowania bezinteresownego, jak chciał autor, tak jest mgliste, niejasne, niepsychologiczne, że przykroić do niego ludzi niepodobna było bez pogwałcenia prawdy życiowéj. Cierpi więc tu prawda często, wyjąwszy wtedy, kiedy bohatérowie zapominają że są „Dworakami niedoli“ i mówią działają jak zwykli śmiertelnicy nad którymi nie ciąży klątwa filozoficzno-społecznéj klasyfikacyi. W chwilach takich poznajemy talent, któremu scena zawdzięcza „Złotą gorączkę,“ odczuwamy ciepło poezyi, opromieniającéj szczególniéj postacie niewieście i *tableaux d'intérier* pełne prostoty i wdzięku.

Jeżeli w „Dworakach Niedoli“, drobny niewyraźny, a wyjątkowy rys psychologiczny dał powód do szerokiego obrazu, to znowu „Fałszywe blaski“ przedstawiają rozległy bardzo temat, wciśnięty w szczupłe ramy jednoaktowéj komedyi. Sztuka pani Mellerowéj dotyka ogólnéj choroby „pozorów“ nurtującéj dzisiejsze społeczeństwo, ale dotyka w zacieśnionym bardzo zakresie,—bo w stosunku małżeńskim. Wierna swemu zadaniu, autorka wystawia kobiétę jako ofiarę „Fałszywych blasków“, które w jéj oczach nadały kłamaną wartość ukochanemu mężczyznie. Kobiéta cierpi tu jeszcze i narzeka na mężczyznę, mężczyzna winien jest wiele w tych cierpieniach kobiéty—ale z zestawienia tych win i tych pretensyi okazuje się, że autorka sprawiedliwiéj rozdziela już między obie płcie przymioty i ujemności. — Lichym jest człowiekiem ten Łubin, deklamator, wkradający się pod zasłoną pięknych frazesów do cudzego ogniska domowego, rozłączający żonę z mężem stokroć więcéj wartym od siebie, — ale ma na usprawiedliwienie pewien stopień dobréj wiary; nieszczęśliwą jest ta żona, która jak motyl opaliła sobie skrzydła przy prostéj łojówce, sądząc że wzlata ku słońcu,—ale nie może być wolną od zarzutu lekkomyślności. Nareszcie ukazanie się pierwszego męża w scenie krótkiéj, traktowanéj

znakomicie, z godną wszelkiego uznania wstrzemięźliwością w efektach, stawia kwestyę szczęścia małżeńskiego na zdrowym gruncie—dowodząc wyższości charakteru nad talentem. Zdrowy ów grunt jest zarazem gruntem realnym, po którym śmiało stąpają nie bohatérowie, lecz ludzie z ciała i krwi, związani z sobą nie wymaganiami téj lub owéj tezy, lecz loiką życia. Ztąd téż wynika, że na rozwiązanie tego węzła, na rozejście się drugiego małżeństwa, tak jak rozeszło się piérwsze, różni różnie się zapatrują. Jest to fakt przemawiający raczéj za panią Mellerową, aniżeli przeciw niej. Loika życia nie zawsze jest loiką rozumowania; życie nie jest lekcyą matematyki, dowodzącą jednakowego dla wszystkich twierdzenia; ilekroć więc autor po zapuszczeniu kurtyny zostawia publiczności pole do dyskusyi—może być pewnym że jest bliższym życia, aniżeli wtedy, gdy całemu audytoryum narzuca dyalektyczne rozwiązanie. Mówimy tu naturalnie o autorach z talentem, a po „Fałszywych blaskach," pani Mellerowa niewątpliwie w rzędzie ich stanęła.

Nowy pisarz w osobie Sewera (pseudonym), ekscentrycznie wystąpił w szranki komedyopisarskie, nietylko bowiem studya obyczajowe rozpoczął na obcém społeczeństwie, ale jeszcze i to społeczeństwo z najekscentryczniejszéj przedstawił strony. Dziwactwo wszystkich postaci w „Pojedynku szlachetnych", w niektórych posunięte do dzieciństwa a rzucone na wspólne im tło wielkiéj podniosłości charakterów, nadaje sztuce tak niezdecydowaną barwę, że stanowcze orzeczenie: czy „Pojedynek" należy do rzędów wyższych komedyi, czy jest po prostu jaskrawą farsą, jest niemożliwém. Jasność sądu jeszcze bardziéj się zaćmiewa za nadejściem w chwili, w któréj powstaje wątpliwość czy sztuka nie jest czasem dramatem, a odmęt tym staje się większym, że w owéj właśnie chwili wszystkie te trzy rodzaje jednocześnie na scenie występują. Otóż przypuszczając nawet, że widz skłonny jest na wiarę autora zgodzić się na istnienie w naszych czasach dwóch lordów, którzy wytropiwszy schadzki swéj pupilki z młodym uczonym demokratą więżą go z obawy, aby przez dumę nie odsunął się od bogatéj dziedziczki podającéj się za guwernantkę; przypuszczając egzystencyę takich kopalnych dozorców więzienia jak Pocock — a nawet możliwość zdobywania szturmem baszty do któréj egzaltowana córa Albionu schroniła się z więźniem,—trudno wymagać od publiczności, ażeby wierzyła, że na dole szturm na seryo się prowadzi, i że go na górze bierze na seryo profesor oksfordzkiego uniwersytetu! Jeżeli zaś wszystko ma być igraszką, co znaczy patos bohatérki na wieży i zapałka przygotowana do podpalenia pro-

chów—co znaczy roztkliwienie, rozpacz nawet jednego z lordów pod wieżą, gdy usłyszał huk podobny do eksplozyi prochowéj; gdzie tu prawda, gdzie udanie, gdzie się kończy egzaltacya, a zaczyna mistyfikacya — a w zakresie form—gdzie tu granice między dramatem, komedyą i farsą.?

Nie ma ich z téj przyczyny, że początek temu amalgamatowi trzech rodzajów, dał prawdopodobnie rodzaj czwarty — to jest powieść. Przypuszczenie to, nieprzynoszące zresztą żadnéj ujmy autorowi, opieram na mnóstwie subtelności dopatrzonych w charakterach sztuki, a nacechowanych tą analityczną drobiazgowością, które właściwe są angielskim opowiadaniom *de longue haleine*. Te właśnie subtelności, stanowiąc niezaprzeczoną literacką wartość „Pojedynku", zjednały sztuce *drugą* nagrodę, ale w obec koniecznych wymagań sceny, powodzenia jéj zapewnić nie mogły.

„Pojedynek szlachetnych" był ostatnią sztuką oryginalną przedstawioną w minionym sezonie — na nim też kończymy charakterystykę naszéj twórczości w dziedzinie dramaturgii. Twórczość ta przedstawia się obiecująco pod względem ilościowym a nawet jakościowym i stanowi właśnie ów wybitny prąd ożywiający od pewnego czasu nasz repertuar. Zadaniem krytyki jest baczyć, ażeby siłą tego prądu, nie napływał do repertuaru balast mierności i lekka pianka błahostek bez wartości. Hasło „byle co aby oryginalne," może tylko szkodzić scenie, otwierając do niéj przystęp nieuzasadnionym pretensyom, poronionym geniuszom i osłabiając w publiczności tak mozolnie, tak ciężko zaszczepioną wiarę w swojskie talenta.

III.

Jedna ostateczność, streszczona w powyższéj dewizie, pociągnąć za sobą może drugą, któréj hasłem znowu jest: „precz z obczyzną choćby najlepszą". Dalecy jeszcze jesteśmy od tego krańca, ale przy naszém wrodzoném usposobieniu do wpadania w ostateczności, łatwo na nim znaleźć się możemy. Nietrudno jest zasklepić się w skorupie własnéj adoracyi,—baczyć jednak na to należy, aby się ta skorupa coraz bardziéj nie ścieśniała, bo ciągłe pocieszanie się, że jest naszą własną, nie uchroni nas w końcu od przeświadczenia, że nam w niéj siedzieć niewygodnie. Uniknąć tego można jedynie przy pomocy zręcznego kierunku literackiego w zarządzie sceny i przy taktownéj krytyce.

Piérwszy warunek trudniejszym jest do urzeczywistnienia aniżeliby się zdawało, zależy bowiem od wielu okoliczności ściśle z samą organizacyą sceny związanych, któréj tu dotykać nie mam zamiaru; drugi da się wtedy osiągnąć, jeżeli krytyka nie będzie do tego stopnia unosić się ferworem swojskości, ażeby z zestawienia jéj wyroków można było wnosić, że np. dzieło Wiktora Hugo słabszém jest od jakiegoś, przyzwoitego zresztą, utworu oryginalnego. Zdarzyło się tak w bieżącym sezonie z dramatem „Angelo Malipieri", powtórzyło się w pewnym stopniu z komedyą Szekspira „Wiele hałasu o nic", bądź co bądź, dwoma arcydziełami literatury dramatycznéj, których analiza nigdy oddzielać nie powinna od tła historyi téj literatury. Romantyzm Hugona na scenie należy już do historyi, i nie godzi się przykładać doń miary dzisiejszéj estetyki, dzisiejszéj psychologii lub dzisiejszéj sceneryi,— tak, jak nie można komedyi Szekspirowskich mierzyć skalą Scribego lub Sardou. Ze stanowiska dziejów, wieki średnie straciły dla nas urok poetyczny, którym je opromieniał romantyzm marząc na omszonych zwaliskach zamków nadreńskich, lub w majestatycznéj nawie katedry gotyckiéj, — ale ta poezya wypędzona z historyi ma wszelkie prawo królować w dziełach imaginacyi,— a panuje ona potężnie w dramatach Hugona, któremu wolno nie być Prescotem, kiedy jest Wiktorem Hugo. Nie chodzi się patrzéć na Szekspirowskiego „Juliusza Cezara" z *Mommsenem* w ręku, a patrząc znów na „Wiele hałasu o nic", „Poskromienie złośnicy" nie zapomina się, że najgorzéj wychodzą mistrze od których zapożycza się potomność. Zły to dłużnik, ta potomność, nie tylko bowiem wzbogaci się, ale z postępem czasu coraz trudniéj przyznaje się do tego, że coś winną pozostała. Uśmiechamy się dziś na „banalie" Szekspira, nie pomnąc na to, że np. Beatrix, Benedykt, snują się po scenie od kilkuset lat, nie zapytani nawet, kto był istotnie ich ojcem!

Taka już bywa dola mistrzów i arcydzieł, — pojawienie się każdego, jest rodzajem procesu z przeszłością o prawo własności, trzeba więc także i wykształconéj publiczności, ażeby jasno zdawała sobie sprawę ze stosunku między tém *debet* i *credit* duchowém, a my *jeszcze* taką publicznością nie jesteśmy. Podkréślając wyraz *jeszcze*, nie stawiam bynajmniéj takich krańcowych *desideratów* jak zdolność słuchania Sofoklesa po grecku, jak w Berlinie, lub nawet możność przedstawiania „Burzy" Szekspira, jak w Wiedniu w teatrze Dingelstedta,—ale mam na myśli chwilę, w któréj zjawienie się na scenie pomnikowego dzieła literatury

obcéj przestanie być kosztownym zbytkiem, narażającym na szwank finanse teatru.

Chwilę tę przybliżyć można umiejętnym wyborem przekładów dopełniających oryginalny repertuar i stopniowém, a ostrożném kształceniem i wyszlachetnianiem smaku publiczności. Zadanie to niełatwe i z tego jeszcze względu, że pomięszanie rodzajów i form sztuki, nieuniknione przy jednym teatrze, nakazuje rachować się z różnorodnym poziomem umysłowym publiczności, któréj każda warstwa czego innego potrzebuje, w czém inném znajduje upodobanie. Istnieje wszakże dla kierownika sceny jedna zasada, ogarniająca całą skalę twórczości dramatycznéj od tragedyi aż do farsy: nie kusić się o wydobycie ani łzy, ani śmiechu, środkami schlebiającemi niskim instynktom mas. W ostatnim lat dziesiątku, baczniejsze przestrzeganie téj zasady wytworzyło w repertuarze naszym prąd poważniejszy, o ile zaś wymienione poniżéj a grane w ubiegłym sezonie sztuki tłómaczone, jako to: „Cel upragniony“, „Marya i Magdalena“ Lindaua, „Starzy Kawalerowie“ Sardou, Dwie boleści“ Coppé'go, „Burza w szklance wody“ Pailleron'a, „Kto pod kim dołki kopie“ i „Mąż pieszczony“ Thibousth'a, utrzymały ten poziom repertuarowy, — rozstrzygać tego nie ma prawa piszący te słowa, ze względu na stanowisko, jakie w teatrze w ciągu większéj części tego sezonu zajmował. Wolno mu tylko wyrazić pragnienie, ażeby ów poziom stał zawsze na wysokości tradycyi, jaką się słusznie szczyci scena polska.

Władysław Bogusławski.

KRYTYKA.

Wydawnictwa Akademii Umiejętności.

Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydziały: Filologiczny i Historyczno-filozoficzny. Tom I, 1874, str. 249; Tom II, 1875, str. 284.

Wiele w tych czasach mówiono i pisano o wielkiém znaczeniu i niezmiernych korzyściach pracy zbiorowéj. O jedném i drugiém, ledwo że kto wątpić dziś może. Dla tego wypadałoby raczéj od czasu do czasu przypominać, że i praca indywidualna, byle była wytrwałą, byle popęd do niéj ugruntował się w przeświadczeniu i nawyknieniach ogółu, może być także wielkiéj doniosłości; posiada zaś ona, w pewnych warunkach, tę ważną zaletę, że jest więcéj niezależną od zewnętrznych, nie zawsze sprzyjających okoliczności. Cóżkolwiekbądź, praca zbiorowa jest tak rzadkiém u nas zjawiskiem, tyle przedsięwzięć na różnych polach rozbijało się o rozmaite przeciwności, że z żywém spółczuciem witamy każdy takiéj pracy objaw i uważamy sobie za obowiązek rozważać osiągnięte przez nią rezultaty.

Czego jest w stanie dokazać na polu naukowém zgodnie działające grono ludzi dobréj woli, choćby rozporządzało szczupłemi funduszami,—o tém najdobitniéj przekonać się można, rozpatrując wydawnictwa Akademii umiejętności w Krakowie. Czytelnicy będą mieli przedstawione sobie oddzielne sprawozdanie z prac wydziału matematyczno-przyrodniczego; tu przeto nadmienimy tylko o działalności wydziałów filologicznego i historyczno-filozoficznego. Owóż, staraniem tych dwóch wydziałów, w latach 1874—1875, wyszło dwa wielkie tomy „Pamiętnika Akademii“ i pięć tomów „Rozpraw i sprawozdań.“ Oprócz tego prowadzone są oddzielne wydawnictwa źródeł i materyałów historycznych, jak np. Pamiętniki

średniowieczne, pod którą to nazwą wydano dwa dyplomateryusze, jak zbiór pisarzy historycznych, w którym pomieszczano dyaryusze sejmów i ostatnią część kroniki Wapowskiego. Akademia wzięła na siebie nadto pracę około dalszego wydawnictwa Monumentów, któremu taki wspaniały początek położył ś. p. Bielowski, wydawnictwa Starodawnych prawa polskiego pomników, rozpoczętego przed dwudziestu laty przez A. Z. Helcla, i wiele innych przedsięwzięć naukowych, z któremi mamy zamiar kolejno zaznajomić czytelników. Obecnie zamierzamy zdać sprawę z „Pamiętnika.“

W „Pamiętniku“ pomieszczane są prace, które ze względu na ważność przedmiotu, a bardziéj z powodu obszernych rozmiarów, nie dałyby się pomieścić w „Rozprawach,“ w których jednakże znajdują się równie interesujące, lubo mniéj obszerne artykuły. Na dwa piérwsze tomy „Pamiętnika“ złożyły się: przedewszystkiém historya w różnych jéj gałęziach, potém lingwistyka i filozofia. Zaczniemy więc od historyi.

Jak wdzięczném i obiecującém dla dziejów obfite plony są prace, oparte na poszukiwaniach archiwialnych, przekonywa gruntowne studyum dra Kętrzyńskiego (1), udowadniające, że w tak zwanych Prusiech Zachodnich mieszkała od najdawniejszych czasów ludność słowiańska szczepu polskiego, że pomimo niszczących najazdów pruskich, pomimo kilkowiecznego panowania krzyżaków, a potém bardziéj gnębiącego jarzma brandenburgskiego, zdołała ona utrzymać się przy ziemi rodzinnéj aż do dnia dzisiejszego. Jakto,— spytać może czytelnik, —czy takie oczywiste fakta potrzebują być dowodzone? czy prawda bez pomocy aparatu erudycyjnego nie zdoła sobie utorować drogi, którą trafi do przekonań ludzkich? Takby się zdawało; takby być powinno bez wątpienia. Ale tymczasem, uczeni niemieccy nie próżnują i w miejsce owéj oczywistéj prawdy przedstawiają swe tendencyjne fantazye, które gorliwie szerzone, codziennie powtarzane, przeciskają się częstokroć nawet do polskich książek i świadomość prawdy w nas zatracają. Wdzięczni też jesteśmy panu Kętrzyńskiemu, że dla stanowczego rozwiązania wspomnionéj kwestyi, nie cofnął się przed nużącym trudem przejrzenia około dwudziestu archiwów publicznych i pryprywatnych,—trudem, któremu tylko gorąca miłość nauki i niezwykła wytrwałość podołać mogły; wiele bowiem z tych archiwów

---

(1) O narodowości polskiéj w Prusiech Zachodnich za czasów krzyżackich. Studyum etnograficzno-historyczne (Pam. t. I, 117—221).

publicznych, jakkolwiek Niemcy lubią się przechwalać ze swego porządku, przedstawiają się w postaci stosu zbutwiałych papierów, rozrzuconych w nieładzie, lub przysypanych gruzem na poddaszu.

Kwestyę tę podejmował przed laty Dominik Szulc. Zadanie wszakże, jakie sobie założył było obszerniejsze, dotyczyło bowiem całego pobrzeża baltyckiego między dolną Wisłą a Niemnem; dowody zaś, któremi rzecz swą popierał były nieskończenie szczuplejsze, bo czerpane jedynie z dzieł drukowanych. Nie dziw przeto, że mimo niezaprzeczonego talentu, jaki Szulc w rozwijaniu dowodów okazał, nie wyświetlił prawdy do tego stopnia, aby niedowiarków nawrócić, a przeciwników zmusić do milczenia. I późniéj więc odgrzéwano po dawnemu stare baśni, dając im gościnność w bardzo nawet poważnych dziełach (1). Dr. Kętrzyński zdobył dla swéj pracy stokroć zasobniejszy materyał, a zakres badania zamknął w szuplejszych terytoryalnie granicach, zajmuje się bowiem tylko Prusami Zachodniemi; rezultat téż jego pracy jest stanowczy, i miejmy nadzieję, będzie zarówno przekonowającym tak dla uporu niemieckiego, jak dla polskiéj apatyi.

Kraina, nazywana dziś urzędownie Prusami Zachodniemi, obejmuje w sobie trzy ziemie: Pomorską, Chełmińską i Pomerańską. Na piérwszą, to jest na Pomorze Gdańskie, nazwa Prus najniewłaściwiéj została rozciągnięta: jest to odwieczna i wyłączna dziedzina Słowian; sami uczeni niemieccy kontentują się tém, że dziś jest ona pod panowaniem pruskiém, ale historycznie polskiego jéj charakteru nie zaprzeczają. Słusznie przeto p. Kętrzyński pominął ją w swych badaniach, a zwrócił całą uwagę na dwie pozostałe ziemie, leżące na prawym brzegu Wisły.

Że ziemia Chełmińska pod względem politycznym stanowiła aż do XIII wieku jednę całość z Mazowszem, temu uczeni niemieccy nie przeczą; kwestyonują za to jéj narodowość. [illegible] jedni, jak Froelich, utrzymują, że pierwotnemi jéj mieszkańca[illegible] [illegible]ni byli Gotowie; drudzy, jak Brauns, chcieliby wykazać, że [illegible] była zamieszkana przez Prusaków. Hipoteza gotycka była [illegible] [illegible]odem nieżywo urodzonym, i dziś już nikt za nią nie obs[illegible]aje. Brauns, po mozolnych poszukiwaniach, dobił się nader problematycznego rezultatu, bo wśród tysiąca nomenklatur polskich, zdołał odszukać w całéj ziemi Chełmińskiéj raptem aż jedno nazwisko pruskie, a to—jest racéj nazwą człowieka przybylca, nie zaś nazwą miejsca. Pozostają

(1) Ob. Staroż. Pols. I, 605.

zatém dwa tylko możliwe przypuszczenia, mianowicie, że albo pierwotna ludność téj ziemi była polską, albo, że tam zupełnie ludzi nie było. W obec takiego dylematu, sąsiedzi nasi wolą nie czynić wcale wyboru i stawiają kwestyę inaczéj. Według nich tedy, w skutek niszczących najazdów Prusaków, pierwotna ludność wiejska wyginęła do szczętu, szlachta zaś wyniosła się do Polski i na Mazowsze; a skoro przybyli tu Krzyżacy, napłynęły za nimi od razu takie tłumy osadników niemieckich, że resztki dawnéj ludności, jeśli jakie ocalały, utonęły niebawem wśród tych tłumów, i w oka mgnieniu, jakby za uderzeniem laski czarnoksięskiéj, ziemia Chełmińska przemieniła się w Culmerland, część organiczną wielkiéj ojczyzny niemieckiéj. Czysto-polskie nazwy wsi wcale takiemu wywodowi nie przeszkadzają, gdyż po lekkiém zniemczeniu ich brzmienia, okazuje się widoczném, jak na dłoni, że np. nazwy Leleków, Kelpin przyniesione zostały przez osadników z ojczyzny ich marchii brandeburskiéj, gdzie takie nazwy istnieją, a zkąd one się tam wzięły, o to nikt nie pyta; wsi Mokrau, Gribnau, Grabowitz założyć musieli niemcy, wysiedleni z Pomeranii; od kolonistów przybyłych ze Szląska pochodzą widocznie osady Mischlewitz, Kommierau, Stablewitz. Gdyby się przypadkiem znalazły w Chełmińskiém wsi Prudelwitz i Strudelwitz, nie zaniechanoby zapewnie przypisać zasługę ich założenia przodkom onych dwóch junkrów pruskich, których rozmowy w Kladderradatschu bawią gości w piwiarniach berlińskich i warszawskich. I czemu nie? Prawdopodobieństwo ostatniego przypuszczenia miałoby wtedy równie gruntowną, równie historyczną, równie logiczną i równie uczciwą podstawę, jak w przypuszczeniach trzech pierwszych. Aliści, niedosyć na tém, bo przesiedlali się także niemcy z Westfalii, a może i zkąd inąd, krótko mówiąc, przybywali osadnicy z najodleglejszych kątów niemieckich; tylko z sąsiedniéj Polski nie było ich wcale, gdyż Polska była bezludna. Zresztą, Brauns wspaniałomyślnie przyznaje, że kilku polaków osiedliło się późniéj w Pomeranii, a w ziemi Michałowskiéj kilka osad jest polskiego pochodzenia. Dowcipny ten wywód tém chętniéj przyjmowany jest przez Niemców, że za jednym zachodem dwóch rzeczy niby dowodzi: najprzód, że do ziemi Chełmińskiéj napłynęli jeno osadnicy niemieccy; powtóre, że kraje, z których ci mniemani osadnicy przyszli, były krajami czysto-niemieckiemi. Za pomocą takiéj wygodnéj metody można dowieść, że Stany Zjednoczone i kotlina Wołgi, Brazylia i Grecya, przylądek Dobréj Nadziei i Australia są i były krajami niemieckiemi, bo

jedni Niemcy tam się osiedlają, a drudzy przeciwnie, skoro im fortuna nie dopisała, wynoszą się ztamtąd.

Przeciw takim to wywodom, wprawdzie fantazyjnym, wygłaszanym jednak poważnie i maską uczoności przykrytym, a przeto zdolnym zaimponować niejednemu, wystąpił dr. Kętrzyński z suchemi tylko faktami, ale z faktami niezbitemi.

Dokumenta z r. 1222 i 1223, a więc przed sprowadzeniem Krzyżaków wystawione, wyliczają sześćdziesiąt z górą osad w ziemi Chełmińskiéj, które bez wyjątku noszą nazwiska tylko polskie. Co do nazw pozornie niemieckich, które się późniéj w aktach krzyżackich napotykają, rzecz się wyjaśnia po prostu: powstawały one równie łatwo, jak łatwo teraz mnożą się codziennie w Poznańskiém, a wiemy przecię, że przez zniemczenie nazwiska wsi nie zniemcza się ludność w niéj zamieszkała. Akta krzyżackie pokazują nam w jaki to sposób zmiany te dokonywały się. Jedne nazwy przekręcali niemcy, mając trudność w wymawianiu wyrazów polskich; tak z Głuchowa robiło się Glauchau albo Glauchen, Piwnice zamieniały się na Piwenz lub Piffnitz, Rogoźno na Roggenhausen, Goryń na Guhringen. (1) Inne nazwy zmieniali Krzyżacy rozmyślnie, z urzędu, przy nadawaniu osadzie przywileju, jużto germanizując końcówkę (np. Galczewo—Gallsdorf), już tłómacząc wyraz (z Kiełbasina zrobiło się Wurst), już nadając zupełnie inne miano (Kowalewo nazwano Schoensee). Kilka tych nazwisk przytoczyliśmy tylko dla przykładu; ich liczba u d-ra Kętrzyńskiego jest, naturalnie, bez porównania większą, a każda nazwa poparta i dawnemi dokumentami i dzisiejszém używaniem jéj przez miejscowy lud polski. Jak zaś przeważały one w pospolitém używaniu, wnosić można z tego, że sami Krzyżacy nie zawsze mogli się bez nich obejść, i obok nazwiska niemieckiego dodawali niekiedy w aktach i nazwy polskie, które znane i używane były nawet przez mieszczan niemieckich. Żeby naocznie przekonać o słuszności tych twierdzeń, dr. Kętrzyński załączył wykaz tych miast i wsi w dwunastu dekanatach ziemi Chełmińskiéj, które obok polskiego miana miały niemieckie przezwisko;

---

(1) Przekręcanie nazwisk wsi przez Niemców w Prusiech łatwo jeszcze pojąć; ale jak sobie wytłumaczyć, że nazwa wsi, leżącéj w Królestwie i znajdującéj się w polskich rękach, uległa zniemczeniu? Naprzeciwko Włocławka jest wieś Szpital Górny i Dolny, osada bardzo starożytna, w któréj już w r. 1321 znajdował się istotnie szpital (hospitale sine ecclesia sancti Gothardi. ob. Kod. dypl. Rzyszczew i Muczk. II, 232); owóż tę starą naszą osadę przechrzczono na Szpethal!

narachowaliśmy ich 398. Wykaz ten przekonywa, że w największéj liczbie przypadków forma niemiecka wynikła z przekręcenia nazwy polskiéj, że w tém przekręcaniu nie zachowywano jednostajności, tak, iż obok jedynéj formy polskiéj pojawia się po kilka form niemieckich, np. Boguszewo ma nazwy: Bogusch, Boguschin, Bogisch, Bogeschau. Oczywisty ztąd wniosek wypada, że ta nazwa była pierwotną, która się bez zmiany w ciągu wieków zachowała; chwiejność zaś form niemieckich jest dowodem, że niemcy, kalecząc nazwy krajowe, nie od razu dochodzili do nadania osadzie stałéj nazwy niemieckiéj. Co większa, istnieje wielka liczba nazw polskich, nieobjętych w tym wykazie, ponieważ nie wiadomo, czy i jak Krzyżacy je poprzezywali; a naodwrót, w dawnych aktach Krzyżackich napotykamy wiele nazwisk niemieckich, o których nikt nie umié powiedziéć, do jakich się osad stosowały. Mamy tedy dziwne zjawisko, że pod panowaniem niemieckiém sztucznie szczepione nazwy niemieckie zatracały się i uległy zupełnemu zapomnieniu, polskich zaś lud, jak używał przed wieki, tak i dziś używa. Któryż więc element przedstawiał więcéj żywotności? Skoro zważymy, że po stronie niemieckiéj była przewaga, płynąca z większéj zamożności, posiadania władzy i języka urzędowego, to musimy przyznać, że druga strona górowała liczbą i nieprzerwaną tradycyą. Nazwy miejscowości wymagały szczegółowego rozbioru, są bowiem jedynym śladem ówczesnéj narodowości ludu wiejskiego. Lud nie miał żadnego znaczenia politycznego; ztąd w dokumentach rzadkie są o nim wzmianki, a i z tych niewiele jest pożytku, bo nazwisk familijnych nie używał, imiona zaś chrześciańskie zwykle nie dają wskazówek co do narodowości. Natrafiają się wszakże w XIII i XIV wieku imiona chłopów, jak Mirogniew, Bogumił, które usuwają w téj mierze wątpliwość.

Niezaprzeczoném jest, że Krzyżacy sprowadzali kolonistów niemieckich i osadzali ich mianowicie na nizinach nadwiślańskich. Osady te pozostały niemieckiemi i mają dotąd nazwy tylko niemieckie. Ludność polska używa tych nazw, stosując je do eufonii swojego języka, a rzecz godna uwagi, że zmodyfikowane w ten sposób nazwy przyjęły się wśród Niemców. Tak pierwotne Liebenwalde, potém Lewald, po polsku Rywałd, zowie się teraz u Niemców Rehwalde; Ciegenberg przerobili Polacy na Cymbark, Eichholz na Wichulec, i obie te nazwy weszły w użycie u Niemców. Czyż to również nie wykazuje stałéj liczebnéj przewagi elementu rodzimego?

Autor przechodzi następnie do Pomezanii i wyjaśnia, że lubo rzeka Ossa, w chwili sprowadzenia zakonu Krzyżackiego, odgra-

niczała pod względem politycznym Mazowsze od Prusaków, pod względem wszelako etnograficznym inaczéj się rzecz miała. Po za średnią i dolną Ossą mieszkała ludność polska, zajmując południową i zachodnią Pomezanię; reszta zaś téj krainy zaludniona była przez Prusaków. Opiérając się na szczegółowych poszukiwaniach topograficznych, autor kreśli pierwotną linię, oddzielającą szczep polski od pruskiego; w późniejszych czasach, element polski rozszerzył się za tę linię bardziéj ku wschodowi. Pod tym względem dr. Kętrzyński słusznie rozchodzi się z Szulcem i Marońskim, którzy *całą* Pomezanię za kraj pierwotnie polski uznawali. Metoda, którą poznaliśmy mówiąc o ziemi Chełmińskiéj, znalazła i tu zastosowanie; nie będziemy przeto zastanawiać się nad wywodami autora a notujemy tylko ciekawy fakt, że ludność czysto pruska pod panowaniem Krzyżackiem, zamiast germanizować się, (jakbyśmy przypuszczać mogli), polszczała. Przyczyny tego zjawiska wyłożył autor trafnie i dowodnie. Nawet Niemcy ulegali temu wpływowi żywotności pierwiastku rodzimo-krajowego. W dokumentach krzyżackich, więzienie zowie się *ciemnicą*, pancerz *bronią*, wielka sieć *niewodem*, puszcza leśna *borem*, znak graniczny *kopcem*, sołtys wiejski *starostą*, a przedział własności *granicami*. Wyrazów, jak *parów*, *pustka*, *pustkowie*, *kokoszki* i in. używają dotąd Niemcy na Żuławach. Nazwy prowincyi Pomezania i Pogezania dobrze objaśnia autor jako przekręcone z nazwy ludów, które w nich zamieszkiwały, t. j. Pomorzan i Pogórzan. Cały ten ustęp wybornie jest opracowany.

Załatwiwszy się w ten sposób z ludnością wieśniaczą, p. Kętrzyński przechodzi do szlachty. Widzieliśmy, że Krzyżacy poprzezywali polskie wsi po niemiecku; otóż, jak wiadomo, szlachta przybiérała nazwiska od wsi, w których siedziała, a przeto w aktach krzyżackich ukazuje się z niemieckiemi nazwiskami; tak np. Kliński z Radziejowa, którego oryginalny list polski szczęśliwym wypadkiem dochował się do tych czasów, nazwany jest w aktach *von Rautenberg*, bo wieś Radziejowo przezwali Niemcy Rautenbergiem. Rzecz ta, jak się zdaje, nie przemawia za germanizmem; a jednak na takiéj wątłéj podstawie uczeni i nieuczeni niemieccy zbudowali pewnik, jakoby wszystka szlachta pochodziła z rodu germańskiego. Aliści dokumenta co innego zgoła pokazują. Przed przybyciem Krzyżaków, i to w epoce najbardziéj niszczących najazdów pruskich, znajdujemy tu wielkich posiadaczy ziemskich. Około Chełmna panem wielu wsi był głośny wojewoda mazowiecki Żyro, a w okolicach Radzyna znamy Kroka Krokowica, Krzesława Krystynowica, Dzierżykraja Gaworkowica i in-

nych. Zakon Krzyżacki objął ziemię Chełmińską, z mocy nadania Konradowego; ludność tamtejsza widziała w nim obrońcę od Prusaków i przyjęła go z otwartemi rękami. Nawzajem zakon, potrzebując od szlachty pomocy rycerskiéj, nie mógł być dla niéj jawnie nieprzyjaznym; są téż dowody, że walczącéj w szeregach Krzyżackich miejscowéj szlachcie polskiéj rozdawał liczne lenności. Najważniejszym z tych dowodów jest przywilej wicemistrza z r. 1278, z którego wynika, że wszyscy obywatele, siedzący na prawie polskiém byli Polakami; zkądinąd znowu wiadomo, że wielu z nich już w XIII wieku postarało się o pozyskanie prawa Chełmińskiego, które im więcéj przywilejów zapewniało. Dla wykazania: które mianowicie rody szlacheckie używały prawa polskiego, i dla udowodnienia, że nie wszyscy co siedzieli na prawie Chełmińskiém, byli Niemcami, autor wchodzi w szczegóły genealogiczne najdawniejszych rodzin; zestawia téż inne dowody, zebrane z różnych źródeł. Żałujemy bardzo, że ustęp ten, tak starannie wypracowany, ale niedający się streścić, pominąć musimy, poprzestając tylko na wzmiance, iż rzuca on nowe zupelnie światło na historyę podboju Prus, w którym szlachta Chełmińska przeważny wzięła udział.

W Pomezanii inne było położenie. Kraj ten zdobyto orężem na poganach; wszystko co opór stawiało, zostało wywłaszczoném. Nie spotykamy tu więc tak licznéj szlachty jak w Chełmińskiem; ale jest natomiast kilka rodów magnackich. Poznajemy tu rodziny polskie i pruskie; o niemieckich trudno coś powiedzieć, bo i sam historyk téj ziemi, Schmitt przyznaje, że prawie ani jednéj nie było tu rodziny szlacheckiéj, o któréjby z pewnością utrzymywać można, że przybyla z Niemiec. Ciekawe znajdujemy tu wiadomości jak rodziny pruskie polszczeją; jak np. w Pomezanii książęcéj, a więc usuniętéj z pod urzędowego wpływu polskiego, Grampnerowie, niemcy i protestanci, zamieniają się na Wałdowskich, zapominają niemczyzny, pisują listy po polsku do mieszczan niemieckich, kładą sobie nagrobki z napisami polskiemi.

Następnie autor zastanawia się nad niemieckiemi przydomkami szlachty polskiéj, które, ze względu na sposób w jaki się sformowały, dzieli na sześć kategoryi. Najnowsza i najosobliwsza jest ostatnia. Tak np. Pokrzywniccy mają przydomek Bock, nadany przez Fryderyka II, który tylko piérwszą sylabę ich nazwiska w ten sposób wymówić potrafił. Inne rodziny, aby nie być

gorszemi, z godnym uznania pośpiechem, same sobie poprzybierały niemieckie przydomki (1).

Wyjaśniwszy kwestyę narodowości szlachty, dr. Kętrzyński bada, jakie w skutek rozmaitych wypadków politycznych, zachodziły przemiany w duchowém jéj nastrojeniu; kréśli zajmującą historyę związku jaszczurczego i rady krajowéj, następnych zatargów między szlachtą a zakonem, związku z miastami, i kończy pamiętném poselstwem, wyprawioném r. 1454 do Kazimierza Jagiellończyka.

Trudniéj było, bez porównania, wykazać miejscowe pochodzenie ludności, siedzącéj po miastach; raz dla wielkiego niedostatku źródeł historycznych, z czasów dawniejszych, a powtóre dla tego, że nie da się zaprzeczyć, iż rdzeń ludności miejskiéj stanowili Niemcy. Trafne rozumowania, poparte jak zawsze dowodami, i szczęśliwe odkrycie księgi Konrada Bitschina, pozwoliły p. Kętrzyńskiemu i to pytanie rozwiązać zadowalniająco. Pokazuje się teraz, że za czasów krzyżackich, polacy stanowili po miastach mniéj więcéj jednę trzecią część ludności; że całkowite ulice i przedmieścia były przez nich zajęte. Od r. 1488 przypływ Niemców do Chełmna ustaje: osiedlają się sami polacy. Autor stawia nam przed oczy długie spisy tych naszych mieszczan w Chełmnie i w Toruniu, wskazując ich pochodzenie, rzemiosło, wysokość opłacanych miastu podatków, nawet ulice, na których mieszkali. O mniejszych miastach, w których dawne archiwa uległy zniszczeniu, niepodobna było zebrać równie szczegółowych wiadomości; wszelako i tu, dzięki niezmordowanéj pracowitości naszego badacza, istnienie zdawna ludności polskiéj nie może być już kwestyonowaném. Kończąc, autor zachęca ziomków do przedsięwzięcia podobnych poszukiwań etnograficznych w Prusiech Wschodnich, gdzie cały pas południowy do dziś dnia zajmują mazury.

Studyum dra Kętrzyńskiego jest pracą poważną, bogatą w zdobyte rezultaty naukowe, i tyle nowych w historyi otwiéra widoków, że wszelka z naszéj strony pochwała byłaby zbyteczną. Szczegółowy jéj rozbiór krytyczny nie może być naszém zadaniem, archiwa bowiem, w których autor zbierał materyały, zupełnie nam są nieznane. Ograniczymy się przeto na przedstawieniu wątpliwości i dezyderatów, podrzędnego zresztą znaczenia.

---

(1) Niemczenie nazwisk i u nas miewa zwolenników; tak np. szląski przydomek *Nostyc* niektórzy piszą sobie *Nostitz*.

Podany przez autora wywód rodu Stangonów ma za sobą wiele prawdopodobieństwa, nie przestaje wszakże być hipotezą; dowodu bowiem na to, że Dytrych Stango był synem Machona, nie ma. Ani téż utrzymywać można stanowczo, że w połowie XIV wieku jedna tylko była w Pomezanii rodzina Stangonów, tak rozkrzewiona, że do niéj koniecznie stosować się muszą słowa kroniki Oliwskiéj, wyrzeczone o mnogiém potomstwie syna Pipinowego; szczupłość owowiecznych źródeł dziejowych nakazywałaby raczéj powiedziéć, że tę jednę tylko rodzinę znamy, z czego jednak nie wypływa wcale dowód, że innych rozrodzonych domów tam nie było. Wyrażonemu daléj twierdzeniu, jakoby Dytrych de Dypenowe i Macho Pipinowic byli braćmi rodzonemi, sprzeciwia się, jak mniemamy, kronika Oliwska, wedle któréj, Macho był jedynakiem (Pipinus reliquit *unum* filium post se).

Pomiędzy rodzinami, których polskiego rodu dowodzą imiona, zamieszczony jest „Kalefa von Förstenau" (str. 173). Lubo Förstenau czyli Bursztynowo znajdowało się w rękach polskiéj rodziny, Bursztynowskich; w imieniu jednak Kalefa nie mogliśmy dostrzedz czegoś wyłącznie polskiego, i szkoda, że autor wyraźniéj tego nie objaśnił. Wymienionych na str. 186 trzech braci de Çlostirchen: Pilgerina, Theoderyka i Erckenbrechta można było bezpiecznie pozostawić niemcom (str. 186); podobnież Peter Schech z Torunia (str. 210) nie zdaje się być polakiem.

Na dowód, że krzyżakom ciężko szło ze sprowadzeniem szlachty niemieckiéj, autor przytacza ustęp z przywileju biskupa warmińskiego na 50 włók roli (str. 164 i nota 18). My w tym ustępie nic podobnego nie dopatrujemy; jest to poprostu objaśnienie pobudek, skłaniających do aktu nadawczego, pobudek nader pospolitych we wszystkich przywilejach tego rodzaju. Taki ustęp motywowany w nadaniu uczynioném przez biskupa tém był konieczniejszym, że kilkakrotne uchwały soborów ekumenicznych wzbroniły alienacyę dóbr kościelnych; dla tego biskup powiada, że czyni nadanie celem prędszego zagospodarowania majętności kościelnych, spustoszonych przez najazdy pogan.

Dr. Kętrzyński, utrzymując, że część lewego, to jest pomorskiego brzegu Wisły należała do ziemi Chełmińskiéj, powołuje się na przywiléj Hermana Balka, w którym ten jakoby nadał miastu Chełmnu wieś Topolno (str. 127, nota 9). Nie przeczymy, że Topolno leży na lewym brzegu; lecz w przywileju owym Balk nie nadaje zgoła téj wsi miastu; owszem wyraźnie powiada, że z darowizny wyłączają się nawet kępy na Wiśle (cóż mówić dopiéro o przeciwnym brzegu!). Wieś Topolno jest tam wymieniona, nie

jako przedmiot darowizny, jéno jako punkt *a quo*, jako miejscowość, począwszy od któréj wolno jest Chełmianom ciągnąć użytki z Wisły, a więc łowić ryby, budować młyny i t. p. (ob. Dogiel, IV, 21; Bandkie, Jus Culm. 285—286). Ponieważ na prawym brzegu Wisły zalegały wtedy błotne niziny, na których w ówczas nie było żadnéj osady, dla tego Balk musiał wskazać punkt wytyczny na lewym, zaludnionym brzegu.

Na stronach 158 i 165, autor imię *Cocznir* identyfikuje z *Kazimierz*. Sądziłbym, że to niesłusznie, gdyż forma Koćmir (podobnie, jak wspomniane tamże imię Kotobór) jest samoistną i zostawiła ślad w nazwach dwóch wsi w Królestwie, zwanych dotąd Koćmirzów; należałoby raczéj przyznać jéj powinowactwo z imieniem Chocimir, napotykaném w dyplomatach (Rzyszcz. I, 59; III, 15).

Przywiléj wicemistrza Thierberga p. Kętrzyński podał w oryginalnym tekscie tylko, naszém zdaniem mniéj właściwie, bo komu oryginał potrzebny, ten potrafi odszukać go u Voigta. Tu wypadało raczéj podać go w tłómaczeniu, treść bowiem aktu jest ważna, a staroniemiecki język, zaciemniony dziwaczną pisownią, nie dla każdego jest zrozumiałym.

Znany z obszernéj erudycyi i niepośledniéj pracowitości, ale zarazem i z jednostronnego kierunku w traktowaniu historyi, Maurycy hr. Dzieduszycki, prowadzi nas na drugą stronę Baltyku, na skalistą puszczę półwyspu Skandynawskiego, gdzie granitowy grunt, pokryty nieprzebytemi lasami, pożłobiony tysiącami jezior, rzek i moczarów, wyhodował żelazne plemię, przedsiębierczych i awanturniczych ludzi, którzy długo byli postrachem Europy. Wykazać jakiemi środkami zdołano zaszczepić religię pokoju i miłości wśród tych, łotrujących na morzu i lądzie barbarzyńców; zbadać, jaki nowa religia wywarła wpływ na ich obyczaje i wyobrażenia; wykryć przyczyny, dla których religia ta po pięciuwiekowém panowaniu w Szwecyi ustąpiła miejsca innemu wyznaniu, oto zajmujący temat, który sobie hr. Dzieduszycki wybrał dla najnowszéj pracy (1),

Kreśiąc dzieje kościoła, autor musiał co chwila potrącać i o sprawy świeckie; z tego ułożyła się interesująca mozajka, dla nas tém ciekawsza, że przedstawia miejscami uderzające swą jednorodnością objawy, zachodzące spółcześnie w dziejach Polski

(1) Rys dziejów kościoła katolickiego w Szwecyi (Pamiętn. I, 24—116; II, 214—284).

i Szwecyi; w pewnych zaś epokach, dzieje obu tych krajów znajdują się w nader ścisłym z sobą związku.

Już w pierwszéj połowie IX wieku, gorliwość odważnych apostołów niosła światło wiary chrześciańskiéj do pełnych grozy krain Skandynawskich; ich usiłowania jednak były prawie bezowocne, i dopiéro pod koniec X stulecia chrześciaństwo zaczęło się tam szerzyć istotnie. Piérwsze biskupstwo założono w r. 1015, a jednocześnie pojawiają się, podobnie jak u nas, klasztory benedyktynów. Wszystko to odnosi się tylko do południowéj strony półwyspu, zamieszkanéj przez Gotów; na północy zaś Mälaru pogaństwo było tak potężném, że jeszcze w drugiéj połowie XI wieku wzięło przewagę wśród wojen domowych i osadziło na tronie Blot-Swena, prześladowcę chrześcian. Był to wszelako chwilowy i ostatni tryumf, a śmierć Swena w 1079 zadała stanowczy cios pogaństwu. Zwolnione od groźnego wroga duchowieństwo zajęło się teraz nauczaniem ludu i porządkowaniem spraw własnych, czego ostatecznie dokonał legat papieski w r. 1103 przez urządzenie dyecezyi. Będzie to prawdopodobnie ten sam Walo, biskup bellowaceński, który spółcześnie organizował hierarchię kościelną w Polsce.

Budowanie świątyń katedralnych i szerzenie się zakonu cystersów, hojne uposażanie klasztorów i częste synody, wyłączanie duchowieństwa z pod juryzdykcyi świeckiéj i dążenie do usunięcia konkubinatu księży, wreszcie przeważny wpływ hierarchii duchownéj na świeckie sprawy — oto są główne punkta dziejowe, cechujące wiek XII w Szwecyi, zarówno jak u nas.

I w następném stuleciu dzieje kościoła szweckiego toczą się podobną jak w Polsce koleją. Znaczenie stolicy papieskiéj za rządów Innocentego III rośnie do najwyższéj potęgi: papieże godzą domowe kłótnie członków panującego domu, nieposłusznych poddają klątwie. Spór o udzielanie biskupom inwenstytury przez królów kończy się po myśli Rzymu i przy każdéj katedrze organizują się kapituły. Duchowieństwo, niedosyć że zostało samo wyłączone z pod sądów świeckich, ale potrafiło nadto uzyskać udział w dochodach, płynących z sądownictwa nad poddanemi dóbr kościelnych. Dla zabezpieczenia tych nie bez trudu nabytych praw, dla zapewnienia sobie faktycznéj niezależności, ten i ów biskup buduje sobie obronne zamki. Liczba klasztorów tymczasem mnoży się zwolna, lecz bez ustanku, a świeżo założone zakony dominikanów i frańciszkanów, prostotą swego obejścia, jednają sobie sympatye ludowe. Ogólny duch religijny potężnieje niesłychanie: osoby pobożne fundują w wielu miejscach szpitalne zakłady joan-

nitów, na tronie zasiadają świątobliwi władcy, a wdowy i córki książęce przywdziewają habit zakonny. Nie obeszło się wszakże bez oporu, okazującego się już to w zaleganiu opłaty świętopietrza, już w sporach o dziesięciny; w obyczajach nie wszystko było wzorowém, gdyż porywanie kobiét nie należało do rzadkości, a konkubinat, wbrew kanonom, dosyć był powszechnym. Potrzeba zatém było ciągłéj czynności i nieustających starań ze strony kościoła. Pojawiają się tedy raz po raz legaci papiescy i zwołują synody. Wspomnimy tu tylko przybyłego w r. 1220 kardynała Grzegorza de Crescentia, dla tego że w trzy lata późniéj sprawował on takąż legacyę w Polsce.

Równolegle z tym wzrostem powagi duchowieństwa, rosła potęga rodów magnackich: jarlowie Szwecyi piszą się książętami „z bożéj łaski“ i rozporządzają tronem monarszym, jak to w Polsce czynili wojewodowie np. Żyra lub Mikołaj. Są jednak w dziejach szweckich fakta, którym podobnych nie znajdujemy spółcześnie w naszych, takiemi są: założenie wyższéj szkoły w Upsali, zatwierdzonéj przez breve 1250 r., spółdziałanie episkopatu w podniesieniu powagi królewskiéj, daléj składanie jednéj trzeciéj części dochodów kościelnych na potrzeby kraju, nakoniec zniesienie poddaństwa włościan w 1285 r.

Wiek XIV pamiętny jest zarówno w dziejach swieckich jak kościelnych. W r. 1319 zebrał się pierwszy sejm, na którym zasiedli przedstawiciele czterech stanów: duchowieństwa, szlachty, mieszczan i włościan. Kiedy Kazimierz W. zgromadził wiec prawodawczy w Wiślicy, w tym samym roku Magnus Erikson wydaje dla Szwedów głośny swój statut. Dynastya Folkungów schodzi z tronu szweckiego około tego czasu, kiedy ostatni z Piastów umiéra, a gdy na południowych brzegach Baltyku, Litwa zawiéra związek z Koroną, na północy unija Kalmarska jednoczy trzy królestwa skandynawskie. W dziejach kościelnych godzien zaznaczenia zatarg władzy świeckiéj z duchowieństwem o udział ostatniego w ponoszeniu podatków: lubo biskupi ulegli prześladowaniu, a jeden z nich poszedł na wygnanie, jednakże powaga hierarchii duchownéj nie tylko oparła się téj burzy, ale zyskała nową sankcyę przez ustanowienie oddzielnéj dla Szwecyi godności prymacyalnéj w Upsali, godności, którą do tego czasu piastował na całą Skandynawję arcybiskup Lundu, poddany króla duńskiego. Do tegoż czasu odnoszą się prace nad nawróceniem Lapończyków. W łonie jednak samego duchowieństwa powstały rosterki, z powodu zawiści, jaką pałały nawzajem ku sobie zakony dominikański i frań-

ciszkański. Dodajmy, że podczas tak zwanéj „zachodniéj schyzmy“, Szwecya uznawała za głowę kościoła Urbana VI i jego następców. Właściwa ludom północy skłonność do mistycyzmu i wysoki nastrój religijny społeczeństwa, reprezentuje w tych czasach grono osób świątobliwych, między któremi najwydatniejsze stanowisko zajmuje ś. Brygida, głośna ze swych objawień i proroctw, wśród których jest i przepowiednia upadku zakonu krzyżackiego.

Unia kalmarska była niefortunném dziełem: zrywana i na nowo zawiązywana, zapełniła wiek XV i początek XVI pasmem wojen, intryg, zamieszek i gwałtów. Powaga duchowieństwa mocno w tym czasie ucierpiała. Najprzód, władza królewska wzmocniona połączeniem trzech koron, dążyła do odebrania kapitułom prawa elekcyi i osadzania katedr biskupich, wedle swojéj woli. Następnie episkopat, stale popiérając unię, znalazł się w przeciwiństwie z wolą większości Szwedów. Skażenie obyczajowe zagęściło się w zakonach, a i świeckie duchowieństwo nie było od niego wolném. Wady te otwierały wrota husytyzmowi, który szukał sobie wyznawców na północy. Zdarzali się wprawdzie wzorowi i dzielni pasterze, ale nieraz infuły dostawały się przez łaskę dworu to łakomym zdziércom, to ambicyuszom politycznym, niekiedy samowolnym przywłaszczycielom. W téj smutnéj epoce, jedyne jasne punkta—to założenie 1477 r. uniwersytetu w Upsali i wprowadzenie do Szwecyi druku. Oba te jednak fakta, lubo dokonane przez duchowieństwo, miały się niebawem przyczynić do jego upadku.

Krwawe egzekucye w Stokholmie 1520 r. wywołały powstanie, którego przywódca Gustaw Waza zasiadł wkrótce na tronie i rozpoczął nową epokę w dziejach Szwecyi. Długie boje z Danią zubożyły kraj materjalnie; wycieńczony skarb nie dał się zapełnić używanemi dotąd środkami, a przenikająca z Niemiec nauka Lutra wskazywała na wielkie majętności kościelne, jako na jedyne a dogodne źródło, mogące służyć do zaspokojenia potrzeb publicznych. W istocie dwie trzecie części uprawnych gruntów znajdowało się w rękach kościoła. W ich zaborze zubożała szlachta widziała najpewniejszy środek ratunku i dla skarbu publicznego i dla własnéj kieszeni. Wśród mieszczan szerzyły się wyobrażenia protestantskie; król wyraźnie im sprzyjał i zręcznie przygotowywał wszystko do wprowadzenia reformacyi, a ówczesny stan moralny samego kleru ułatwiał mu przeprowadzenie zamiarów, zwłaszcza że główny filar kościoła, primas Trolle, jako stronnik Duńczyków, stał się antypatycznym narodowi i pozbawiony został na sejmie swego dostojeństwa. W obec zbiegu tylu przyjaznych okoliczności, rozpoczął Gustaw swe dzieło, przeprowadzając w sej-

mie uchwałę, na mocy której zajęto wszystkie dobra duchowne na skarb, a jednocześnie zniesiono większą część klasztorów. Gdy się to udało, zaczęto wprowadzać stopniowo zmiany w urządzeniu hierarchii, w obrządkach i dogmatach. Lud tylko wiejski obstawał przy starej wierze; niejednokrotnie chwytał za oręż, ale działał bez planu, aż się zabłąkał na manowce wstrząśnień socyalnych; ulegał też za każdym razem to przewadze wojsk królewskich, to obrotnej polityce Gustawa. Doraźne sądy, pewien rodzaj inkwizycyi, tortury i kat—dokonały reszty; i nim zstąpił do grobu założyciel dynastyi Wazów, Szwecya stała się państwem protestanckiém.

Na tém, właściwie mówiąc, kończą się dzieje kościoła katolickiego; autor jednakże prowadzi daléj swą rzecz, opowiadając o bezskutecznych próbach przywrócenia katolicyzmu i o późniéjszych losach Szwecyi.

Drugi syn Gustawa Wazy, Jan, za wpływem swéj żony Katarzyny Jagielionki zawiązał stosunki z Rzymem, syna kazał wychowywać w wierze matki, a do liturgii szwedzkiéj wprowadzał stopniowo obrzędy zbliżone do katolickich. Panująca wszelako od lat 40 reformacya, tak głęboko zapuściła korzenie we wszystkich warstwach ludności, że zamach na nią przedstawiał widoczne niebezpieczeństwo, mianowicie w obec ambitnego Karola księcia Sudermanii. Karol skupiał około siebie wszystkich niechętnych królowi, których nie brakowało, szczególniéj w stronnictwie antyliturgistów. Król przeto na stanowczy krok zdecydować się nie ośmielił; owszem, gdy po śmierci Katarzyny, wszedł w powtórne związki małżeńskie z gorliwą protestantką, począł cofać się i odrabiać rozpoczęte dzieło. Takie postępowanie, oczywiście, nietylko nie pomogło religii katolickiéj, lecz podsyciło jeszcze bardziéj niechęć ku jéj wyznawcom i stronnikom; a gdy syn Jana, Zygmunt, wybrany został królem w Polsce, protestantów ogarnęła obawa o nietykalność religii krajowéj. Obawę tę zręcznie wyzyskiwał na swoję korzyść Karol; i skoro w pięć lat późniéj, korona szwedzka, po śmierci ojca, dostała się Zygmuntowi, nieufność szwedów i zabiegi stryja uczyniły dlań niemożliwém panowanie w dwóch, morzem rozdzielonych królestwach. Jak się to dziać zwykło w podobnych razach, obie strony uciekły się do broni: wojna wkrótce się zakończyła przegraną Zygmunta, w skutek któréj utracona przezeń korona dostała się Karolowi IX. Dla kościoła katolickiego nie było już w Szwecyi pola.

W ostatnim rozdziale, według tego jak tytuł opiewa, opowiedziane są „koleje protestanckiéj Szwecyi w XVII i XVIII stuleciu,

jéj prawodawstwo w obec katolików i obecne tychże położenie.“ W rzeczywistości zaś znajdujemy tu obszerne ustępy, charakteryzujące Gustawa Adolfa i Krystynę, krótsze wzmianki o następnych monarchach, nakoniec obraz sprzecznych z duchem tolerancyi praw szwedzkich. Gustaw Adolf przedstawiony jest jako obłudny i samolubny polityk, który pod pozorem obrony protestantyzmu zalał krwią kraje niemieckie, a w rzeczywistości dążył do osiągnięcia korony cesarskiéj. Oryginalną i zajmującą postać Krystyny mamy tu narysowaną z wielkim zamiłowaniem i z nie mniejszą oryginalnością: obraz przedstawia bowiem same światła, bez żadnego śladu cienia. Uwagi, wykazujące szkodliwe dla kraju skutki długich wojen, które Gustaw Adolf, Karol Gustaw i Karol XII prowadzili, najzupełniéj są uzasadnione. Nie możemy jednak sobie wytłómaczyć, jaki to może mieć związek z dziejami kościoła katolickiego w Szwecyi. Bardziéj na swojém miejscu są ustępy o wewnętrznym rozstroju protestantyzmu w tym kraju, o tworzących się sektach i prześladowaniach, których one ze strony kościoła oficyalnego doznawały; o tak zwanych *lezerach* i tym podobnych, samorodnych objawach religijnego nastroju klasy wieśniaczéj; wreszcie o słynnym mistyku Swedenborgu i o martynistach. Przytoczone w końcu prawa, dotyczące wolności sumienia, przedstawiają rażące w naszych czasach, ale nie jedyne, zjawisko. Ustanowione jeszcze za Gustawa Wazy, w czasie przymusowego wprowadzania reformy religijnéj, niedziw, że natchnione są duchem wygórowanéj nietolerancyi. Dziwniejsza, że się utrzymywały w całości do ostatnich czasów, że niektóre dotąd mają moc obowiązującą. Tak przechodzącego z religii państwa do jakiego innego wyznania czeka utrata urzędu, jaki piastował; niedawno — groziło mu wygnanie. Zakaz, aby innowierca nie nauczał niczego, nawet sztuki tańca lub konnéj jazdy, wstrętnym jest i śmiesznym; wreszcie, obiecana przez prawo denuncyantowi nagroda, wyrównywająca połowie kary pieniężnéj, jakiéj ulegnie wykryty przez niego winowajca, naruszający przepisy wyznaniowe, przynosi zakałę prawodawstwu naszego stulecia.

W opowiadanie swoje autor wplata fakta, odnoszące się do naszéj przeszłości, które podnoszą interes czytelnika. Mamy tedy wzmianki o Ryksie, córce Bolesława Krzywoustego, która owdowiawszy po dwóch mężach, wyszła po raz trzeci za mąż, zaślubiając Swerkera I, — i o innéj Ryksie, córce króla Waldemara I, z którą ożenił się nasz Przemysław, po śmierci Ludgardy. W małżeństwie tém względy polityczne podobno żadnéj nie grały roli, gdyż w chwili zaślubin królewny, ojciec jéj był już od siedmiu lat

pozbawiony tronu i wolności. Dalej dowiadujemy się o nieznanym Długoszowi traktacie, zawartym 1419 r. przez Jagiełłę z Erykiem XIII; mamy ciekawe szczegóły o pobycie Karola Knutsona w Gdańsku i o jego widzeniu się z Kazimierzem Jagiellończykiem. Wspomniano też o propozycyach, czynionych Zygmuntowi I w czasie wojen domowych przez malkontentów szweckich i o negocyacyach dyplomatycznych Zygmunta Augusta w 1561 r. Najobszerniéj rozwiódł się autor o panowaniu naszego Zygmunta III w Szwecyi i opowiedział to zajmująco.

Przedstawiwszy pobieżnie treść obszernéj pracy hr. Dieduszyckiego, winiśmy jeszcze zdać sprawę, z wrażenia, jakie na czytającym wywiera. Wrażenie to, powiédzmy otwarcie, pomimo wielu zalet dzieła, w ogóle biorąc, nie jest korzystne. Przedmiot, bez wątpienia, godnym jest poznania; liczne szczegóły, dotyczące naszych dziejów czynią tę pracę jeszcze więcéj interesującą dla czytelnika polskiego, zwłaszcza że w niektórych punktach hr. Dieduszycki prostuje błędy swych poprzedników; pogląd na wypadki ma zawsze swój własny, oryginalny, a lubo częstokroć nie może liczyć na poklask większości, nie dba o to i wypowiada go szczerze, odważnie, bez obwijania myśli w bawełnę. Zalety to niezaprzeczone.—Szkoda że autor „Zbigniewa Oleśnickiego“ i „Piotra Skargi“, wydając wyroki o ludziach i rzeczach, niezawsze umié szale sprawiedliwości utrzymać w równowadze; powiedzieć by można, że Themis, która jego sądom przewodniczy, jedno ma tylko zasłonięte oko. Opowiadając dzieje dawno ubiegłéj przeszłości, autor zdaje się przejmować namiętnościami, które panowały w sercach upodobanych przezeń bohatérów, i wpada w ton niestosowny dla historyi, gdzie dla polemiki i apologetyki nie ma właściwie miejsca. Dziełu nie dodaje to wdzięku, inaczéj myślących chyba nie przekona; przeciwnie, w niejednym może obudzić wątpliwość co do rzetelnego przedstawienia faktów. Nie uznajemy za potrzebne, ani pożyteczne, iść krok w krok za autorem i roztrząsać krytycznie wszystkie jego twierdzenia; poprzestajemy więc na wytknięciu tego, co się wydało bardziéj rażącem.

Kto zarzuca pisarzom protestanckim uprzedzenie, zaślepienie, przemilczanie prawdy, namiętną stronniczość i rzucanie oszczerstw na kościół katolicki,—powinien sam opowiadać rzecz ściśle przedmiotowo, unikać wszelkich insynuacyi i obelżywych epitetów; w sądzeniu zachowywać wstrzemięźliwość i umiarkowanie, strzedz się sofizmatów i zbyt śmiałych wniosków. Z żalem wyznać musimy, że autor za mało na te względy dawał baczenia. Jeżeli z oburzeniem słucha, gdy protestanci mówią o „rzymskiém bałwochwalstwie“

jakże mógł jednym wierszem wyżéj pisać o „luterskich szumowinach“ (t. II, str. 223). Luter, luterski, zlutrzony, apostata, tyran, niecny,—są to wyrazy, z którémi spotykamy się za nadto często, a zwykle bez potrzeby; bo w czém, pytamy, może przyczynić się np. do charakterystyki Puffendorfa to, że był synem „luterskiego pastora“ (t. I, str. 25)?

Sądy o osobach historycznych grzeszą zwykle brakiem umiarkowania. Prawdą jest, że Gustaw Adolf nie był takim idealnie bezinteresownym bohatérem, jakiego w nim dopatrywały dawniejsze uprzedzenia; odzierając go jednak ze wszystkich dodatnich przymiotów, uchybimy sprawiedliwości i, rzecz wątpliwa, czy zjednamy sobie wiarę. Będąc tak surowym dla ojca, autor łagodnieje niespodzianie dla jego córki i nie może dopatrzéć w Krystynie żadnéj skazy. Wspomniawszy o sprawie Monaldesckiego, nie zaniedbuje dodać, że „nie brakło prawników, występujących w jéj obronie na podstawie prawa publicznego i wyjątkowego jéj położenia,“ i przytacza owe punkta obrony w sposób taki, iż się zdaje, jakoby przyznawał ich słuszność. Ale moralna wartość obron podobnych dawno już ocenioną została, jak należy; najlepszą zaś na nie odpowiedzią jest powszechne oburzenie, jakie we Francyi sprawa Monaldesckiego wywołała, sprawa, którą potępiono i w Rzymie. Zresztą i autorowi (wprawdzie tylko co do słuszności rodzaju kary, t. j. śmierci) nasuwały się pewne wątpliwości. „Czy wszakże—pyta—*taka kara* da się usprawiedliwić nawet w obec powyższych względów i powodów jéj działania?“ Czy się da usprawiedliwić? pytamy i my także. „To osądził już dawno nieomylny Sędzia w niebiesiech“ — odpowiada z namaszczeniem autor (II, 271). Przeczytawszy to ulegamy poniewolnemu zadziwieniu, bo jeżeli wyrok, zapadły w niebiesiech, uwalnia historyka od wypowiedzenia własnego sądu, ileż to takich zbytecznych sądów wykreślićby wypadło z „Dziejów kościoła w Szwecyi!“ Zdziwienie nasze rośnie jeszcze bardziéj, gdy o dwie strony daléj czytamy o Gustawie Adolfie i jego następcach, że „ci mniemani bohatérowie protestanccy stokroć godniejsi pręgierza historyi, niż Aleksander Macedoński, niż Mahomet, niż Dżengis-Han i Tamerlan“ i t, d. (II, 273).

Nie bierzemy nikomu za złe jego sympatyi i antypatyi; owszem, przyznajemy chętnie, że u autora naszego są one zupełnie naturalne. Pomimo to, mamy uzasadnione prawo oczekiwać, że będąc nieubłaganie surowym sędzią względem niemiłego sobie obozu, zdobędzie się chociażby na jedno słowo nagany dla takich postępków w obozie własnym, które ze wszech miar godne są potępienia. Istotnie, kilka razy napotykamy niby coś podobnego: autor

wbrew Theinerowi, gani nuncyusza Arcimbaldi, karci arcybiskupa Jana Magnusa Store (I,93,94) i potępia królewnę Cecylię (II, 215), którą Niemcewicz usiłował niegdyś uniewinnić. Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na to, co było rzeczywistą pobudką do tej surowości autora, bezstronność jego okaże się pozorną tylko. Pozorną też jest ona istotnie; a tam, gdzie dla okazania jéj najsłuszniejsze zachodzą powody, daremnie jéj oczekujemy. Gdy np. Zygmunt III, przegrawszy bitwę pod Linköpingiem, wszedł w układy ze stryjem i wydał mu „pięciu najwierniejszych sobie, więc najbardziéj skompromitowanych senatorów,“ a wydał na śmierć oczywistą, bo w obec znanego okrucieństwa i kłamliwości Karola, najuroczystsze jego zaręczenia nie zasługiwały na żadną wiarę, autor wyraża nie naganę, lecz spółczucie dla Zygmunta, który rzecz podobną musiał „z wielkim bolem serca“ wykonać (II, 254). Bez wątpienia: bolom serdecznym należy się spółczucie; ale tą razą, nasze spółczucie nie podąży za autorem: zostanie po stronie biednych ofiar źle umieszczonéj wierności.

Historycy szweccy Dalin i Geijer ostro potępiają duchowieństwo z powodu, że w czasie powstania 1433 r. nie połączyło się z narodem, ale chcąc utrzymania unii kalmarskiéj, stanęło po stronie Duńczyków. Nasz autor inaczéj się na to zapatruje; według niego, duchowieństwo z wielu względów religijnych i politycznych miało najzupełniejszą słuszność w podtrzymywaniu unii, a na dowód tego przytacza, że w r. 1864 zawiązano w Stokholmie stowarzyszenie, które ma na celu przygotowanie w przyszłości konfederacyi skandynawskiéj (I, 74—75). Być może, iż duchowieństwo szweckie w XV wieku okiem proroczym trafnie przewidziało, co się w czterysta lat późniéj stanie; ale autor, używając tak osobliwego argumentu, zapomniał widocznie, że w polityce (a i w historyi także) zachować się należy z warunkami czasu i miejsca, które bywają zmienne, i że to co ma racyę bytu w czasach obecnych, niekoniecznie było dobrem na początku XV stulecia. Co *w tamtych* czasach o unii kalmarskiéj sądzić należy, wskazują najlepiéj nieszczęśliwe jéj koleje i owe potoki krwi, w których utonęła ostatecznie.

Autor nasz lubi zwroty niespodziane i wtrąca nawiasowo uwagi, których cel i znaczenie stanowią prawdziwą dla czytelnika zagadkę. Z powodu np, że marszałek Bernardotte, dla objęcia tronu szweckiego, został z katolika protestantem, dodaje: „Godnem jest uwagi, że urodził się w tém samém Pau, gdzie i Henryk IV, który także dla tronu zmienił religię“ (II, 278). Jeżeliby z téj uwagi przyszło jaki wniosek wyciągnąć, to chyba ten, że powietrze w sąsiedztwie Pirenejów usposabia do apostazyi, podobnie jak w niektórych

dolinach alpejskich i pirenejskich do kretynizmu. Niechże sobie takiemi faktami zajmuje się geografia medyczna, albo klimatologia Francyi; w dziejach kościoła, i to kościoła szwedzkiego, śmiało można o tém zamilczyć.

Kiedy już raz potrąciliśmy o medycynę, wspomnimy tu o szczególnéj troskliwości autora w opisywaniu chorób, jakim ulegały niektóre, znane w historyi osoby. Żaden objaw patologiczny nie jest nam przy tém oszczędzony. Dowiadujemy się tedy, że protestantski arcybiskup Angermann, osadzony w więzieniu Gripsholmskiém przez Karola IX, „w pomięszaniu zmysłów i z brzydkiéj choroby, toczony od robactwa, umarł“ (II, 256). Podobnież słynny poeta Tegner, który był także biskupem protestantskim, „szukał podpory czy roztargnienia w trunkach, oddał się pijaństwu aż wreszcie skończył w pomięszaniu zmysłów“ (II, 279). Że o szaleństwie Eryka XIV opowiedziano nam detalicznie (II, 217), samo się przez się rozumié. Upodobanie do patologii bodaj jednak czy nie za daleko autor posuwa, wtajemniczając nas w swoje poglądy patogeniczne, czy etyologiczne, (bo nie wiemy, jak je właściwiéj mianować), na które, wątpimy, aby lekarze kiedykolwiek się zgodzili. I tak, mówiąc o „smutnéj chorobie króla Oskara I, który będąc synem apostaty, podobnie jak Eryk XIV syn odstępcy Gustawa, popadł w obłąkanie i zmarł“ (II, 280), zdaje się autor widocznie dopatrywać źródła obłąkania synów w apostazyi ich ojców. Radzibyśmy bardzo przekonać się o rzeczywistości takiéj genezy chorób umysłowych; wyznać jednakże musimy, że nasze spółczesne spostrzeżenia, niestety, podobnego poglądu wcale nie potwierdzają.

Na równi z medycyną, a nawet może w wyższym jeszcze stopniu, autor zamiłowany jest w teologii i związkowych z nią naukach. Dyalektyk z natury nie pomija on, jak w dawniejszych dziełach, tak i w obecném, żadnéj okoliczności, która może dać powód do rozprawiania o dogmatach religijnych. Dogmat nieomylności (II, 268) i Niepokalane Poczęcie (I, 63), celibat kapłański (II, 227) i objawienia św. Brygidy znalazły tu zarówno dla siebie miejsce. Wspomnione dopiéro objawienia dały autorowi asumpt do obszernych przytoczeń i komentarzy (I, 56, 62—66, 109). Naturalnie, samodzielność, którą widzieliśmy w traktowaniu historyi i medycyny, lubo miarkowana troskliwie, nie zupełnie znika i w rzeczach religijnych. Nie chcemy przez to, broń Boże, rzucać podejrzenia na ortodoksyę autora; powiadamy jéno, że zbytnia gorliwość jego za daleko jest posuniętą, gdy decyzye stolicy Apostolskiéj własném zdaniem potwierdza. Oto jeden tylko przykład.

O świątobliwości króla Magnusa I, kościół już wydał stanowczą opinię, dopełniając jego kanonizacyi w r. 1498. Zdawałoby się, że to autorowi wystarczyć powinno. Bynajmniéj! Nie wiadomo, czy dla udowodnienia, że kanonizacya istotnie miała miejsce (o czém nikt nie wątpi), czy dla wykazania, że była uzasadnioną (czemu nikt także nie zaprzeczał) powołuje się, i na kogóż? na Jana Magnusa, piszącego w XVI wieku, pisarza, o którego charakterze sam się niekorzystnie odzywa (II, 94), i cytuje z niego taki ogólnik: „Miraculis clarus in numerum Sanctorum dignissime est relatus". Ale i tego jeszcze mało; więc dodaje, że „w objawieniach św. Brygidy (tu wskazane: edycya, tomy i strony) słyszy święta o nim z ust Matki Boskiéj, słowa, potwierdzające jego świętość" (I. 56). Nie będziemy się nad tém dłużéj rozwodzić, mamy bowiem nadzieję, że autor, jeśli wyrazy te przeczytać raczy, myśl naszą zrozumie i słuszności nie odmówi.

Podobnież, całkiem bezużyteczny nadał autor kierunek swéj gorliwości, komentując ustawę z r. 1781 i wykazując, iż katolicy mieli prawo być wybranymi na sejm (II. 279). Wszakże sam powiada, że ludność katolicka w Szwecyi wynosi zaledwie około tysiąca głów i należy do najniższych i najuboższych warstw społeczeństwa (II, 284); o uczestnictwie przeto w sejmie zapewne nigdy ona nie pomyślała i nie prędko pomyśli, tymczasem życzenia jéj po za kawałek powszedniego chleba i wolność sumienia nie sięgają.

O dokładności faktycznych informacyi wątpić nie można, bacząc na to, że dzieje kościelne stanowią specyalność autora, oraz na znaczną liczbę różnorodnych materyałów, z których w pracy swéj użytkował; wolelibyśmy przeto nie tykać téj strony zgoła. Ponieważ jednak hr. Dzieduszycki sam do niéj przywiązuje wielką wagę, zarzucając innym autorom nieznajomość źródeł, wytykając skrzętnie najbagatelniejsze ich usterki, i gromi z tego powodu nietylko historyków szweckich, dawniejszych i nowszych, ale i naszego zacnéj pamięci Niemcewicza (np. II, 236, 244), zdaje nam się stosownem zamieścić tu kilka pobieżnych uwag. Zaznaczamy więc że w liczbie użytych źródeł nie znaleźliśmy ani Magnum bullarium Romanum, ani listów Innocentego III papieża, w którychby znalazła się nie jedna dla rozbieranego dzieła wiadomość (1). Rocz-

---

(1) W wielkim zbiorze Patrologiae cursus complectus tomy CCXIV—CCXVII, ed. Migne Paryż, 1855, Innoc- III Rom. pont. opera omnia: np. II, kol. 223, 461; IV, suppl. kol. 119; także pod r. 1205 znajdują się listy do arcybiskupa Lundu, III, kol. 794.

niki kościelne Raynalda, raz jeden tylko w ciągu całego dzieła są powołane. Usterki zanotowaliśmy takie.

W r. 1187 dawna stolica Szwecyi, Sigtuna została zrabowana. Z tego powodu czytamy, że „Nowogrodzianie mieli zabrać pyszne srebrne kościelne drzwi, które pokazywane dotąd w cerkwi Św. Trójcy w Wielkim Nowogrodzie zwą: *Sigtuńskie Worota*. Ale mylność tego podania została już dawno dowiedzioną, bo te drzwi są w stylu czysto bizantyjskim i pochodzą prawdopodobnie z Chersonezu taurydzkiego“ (I, 48—49). Gdyby autor uważnie był odczytał to, co o tych drzwiach napisał Lelewel, dowiedziałby się, że są one nie srebrne lecz bronzowe, że je zowią korsuńskiemi, a pochodzenie ich z Sigtuny nie opiéra się na podaniu, lecz na domyśle archeologów; że wreszcie, nie są one w stylu ściśle bizantyjskim, owszem, mają wyobrażenia i łacińskiego charakteru (Pol. wiek. śred. ed. 1851, IV, 269 i nast.).

Na stronie 278 powiedziano, że Karol XIII traktatem z roku 1809 odstąpił połowę swego państwa. Wyrażenie nie jest dokładném, bo ustąpiona wtedy część Finlandyi, ani co do powierzchni, ani tém bardziej co do liczby ludności, ani co do bogactw przyrodzonych, nie stanowiła połowy ówczesnego państwa Szweckiego.

Zresztą szczegóły te są podrzędnego znaczenia i nie przywiązujemy do nich wielkiéj wagi. Inaczéj się zapatrywać musimy na takie twierdzenie, iż „nikt nie zdoła wykazać, żeby cesarz Ferdynand II ciemiężył protestantów w Niemczech, lub naruszał w czémkolwiek swobody i prawa, przyznane im w Augsburgu 1530, traktatem Passawskim 1552 i tak znanym pokojem religijnym 1555“ (II, 259). Twierdzenie to poparte jest powołaniem się na Hurtera i Onno Kloppa, rzecz przeto udowodniona. Nam się jednak zdaje, że tu zachodzić musi jakieś qui pro quo, boć prześladowania, nakazane przez Ferdynanda II, są faktem stanowczo pewnym. Chyba że autor przez wyraz *Niemcy* rozumié tylko drobniejsze państwa niemieckie; okrucieństwa zaś dokonane w Styryi, Karyntyi, Karniolii, w arcyksięstwie i w Czechach, ponieważ te kraje były dziedziczną posiadłością Habsburgów, uważa za dozwolone, w duchu maksymy „cuius regio, eiusdem et religio“. Ależ te prowincye zaliczały się wtedy do składu rzeszy niemieckiéj, wiémy też z kąd inąd (II, 265), że autor podziela z nami wstręt do przytoczonéj maksymy. Jakże więc powinniśmy rozumiéć owo twierdzenie o Ferdynandzie II?

Hr. Dzieduszycki jest doświadczonym pisarzem, włada piórem swobodnie i umié powiedziéć zawsze to co chce wyrazić. Styl jego zwykle dosadny, miejscami to patetyczny jest, to namiętny.

Język w ogólności jest czysty; natrafiają się jednak wyrażenia błędne. „Młyn papiérowy“ (I, 92) jest prawdopodobnie poprostu papiérnią. W inném miejscu powiedziano, iż „arystokracya dała sobie słowo, że raczéj polegnie *ze szpadą* w ręku, niż uzna Krystyana panem“ (I, 84); jest to galicyzm, dający się zastosować do Francyi XVIII wieku; o Szwedach z roku 1517 należało wyrazić się raczéj „z niczem, albo z bronią w ręku“. Zabawnie brzmi przymówka do „postnéj wzmianki Dalina“ (I, 73). Dalin był protestantem i bezwątpienia nigdy dobrowolnie nie pościł; jego postna wzmianka znaczy zapewne wzmiankę suchą, krótką, ogólnikową. Użycie wyrazu „elektor“ zamiast „elekt“ (II, 278) chętnie zaliczamy do omyłek druku. *St. Ł.*

(d. c. n.)

Błędy nasze w mowie i piśmie, ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy, zebrał Aleksander Walicki. Warszawa, 1876, w małéj 8-ce str. 103.

Z pracy téj skorzysta nietylko ogół czytający, ale i językoznawstwo, podaje bowiem ona przeszło dwieście wyrazów prowincyonalnych, przeważnie litewskich, po części niezamieszczonych w słownikach, lub dokładniéj objaśnionych. Sztuka zaś poprawnego, czyli zgodnego z tradycyą mówienia (którą odróżniać należy od językoznawstwa) znajdzie w téj książeczce liczne uwagi i spostrzeżenia o błędach przeciwjęzykowych po większéj części trafnie, jasno i po raz pierwszy publicznie wypowiedziane.

W ciągu kilku tygodni rozkupiono cały nakład tego dziełka; dowód to oczywisty, że odpowiadało potrzebie czasu, a zdaje się, że odpowiadało jéj dobrze. Autor zapowiada w przedmowie dalszy ciąg swéj pracy; przypuszczamy, iż zechce w drugiém wydaniu powtórzyć i tę część jéj, o któréj mówimy, sprostowawszy niektóre niedokładności, które wytknąć czujemy się w obowiązku.

Zastanówmy się przedewszystkiém nad tą stroną książki pana W., która nam się wydaje słabszą; późniéj powiemy o zaletach, które niezawodnie usterki jéj przewyższają.

Zdaje mi się tedy, iż autor zbytecznie uniesiony gorliwością dla czystości mowy rodzinnéj, popada w przesadę w treści i formie. Takie orzeczenia np., jak błąd szkaradny, szpetny, bezmyślny, szkaradztwo, wyrażenie ohydne, bezsens, zgroza, dziwoląg, albo definicya języka, jak na str. II, albo podobny np. frazes, jak na

str. 12: „Niepodobna pojąć jakim sposobem człowiek, mając swój język rodowity, może zapotrzebować wyrażenia obcego na określenie swéj myśli,“—grzeszą przesadą i jeżeli w drugiém wydaniu autor zechce ją złagodzić, wyjdzie to, mniemam, i jemu i czytelnikom na pożytek. Nie mogę się także zgodzić z p. W., jakobyśmy „Mrozińskiemu równego dotychczas nie mieli.“ Protestuję również przeciwko ryczałtowemu oskarżeniu dziennikarstwa naszego o kaleczenie języka; zdaje mi się, że ten zarzut uczynić można tylko pewnéj jego części i to mniejszéj.

Zdaje mi się, iż autor często za wiele żąda, wymagając od języka iżby był ściśle logicznym. Mowa bowiem nie jest matematyką ani logiką; owszem, to właśnie do zasadniczych cech każdego języka należy, że jest raczéj malowniczym i poetycznym, niżeli ściśle pedanckim. Nie pochwalam przeto wycieczki autora przeciwko wyrażeniu „Gdzie idziesz?“ Jest ono oddawna utartém i wrosło, że tak powiem, w ciało mowy naszéj; pisarze i poeci, których przywykliśmy za najlepszych uważać, używają go często. Malczewski w piérwszym wierszu Maryi zapytuje kozaka: Gdzie pędzisz? A przodkowie nasi jeszcze śmielszéj przenośni sobie pozwalali (może przez naśladowanie łaciny) nadając wyrazowi *gdzie* znaczenie *gdy*.

Nie mam także nic przeciw wyrażeniu „Jeden i ten sam;“ jest to jedna z tysiącznych tautologii, których się każdy język dopuszcza dla dodania sobie siły i „wagi w słowiech,“ jak mówi Kochanowski. Mówimy i zapewne mówić będziemy „własnemi oczyma,“ „na własne oczy,“ „własnemi rękoma“ i t. p., a choć to wyrażenia nielogiczne, nikt przeciwko nim podobno nie wystąpi. Nie myślę wreszcie, abyśmy wyrażenie: „jeden i ten sam“ wziąć mieli od Rossyan; boć i Rzymianie pisali „unus et idem“ i Niemcy mówią „ein und derselbe.“

Przesadza autor gdy powiada na str. 37, że mówiący, iż ktoś *jest dobrze*, dowodzi tém iż „wcale po polsku nie umie.“

Trudno jest, mniemam, wyrugować *niedługo* (str. 54) na rzecz prawowitego *niezadługo*; zdaje mi się także, iż skrócenie to pojawiło się u nas przez wpływ niemieckiego *nicht lange*.

Co do *oczu* (str. 58 i dal.) i *rąk* (str. 76 i dal.) myślę: że jakkolwiek życzenie autora ma za sobą logikę, gdy wymaga abyśmy w używaniu tych wyrazów ściśle odróżniali liczby, zwyczaj językowy dawno jednak już odstąpił tu od wymagań abstrakcyjnego rozumu, a zwyczaj to wszechładny pan w języku, bo

Wiele słów staroświeckich jak z grobu powstanie,
Nowe zginą, kiedy tak zechce używanie,
Którego absolutność za zwyczaj swe dawa
Do kształtnego mówienia i sposób i prawa.

Słowa te Horacyusza dadzą się zastosować i do „większéj połowy“ i do wyrażenia „rozumie się“; mowa bowiem nie jest arytmetyką; połowa matematyczna co innego, a językowa co innego; w mowie *połowa* oznacza *coś mniéj lub więcéj bliskiego połowy;* nie należy więc, sądzę, potępiać wyrażeń *mniejsza* lub *większa połowa.*

Co do *rozumie się*, niekoniecznie jest ono „żywcem z języka rosyjskiego przesadzoném“ (str. 81); przecię i Francuzi mówią *cela s'entend* i Niemcy *es versteht sich* (von selbst). Zdaje mi się, że wojna wypowiedziana przez autora temu wyrażeniu jest nieuzasadnioną i będzie bezskuteczną, bo się ono zakorzeniło u nas silnie i oddawna, a jest wygodniejszém od *ma się rozumiéć.*

Co do str. 60: akcent czyli przygłos na trzeciéj zgłosce od końca jest zabytkiem dawnego okresu naszéj mowy; jako taki nie powinienby budzić niczyich wstrętów; a wreszcie, po co zachęcać język do analogicznéj niwelacyi, gdy ta jest sama przez się tak silną, że ani powstrzymywanie nasze, ani popychanie biegu jéj prawdopodobnie nie zmieni.

Czuję się w obowiązku wykazać następne jeszcze niedokładności i nasunąć niektóre dopełnienia.

Str. 1. Co do *a*, zdaje mi się iż używamy tego słówka w znaczeniu *lecz* przez wpływ białoruskiego raczéj niż rosyjskiego języka.

Str. 3. W wyrazach *rozum*, *kum* i t. p. polskich, *um* nie jest zakończeniem w rozumieniu naukowo-gramatycznèm.

Str. 10. *Hodować* piszą często przez *ch* zbliżając myślą nie z wyrazem *chować*, ale ze słowem *chodzić*, jak to czyni i Linde; wyrażenia *chodzić* około czego, *zachód*, mimowolnie naprowadzają na to błędne spowinowacenie. Pierwotne znaczenie pnia *god* było, jak się zdaje, *dogadzać*, *sprzyjać*, co widać w pochodnych *zgoda*, *pogoda*, *godny*, *dogodzić* i t. d.; znaczenie czasu, terminu, późniéj się rozwinęło; *hodować* przeto, jak sądzę, oznaczało przedewszystkiém *chować*, *pielęgnować*, *dogadzać*, a znaczenie *latować* późniejszym stosunkowo jest wytworem.

Str. 11. Słyszałem na Litwie tylko: „stać na ciągu,“ nigdy „stać w ciągu.“ Tryb rozkazujący *ciąg* zam. *ciągnij* nie jest, zdaniem mojém, rzeczownikiem, lecz formą urobioną na wzór: *bież*, *leż*, *siedź* (zresztą mylnie, bo wtedyby powinno być *ciąż*) od do-

mniemanéj formy *ciądz;* dla tego też napotykamy w pieśniach ludowych *ciągła* zamiast *ciągnęła*.

Str. 12. Do wyrazu *czuhun* dodaję *czuhunka* albo *czyhunka* wyraz oznaczający u ludu na Litwie koléj żelazną.

Str. 20. *Hluzdy* po białorusku znaczy przedewszystkiém *mózgi*, a potém dopiero *rozum*, *pojęcie*.

Str. 20. *Hrymnąć* pochodzi zdaje mi się, nie od wykrzyknika *hrym*, ale od białoruskiego *hrymieć*, grzmiéć i odpowiada polskiemu *grzmotnąć*.

Str. 21. Do artykułu o imionach własnych, dodaję warszawski piąty przypadek: panie Michał! panie Stanisław! i t. p.

Str. 37. Oprócz *kaban* używają na Litwie i pochodnych: *kabani*, *kabanina*.

Str. 38. Białorusini nie mówią zwykle *kartopla*, ale *bulba*.

Str. 39. Odwieczny zwyczaj językowy każe mówić *kaszlę*, *kaszlesz* i t. d., ale nie *kaszlam*, *kaszlasz*, jak mówią na Litwie i jak chce pan W. O tém przekonywają przykłady w słowniku Lindego i dzieła najlepszych naszych pisarzy.

Str. 47. Na Litwie mówią *sinka* ale nie *sińka*.

Str. 49. Nie uważałem aby *się* na Litwie przed *ma* używano. Najczęściéj słyszałem: „Jan ma starać się o posadę“, ale nie „ma się starać.“

Str. 53. Do wyrazu *mogiłki* należy dodać i *mogilnik* w témże znaczeniu na Litwie używany.

Str. 53. W okolicach Litwy dobrze mnie znanych, majstra stawiającego piece zwą rzadziéj *mularzem*, częściéj *garncarzem*.

Str. 53. Do wyrazu *murzać* dodaję używane na Litwie: *murza*, *murzeczka* oznaczające: 1-o) dziecko z twarzą powalaną, i 2-o) częste nazwisko psa mającego pysk czarniawy, lub czarnego; *murzaty* w znaczeniu mający powalaną twarz.

Str. 56. Autor mylnie twierdzi, że wyrazy polskie, przyswojone z obcych języków, nie mogą mieć *ó*, *ą* i *ę*; jakoż sam na str. 57 przytacza: *chór*, *król*, —a my dodajemy: *łót*, *róża*, —*ląd*, *cąber*, *cząber*,—*kręgiel*, *mięta* i t. d.

Str. 61. Wątpię, aby wyraz *pac* wzięty był z języka białoruskiego, gdyż nie ma na to dowodów; może raczéj z litewskiego, w którym *pàts* znaczył dawniéj *pan*, więc szczur dla swéj wielkości w stosunku do myszy może *panem* nazwany, jak wielka mucha *szlachcicem* w stosunku do małych.

Str. 63. *Pieca*, zapewne pomyłka druku zamiast *piec*.

Str. 63. Nie mówią na Litwie *pierog*, ale *piérog*, jakoż Mickiewicz używa tego wyrazu z *e* kreskowaném.

Str. 69 W okolicach Litwy, które znam, podzelowanie nazywają *podnoskami*, a wyrazu *przeciążki* nie znają.

Str. 80. Porównać ustęp w Niwie X, 462 o opuszczaniu *się*.

Str. 81. Dodaję litewskie: *sionki* i *sioneczki*.

Str. 85. Do *szmorhać* dodaję, że Linde ma formy: *szmergnąć*, *szmargnąć*, *szmernąć*.

Str. 85. W Królestwie, zasłonę u okna nie *ruletą*, lecz *roletą* nazywają; *ruleta* ma inne znaczenie.

Str. 89. Zdaje mi się, że przysłówek *wieczór* w znaczeniu *wieczorem*, jest skróceniem pochodzącém z *w wieczór*, (podobnie jak *w dzień*, *w noc*), jako takie więc, we mnie przynajmniéj, „zgrozy" nie obudza.

Str. 90. Słyszałem na Litwie nie *wierszek*, ale *wierszyk*, 2-gi przyp. *wierszyka* i t. d., jak *stolik*, *stolika* i t. d.

Str. 95. Zamiast *récommander* powinnoby być *commander*.

Str. 96. Słyszałem nie *zależy*, lecz *to zależy;* myślę, że nie z *s'est selon*, ale bezpośrednio z *cela dépend* naśladowane.

Następne wyrazy i wyrażenia, o których autor twierdzi, że są powszechnie na Litwie używane, w znacznéj części jéj, wcale nie dają się słyszéć: *charcz* i pochodne, *dziadzia*, *hluzdy*, *kłóć arwa*, *kom*, *kucya* (w znaczeniu potrawy), *łańtuch*, *niszczymny*, *piwnica* (w znaczeniu grobu), *winszować* (z 4-ym przyp.) i *Wołoszka*.

Muszę także zwrócić uwagę autora na własne jego zboczenia od tradycyi językowéj, których się dopuszcza; oprócz wytkniętych przez recenzenta w Tygodniku Ilustrowanym, zauważyłem: stałe posługiwanie się wyrazem *używać* z czwartym przypadkiem, zamiast z drugim; str 55 zamiast *Białorusin* autor pisze *Białorus*; używa *u*, z ruska, zamiast *od*, np. (str. 36), „wyrażenie wzięte żywcem *u* Francuzów"; jest to prowincyonalizm na Litwie bardzo zakorzeniony, a ze zwyczajem języka polskiego sprzeczny; mówią tam kupić, nauczyć się, dowiedziéć się, dostać, pożyczać *u* kogo; to *u* gra tak obszerną rolę, że *miéć* zastępują wyrazem *być u*, np. zamiast „mam coś" mówią „jest u mnie", czasem nawet opuszczając *jest*: u niego dużo piéniędzy, u niego febra, — co znaczy: on ma dużo piéniędzy, ma febrę i t. p.; warto, aby szanowny autor obszernie się rozwiódł w drugiém wydaniu swojego dzieła nad tém zjawiskiem i odróżnił gdzie użycie *u* jest zgodne, a gdzie niezgodne z polszczyzną.

Wartoby także, zdaje mi się, aby autor rozszerzył uwagi swe i przykłady co do niektórych prowincyonalizmów, jak np. akcent, kréskowanie i niekréskowanie *o* i t. p.; na Litwie zboczeń od powszechnego zwyczaju w tych rzeczach jest daleko więcéj,

niż wyliczył p. W.; jest tam téż daleko więcéj w ogóle prowincyonalizmów, że wspomnę tylko np. wyrazy sądowe, administracyjne i t. p.

Po wypowiedzeniu tego, co mi się niedokładném lub niedostateczném w pracy p. W. wydało, z przyjemnością powtarzam, iż zalety jéj w mniemaniu mojém znacznie przewyższają usterki. Sam fakt dostrzeżenia, zgromadzenia i ogłoszenia „Błędów“ jest już dowodem niepospolitéj bystrości umysłu, pracowitości i pewnéj odwagi cywilnéj autora. Rady jakie daje dla unikania zboczeń językowych są po większéj części trafne i zgodne z tradycyą; obfity zbiór prowincyonalizmów jest pożądanym przyczynkiem do słownika polskiego; a twierdzenie, że większa część ich pochodzi z wpływu białoruszczyzny, ale nie języka rosyjskiego (jak zwykle publiczności się zdaje), poczytujemy także za wielką zasługę panu W., i w ogóle życzymy przyszłym pracom jego powodzenia równego przyjęciu obecnéj, nie wątpiąc, że przyniosą tyleż co ta korzyści dla nauki i dla czytającego ogółu.

Jan Karłowicz.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI w r. 1875|6.

Skład osobisty i w nim zaszłe zmiany. — Prace naukowe ogłoszone drukiem przez wykładających. — Liczba studentów uczęszczających do Uniwersytetu. — Udzielone stopnie i tytuły naukowe. — Zapomogi i stypendya.

Na publicznym akcie uroczystym uniwersytetu warszawskiego, odbywającym się corocznie przed rozpoczęciem wykładów, czytaném bywa krótkie sprawozdanie za ubiegły rok akademicki, zamieszczane następnie w „Wiadomościach uniwersyteckich,“ jako też w odzielnie drukowanym „Akcie uroczystym.“ Z takiego to sprawozdania za rok ubiegły 1875/6, a który jest siódmym rokiem istnienia uniwersytetu, skorzystaliśmy przy ułożeniu krótkiego zarysu zmian zaszłych w składzie osobistym i ruchu naukowym, gdzie zestawiliśmy niektóre dane urzędowe z lat ubiegłych i roku bieżącego.

Według ustawy, ciało nauczające uniwersytetu składać się ma: z rektora, 27 profesorów zwyczajnych, 20 nadzwyczajnych, 21 docentów i 5 lektorów języków nowożytnych; razem z 74 wykładających. W początku roku akademickiego 1875/6, uniwersytet posiadał wykładających etatowych 70, oraz jednego tymczasowo wykładającego. W ciągu tegoż roku został uwolniony na własne żądanie (wkrótce potém zmarły) prof. zwycz. anatomii, *Hirszfeld;* pp. *Cwietajew*, docent na katedrze literatury rzymskiéj, i *Bułygiński*, docent na katedrze fizyki, opuścili uniwersytet dla słabości zdrowia, natomiast zaś wszedł p. *Jastrebow*, jako p. o. docenta na katedrze literatury rzymskiéj.

Początek roku zastał niezajętemi katedry: geografii fizycznéj, chemii technicznéj, chemii rolniczéj, organizacyi i procedury cy-

wilnéj, gramatyki porównawczéj języków słowiańskich i pokrewnych, farmacyi i farmakognozyi, oraz opuszczoną po wyjściu prof. Hirszfelda katedrę anatomii opisowéj. Wykład jednak niektórych z tych przedmiotów został zastępczo poruczony innym członkom uniwersytetu, w skutek czego przez cały rok nie były tylko wykładane dwa przedmioty, wskazane w ustawie, to jest: geografia fizyczna i chemia rolnicza; wykład zaś gramatyki porównawczéj z początkiem drugiego półrocza powierzony został na rok jeden p. *Mikuckiemu*. Nadto w ciągu roku, profesorowie nadzwyczajni, pp. *Pawiński* (historyi powszechnéj) i *Lewitski* (kliniki terapeutycznéj szpitalnéj), zostali zamianowani profesorami zwyczajnymi, docenci zaś, pp. *Perwolf* (filologii słowiańskiéj) i *Jakowlew* (języka rosyjskiego) profesorami nadzwyczajnymi. W końcu zatém roku, uniwersytet posiadał wykładających 68 etatowych (pozostało niezajętych 6 posad docentów) i 2 czasowo do wykładów przypuszczonych.

W wewnętrznym zarządzie zaszły w ciągu roku następujące zmiany. Na wydziale fizyczno-matematycznym został wybrany na dziekana prof. *Aleksiejew*, w miejsce prof. *Babczyńskiego*, na sekretarza zaś prof. *Popow*, w miejsce prof. *Ganina;* na wydziale lekarskim — na sekretarza prof. *Lewitski*, w miejsce prof. *Jefremowskiego*.

Uniwersytet w roku 1875/6 przyjmował udział: w zjeździe VII archeologicznym w Buda-Peszcie, na który wydelegował prof. *Mierzyńskiego* i *Pawińskiego;* w zjeździe III oryentalistów w Petersburgu, którego członkiem był dziekan *Kowalewski*, i w obchodzie jubileuszu znanego historyka p. S. *Sołowiewa*, rektora uniwersytetu w Moskwie, na którym od tutejszéj wszechnicy był przedstawicielem prof. *Nikitski*.

Wielu z grona wykładających w uniwersytecie i z osób należących do jego składu ogłosiło w ciągu roku prace naukowe, a mianowicie:

Z wydziału historyczno-filologicznego:

Profesor *Struve:* trzecie wydanie „Elementarnéj logiki;“ „Psychologisch-metaphysische Analyse der Grundgesetze des Denkens“ (Philos. Monatshefte); „Synteza dwóch światów;“ „Hamlet, eine Charakterstudie;“ recenzye w „Kłosach“ i „Wieku.“

Prof. *Mierzyński:* „Danaae i Perseusz;“ „Łasicki i jego dzieło de diis Samogitarum“ (Prace trzeciego zjazdu archeologicznego w Kijowie).

Prof. *Lewestam:* „Aleksander Fredro;“ artykuły w „Blätter f. literar. Unterhaltung,“ „Kłosach“ i „Wieku“.

Prof. *Makuszew:* „Zarys historyi i stanu spółczesnego słowian zadunajskich“ (Ruski Wiestnik); „Kwestya wschodnia w XVI i XVII stuleciu;“ „Kwestye społeczne i państwowe w literaturze polskiéj XVI wieku.“ „Ślady wpływu ruskiego na piśmiennictwo staropolskie“ (Sław. Zbornik).

Prof. *Kołosow:* czwarte wydanie gramatyki starosłowiańskiéj; nowe dane co do twórczości pieśniowéj w Rossyi północnéj.

Prof. *Jakowlew:* „Język rosyjski i jego wykład w Polsce;“ „Prasa rosyjska w Polsce;“ artykuły bibliograficzne w Warsz. Dniewniku.

Docent *Djaczan:* „Czy Herodot używał logografów“ (Żurn. Min. Nar. Prośw.)

Lektor *Przyborowski:* „Pieśń o potopie Jana Kochanowskiego“ (Ateneum); „Wycieczki archeologiczne nad Tyśmienicę i Wieprz“ (Wiad. archeol.).

Tymczasowo wykładający *Mikucki:* „Prelekcya wstępna;“ „Porównanie pierwiastków i wyrazów Celtyckich ze Słowiańskiemi“ (Warsz. Uniw. Izw.).

Z wydziału fizyczno-matematycznego:

Profesor *Jurkiewicz:* artykuły przyrodnicze w „Bluszczu“ i „Kłosach.“

Prof. *Popow:* „Do historyi utlenienia niesymetrycznych Ketonów.“ (Żurn. Chim. Obszcz.); „Prace laboratoryum chemicznego uniw. Warsz.“

Prof. *Wrześniowski:* „O turach w Europie, zwłaszcza w Polsce“ (Ateneum).

Docent *Trejdosiewicz:* artykuły przyrodnicze w tygodniku „Przyroda i Przemysł.“

Doc. *Sonin:* „Uogólnienie zasady ostatniego mnożnika“ (Warszaw. Uniw. Izw.).

Doc. *Wreden:* artykuły zamieszczone w Żurn. Chim. Obsz., z których „Badanie wód leczniczych Ciechocińskich“ jest artykułem opracowanym wspólnie z doc. Fudakowskim, pozostałe zaś prawie wszystkie, były skréślone ze współudziałem laboranta Znatowicza.

Kustosz gabinetu zool. *Taczanowski:* „Verzeichniss der Vögel aus Küsten des Japanischen Meeres durch Dr. Dybowski gesammelt“ (J. f. Ornithologie); „Description d'un nouveau espèce de Cerf;“ „Description d'un noveau Coq de bruyère de Caucase“ (Proced. Zool. Soc. of London).

Laborant *Fuchs:* artykuły chemiczne w „Przeglądzie technicznym“ i w „Żurn. Chm. Obszcz.,“ „Środki lecznicze Ciechocińskie,

skład ich chemiczny i porównania;" dodatki do tłómaczenia „Technologii" Wagnera.

Z wydziału prawnego:

Profesor *Budziński*, wespół z prof. Miklaszewskim i Okolskim: „Podręcznik dla sądów gminnych;" „O kradzieży i innych przestępstwach przeciw własności;" artykuły w „Gazecie Sądowéj."

Prof. *Simonenko:* „Statystyka porównawcza ludności Króleszwa Polskiego."

Prof. *Kasznica:* recenzya pracy A. Czarnowskiego: „Wychowanie publiczne na podstawach ekonomii politycznéj."

Prof. *Miklaszewski:* „O systemach zamknięcia więziennego" (Peters.); „Rys organizacyi władz sądowych według ustaw 1864 r. i postanowienia o wprowadzeniu reformy sądowéj" (Warsz.); „Przepisy obowiązujące co do skazywania nieletnich przestępców do osad rolnych i przytułków rzemieślniczych" (Warsz.); „Zarys organizacyi i procedury kryminalnéj, obowiązującéj w Królestwie Polskiém, oraz projektowana reforma téj części prawodawstwa. Zeszyt I (Peters.); „Podręcznik dla sądów gminnych" wspólnie z prof. Budzińskim i Okolskim; artykuły w „Gazecie Sądowéj" i „Sudiebnom Wiestnikie."

Prof. *Okolski:* „Podręcznik dla sądów gminnych;" „Ustawy miejskie w Cesarstwie 1870 r." (Ateneum); artykuł w „Gazecie Sądowéj."

Prof. *Dydyński:* „Początek prawa rzymskiego." Część I. (Warsz.).

Prof. *Samokwasow:* „Zarysy urządzeń politycznych i prawa zwyczajowego w najdawniejszym okresie historyi ruskiéj."

Docent *Szymanowski:* „Charakterystyka rynku pieniężnego," przekład z angielskiego (Warsz.).

Z wydziału medycznego:

Prof. *Brodowski:* artykuły odnoszące się do kazuistyki anatomicznéj w wydawnictwie, p. t. „Prace dokonane w laboratoryach wydziału lekarskiego w uniw. warszawskim."

Prof. *Girsztowt:* „Podręcznik ogólnéj i specyalnéj chirurgii;" artykuły chirurgiczne w „Gaz. lekarskiéj."

Prof. *Andrejew:* dwa artykuły w „Warszawskich Uniwersytetskich Izwiestiach" i jeden w „Sowremiennoj Medicinie."

Prof. *Hoyer:* „Stosunek teoryi do praktyki w medycynie (Warsz. Un. Iz.); „Sprawozdania o postępach anatomii, histologii

i embryologii w rosyjskiéj i polskiéj literaturze“ (Hoffmann's u. Schwalbe's Jahresbericht); „Krytyczny pogląd na Darwinizm“ (Ateneum); artykuł w „Pracach dokonanych w laboratoryach wydziału lekarskiego etc.“

Prof. *Lambl:* dwa artykuły w „Warsz. Uniw. Izw.“

Prof. *Wisłocki:* tłómaczenie medycyny sądowéj Limana; „Etnologia przełożona z niemieckiego O. Peschela i pomnożona“ (Warsz.).

Prof. *Lewitski:* artykuły w „Medicinskom Wiestnikie,“ „Berliner Klinische Wochenschrift,“ w „Archiwie Rudniewa i Wraczebnych Wiedomostiach.“

Prof. *Łuczkiewicz:* „Propedeutyka nauk lekarskich,“ artykuły w „Kłosach,“ „Wieku“ i „Ognisku domowém.“

Prof. *Jefremowski:* artykuły w „Lietopisiach Moskowskaho Chirurgiczeskaho Obszczestwa,“ i w „Medic. Wiest.“.

Docent *Pląskowski*: artykuły w „Encyklopedyi rolnictwa etc.“

Doc. *Fudakowski*: art. w „Żurn. Rus. Chim. Obsz.“ i w „Berichte der deutsch. chem. Gesell“.

Doc. *Czausow*: „Rozdział anatomii topograficznéj; anatomia szyi; „Przegląd postępów patologii chirurgicznéj i chirurgii operacyjnej (Wojen. Medic. Zurn.).

Doc. *Neugebauer*: „Fibromyoma vaginae“ (Wars. Uniw. Jzw.)

Doc. *Wolfring*: „Z powodu rozpowszechniania się chorób ocznych w wojskach“ (Woj. Med. Żur.)

Laborant *Meyzel*: artykuł w „Medycynie“ i w „Centralblatt f. d. med. Wissenschaft“.

Ordynator *Kramsztyk*: artykuł w „Medycynie“.

Ordyn. *Klink*: artykuły w „Medycynie“.

Ordyn. *Grosstern*: „Termometria, Termosemiologia i Termacologia“ (przekład dzieła Alvarenga da Costa); „Choroby narządu ruchu“ (przekład dzieła Senator'a); „Choroby wysypkowe u dzieci“ (przekład z dzieła Hüttenbrennera).

Pomocnik bibliotekarza *Wismont*: artykuły w „Bibliotece Warszawskiéj“ i „Przeglądzie Tygodniowym“.

Liczbę studentów uniwersytetu w r. $187^5/_6$, jak również w poprzednim, t. j. $187^4/_5$, i bieżącym, t. j. $187^6/_7$, pokazuje następująca tablica:

STUDENTÓW NA WYDZIALE:	Z początkiem r. a.		
	187⁴/₅	187⁵/₆	187⁶/₇
a) historyczno-filologicznym . . .	37	34	23
b) fizyczno-matematycznym . . .			
oddziale matematycznym . . .	41 } 58	33 } 51	34 } 54
„ przyrodniczym	17	18	20
c) prawnym	197	169	137
d) lekarskim	245	233	231
Wszystkich	537	487	445
Prócz tego:			
Wolnych słuchaczów	48	42	35
Farmaceutów	163	152	135
Wszystkich uczących się	748	681	580

W ciągu r. 187⁵/₆, w skutek śmierci (7) i innych przyczyn, opuściło uniwersytet: studentów 66, wolnych słuchaczów 19, farmaceutów 22.

Z *egzaminów rocznych* (przejściowych z kursu na kurs), odbytych w miesiącach maju i czerwcu 1876 r., okazało się: iż studentów I, II, i III kursu na wszystkich wydziałach, oraz z IV kursu na wydziale lekarskim, nie przystępowało do egzaminów przejściowych, lub takowych nie zdało, w ogóle 60 studentów; otrzymało zaś przejścia na wyższe kursa 271 studentów.

Do *egzaminów ostatecznych* na IV kursie z wydziałów, historyczno-filologicznego, fizyczno-matematycznego i prawnego, nie przystępowało lub nie zdało takowych tylko 3 studentów; zdało zaś egzamin na stopień *kandydata* 52 (z których 5 jeszcze przed feryami złożyli odpowiednie rozprawy i stopień kandydata uzyskali), a z tytułem *rzeczywistego studenta* 26. Na wydziale lekarskim, kurs V ukończyło 44 studentów, lecz ci, z powodu że praktyczne egzamina lekarskie odbywają się po feryach (we wrześniu), nie mogli w ubiegłym roku akademickim otrzymać stopnia lekarza.

Oprócz tego, uniwersytet w ciągu 187⁵/₆ udzielił:

Stopień *doktora zoologii*, panu Otto Paulsonowi, po publicznéj obronie rozprawy: „Badania skorupiaków morza Czerwonego, z uwagami nad skuropiakami innych mórz“.

Stopień *doktora medycyny*, p. Janowi Pasternackiemu, po złożonym egzaminie i publicznéj obronie rozprawy: „O środkach psycho-ruchowych mózgowia“.

Stopień *doktora medycyny*, p. Stanisławowi Kondratowiczowi, po złożonym egzaminie i publicznéj obronie rozprawy: „Przyczynek do histologii ciężarnéj macicy“.

Stopień *magistra chemii*, p. Mikołajowi Leyowi, po złożonym egzaminie i publicznéj obronie rozprawy: „O utlenieniu drugorzędowych oksykwasów szeregu α“.

Stopień *kandydata* (prócz poprzednio wzmiankowanych 5) 31, tytuł zaś *rzeczywistego studenta* 8.

Stopień *lekarza*, z odznaczeniem, 9, stopień *lekarza* 41.

Kwalifikacye lekarza powiatowego 1, prowizora 36, pomocnika aptekarskiego 66, geometry I klassy 11, geometry II klasy 7, akuszerki 26.

Za rozprawy konkursowe, otrzymali na wydziale historyczno-filologicznym studenci IV kursu, *Dembicki* Władysław—medal złoty, *Bobruk* Jakób—medal srebrny, *Laszuk* Roman—list pochwalny; na wydziale zaś prawnym, studenci IV kursu: *Limbert* Aleksander—medal złoty, *Schiff* Józef, *Tur* Konstanty, *Dobiecki* Eustachy—medale srebrne,—*Pawłowski* Teodor, oraz z III kursu *Laude* Arkadiusz i *Wasiliew* Konstanty — listy pochwalne. Prócz tego, na tematy, bądź wyznaczone przez profesorów, bądź dowolnie przez studentów wybrane, było przedstawionych w ciągu roku (niezależnie od rozpraw na stopień kandydata i medalowych) 49 prac, a z téj liczby tylko 16 prac zasłużyło na nagrody pieniężne, które wydane zostały autorom w kwotach—od 25 do 150 rubli.

Podobnie jak w latach poprzednich, dla przyjścia studentom z pomocą materyalną, uniwersytet uwolnił od opłaty wpisowéj 47 studentów, t. j. 10% przepisanych ustawą ogólnéj liczby studentów. Niezależnie od tego 114 osób otrzymywało stypendyum. Nadto komitet wsparcia niezamożnych studentów, zostający pod prezydencyą rektora, a złożony z inspektora i po jednym profesorze z każdego wydziału, (p.p. Struve, Aleksandrowicz, Kasznica i Tyrchowski) rozdał zapomogi—od 10 do 25 r.—w sumie r. 5542 k. 95.

W ciągu r. 187⁵/₆ utworzone zostały następujące nowe stypendya:

Stypendya z zapisu b. notaryusza gubernii Siedleckiéj, Adama Chojnackiego; stypendyów 9, po 120 rs. rocznie, było już w ciągu roku ubiegłego przyznanych studentom z tego zapisu.

Z procentów od zebranego drogą publicznéj składki kapitału rs. 16107 k. 54, stypendyum imienia Kopernika.

Z procentów od sumy rs. 1500, zapisanych testamentem ś.p. panny Maryi Julii Taube.

Z procentów od pozostać mającego (po wypłacie innych zapisów) majątku po ś. p. Aleksandrze Honoracie z Zaorskich Froniak; dotąd nie wiadomo, ile ten zapis ściśle wyniesie.

W końcu Rad. st. Jerzy Kozłowski ofiarował kapitał, przynoszący procentu rocznego 3 tysiące rubli, z którego ma być utworzonych 5 stypendyów po 300 rs., dla studentów uniwersytetów: Petersb., Warsz. Kijows. i Dorpackiego; 5 stypendyów gimnazyalnych po 200 rs.; pozostałe zaś 500 rs. mają być wydane, tytułem zapomogi, stypendystom kończącym studya.

KRONIKA NAUKOWA.

Najnowsze dzieło Darwina.

Niedawno ukazało się u Johna Murray'a w Londynie nowe dzieło Darwina p. t.: „The effects of cross and selffertilisation in the vegetable Kingdom,“ którego treść jest następująca:

U największéj liczby roślin, kwiaty są tak urządzone, że zapłodnienie przez własny pyłek nastąpić nie może i dokonywa się zwykle przez krzyżowanie, t. j. na bliznę słupka danego kwiatu dostaje się pyłek bądź innych kwiatów, rosnących na tym samym osobniku, bądź téż pyłek pochodzący z innych indywiduów. Mechaniczna konieczność krzyżowania się wynika: albo z rozdzielności płci kwiatów, albo téż, u kwiatów dwupłciowych,—z różnoczesności dojrzewania pyłku i blizny, która ma pyłek przyjąć.

Rośliny dwupłciowe, u których istnieje niejednoczesność dojrzewania dwóch elementów rozrodczych, nazywają się *dichogamicznemi*. Odróżniamy dwa przypadki dichogamii: w jednym pyłek wcześniéj dojrzewa aniżeli blizna (proterandrous species), a w drugim—blizna dochodzi do najwyższego swego rozwoju już wtedy, kiedy jeszcze pyłek nie dojrzał (proterogynous species). Pierwszy przypadek dichogamii najczęściéj daje się postrzegać. W innych razach, przeszkodę do zapładniania przez własny pyłek stawia kwiatom cudowne niemal mechaniczne urządzenie, albo też fizyologiczna własność zalążków, że absolutnie przez pyłek tego samego kwiatu nie mogą być zapłodnione. Są także rośliny, które tylko względną bezpłodność okazują pod wpływem własnego pyłku, i wreszcie takie, u których nie ma żadnych przeszkód stawianych

samozapłodnieniu, a jednak krzyżowanie następuje w skutek przewagi, jaką ma pyłek innych kwiatów nad pyłkiem jego własnym.

Jednem słowem, u kwiatów daje się widzieć konieczność krzyżowania się i rozliczne przeszkody stawiane samozapłodnieniu.

Jakość i wielkość korzyści wynikającej dla roślin z krzyżowania się, do którego konieczność je znagla — oto temat nowej pracy Darwina. Jest ona dopełnieniem dawniej wyszłego dzieła o zapłodnianiu storczyków przez owady (1862 r.). Badania jego potwierdziły wnioski poprzednio już wypowiedziane, że odwiedziny owadów są z tego powodu korzystne dla roślin, iż za ich pomocą uskutecznia się krzyżowanie pomiędzy osobnikami, wprawdzie jednego i tego samego gatunku, lecz cokolwiek różniącemi się od siebie z powodu odmiennych fizycznych i chemicznych warunków, na jakie są wystawione, rosnąc w miejscach dość od siebie oddalonych.

Sam fakt krzyżowania ma tylko o tyle znaczenia, o ile dwie rośliny, biorące w niem udział, mają pewne właściwości odrębne w szczegółach budowy zewnętrznej, jak i składzie wewnętrznym. Krzyżowanie dwóch roślin zupełnie równych sobie, jeżeliby to było możliwem, wydałoby zapewne podobne rezultaty jak samozapłodnienie; cała jego pożyteczność polega właśnie na zlaniu w jednę całość dwóch odrębności, różniących się choćby tylko w najciaśniejszych granicach. Takie zaś minimalne różnice tworzą się u roślin jednego gatunku, wystawionych na działanie odmiennych warunków, które, działając często na cały szereg pokoleń, wywołują ustalenie się w nich modyfikacyi nabytych w skutek przystosowania się do warunków zewnętrznych. Modyfikacye te odbijają się natychmiast i to bardzo wydatnie na elementach rozrodczych obu płci, gdyż jak to uczy doświadczenie na zwierzętach, przyrządy płciowe są tak czułe, że małe nawet zmiany w sposobie życia bardzo się ich funkcyi uczuć dają. Możemy więc przyjąć, że dwa osobniki w różnych warunkach wyrosłe przedstawiają w swych elementach rozrodczych niejako odblask swych nabytych minimalnych modyfikacyi i dla tego okazują się być zupełnie stosownemi do krzyżowania *indywiduami*.

Ponieważ nie ma dwóch rzeczy na świecie zupełnie równych sobie we wszystkich szczegółach, więc i dwa kwiaty, wyrosłe na jednym i tym samym osobniku, pomimo to, że powstały z jednego ziarna, że przez jedne i te same korzenie są żywione, że żyją w jednakowych warunkach, przedstawiają jednak pewną oddzielną indywidualność, i dla tego wzajemne ich krzyżowanie się powinno być poniekąd skutecznem. I tak rzeczywiście rzecz się ma w nie-

których przypadkach. Darwin jednak wykazał na naparstnicy (Digitalis), że z powodu nadzwyczaj nikłych odrębności, właściwych kwiatom na jednéj łodydze, korzyść z podobnego krzyżowania jest o wiele niższą od wynikającéj z krzyżowania dwóch osobników. Jeśli dla jéj ocenienia weźmiemy pod uwagę tylko wysokość potomstwa, to miara mięszańców z dwóch osobników będzie się miała do średniéj miary mięszańców z jednego osobnika, jak 100—90. Liczby te wyprowadzone zostały z doświadczeń nad Mimulus lutens, Pelargonium zonale, Lathyrus odoratus, Ipomea purpurea i t. p. Jeszcze zaś mniejszy stosunek wypada u roślin, będących potomstwem osobników, których kwiaty przez własny pyłek w ciągu kilku pokoleń były zapładniane. Naturalnie, szkodliwy wpływ nie ogranicza się na saméj tylko wysokości roślin: zmniejsza się także ich waga i w ogóle cały organizm wątleje, stając się mniéj odpornym na wpływy zewnętrzne (wielkie zmiany temperatury i t. d.).

Wpływ samozapładniania rozciąga się także i na barwę kwiatów. Rośliny, samozapładniające się przez długi szereg pokoleń i wystawione na jedne i te same warunki zewnętrzne, mają kwiaty jednakowo ubarwione; rozmaite zaś odcienia i tony barw, będące niejako drobnemi zboczeniami od typu ogólnego, są wynikiem wpływu odmiennego gruntu, klimatu i krzyżowania.

Samozapładnianie tedy roślin jest w ogóle szkodliwe, w wielu zaś nawet razach rezultatem jego bywa albo zupełna, albo prawie zupełna bezpłodność. Odnosi się to np. do gatunku Corydalis cava (Kokorycz wydrążony). Wynikiem samozapłodnienia kwiatu téj rośliny, bywa bardzo mała liczba nasion. Pochodzi to zapewne ztąd, że nagiewki własnego pyłku, wnikające w bliznę, nie są dość długie, aby dosięgły zalążków. Eschscholtzia romana w Brazylii nie zapładnia się wcale przez pyłek własnych kwiatów, ale tylko przez pyłek obcych; przedstawia ona jednak świetny przykład wpływu zmian klimatu na elementa rozrodcze, gdyż przeniesiona do Anglii już w pierwszém pokoleniu może uledz samozapłodnieniu, która to zdolność w drugiém pokoleniu jeszcze się wzmaga. Naodwrót wiele roślin angielskich, mogących się zapładniać przez własny pyłek, traci tę własność po przeniesieniu do Brazylii.

Ponieważ samozapładnianie jest niekorzystne dla gatunku, ponieważ osobniki z niego wynikłe nie mogą wytrzymać walki o byt z mięszańcami, więc zdawaćby się mogło, że bezpłodność mająca miejsce w tym razie została nabytą przez rośliny na podstawie doboru naturalnego. Jednakże Darwin, na zasadzie natych-

miastowego wpływu zmiany otoczenia na płodność roślin, wnosi, iż bezpłodność podobna jest czysto przypadkową i że powstaje w podobny sposób jak jałowość u zwierząt dzikich trzymanych w niewoli, t. j. w skutek doraźnego wpływu na organa płciowe.

Funkcyę zbliżania dwóch odmiennych elementów rozrodczych, czyli akt krzyżowania spełniają dwa obce czynniki: owady i wiatr. Z owadów, najwięcej się w tym względzie przysługują roślinom błonkoskrzydłe, łuskoskrzydłe i dwuskrzydłe, przenosząc wielką ilość pyłku z jednej rośliny na drugą. Niektóre rośliny bez ich pomocy wcale nie mogą być zapłodnione, są jednak i takie, które się bez niej obejść mogą. W tym ostatnim atoli razie, pośrednictwo owadów pomiędzy pojedynczemi osobnikami wychodzi im na korzyść, gdyż doświadczenie uczy, że w skutek krzyżowania więcej nasion wydają, aniżeli wtedy, gdy stosunku z innemi osobnikami nie mają. Owady więc grają rolę niejako członków świata roślinnego, i tylko przy ich nadzwyczaj rozległej działalności możliwem jest istnienie niektórych roślin dwupłciowych.

Wiadomo, że owady są przynęcane do kwiatów przez ich świetne barwy i zapach. Doświadczenia z papierowemi kwiatami perfumowanemi dostatecznie to wykazały. Okoliczność ta rzuca nam światło na pochodzenie barw naszych kwiatów. Te rośliny, u których najpiękniejsze kwiaty się rozwijały, miały najwięcej zapewnioną możność krzyżowania się i wydawania zdrowego a licznego potomstwa, w skutek czego własność ta przez dobór naturalny ciągle się potęgowała. Z początku, w dawniejszych okresach geologicznych, istniały tylko rośliny o kwiatach niepozornych, niewidocznych zdaleka, i wtedy rolę pośrednika w zapładnianiu grał sam tylko wiatr, przenosząc pyłek z jednych osobników na drugie. Dopiero znacznie później, owady przejęły na się część zadania wiatru, i z *anemofilnych* roślin powstały *entomofilne*. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, postęp ten dokonał się w sposób następujący: pyłek jest substancyą pożywną, którą owady z wielką chęcią spożywały, a spożywając nieraz się nim obsypywały, i, pomimo wszelkich przeszkód (ruchu, wiatru), przenosiły choć kilka jego ziarenek na drugi osobnik; w biegu wieków stało się to koniecznością dla jednej i drugiej strony. Możliwość i prawdopodobieństwo przejścia od anemofilii do entomofilii wykazuje nam rzewień (Rheum rhaponticum), z którego z jednej strony, jak to Darwin obserwował, liczne owady dwuskrzydłe wynoszą pyłek na swoich ciałach, a z drugiej, podczas dni słonecznych, najlżejszy powiew wiatru przenosi prawdziwe chmury pyłku z jednej rośliny na drugą. Sam pyłek, jako substancya pożywna, nie jest

już teraz jedyną ponętą dla owadów; większość ich siada na kwiatach dla wypicia nektaru przez nie wydzielanego, a niewielka tylko ilość roślin, jedynie dla swego pyłku, bywa odwiedzana przez owady.

Jeżeli stosunki pomiędzy kwiatami a owadami nie pozostały bez wpływu na rośliny, to nie mogły téż nie podziałać na same owady. Zwierzątka te, w skutek niezmiernie długiéj praktyki przystosowywania się do roślin, nabyły pewnych zwyczajów, które graniczą z cudownością. Trzmiele i pszczoły odróżniają wybornie odmiany roślin, choćby się kwiaty różniły kolorem. Darwin wielokrotnie obserwował przelatywanie trzmielów z dyptonu czerwonego (Dictamnus fraxinella) wprost na białą odmianę tego gatunku, bardzo od czerwonéj odległéj. Hermann Müller podaje znów, że pszczoły doskonale umieją odróżniać Trifolium fragiferum od repens.

Spostrzeżono, że owady odwiédzają kwiaty jednego i tego samego gatunku tak długo, jak tylko można; jest to niezmiernie korzystném dla roślin, gdyż pyłek ich nie traci się bezużytecznie, będąc strząsany tylko na te blizny, które go mogą przyjąć. Ten zwyczaj owadów jest zapewne skutkiem dążności ich do jaknajprędszego załatwienia się z miodnikiem kwiatu i korzystania z wprawy, jakiéj się nabywa przez ciągłe powtarzanie jednego i tego samego postępowania. Nabywszy wprawy na wielu kwiatach jednéj budowy, umieją już na innych przybrać odrazu najstosowniejsze położenie, aby jak najprędzéj zapuścić trąbkę w miodnik. Darwin słusznie porównywa tę czynność z postępowaniem rzemieślnika, który, mając do zrobienia pół tuzina machin, oszczędza sobie czasu, odrabiając od razu po sześć sztuk każdéj części machiny.

Po czém rozpoznają owady gatunek kwiatów? Przedewszystkiém bez wątpienia po barwie, ale barwa nie jest dla nich wyłącznym drogowskazem, gdyż jak się już powiedziało, trzmiele umieją odróżniać dwie różnobarwne odmiany jednego gatunku. Widocznie więc nietylko wzrokiem się kierują. Ważną rolę w téj sprawie gra także zmysł powonienia; — że zaś owady czują zapachy, to najlepiéj widać ztąd, że zlatują się na papiér perfumowany. Nadto, że zapach ma w tym względzie piérwszorzędne znaczenie, okazuje się ztąd, że kwiaty zapłodnione przez owady nocne wydzielają tylko w nocy zapach, albo téż przynajmniéj, w nocy pachną mocniéj, aniżeli podczas dnia.

Rzecz szczególna, iż większa część współczesnych roślin anemofilnych, t. j. takich, które się zapładniają przy pośrednictwie wiatru, należy do działu diklinicznych (jednopłciowych). U niektórych z nich na jednym i tym samym pniu znajdują się i kwiaty

męzkie i żeńskie, u drugich zaś—męzkie znajdują się na jednym osobniku a żeńskie na drugim. Piérwsze nazywamy jedno-domowemi, oddzielno-kwiatowemi (monoecia), drugie dwu-domowemi, albo rozdzielno-kwiatowemi (dioecia). Prawdopodobną jest rzeczą, iż wszystkie pierwotne rośliny były właśnie diklinicznemi i zapładnianemi jedynie tylko za pomocą wiatru, gdyż owadów jeszcze nie było, —i że obupłciowe rośliny utworzyły się dopiéro późniéj. Za przykład wskazujący, że wniosek ten jest bardzo prawdopodobnym, służyć mogą najniższe rośliny współczesnéj flory. Zapłodnienie u nich odbywa się przez tak zwaną konjugacyę, przez zlanie się dwóch istot, które jest piérwszym zaczątkiem płciowego rozmnażania się.

Jeżeli tak rzeczywiście było, t. j. jeżeli rośliny rozdzielnopłciowe były poprzedniczkami hermafrodytycznych, to zapewne pobudką powstania tych ostatnich z pierwszych, było zapobieżenie największemu nieszczęściu mogącemu spotkać roślinę: możliwości nienastąpienia zapłodnienia, a więc przy pewnych warunkach wyginięcia gatunku. Wprawdzie, korzyść zyskana przez obupłciowość jest złączona ze szkodą, gdyż przez umożliwienie samozapłodnienia umożliwia się powstawanie plemion zwyrodnionych, jednakże nieszczęście takie jest mniejsze od zupełnego zaginienia gatunku, i można powiedzieć, uosobiając przyrodę, że ona z dwojga złego wybrała mniejsze.

Jakie drogi prowadziły do wytworzenia hermafrodytyzmu,— o tém dotąd żadnego pojęcia nie mamy.

W związku z powyższém, możemy sobie zadać następujące pytanie: dla czego się rozwinęły w ogólności dwie płcie, jeśli jak wiadomo z doświadczenia, płodne jajka nawet bez współudziału płci męzkiéj mogą powstawać? Każdy spostrzeże, iż w duchu teoryi Darwina taką tylko na to można dać odpowiedź: że zlanie się dwóch indywiduów, przedstawiających pewne różnice w swéj organizacyi tylko pożyteczne dla potomstwa wydać może owoce. Płci więc na mocy doboru naturalnego rozdzieliły się na dwa osobniki, aby możliwém było zjednoczenie się dwóch odrębności.

Uczyniwszy przypuszczenie, że pierwotne organizmy były rozdzielnopłciowe, i że następnie z nich obupłciowe powstały, Darwin zastanawia się nad tém, zkąd pochodzą teraźniejsze formy rozdzielnopłciowe?—i stawia nowe hipotezy, którym do uzasadnienia wiele jeszcze potrzeba.

Nowe te badania Darwina, oprócz naukowego, przedstawiają jeszcze interes praktyczny, a mianowicie, można na ich podstawie

wyprowadzić pewne wnioski, dotyczące małżeństw pomiędzy krewnymi.

Główną przyczyną, dla której małżeństwo pomiędzy krewnymi bywa szkodliwe dla potomstwa, jest brak odmienności w organizmie obu płci. Jeżeli z powodu mieszkania np. krewnego i krewnéj w dwóch różnych klimatach, w odmiennych zupełnie warunkach życia, jak się to często dzieje w sferach wyższych, rozwiną się pewne drobne właściwości, to małżeństwo pomiędzy nimi nie miewa tak złych skutków, jak małżeństwa w niższych warstwach ludności, w których członkowie jednéj familii żyją w jednych i tych samych prawie warunkach. Małżeństwa więc dwóch ze sobą spokrewnionych osobników są tylko dla tego szkodliwe, że organizmy ich, a szczególniéj organa płciowe, nie przedstawiają dostatecznego wyróżnienia (diferencyacyi). Wyróżnienie zaś podobne, jak to z pracy Darwina wynika, jest koniecznym warunkiem powstania normalnego potomstwa.

Podając to pobieżne sprawozdanie, według czasopisma „Ausland," zastrzegamy sobie możność pomówienia o niektórych rozdziałach, gdy świeże to dzieło nadejdzie do Warszawy.

Sen roślin jako środek sprawiający samozapładnianie.

Zamykanie się wielu kwiatów na noc, czyli tak nazwany sen kwiatów, jakkolwiek bardzo często dostrzegany i powszechnie wiadomy, nie był dotąd jeszcze przedmiotem badania, ze stanowiska ekonomii życia roślinnego. Spostrzeżenie p. T. Meehan rzuca niejakie światło w tym względzie na fakt ten bardzo zajmujący. Zauważył on na roślinie Claytonia virginica i na innych gatunkach do tego rodzaju należących, że w czasie snu następuje opylanie się własnym pyłkiem. Zapładnianie tych kwiatów było dla niego przez długi czas tajemniczém, gdyż sądził, że nie należą do samozapładniających się, a znaczna liczba spostrzeżeń upewniła go, że żaden owad na nich nie siada. Tymczasem, pomimo to, — wydają bardzo liczne nasiona. Dopiéro po długiéj obserwacyi Clautonii zauważył, iż pręciki jéj leżą na rozpostartych w dzień płatkach; gdy noc zapadnie, płatki skupiają się około słupka i tym sposobem zbliżają pylniki do jego blizny.

Na jaskrze bulwiastym (Ranunculus bulbosus), piérwszego wieczoru po rozwinięciu się kwiatu, spostrzegł Meehan dużo pyłku pokrywającego niedojrzałe pylniki i młode blizny. Zdawałoby się, że pyłek został przyniesiony z innyh kwiatów, dojrzalszych,

przez owady. Jednakże Meehan, który baczną uwagę zwracał na owady, spostrzegł, że nie one są przyczyną tego faktu, i przekonał się, że zaraz po piérwszém rozpostarciu się płatków, pękają pylniki najbardziéj od środka oddalonego szeregu pręcików i wyrzucają pyłek na gładkie rozpostarte płatki, z których, gdy się skupią w nocy, pyłek bardzo łatwo spada na blizny.

Mamy więc jeszcze jeden, nie mniéj od dawniéj znanych ciekawy środek, którego przyroda używa do zapewnienia potomstwa roślinom.

Człowiek z ogonem.

W zeszycie VII „Ateneum", podaliśmy wiadomość o odkryciu bardzo niskiéj rasy człowieka w Jndyach, pochodzącą z czasopisma „The Eugineering and Mining Journal"; dziś wypada nam donieść czytelnikom o innem podobnem odkryciu, dokonaném w miejscowości bardzo od powyższéj odległéj.

Naczelnik misyi metodystów, wielebny Jerzy Brown, wrócił w październiku 1876 r. do Sydney, kolonii Nowéj Południowéj Walii, po długiéj podróży misyjnéj. Najdłużéj przebywał na Nowéj Brytanii i Nowéj Irlandyi, wyspach położonych na wschód Nowéj Gwinei, doznając od ich mieszkańców, choć znanych z ludożerstwa,— najgościnniejszego przyjęcia. W jednéj z miejscowości na piérwszéj z tych wysp położonéj, mieszkańcy zapewniali go solennie, iż w okolicy Kali, leżącéj w głębi kraju, do którego żaden jeszcze Europejczyk nie zajrzał, żyją ludzie opatrzeni prawdziwemi ogonami. Na zarzut, iż to może są małpy, tuziemcy odpowiadali: „czy małpy walczą dzidami, sieją yam i budują domy?"

Gdyby się doniesienie wielebnego Browna, a twierdzenie ludożerców sprawdziło, to teorya Darwina pozyskałaby na swe poparcie fakt nader ważny.

W każdym razie, wiadomość tę podajemy z takiém samém zastrzeżeniem, jak wyżéj przytoczoną.

Natura boru krystalicznego.

Wiadomo, iż pierwiastek bor otrzymujemy w laboratoryach w dwóch odmianach: w stanie bezpostaciowym i krystalicznym. Obie te odmiany, według badań Sainte-Claire-Deville'a i Wöhlera, różnią się dość znacznie w niektórych swoich własnościach. Kryształy bywają albo czarne przeświecające, albo żółte. albo bezbarwne, co według przyjętego w ogóle mniemania miało zależéć od

małych obcych domieszek, od których niepodobna było pierwiastka uwolnić, lecz *Hampe*, który się w ostatnich czasach zajął badaniem tych kryształów, dowodzi, że one nie składają się z czystego boru, lecz że są to pewne związki tego pierwiastku z innemi. Czarne kryształy mianowicie mają się składać z boru i glinu, w stosunku $Al\ B_{12}$, żółte zaś, z glinu, węgla i boru, według. formuły empirycznéj, $C_2\ Al_3\ B_{48}$.

Bor należy do niewielkiéj liczby pierwiastków, niezgadzających się z prawem Dulonga i Petita, według którego, iloczyn z ciepła właściwego pierwiastku, przez jego wagę atomową, jest ilością stałą, równą około 6. Być może, iż wspomniane odkrycie Hampego rzuci światło na tę anomalię, a przynajmniéj poprowadzi za sobą cały szereg badań, któreby tę kwestyę mogły rozjaśnić.

Nowa lampa elektryczna.

W dotychczas używanych lampach elektrycznych, pałeczki węglowe, stanowiące zakończenia elektrodów stosu, prędko się spalają, a w miarę takiego zużywania się, trzeba ich końce ku sobie przysuwać, gdyż w przeciwnym razie światło znika. Do ciągłego równomiernego zbliżania ich w lampie elektrycznéj, służy dość skomplikowany i drogi mechanizm, który jednak niezupełnie odpowiada swemu celowi. Bardzo więc ważny wynalazek stanowi urządzenie pomysłu p. Jabłoszkowa, który zastępuje w zupełności ów skomplikowany regulator. Nowa ta lampa elektryczna składa się z dwóch równolegle i blisko siebie umieszczonych pałeczek węgla, rozdzielonych w całéj prawie długości substancyą odosobniającą, mogacą znikać wraz z zużywaniem się węgla. Gdy strumień zaczyna płynąć, pomiędzy swobodnemi końcami węgli, powstaje świecący łuk Volty, który topi pewną warstewkę masy odosobniającéj i obnaża dalsze części pałeczek węglowych; jedném słowem, dzieje się to samo co w świécy, w któréj topniejąca warstewka stearyny coraz to nowe części knota obnaża, w miarę jego zużywania się. Na zasadzie téj analogii, możnaby nazwać przyrząd pana Jabłoszkowa świécą elektryczną.

Ciałami odosobniającemi dwa węgle mogą być: piasek, szkło, cement i t. d.; wszelako najtańsze i zupełnie odpowiednie ciało przedstawia mięszanina piasku i szkła tłuczonego.

Uproszczenie to wpłynie zapewne na większe niż dotychczas rozpowszechnienie światła elektrycznego.

Bronisław Rejchman.

Kronika miesięczna.

Dziennik „Echo“ w Nrze 34, a za nim inne pisma pomieściły list następujący, wzięty z „*Indépendance Belge:*“ Drezno 6-go Lutego. „Panie Redaktorze! „Indépendance Belge“ dnia 3 b. m. zamieściła artykuł wyjęty z gazety „Temps“, podług którego *hrabia* Wielopolski ma się obecnie znajdować w Petersburgu.

Wiadomość ta jest najzupełniéj mylną, ojciec mój bowiem dotknięty jest chorobą, która mu od lat dziesięciu nie pozwala opuszczać łóżka.

Co do jego przeszłéj działalności politycznéj, to ojciec mój, wstrzymując się od wszelkiéj polemiki, zdaje się w tym względzie na sąd przyszłości.

Co zaś do mnie, to czuję się w obowiązku oświadczyć, wbrew uporczywym zapewnieniom niektórych dzienników, że czynność moja polityczna jest żadną.

Kłamliwe te doniesienia i sensacyjne wiadomości, tém bardziéj zasługują na potępienie, że celem ich może być tylko chęć podbudzenia złudnych nadziei, któreby pchnęły moich współrodaków do wyjścia z drogi spokoju i pracy, po któréj prawdziwe nasze interesa każą nam kroczyć.

W nadziei, że dziennik pański nie odmówi memu listowi gościnności, z któréj już nieraz korzystałem, mam honor pozostać i t. d.

Margrabia Zygmunt Wielopolski.“

Nazwisko sz. autora powyższego listu, ma się rozumiéć w pogłoskach, łączone było z różnemi kombinacyami, które mają przywiléj entuzyazmować ludzi. Cieszymy się, że wieściom owym w tak stanowczy sposób kres położono.

„Każdy jest kowalem swego losu;“ — przysłowie to równie dobrze stosuje się do jednostek, jak i społeczeństw. Jako objaśnienie dodaćby tu jeszcze można, że: każdy warunki swego istnienia i rozwoju w sobie nosi,—jedno i drugie własnym tylko siłom zawdzięcza. To co z zewnątrz przychodzi, co pracą nie zostało zdobyte, — bywa zazwyczaj szkodliwe i pochłania mniejszą, większą, lub niekiedy bardzo wielką część sił własnych. Dziś więc i zawsze liczmy tylko na siebie; potęgujmy też cnoty prywatne i publiczne, oświecajmy się, gromadźmy bogactwa i starajmy się o powszechnę zdrowie, — oto szranki naszéj działalności. Świat zaś pozostały niech nas o tyle obchodzi, o ile dostarczy nam materyałów do duchowego pożytku.

* * *

Przytaczając (w zeszycie grudniowym) dane ze statystyki kryminalnéj Królestwa za r. 1875, mieliśmy pod ręką cyfry, dotyczące: ogólnéj liczby przestępstw, sposobu osądzenia ich, a wreszcie podziału ze względu na czas (pory roku) i miejsce. Obecnie mamy daty, dotyczące stosunków osobistych indywiduów skazanych (11,138 osób).

Otóż z téj ogólnéj cyfry, przestępcy dzielili się:

A) ze względu na wiek:

			w porównaniu ze stanem średnim z ostat. lat 10.
do lat 20	włącznie	11%	polepszył się
od 21—30	„	26%	polepszył się o 13%
„ 31—40	„	30%	pogorszył się o 11%
„ 41—50	„	18%	
„ 51—60	„	11%	
mających więcéj niż 60 lat		4%	

B) Ze względu na wyznanie.

Katolicy .	75%
Żydzi . .	18%
Protestanci	5%
inne wyznania	2%

W porównaniu ze stanem średnim z lat 10, katolicy zostali na tym samym stopniu; liczba przestępców protestantów zmniejszyła się, żydów zaś wzrosła. Wzrost przestępców tego ostatniego wyznania pozostaje w związku z pomnożeniem się przestępstw przeciw skarbowi, w których żydzi największy stosunkowo biorą

udział. Nie zawadzi też przypomnieć, że według statystyki *Suworina* — katolicy stanowią 76% ogółu krajowéj ludności, żydzi 13,5%, protestanci 5,4%. Z zestawienia zatém cyfr niniejszych z poprzedniemi wypada, że z całéj masy ludności żydzi najwięcéj stosunkowo dostarczają przestępców.

C) Ze względu na stan cywilny:

wolnych	22%
małżonków . . .	72%
owdowiałych. . .	6%

W porównaniu z cyfrą przeciętną z lat 10, liczba przestępców wolnych wzrosła, zmniejszyła się zaś cyfra pozostających w stanie małżeńskim.

D) Ze względu na zatrudnienie:

włościanie	36%
wyrobnicy	22%
handlarze i różni procederzyści.	11%
czeladź wiejska	9%
profesye wyzwolone.	8%
rzemieślnicy i fabrykanci . . .	8%
sługi domowe	5%

W porównaniu ze stanem średnim polepszył się stan moralny wyrobników pogorszył zaś wszystkich innych.

E) Ze względu na oświatę:

mających wyższe i średnie wykształcenie	2%
umiejących tylko czytać i pisać. . . .	11%
bez żadnéj oświaty . . . . , .	87%

Od r. 1865 liczba przestępców bez żadnéj oświaty stale wzrasta.

F) Nareszcie ze względu na płeć, liczba kobiét, w roku sprawozdawczym, skazanych wynosi 17,06%, a więc mniéj niż wypada ze stanu średniego 10 lat ostatnich (17,51%). Celibat niekorzystnie wpływa na moralność płci żeńskiéj: gdy bowiem mężczyzni bezżenni stanowią 21,06% cyfry przestępców, kobiéty niezamężne stanowią 24% cyfry ogólnéj przestępczyń.

Nadto, w niektórych ciężkich przestępstwach, kobiéty stanowią cyfrę bardzo pokaźną, np. między skazanymi za świętokradztwo liczy się ich 22%, za kradzież 22%, podpalenie 22%, za występki przeciw obyczajności 44%.

Wszystkie te liczby, któreśmy przytoczyli powyżéj, stanowią surowy materyał, który mógłby nas nauczyć czegoś dopiéro w zestawieniu z innemi liczbami. Owych „innych“ liczb po większéj

części nie mamy, sprobujemy jednak zrobić co się da. I tak. Zestawmy stosunek: popełnionych przez wieśniaków i mieszczan przestępstw i wymierzonych za nie kar, ze stosunkiem tychże klas do ogółu ludności.

	proc. ogółu ludności	*proc. przestępstw*	*proc. ukaranych*
Wieśniacy. .	76%—78%	75,3%	81,7% (1)
Mieszczanie .	22%—24%	24,7%	18,3%

Jeden rzut oka wskazuje, że mieszczanie są wymyślniejsi od wieśniaków, między pierwszymi bowiem jest większa rozmaitość przestępstw, — lecz że wieśniacy mają większą skłonność do przestępstw, gęściéj bowiem zaludniają stosunkowo więzienia, niż mieszczanie.

Ciekawe byłyby podobne zestawienia, ze względu na sposób zajęcia; na nieszczęście nie mamy statystyki odnoszącéj się do zajęć. Natomiast zapiszemy tu uderzający fakt, który dotyczy osób w małżeństwie żyjących.

W Europie, między stu jednostkami ludności ogólnéj, przypada 35 indywiduów zamężnych lub żonatych, — a z drugiéj strony, wiadomo (Haushofer), że w ogóle udział małżonków w przestępstwach mniejszy jest niż ludzi wolnych. U nas tymczasem małżonkowie stanowią 72%, podczas gdy np. we Francyi osoby takie stanowiły 38% przestępców (1875) r.

Ze względu na wyznanie zauważono, że katolicy w Europie są około 10 razy skłonniejsi do przestępstw niż protestanci, podczas gdy w naszym kraju przestępność katolików i protestantów jest taż sama. Z drugiéj znowu strony, w państwach europejskich żydzi przedstawiają najmniejszy procent jawnych przestępstw (Haushofer), podczas gdy u nas są najprzestępniejsi: w ogóle ludności bowiem stanowią 13,5%. a w więzieniach 18%.

Zestawmy teraz przestępstwa spełniane ze względu na wiek, u nas (1875) i we Francyi (1826—1844):

	U nas.	Francya.
do lat 20	11%	18%
od 21—30	26%	34%
31—40	30%	26%

(1) Cyfra ta nie znaczy, że na stu wieśniaków przypada 81,7 przestępstw, ale — że między stoma przestępcami — 81,7 należą do stanu wiejskiego.

	U nas.	Francya.
41—50	18%	13%
51—60	11%	6%
po 60 roku	4%	3%

U nas zatém maximum przestępstw przypada między 30 i 40 rokiem, we Francyi między 20 i 30, i następnie szybko się zmniejsza. Prędzéj tam widać ludzie dojrzéwają i prędzéj nudzą się występkiem.

Wreszcie, ze względu na przestępność płci w całéj Europie, między osobami obwinionemi o ciężkie zbrodnie, na 5,3 mężczyzn przypada 1 kobiéta. U nas zaś, na 4,5 oskarżonych w ogóle mężczyzn, przypada 1 kobiéta i 1 skazana na 5,7 skazanych mężczyzn.

Ciekawym również jest fakt, że między narodami stojącemi na wyższym szczeblu cywilizacyi, skłonność do przestępstw u kobiét (a właściwie możność spełniania ich) wzrasta. We Francyi, Belgii i Holandyi, dwa razy więcéj stosunkowo jest kobiét przestępnych, niż np. w Rossyi; w Anglii, Bawaryi i Hanowerze—jest jeszcze gorzéj.

Uważamy jednak za właściwe ostrzedz czytelnika, że tylko cyfry stosunkowe, oparte na wielkich liczbach i wybiérane uważnie, dadzą się bez niebezpieczeństwa zestawiać pomiędzy sobą. W takiéj bowiem kwestyi jak statystyka kryminalna, trzeba zwracać uwagę nietylko na różnicę liczb, ale i na różnicę prawodawstw, dzięki którym, ten sam czyn, który w jednym kraju stanowi pokaźną rubrykę przestępstw, w innym nie nazywa się nawet występkiem. Nasze prawa w porównaniu z innemi muszą być bardzo łagodne. Gdy bowiem 1 skazany przypada: w Hanowerze na 13 mieszkańców, w Prussach na 23, Anglii na 48, Francyi na 55, Austryi i Hiszpanii na 82, u nas 1 oskarżony (z kod. kar. głów. i popr.) przypada na 170 mieszkańców, a 1 skazany na 565.

Nie znaczy to, aby u nas moralność była wyższa, — bynajmniéj; oznacza to raczéj większe niż gdzieindziéj rozluźnienie stosunków towarzyskich. To téż gdy u nas zabór książki, kwiatu, owocu, psa cudzego, należy do zjawisk prawie codziennych, gdzieindziéj czyny takie nazywają się wprost—kradzieżą.

Posiadamy kilka faktów odnoszących się do działalności jednego z sądów gminnych, które nie powinny być dla czytelników obojętnemi.

Tykociński okrąg sądowy gminny obejmuje pięćdziesiąt kilka wsi, z których większą część zamieszkuje drobna szlachta, naród, jak wiadomo, pochopny do procesów. Sąd składa się z czte-

rech osób, między ktoremi jest dwu właścicieli większych posiadłości, jeden włościanin i jeden b. urzędnik gminny. Nawał zajęć jest tak wielki, że prócz pisarza etatowego, sędzia na *koszt własny* wynająć musiał dwu innych do pomocy.

Sprawozdanie obejmuje okres czasu od 31 lipca do 20 grudnia r. z. Że zaś sądy odbywały się po trzy razy tygodniowo, w czasie więc tym było około 60 posiedzeń. Każde z nich trwa mniéj więcéj 12 godzin, znalazły się jednak dwie sprawy takie, z których każda po 14 godzin pochłonęła. Do zwiększenia pracy przyczynia się nie mało procedura gminna, według któréj, każda sprawa cywilna musi przechodzić przez *pięć*, a karna, przez *sześć* ksiąg rozmaitych. Dołączyć tu również wypada wielką ilość awizacyi rozsyłanych do stron: awizacyi takich w 440 załatwionych sprawach, wydano 7040 sztuk, kosztujących (druk i papiér) 23 rs. 46 kop. Takiéj pracy jeden pisarz istotnie wydołać nie może.

W ciągu wymienionego czasu (nie całych 5 miesięcy) weszło do sądu 684 spraw, z tych 393 cywilnych (58%) i 291 karnych (42%). Załatwiono je zaś w sposób następujący:

	Cywilnych	%	Karnych	%
Osądzono	181	46%	144	49%
Nakłoniono do zgody . .	60	15%	55	19%
Zalegało (20 grud.) . . .	152	39%	92	32%

Z cyfr tych wziąśćby można naukę, że sprawy karne przedstawiają dla sądu nierównie wdzięczniejsze pole niż cywilne: łatwiéj się bowiem sądzą, łatwiéj godzą i mniéj ich jest.

W liczbie 440 spraw, najmniejszy przedmiot sporu był kop. 47, największy 250 rubli. Spraw o właściwą kradzież było cztery. Powodem innych były: obraza honoru, szkody w polu i łąkach, woranie się w cudzy grunt. Kar pieniężnych od 1 do 20 rs., zapłaciło 94 osób, od 35 do 70 rs., 5 osób. Na wieżę od dwu dni do trzech miesięcy skazano 18 osób. Największe kary pieniężne zapłacili czterej starozakonni, za pokątny handel wódką.

Przejdźmy do wydatków. Papiér, druki i księgi kosztują rocznie 200—300 rs., lokal 75 rs., pensya stróża 75 rs., opał i światło 50 rs., dwaj nadetatowi pisarze 360 rs., czyli wszystko razem przy największéj oszczędności 860 rs. Że zaś przeznaczono na to rs. 350, sędzia zatém będzie musiał dołożyć 510 rs. Pensya jego (400 rs.) wystarcza na koszta przejazdu do sądów i zjazdów.

Że urząd wybieralnego sędziego powoduje duże wydatki dla osoby nim zaszczyconéj, wymownie dowodzi korespondencya z Radomskiego. Etat jednego z tamtejszych sądów wynosi rs. 1100 rocznie, wydatki zaś na lokal sądu, pensyę pisarza i stróża, drzewo,

światło, druki, papiéry, księgi praw, książki nadsyłane, obliczono na tę samę sumę 1100 rs. Tu zatém sędzia nic dla siebie odłożyć nie może, nadto zaś z własnéj kieszeni wydaje na kupno i utrzymanie koni, bryczki, uprzęży i na wydatki w podróżach niemniéj 350 rs. rocznie, tyle więc kosztuje sędziego urząd, nie licząc strat ponoszonych skutkiem nieobecności przy gospodarstwie.

Piszący to korespondent nadmienia z odcieniem żalu, że osoby mianowane przez rząd biorą w podobnych razach po 1500 rs. pensyi, i że z téj wychodząc zasady, należałoby dać taką samę sumę i sędziom wybieralnym.

Żadnéj nie ulega wątpliwości, że wszelka praca powinna być wynagrodzona; nagroda jednak bywa dwojaka: pieniężna czyli materyalna i moralna. Gdyby rząd uważał za właściwe płacić wysokie pensye wszystkim sędziom gminnym, wówczas bez żadnéj wątpliwości obsadzalby posady przez urzędników, nie zaś zezwalał na wybory. Kto wié zatém: czy domaganie się o pensye wyższe, nie jest zarazem podkopywaniem instytucyi sędziów wybieralnych? Wszystko to być może!

Zdaje się więc, że obecne trójlecie powinnoby posłużyć za naukę ludziom: że wysoki urząd obywatelski, prócz tytułu i moralnego stanowiska, żadnéj innéj nie daje nagrody. Ale zdaje nam się, że i tego jest dosyć. Ludzie, dla zaimponowania bliźnim, kupują meble zbytkowne, dyplomy hrabiowskie, grają na wyścigach, dla czegożby więc do posady sędziego gminnego nie mieli dokładać pracy i pieniędzy, skoro tym sposobem robią się stróżami sprawiedliwości, i niewątpliwie, przy dobréj woli, oddać mogą usługi krajowi?

Na szczęście naszych instytucyi wybieralnych i na chlubę ogółu dodać musimy, że głosy malkontentów są nieliczne, i że nigdy podobno nie zabraknie nam ludzi, mających możność i ochotę do złożenia na ołtarzu potrzeb ogólnych cząstki swego czasu, pracy i dochodów.

* * *

Czytelnicy nasi wiedzą już o planie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które zajmuje się obmyśleniem funduszów na ulepszenie gruntów naszego kraju. Czy i jak rychło znajdą się fundusze, przesądzać nie możemy; uważamy jednak za właściwe donieść tymczasem o spółce zawiązanéj również w celach melioracyjnych, która ma tę zaletę, że istnieje, że postawiła sobie pro-

gram jasny i bardzo obszerny, i że na czele jéj stoją ludzie już znani z prac w tych kierunkach.

Mówimy tu: „O przedsiębierstwie ulepszeń gospodarstw rolnych, pod firmą: Girdwoyń, Hornowski, Lilpop i Sp.“ Oto program zamierzonych czynności przedsiębierstwa.

I. Melioracya gruntów. Kierownicy: pp. Kazimierz Girdwoyń i Józef Hornowski; obaj inżynierowie, zajmujący się specyalnie od kilku lat tego rodzaju robotami.

Do niniejszego działu należą: *a*) osuszanie gruntów za pomocą rowów odkrytych lub drenów; *b*) nawodnianie przez zalew lub irygacyę; *c*) melioracya torfowisk v. zamiana ich na pola uprawne; *d*) marglowanie pól, szlamowanie stawów i t. d. Przy téj rubryce wymienione są koszta robót: drenarskich 29—50 rs., nawodniania przez zalew 15—50 rs., a przez irygacyę 20—150 rs.

II. Rybactwo. Kierownik p. Michał Girdwoyń, głośny w Europie autor: „Anatomii Pszczoły“ i „Patologii Ryb.“ Prace w tym dziale są następne:

a) zarybianie wód stojących i płynących właściwemi gatunkami ryb; *b*) zaprowadzenie w wodach już zarybionych racyonalnego gospodarstwa; *c*) zakładanie nowych i uporządkowanie zaniedbanych stawów; *d*) administracya gospodarstw rybnych; *e*) urządzanie zakładów lęgu ryb łososiowatych; *f*) pośredniczenie w dostawie zarybku i ikry gatunków krajowych i zagranicznych.

III. Budownictwo wiejskie, fabryki przemysłowo-rolnicze. Kierownik p. Leon Bratyński, b. główny budowniczy w dobrach książąt Sanguszków. Tu należy:

a) Podawanie planów różnych budynków wiejskich i wykonywanie takowych; *b*) budowa fabryk jak—młyny, tartaki, papiérnie, cegielnie i t. d.; *c*) budowa grobel, szluz i t. d.; *d*) przerabianie i urządzanie już istniejących, lecz wadliwych lub nieodpowiednich zakładów fabrycznych; *e*) wskazówki co do najodpowiedniejszego zużycia wody jako siły poruszającéj. W tym punkcie słuszną zrobiono uwagę, że u nas wiele wody marnuje się bezpożytecznie, i że nieraz bezpotrzebnie zaprowadza się machiny parowe tam, gdzie motory wodne nierównie tańsze, z korzyścią zastosowaćby się dały.

Za przeprowadzenie robót w tym dziale, przedsiębierstwo pobiera wynagrodzenie już to od sumy anszlagowéj, już to od czystego zysku, jaki dana fabryka zapewnić winna.

IV. Pomiary. Kierownik p. Teodor Ziembiński, geometra przysięgły, b. uczeń Szkoły Główněj. Do tego działu należą:

a) pomiary majątków, osad i miast; *b*) urządzenie lasów; *c*) kolonizacya, zaprowadzanie płodozmianów; *d*) rozdział pastwisk, wykonywanie uchwał i umów gminnych dotyczących wynagrodzenia za służebności; *e*) wszelkie operacye w celu uzyskania pożyczki Tow. Kr. Ziem., lub zwolnienia od niéj części majątku i t. d.

V. Pszczolnictwo. Kierownik p. Bruno Dłużewski, wykwalifikowany pszczolarz. Do tego działu należy: *a*) zakładanie nowych pasiek; *b*) udzielanie wskazówek i objaśnień utrzymującym pasieki; *c*) pośrednictwo w dostarczaniu rojów i matek.

Dodać winniśmy, że roboty wchodzące do zakresu trzech pierwszych działów dzielą się na trzy kategorye: *a*) *zjazd specyalistów*, w celu zbadania o ile dane roboty są możliwe, potrzebne i wiele kosztować będą; *b) studya*, t. j. niwelacya, obliczenie ilości wód, zdéjmowanie planów i t. d.; wreszcie *c) wykonanie* robót właściwych. O pracach tych wspominamy dla tego, że lubo ostatnia tylko wydaje praktyczne rezultaty, dwie piérwsze zaś są przygotowawczemi, nie mniéj jednak każda z nich jest potrzebną i znaczne koszta za sobą pociąga.

Szeroko rozpisaliśmy się o tym programie i o spółce, ma ona jednak dla kraju wielkie znaczenie. Wiele prac wymienionych tu nie robiono u nas, poprostu dla tego, że nie było specyalistów; wiele znowu wykonywali domorośli budowniczowie i mechanicy, i dla tego dzieła ich rąk nie przyniosły korzyści odpowiednich. Niniejsza spółka daje gwarancyę, że to, czego się podejmie, wykona nie „z natchnienia,“ lub „ze słyszenia,“ ale metodycznie, zgodnie z przepisami nauki. Jest to wreszcie piérwsze podobne przedsiębierstwo w kraju, które oby rozwinęło się na ogólny pożytek!

Dla tych, którzyby pragnęli bliższych zasięgnąć szczegółów, podajemy adres: *Nowy-ŚwiatN-r.* 20.

Rolników naszych zainteresują niewątpliwie i dwie następne wiadomości:

W dniu 1 sierpnia 1876, otworzoną została w Żabikowie „stacya kontroli nasion.“ Zadaniem jéj jest: sprawdzać etykiety towaru, oznaczać procent siły kiełkowania i wartość użytkową towaru, która się oznacza z procentu kiełkowania i stopnia zanieczyszczenia nasion. Zajęcie to, jak widzimy, bardzo specyalne, obchodzi jednak wszystkich tych, którzy wielkim nieraz kosztem sprowadzają nasiona, w celu rozplenienia ich, i niejednokrotnie zawodzą się na tém.

Druga wiadomość dotyczy instytutu gospodarstwa i leśnictwa w Nowéj Alexandryi (Puławach). Rada tego zakładu wyjednała u władzy fundusz na drukowanie dzieł specyalnych, tłómaczonych z obcych języków przez studentów, i na pierwszy raz wybrała dzieło Knoppa, p. t.: *Bonitirung der Ackererde.*

Z ogłoszenia nie wiadomo wprawdzie: na jaki język ma być dokonywany przekład? Jeżeli na rosyjski, to niewątpliwie studenci pomyślą o jednoczesnym przekładzie na polski, inaczéj bowiem praca ich dla ogółu ziemian może być straconą.

Aleksander Głowacki.

Redaktor i Wydawca, *H. Benni.*

Ogłoszenie Konkursu.

Ponieważ dla uniknienia przewłoki w wypłacie nagrody z fundacyi imienia S. B. Lindego, wynikającéj z niezgodności oznaczonego dla niéj terminu z terminami pełnych posiedzeń Akademii, czcigodna fundatorka, zgodnie z uczynionèm sobie przedstawieniem, uznała za stosowne przenieść go na dzień 8 maja, przypadający we dwa tygodnie po rocznicy urodzin S. B. Lindego; pragnąc zatém zastosować do tego przyznanie już pierwszéj nagrody, Akademia Umiejętności w Krakowie ponawja z odpowiednią zmianą dawniejsze ogłoszenie konkursu w sposób jak następuje:

1) Przedmiotem konkursu będą *prace z zakresu języka polskiego, mogące w jakimbądź względzie służyć za dopełnienie słownika Lindego.*

2) Praca téj treści za najlepszą przez Aademię uznana, otrzyma nagrodę w ilości 675 rub. sr., to jest w kwocie równéj wartości kuponów płatnych w ciągu lat trzech od złożonych w tym celu listów zastawnych miasta Warszawy.

3) Prace treści nadmienionéj, o ile byłyby przedmiotem konkursu, czy to w ciągu ogłoszonego terminu już wydrukowane, czy też w rękopiśmie, winny być nadesłane Akademii najdaléj do końca grudnia 1878 r.

4) Przyznanie nagrody i zawiadomienie o przyznaniu na publicznèm posiedzeniu Akademii nastąpi w piérwszych dniach Maja 1879 r., wypłata zaś sama w dniu 8 tegoż miesiąca, t. j. we dwa tygodnie, licząc od rocznicy urodzin S. B. Lindego.

5) Praca uwieńczona zostaje własnością autora, który wszelako, gdyby takowa już była drukowaną, winien przed powzięciem nagrody złożyć w Akademii 50 egzemplarzy; w razie przyznania nagrody za pracę nadesłaną w rękopiśmie, autor winien ją bądź sam ogłosić drukiem w przeciągu jednego roku, bądź zdać to na Akademię. W piérwszym razie autor Akademii, w drugim Akademia złoży 50 egzemplarzy autorowi.

W Krakowie, d. 30 Stycznia 1877 r.

Sekretarz Generalny Akademii,

Dr. J. Szujski.

ODEZWA
Komitetu Zjazdu Archeologicznego.

Komitet przygotowawczy Najwyżéj zatwierdzonego IV-go zjazdu Archeologicznego, pośpieszając niniejszém zawiadomić wszystkich żądających przyjąć w nim udział osobiście, lub nadesłać swe prace i znalezione przedmioty, iż zjazd rozpocznie się dnia 31 Lipca 1877 roku w Kazaniu, uprasza o przesyłanie wszelkich wiadomości do zjazdu się odnoszących, na imię: J. W. Hrabiego *A. S. Uwarowa*, do Moskwy (do Moskiewskiego Towarzystwa Archeologicznego), albo téż—J. W. Kuratora Okręgu Naukowego Kazańskiego, *I. D. Szestakowa*, do Kazania, albo wreszcie na imię Sekretarza Komitetu Przygotowawczego (Секретарь Предварительнаго Комитета), Docenta Uniwersytetu Cesarskiego w Kazaniu, *D. A. Korsakowa*, do Kazania.

Program szczegółowy zjazdu wkrótce do wiadomości powszechnéj podanym zostanie.
